

MAGDALENA SAMOZWANIEC

MARIA i MAGDALENA



CZEŚĆ 1

MAGDALENA SAMOZWANIEC

MARIA i MAGDALENA



CZEŚĆ I

MAGDALENA SAMOZWANIEC

MARIA

i

MAGDALENA

CZEŚĆ 1

GLOB 1987

Projekt okładki i stron tytułowych WŁODZIMIERZ BAZYLI KRASULAK

Wydanie oparte na edycji Wydawnictwa Literackiego z 1960 roku

© Copyright by Wydawnictwo Literackie Kraków 1956

ISBN 83-7007-092-2

WYDAWNICTWO „GLOB” SZCZECIN 1987

Wydanie ósme. Nakład 99 650+350 egz.

Arkuszy wyd. 14.8. Arkuszy druk. 17. Oddano do składania w październiku 1986 r. Podpisano do druku i druk ukończono w maju 1987 r. Papier offsetowy kl. V. 70 g, rola 61 cm Zam. 1059/1100/86 N-4/34

ŁÓDZKA DRUKARNIA DZIEŁOWA

Cena części 1-2 zł 750,-

WSTĘP

Podobno trzeba tonąć lub lecieć z trzeciego piętra, aby ujrzeć wstecz całe swoje życie. Nie chcę ani tonąć, ani spaść z trzeciego piętra. Chcę żyć jak najdłużej - mimo to chciałabym dokładnie i wyraźnie ujrzeć całą drogę, którą już mam poza sobą, oczywiście nie ze ścisłością fotograficzną, ale jak kolorowy film przerobiony z powieści, z wyeliminowaniem rzeczy zbędnych i nużących publiczność. Chciałabym, o ile to jest możliwe, nie uwypuklać zanadto mojej osoby i moich najgłębszych uczuć. Nie jestem ani trochę poetką, a zatem pewien bezwstyd pełen miłości własnej, właściwy wszystkim poetom, jest mi najzupełniej obcy.

Jak każdy normalny człowiek nie będę się przechwalać moimi sukcesami ani ubolewać nad klęskami natury osobistej; te sprawy, dla czytelników dzisiejszych mało ważne, niechaj wsiąkną ze mną kiedyś do czarnej ziemi, jak wieńce zeschniętych kwiatów. Uwaga moja jako pisarza i przede wszystkim satyryka niechaj się skupi na klimacie szeregu epok, które przeżyłam.

Urodziłam się w czasach secesji i jako mała dziewczynka haftowałam na poduszkach łąbędzie z liliami wodnymi oraz irysy. Przeżyłam epokę

„Zielonego Balonika” i „Pani Dulskiej”. Jako dorosła panienka zetknę-

łam się z krakowskim eleganckim światem, z hrabinami-dewotkami śmiesznymi jak ich stroje. Potem pierwsza wojna światowa i nasze pierwsze zamążpójścia. Wspaniały dzień rozbrojenia austriackich generałów na ulicach Krakowa przez ulicznych chłopaków. Pierwszy wieczór autorski młodziutkiego, szalenie obiecującego poety Juliana Tuwima.

Przeżyłam rząd Paderewskiego i wypadki majowe w 1926 roku, w któ-

rych po trochu obie z moją siostrą brałyśmy bierny udział jako przypad-kowi więźniowie w hotelu Bristol. Trzy lata przebywałam z moim 5

pierwszym mężem, dyplomata, w Bukareszcie, gdzie bywałam na ope-retkowym dworze starego króla Ferdynanda. Grałam w brydża z przyszłym królem Rumunii, Karolkiem, i tańczyłam na kostiumowym balu w ambasadzie angielskiej z późniejszym królem angielskim, ojcem Elżbiety, przebranym za rumuńskiego chłopca!

W międzyczasie urodziłam córkę Teresę i... „Na ustach grzechu”.

Wszystkie zarobione na literaturze pieniądze obracałam na podróże, zwiedziłam więc: Francję, Rumunię, Turcję, Niemcy, Anglię, Francuską Riwierę, brzegi Afryki, Małą Azję itd. Moje życie do czasu wojny światowej było jednym nieprzerwanym pasmem samych radości. Koło mnie nierozzerwalnie, mimo swoich trzech mężów, szła wciąż największa mi-

łość mojego życia - „czarownica z Krakowa”, jak ją nazwał Tuwim - moja siostra Maria. W starym krakowskim dworku zimą i latem błyszczało i grzało nas gorące domowe słońce, nasz precudny ojciec Wojciech Kossak, koło niego krzątała się nasza matka, Maniusia z Kisielnickich, srogi złotowłosy anioł z różgą, ale zarazem i z niebywałym poczuciem humoru. Cała atmosfera Kossakówki była tak przesiąknięta wybuchami śmiechu, że nic dziwnego, iż jedna z córek musiała wyrosnąć na satyryczkę.

Za jedną kolację lub śniadanie w tej kompanii, w której wyśmiewało się wszystkie krakowskie snobizmy, a potem futuryzmy i „strefizmy”, kompanii, gdzie rodziły się najlepsze dowcipy i powiedzonka - dałabym pięć lat mojego i tak dość długiego życia. To wszystko trwało do września 1939 roku.

Moją siostrę Marię widziałam ostatni raz w Juracie, w drugiej połowie sierpnia. W przeddzień pokłóciliśmy się. Aby ją przeprosić, darowa-

łam jej nowe cieniutkie pończochy. Powiedziała: „Siedzicie tu tak spokojnie, śmiejecie się z byle czego. Nie widzicie strasznej wojennej chmu-ry, która nadciąga...” Była nasrożona i zalękniona jak ptak przed burzą.

Poleciała schronić się do Warszawy, gdzie przebywał jej mąż, lotnik Jasnorzewski. Nie odprowadziłam jej na stację, bo wolałam iść na plażę.

Potem zaczęła się druga wojna światowa - „o wiele mniej europejska od poprzedniej”, jak orzekła pewna krakowska paniusia. Okropne, długie, straszne lata. Podczas tych przerażających lat zmarł mój

cudny ojciec, do końca piękny i szlachetny, który żadnemu okupantowi nie 6

sprzedał ani jednego obrazka, woląc robić za bezcen portrety krakowskim kupcom. Umarła najlepsza z matek, Manusia z Kisielnickich.

Zmarło kilkoro starych wujców i ciotek przybyłych do nas po warszawskim powstaniu. W roku 1945, kiedy cały stary domek w odświętnym nastroju oczekiwał przybycia Marii Jasnorzewskiej, która przeszło rok nie dawała o sobie znaku życia, wyjąwszy dochodzące do nas przez londyńskie radio jej audycje poetyckie - nagle piorun, cios w samo serce!

Poetka zmarła po długiej i strasznej chorobie na obczyźnie, w ponurym, czarnym Manchesterze. Myślałam wówczas, że już nigdy się nie roze-

śmieję i nigdy nie napiszę nic wesołego. W owym czasie mój dzisiejszy mąż, który nie miał najmniejszego zamiaru żenić się, wypił bardzo dużo wina, wódki i... oświadczył mi się. W Bytomiu, w Urzędzie Stanu Cywilnego wzięliśmy ślub. Młodzieniec ten uratował nie tylko kobietę, bliską czarnej melancholii, ale i... satyryka.

Pomału znowu zaczęło się pisać. W latach 1947/8 został wydany no-wy nakład „Na ustach grzechu” oraz zbiór felietonów powojennych pod tytułem „Tylko dla kobiet”.

Po tym wstępie chwila rozterki: bo i od czegoż zacząć? Wspomnienia cisną się jedne przed drugimi. Każde chce być pierwsze. Z kasetki z kli-szami, które mamy w pamięci, wyskakują dwie małe dziewczynki. Jedna ma gruby warkocz, druga, mniejsza, rudawe rozpuszczone włosy, uczesane a la Velazquez.

- Pisz przede wszystkim o nas! - wołają.

- A! tatko, a dziadzio? - odpowiadam im z ołówkiem w ustach.

- Masz zamiar nazwać swoją powieść „Maria i Magdalena”, więc pisz najpierw, już w pierwszym rozdziale, o naszym dzieciństwie.

- No dobrze, ale to może znudzić czytelnika.

- Napisz w ten sposób, aby go nie znużyć. Opisz atmosferę ówczesnego Krakowa, napisz o tym, w jaki dziwny sposób edukowano wówczas dziewczynki z tak zwanych „dobrych domów”. Dzisiejsze harcerki, 7

czytając owe opisy, będą pękać ze śmiechu. Pisz o przedziwnej higienie początków tego wieku, o snobizmie, który wówczas panował, i przesadnej dewocji, do której dzieci zmuszano. Nie bój się, pisz - i tak redaktor, który zaopiekuje się twoimi wspomnieniami, wykreśli ci z tego połowę.

- Dobrze, a więc zaczynamy... czy w imię prawdy?...

- Oczywiście, ale prawdę nużącą i nikomu niepotrzebną staraj się opuszczać, pamiętaj, że nie piszesz dla siebie, tylko dla ludzi, dla dzisiejszego czytelnika, który tym różni się od przedwojennego, że

kupuje książki.

- Czy dać trochę sensacji? Czy napisać o handlarzu żywym towarem, który na Francuskiej Riwierze chciał uwieść Marię Jasnorzewska?

A jeśli to nie był wcale handlarz żywym towarem?

- Pisz, co najwyżej ci go wykreślą.

- A Marcel de Moor, który jeździł za mną po świecie i nosił na piersiach wszystkie odznaczenia francuskie, i był prawdopodobnie szefem francuskiego wywiadu? Napisać o nim?

- O nim koniecznie! To postać jak gdyby żywcem wyjęta z jakiejś powieści sensacyjnej. Nie zapomnij i napisz również o pokątnym lekarzu w Casablance, za którego chciałaś wyjść za mąż i tam już na zawsze pozostać. To bardzo ładna historia.

- A zatem szczypta erotyzmu?

- Ale satyrycznego. Dowcip odbiera erotyzmowi ich nieprzyzwoity klimat. Oczywiście, że nie wolno ci naśladować Franka Harrisa w jego pamiętnikach („Porwałem Laurę w objęcia i rzuciłem na łóżko, drżała z rozkoszy, po czym poszedłem na spacer z Emmą...”). Nie zapomnij opisać różnych sławnych ludzi, którzy przewinęli się przez twoje życie. Napisz o twoim flircie z Jules Romainsem, to też ładna historia. Niechaj w twoich pamiętnikach (rzeczy bodaj najtrudniejszej w literaturze) nie będzie żadnej wazeliny, pamiętaj, że ona płami papier najbardziej. O

sobie staraj się pisać wesoło, ale raczej krytycznie, tak jakbyś to robiła opisując swoją najlepszą przyjaciółkę. Wówczas czytelnik daruje ci może zbyt entuzjazm wobec Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i Wojciecha. Jedni powiedzą: szowinizm rodzinny, drudzy - oto jej dwie największe miłości!

Rozdział I

POZNANIE Z LILKĄ

Mama wzięła za rękę trzyletnią Madzię, wyprowadziła ją do ogrodu, gdzie tocząc przed sobą dużą obręcz bawiła się prześliczna sześcioletnia dziewczynka, o olbrzymich niebieskich oczach i jasnych warkoczach.

- Madziu - rzekła Mama - to twoja starsza siostra, Lilka. Bawcie się ładnie. Lilusiu, zostawiam Madzię pod twoją opieką - rzekłszy to, pani Maria z Kisielnickich Kossakowa odeszła szumiąc dostojnie długą taftową spódnicą.

- Dotychczas byłaś ciągle chora i leżałaś w zaciemnionym pokoju -

rzekła Lilka - więc nie mogłyśmy się poznać. Będę twoją drugą matką, tylko musisz mnie słuchać i robić wszystko to, co ci każę.

- Dobrze - szepnęła młodsza siostra i z ufnością włożyła rączkę w dłoń starszej. Obie pomaszerowały w stronę Domku Babci, który znajdował się w obrębie dużego ogrodu, tuż obok głównej willi, w której mieszkał Wojciech Kossak ze swoją rodziną. Był to stary dworek z dachem gontowym i ganeczkiem na słupach. W oknie pięterka ukazała się piękna twarz Dziadka, Juliusza Kossaka, z długimi siwymi wąsami starego Polonusa. Wychylił się i nagle sychnął na trawnik, na którym grało w krokieta trzech chłopców, garść karmelków z dużej papierowej torby.

Chłopcy - Jerzy i Witold Kossakowie oraz jakiś ich kolega - rzucili się je zbierać. Lilka jak małe lwiątko walczyła z chłopakami o swój łup i zdoła-

ła schować w kieszonce fartuszka kilka karmelków. Małej, niezgrabnej Madzi dostał się tylko jeden, który ścisnęła w łapce jak drogocenny skarb. Chłopcy rozbiegli się po ogrodzie, a dziewczynki zostały same na trawniku. Lilka wzięła Madzię za rękę i poprowadziła do dużej szpary w

płocie, za którym znajdował się zakład powroźniczy pana Zdechlika.

Przez szparę widać było dokładnie chłopców w zgrzebnych koszulach i płóciennych portkach, którzy kręcili sznury. Jeden z nich, z konopną czupryną, która mu spadała na oczy, podszedł do szpary w płocie i dziwnym niesamowitym głosem zaskrzeczał:

- Pukad... pulejt... pukad... pulejt!

Madzia przerażonym wzrokiem spojrzała w przyjaźnie uśmiechniętą twarz siostry.

- Chodźmy - szepnęła i cofnęła się.

- Nie bój się - rzekła przyszła poetka. - To są takie ptaki boże. Jak się masz, mój drogi? - zagadała do chłopca.

- Pukad... pulejt! - odparł umysłowo chory i przez szparę wyciągnął

do niej rękę.

Madzia uspokojona, że chłopak nie zrobi im żadnej krzywdy, wycią-

gnęła z kieszeni karmelek, wysupłała go z papierka i chciała włożyć sobie do ust, ale w tym momencie starsza siostra wyrwała jej go i podała chłopcu.

- Pamiętaj - rzekła do Madzi - że co dzień należy zrobić jakiś dobry uczynek, to jest dzisiaj twój pierwszy.

Chłopak porwał karmelek, przyjrzał mu się, obrócił w palcach jak małpka, zaskrzeczał swoje „pukad, pulejt!” i zniknął.

- Jakie to są nieszczęścia na świecie - westchnęła Lilka, po czym obie odeszły od płotu. Madzia nie bardzo wiedziała, dlaczego; wyrwano jej cukierek od ust i co to znaczy „dobry uczynek”, ale piękna duża dziewczynka, która się zaofiarowała być jej drugą matką, zaimponowała jej tak bardzo, że nie

miała odwagi jej się sprzeciwiać.

- Teraz pójdziemy pocałować róże na dzień dobry - rzekła późniejsza Maria Pawlikowska-Jasnorzewska i pociągnęła Madzię w stronę, gdzie stała stara figura Matki Boskiej, wokół której rosły najpiękniejsze róże. Madzia patrzyła, jak Lilka wtulała nosek i malutkie różowe usta w płatki na pół rozkwitłej herbacianej róży, i zrobiła to samo. Całowanie róż na dzień dobry weszło odtąd w codzienny zwyczaj obu dziewczynek.

Odbywało się to na czczo, zaraz po rannym myciu, podczas którego stara garbata niania, Marysia, szorowała palcem umaczanym w proszku zęby

„panienek”.

10

Przez ten czas pod starą lipą służąca szykowała do śniadania. Stół nakrywała obrusem i stawiała na nim apetyczną „martwą naturę” w postaci złocistych kajzerek i rożków, małego porcelanowego ula z miodem, maselniczki i talerzyków z szynką. Wówczas na schodkach od werandy willi ukazywała się postać, od której robiło się jeszcze jaśniej w ogrodzie, stawał w całej swej okazałości domowy „Król Słońce” - T a t k o , źródło codziennej radości, najsmaczniejsza przyprawa życia obu dziewczynek i zarazem ich najlepszy przyjaciel. Lilka z oczami roziskrzonymi radością rzucała się w jego stronę pędem, za nią potykając się na tłustych nóż-

kach biegła Madzia. Lilka potrafiła wskakiwać „na Tatkę” jak woltyżerka na ujeżdżonego konia w biegu. Już śmiejąc się leżała mu na piersiach, jabłka swoich okrągłych policzków przytulając do jego świeżo ogolonej twarzy. Mama, pani Manusia z Kisielnickich, na pozór złotowłosa anioł, ale w gruncie rzeczy surowy Katon, przez *pince-nez* spoglądała na to

„poufalenie się dzieci z rodzicami”. U niej w rodzinie dzieci truchlały, gdy zbliżał się ojciec. Był to rodzaj jakiegoś najwyższego domowego urzędnika, jakiś „oberpolicmajster” - władza i postrach. Dziewczynki, skarcone przez Mamę, usiadły wreszcie na swoich miejscach i „gorąco” zajęły się nalany do kubków kakao. Łydkami głaskały pysk owczarka Bobcia, który, przytulony do panienek, udawał przed surową panią do-mu, że go w ogóle nie ma, bo inaczej usłyszałby zaraz nieprzyjemne „poszedł, pies!” i poczułby niebolesne, ale upokarzające uderzenie serwetą po zadzie. Wojciech Kossak, przyjaciel wszystkich stworzeń, a specjalnie koni i psów, patrząc żonie niewinnie w oczy, podsuwał pod stołem Bob-ciowi kawałki tłuszczu od szynki lub skórki sera.

- Czy tam ktoś jest? - zainteresowała się Manusia zaglądając pod stół. Bobcio jednak, przewidując to, zdążył ukryć się za krzesłem jednej z dziewczynek. Potrafił stać się dla niektórych zupełnie niewidzialny, a znów dla innych umiał przybierać jakieś nadnaturalne rozmiary.

- Cóż to, sprawiliście sobie nową karetę?! - rzekła kiedyś na widok Bobcia, stojącego w pewnej odległości od niej, stara ciocia Basia, mająca krótki wzrok.

11

Bobcio posiadał niesłychanie rozwinięte poczucie przyzwoitości. Kiedyś podczas wyjątkowo upalnego lata Tatko postanowił Bobcia ostrzyć do skóry i z pięknego, aczkolwiek nierasowego owczarka z czarno-białymi kudłami zrobiło się łaciate cielątko, miejscami biało-różowe.

Czyż szanujący się pies mógł się tak ludziom pokazać na oczy? Nie. To-też Bobcio schował się pod ganek i nie wyszedł stamtąd, póki mu czarno-białe loki trochę nie odrosły. Jedzenie musiało mu się na miseczce stawiać pod schodami. Ale co będziemy się zatrzymywać przy Bobciu, kiedy oto w stronę zgromadzonej przy rannym śniadaniu rodziny sunie jakiś wspaniały ludzki gmach, ruchoma ambona - czy coś podobnego.

Sunie pomału, szeleszcząc, szumiąc jedwabną spódnicą. Dziewczynki zrywają się, szybko obcierają usta w serwety wiązane pod brodami. Ma-ma też zrywa się i Tatko również. Ta ruchoma ambona to B a b c i a Juliuszowa Kossakowa! Rodzice nazywają ją „Musią”. Babcia ma mnó-

stwo wnucząt, bo to i dzieci trzech synów: Wojciecha, Tadeusza i Karola, i dwóch córek: Jadwigi i Zochny. Babcia żyje tylko dziećmi i wnukami, jedno kocha więcej - drugie mniej, a do innych ma jakąś niczym nie uzasadnioną antypatię. Kocha na przykład namiętnie małą Madzię, a do Lilki czuje niechęć.

- Lilka, łokcie ze stołu! - strofuje natychmiast starszą Kossakówkę, wpychając młodszej do ręki pudełeczko miętówek. Na imieniny Lilki dała solenizantce jakąś cienką książeczkę, a Madzi olbrzymie pudło czekoladek. Za to pani Manusia, kochając wszystkie dzieci jednakowo, ma do Lilki jakiś specjalny sentyment. Tatko się nie orientuje, Babcia się nawet nie domyśla, ale ona wie, że urodziła coś niezwykłego, coś niepo-dobnego do reszty dzieci. Jak autor, który napisał dopiero pierwszy rozdział powieści, a już czuje, że dzieło jego jest genialne. Sześciolatnia dziewczynka wzbudza w niej szacunek i podziw. O ile Madzię, gdy była trochę większa, biło się przy byle okazji, Lilki nikt nigdy nie śmiał tknąć.

Raz tylko dostała od Mamy klapsa i wówczas powiedziała słowa, które na Mamie zrobiły silne wrażenie.

- Mama mnie uderzyła, a czy mama się nie boi, że jej ręka uschnie?

Ale co się dziwić, że Lilka wzbudziła taki podziw i szacunek.

12

Przecież to było od urodzenia zupełnie niezwykłe dziecko. Przede wszystkim umiejętność czytania i pisania bez błędów przyniosła już ze sobą na świat. Gdy miała sześć lat, pisywała wierszyki, których by się nie powstydziała żadna z dzisiejszych poetek piszących wiersze dla dzieci.

Poza tym od razu nauczyła się grać na fortepianie i malować akwarelą poetyczne nimfy i sylfidy. Pani Manusia uważała się za matkę geniuszów i wierzyła święcie, że chociaż żadne z jej dzieci nie dorówna naprawdę niezwykłej córce Marii, to jednak z Jerzego będzie malarz równie sławny jak jego Ojciec i Dziadek, a z Magdaleny... jeszcze nie wiedziała co, ale w każdym razie też coś niezwykłego. Jeśli z tępej jako dziecko Madzi wyrosła w końcu pisarka, to zawdzięcza to przede

wszystkim swojej ambitnej Matce. Każdy nieudolny obrazek lub lichy wierszyk, który młodsza córka spłodziła, Mama porywała z dumą i pokazywała gościom. Obie jej córki z góry predestynowane były na artystki i jako takie odsunięto je od wszystkich zajęć domowych i gospodarskich. Ta energiczna gaździna, która umiała sama gotować jak najlepszy kucharz i sama froterowała posadzki, aby pokazać służącej, jak to się powinno robić, swoich córek nie chciała nauczyć nawet smażenia jajecznicy lub zaparzania herbaty.

- Wy macie robić co innego - mówiła i zapędzała zupełnie niezdolną do muzyki Madzię do ćwiczenia gam i palców. Ta dziwna Matka, pochodząca z zamożnego szlacheckiego dworu, myślała dla swoich córek o czymś innym, czymś lepszym, o istotnym „awansie społecznym”, jakim była dla niej kariera artystyczna. W jej sferze był to wypadek rzadki i raczej odosobniony.

Ale wróćmy do małej Lilki i do jej nieodłącznego cienia, Madzi. Obie dziewczynki kochały zupełnie histerycznie wszystkie zwierzęta i ptaki, a Lilka nawet... myszy. Madzia do końca życia nie zapomni bohaterskiej postawy swojej siostry, gdy ta weszła do kuchni właśnie w momencie, kiedy służąca wrzuciła do wiadra z nieczystościami małą myszkę, złapaną w pułapkę. Błyskawicznie zakasała rękawy od swojej granatowej ma-rynarskiej bluzki, ręce aż po łokieć zanurzyła w cuchnącej cieczy, wydobyła stamtąd przerażoną myszkę i puściła ją do ogrodu. To był wspaniały gest, na który Madzia nie byłaby się nigdy zdobyła. Z biednymi glistami, w sadystyczny sposób katowanymi przez ogrodnika Bartłomieja, była 13

gorsza historia - te były już nie do uratowania i z pięknych oczu Lilki spłynęło nad niewinnie umęczonymi kilka ciężkich łez. A wyglądało to tak - obie dziewczynki wpadają kiedyś do kuchni i widzą, że ogrodnik Bartłomiej pastwi się nad zebranymi w ogrodzie glistami.

- Co robicie, Bartłomiej! - wykrzyknęła Lilka czerwona z oburzenia. - Jak można się tak znęcać nad biednymi glistami?!

- Niech panienka będzie spokojna - odparł na to z chytrym uśmiechem ogrodnik. - NIC CHROBOKOM NIE BANDZIE.

Ileż razy później obu siostram przypominały się te słowa w różnych okolicznościach życia - „nic chrobokom nie bandzie”! Lilka, jako przyszła poetka, miała już od małego niesłychanie bujną fantazję, której prozaiczka Madzia nie posiadała, niemniej aby nie narazić się na pogardliwe traktowanie ze strony starszej siostry, udawała, że widzi i odczuwa to samo co ona. Kiedyś w nocy Lilka obudziła smacznie śpiącą Madzię i wskazując ręką łóżko *Fräulein*, która z nimi spała, szepnęła:

- Czy widzisz ten pensjonat piernikowych lalek, które spod łóżka wychodzą?

- Naturalnie, że widzę, och, jakie cudne! Może by którąś z nich zła-pać i zjeść...

- Idiotka jesteś. Śpij i nikomu nie mów, żeś to widziała.

Na strychu stała olbrzymia dębowa szafa, od której klucz dawno gdzieś zaginął. Kiedyś wieczorem, przed zaśnięciem, Lilka zwierzyła się Madzi, że w tajemnicy przed starszymi dobrała klucz,

otworzyła tajemniczą szafę iii...

- ...iiiiii...? - Madzia cała zamieniła się w słuch.

- Nie powiem ci, jeśli mi nie dasz połowy tych czekoladek, które dostałaś od babci.

- No, dobrze, dobrze... dam ci, tylko mów czym prędzej.

- Więc słuchaj, tylko jak mi nie dasz połowy czekoladek, to ci już nigdy w życiu nic nie powiem, w tej szafie siedzi malutka zasuszona czarownica w spiczastym kapelusiku i pogrzebaczem grzebie w stosach starych maminych sukien.

- O Boże! No i co?

- „No i co?”, dobra sobie, a cóż byś ty chciała więcej?

Łóżko Lilki oparte było o starą chwiejącą się szafę, o którą z drugiej 14

strony stał oparty tak zwany dom lalek, a w nim co wieczór po odrobieniu lekcji odbywały się teatralne przedstawienia. Dom składał się z dwóch pięter, poddasza i sutereny wymalowanej przez Wojciecha Kossaka, który lubił bawić się z ukochanymi córkami. Groza wiała z tej sutereny ociekającej wilgocią, pełnej pajęczyn i starych połamanych sprzę-

tów. Górne piętro i parter zamieszkane były przez pięknie ubrane laleczki, suterena zaś przedstawiała azyl dla lalek inwalidów, którym brakowało rąk czy nóg i które miały na sobie zniszczone i podarte suknie. Lilka już jako mała dziewczynka pasjonowała się do teatru, laleczki w jej rękach nabierały życia i ustami przyszłej poetki i komediopisarki prowadziły ze sobą inteligentne dialogi, do których Madzia wtrącała swoje trzy grosze. Obie dziewczynki przepadały za „zabawą w teatr” i cieszyły się na nią jak na prawdziwe przedstawienie.

Madzia, mimo iż uwielbiała swoją siostrę, lubiła jej płatać figle. Chowiała jej koszulę nocną albo buciki. Było to u niej wprost nałogiem.

- Słuchaj, ty podłe zwierzę, znowu schowałaś mi moje buty! Powiedz natychmiast, gdzie one są?!

- Nie schowałam... przysięgam!

- Ach, ty kłamczuchu bezecny! Powiesz czy nie powiesz?!

- Doprawdy nie mam pojęcia...

- Jak mi ich natychmiast nie oddasz, to zwałę dom! Rachuję do trzech.

- Masz, masz twoje głupie buciska, tylko nie ruszaj domu!

Raz już stała się rzecz nieopisanie okropna, kiedy rozżłoszczona na siostrę Lilka wysuniętą spod kołdry nogą kopnęła z całej siły szafę, która zachwiała się i swoim ciężarem zawałiła cały dom lalek.

Ileż laleczek potraciło wówczas nosy, ile ślicznych, giętych i wyściełanych mebelków potraciło nogi! Miniaturowe wazon, zegary ściennie i lampy przywiezione przez Tatkę z Wiednia rozsypały się w drobny mak - i to wszystko z takiego głupiego powodu, że Madzia zabrała Lilce jej ukochane prawidła i nałożyła na nie swoje pantofelki. Lilka nie znała się na żartach.

Straszna i niezapomniana była chwila, kiedy pewnego wieczoru Lilka, która skończyła już trzynaście lat, powiedziała, że jej się sprzykrzyła zabawa w teatr.

15

- Róbmy teatr - rzekła jak zwykle młodsza siostra.

- Eeee - skrzywiła się Lilka, która właśnie komponowała jakiś wiersz.

- Co za „eee”, jakie „eee”? Co ci się stało?

- To takie nudne i dziecinne, baw się sama...

Madzia rozbeczała się, ujrzała nagle przepaść między sobą a siostrą, przepaść trzech lat. Lilka była już podlotkiem, nosiła warkocz podwiązany dużą kokardą, suknię do kostek, gorset. Madzia była wciąż jeszcze małą dziewczynką w luźnych marynarskich bluzkach. Lilka miała adoratora, rumuńsko-austriackiego oficera, który nazywał się tak pięknie Guido della Scala i który zamiast kwiatów przysłał jej kiedyś... konika -

tak, autentycznego arabskiego konia ze stadniny swojej ciotki. Madzia pobiegła pierwsza zobaczyć owego araba, a Guido, uważając ją za dziecko, pogłaskał ją po twarzy. O tym niezwykłym incydencie napisała w swoim dzienniczku w ten sposób:

Ach Boże Guido mnie pogłaskał pod brodę czy to możliwe Guido mnie pogłaskał na co po co mu przyszło do głowy ach Złoto jedno czy możliwe nie niemożliwe co on ma do mojej twarzy co on myślał ja powiedziałam jaki śliczny koń gdysz Mahomet już przyszedł a on powiedział Śliczny i pogłaskał mnie pod brodę w niedzielę będzie Guido na obiad.

A Lilka? Lilka nie tylko że pisała bezbłędnie w trzech językach, po polsku, po francusku i po niemiecku, ale tworzyła już piękne wiersze i ku wielkiemu zgorszeniu młodszej siostry kpiła sobie z austriackiego oficera, który miał wobec niej najpoważniejsze zamiary i opowiadał, że tylko czeka, aż jeszcze trochę podrośnie, aby się oficjalnie oświadczyć o jej rękę. Lilkę brali już rodzice ze sobą do prawdziwego teatru na Fredrę lub Szekspira, a Madzia, ten biedny kopciuszek, zostawała w domu i kreśliła w swoim dzienniczku takie oto słowa rymowane:

To wszystko minęło i nie powróci a zato Lilka pojechała do teatru a ja nie cicho Madzia nuci oty losie poczwaro stara ach życie to smutna mara ach oile zawsze jezdem szczęśliwsza od panny Kopacz albo Babci taaak głupia zecz ten wspak

Jak widzimy, dzieciątko to nie tylko że mając dziesięć lat pisało nie-gramatycznie, ale w dodatku miało wrodzony wstręt do znaków pisarskich; jakżeż więc Lilka mogła się jeszcze chcieć z nią bawić?

Rozdział II

DZIADZIO

*Dziadzio siedział w pracowni przed sztalugę, brał pędzel do ust, namyślał się długo,
palił cygaro,*

strząsał jedwabny popiół w popielniczkę starą.

Rozrabiał na palecie soki fijołkowe,

deszczówkę pomieszaną z zielenią wiosenną

i mleko migdałowe z sjenną.

Ślad ołówka wycierał kawałkami chleba,

a po kobalt przez okno sięgał aż do nieba.

Malował rozrzewnieniem i słońcem

siwki, grzywki, kopytka tańczące i lśniące, oczy pełniejsze ognia od oczu Hiszpanek

i zady rozczęzione jak bańki mydlane -

jak grupy grzybów barwne miasteczka i chaty, i łąki, i dziedziców jak sumy wąsatych.

A za fotelem dziadzi kiwając się stał

mądry Żydek Immerglück albo Himmelblau,

inni czyhali we drzwiach, a inni w ogrodzie, aż słodko śpiący skończy swój sen o pogodzie.

(Maria Pawlikowska r. 1924)

Cóż można więcej dodać do tego portretu namalowanego najczystsza poezją? Takim właśnie był ten, który zapoczątkował linię artystyczną rodu Kossaków. Był malarzem-poetą, który z koni robił poematy, ze scen batalistycznych rycerskie rapsody, z mołodyć ukraińskich wiersze li-ryczne. Spośród jego licznych wnuczek najprawdziwszą wnuczką była Maria Kossakówna, przyszła poetka, która nawet z rysów twarzy przypominała Dziadka. Obraz Dziadzi zachowany w pamięci przez obie, ma-

łe wówczas dziewczynki był najbardziej zbliżony do portretu malowanego przez Wyczółkowskiego, znajdującego się w krakowskim Muzeum Narodowym. Dziadek był to zażywny pan z siwymi długimi

i pięknym orlim nosem. Nosił małą, aksamitną bośniacką czapczkę haftowaną złotem i stale kopcił fajeczkę. Był pogodny, jowialny: na ustach miał zawsze uśmiech i na zawołanie jakieś dowcipne powiedzonko. Kochał dzieci i bawił się nimi jak drogocennymi zabawkami. Lilce i Madzi zrobił kiedyś akwarelę portrety ich lalek na drewnianych koni-kach z biegunami. Miał czas, mimo intensywnej pracy, aby zakupić któ-

regoś dnia większą ilość marcepanowych grzybków i powtykać je w ogrodzie do ziemi, i cieszył się jak małe, psotne dziecko, gdy całą czeredę wnuków posłał do ogrodu na grzybobranie. Mały Jerzy Kossak wraz ze swoim kolegą Ludwikiem Pugetem długie godziny spędzali w pracowni Dziadka patrząc, jak maluje. Każdą swoją akwarelę zmywał gąbką z wodą, aby nabrała przejrzystości, i znów, gdy obeschła, kładł na nią . farby.

W ostatnich latach jego życia, gdy Kraków zwrócił oczy na Matejkę, na-bywcami Juliusza byli prawie że wyłącznie mądry krakowscy kupcy żydowscy, rozumiejący swój interes i przeczuwający, że kiedyś obrazy Kossaka będą w dużej cenie. W ogródku na Kossakówce, noszącej wówczas nazwę „Willa Wygoda”, stała brzydka buda z czerwonej cegły, w której mieściły się pracownie obu Kossaków: Juliusza i Wojciecha. Pracownia Dziadzi wychodziła na dzisiejsze Aleje Krasińskiego, gdzie wówczas był kolejowy nasyp, po którym z przeraźliwym gwizdem przejeżdża-

ły pociągi. W owej pracowni stały wielkie oszklone szafy, pełne autentycznych starych mundurów i starej broni. W głębi stał wielki turecki namiot wykonany według oryginału ręką Babci Juliuszowej. Na ścianach i kamiennej posadzce wzorzyły się piękne tureckie i perskie dywany, przeważnie prezenty od przyjaciela Dziadzi, poznanego w Paryżu, Abd el Kadera, obrońcy Maroka. Juliusz siedział przy dużym weneckim oknie na czarnym ceratowym fotelu i malował przed sztalugą rzeźbioną w łabędzie głowy. Towarzystwo dzieci, które stały za jego plecami, nic mu w pracy nie przeszkadzało, mniej lubił, gdy do pracowni wkraczała wspaniała postać jego małżonki, Zofii z Gałczyńskich.

- Mój Julu, czy dostałeś jakieś nowe zamówienie?

- A coś tam dostałem, ale nie wiadomo, kiedy mi zapłacą, bo hrabia X. nie ma pieniędzy...

18

- I pewnie znowu za bezcen.

- Pewnie.

- Widziałam kupca Immerglücka, czy dał ci jakąś zaliczkę?

- A coś tam dał.

- Nie możesz mi powiedzieć, ile?

- A ileś tam...

- Wszystko robisz przede mną w tajemnicy, a przecież wiesz, że pieniędzy w domu nie ma. Wszystko tyle kosztuje. Zbliżają się imieniny Zochny...

Wówczas Dziadzio uśmiechał się i wzdychał:

- Ej, panienki, panienki! - Po czym dodawał: - Żebyśmy tylko zdrowi byli...

W czasach kiedy praca żon ograniczała się do haftowania serwetek i robienia koronek, a co najwyżej do pieczenia ciasteczek lub smażenia konfitur, ojciec rodziny musiał zarobić na wszystko: na służącą, na kucharkę, na suknie dla żony i córek i na ich wyjazdy do „wód”, no i na życie. Odkąd obie córki wyszły za mąż, było już lżej, ale i tak trzeba było genialną głową kręcić, aby temu wszystkiemu podołać. Juliusz przyjmował więc zamówienia na ilustrowanie książek dla dzieci i opowiadań dla pisemka „Przyjaciel Dzieci”. Książeczka Bełzy „Dzień grzecznego Władzia”, którą zaczytywały się obie dziewczynki, gdy już były większe, ilustrowana była przez ich Dziadka. A tymczasem młodzi malarze zaczęli starych mistrzów nazywać „mydlarzami” i wykpiwać ich sztukę. Dobrze jeszcze, że obie córki Juliusza - Nina i Zosia - wyszły za mąż nie mając posagów, co było przede wszystkim zasługą ich mądrej, zapobiegliwej matki.

Swoją żonę ujrzał Juliusz pierwszy raz na Nowym Świecie w Warszawie, gdy szła ze swoją matką. Zrobiła na nim piorunujące wrażenie.

- Popatrz - rzekł przytrzymując za ramię swojego przyjaciela - co za pyszna panna! Z tą tobym się nawet ożenił! Jakżebym ja chciał ją poznać!

- Nic łatwiejszego - odparł mu na to ów przyjaciel. - To jest panna Gałczyńska, u której matki bywam częstym gościem. Zapytam te panie, czy mogę cię do nich wprowadzić.

19

Juliusz był już wówczas znanym malarzem, więc pani Gałczyńska, Kurnatowska z domu, zgodziła się, aby im został przedstawiony. Ponieważ miała pięć córek, a majątek dość zadłużony (bo dama puszczała pieniądze na rozliczne podróże), więc chętnym okiem spoglądała na młodego i wybitnie przystojnego konkurenta, pragnęła tylko wiedzieć, czy młody malarz jest pochodzenia szlacheckiego, bo inaczej, oczywiście, małżeństwo jego z piękną Zosią nie byłoby mogło dojść do skutku. Juliusz żadnych papierów szlacheckich nie posiadał, ale dał jej „szlacheckie słowo honoru”, że jest szlachcicem, i wówczas matrona zgodziła się na to małżeństwo. Na tych więc dość słabych podstawach oparta była wiara starej pani Gałczyńskiej i jej córki Zofii w szlacheckie pochodzenie rodu Kossaków. Nie dziwny się im zanadto. W owym wieku, który możemy śmiało nazwać „wiekiem zaciemnienia”, nawet najlepszy artysta, jeśli nie należał do sfery szlacheckiej, nie mógł być w żadnym wypadku brany pod uwagę, jeśli chodziło o mariaż z jakąś obywatelską córką. Był to jak gdyby patent, który dawał gwarancję dobrych manier, dobrego wychowania i wykształcenia, chociaż tak często owych zalet obywatelskim synkom brakowało. Był to podobny snobizm jak na markę dobrej i znanej firmy.

Ciężko było nieraz panu Julowi podołać wszystkim obowiązkom domowym, a tutaj małżonka wyjeżdżała z takimi wymaganiami, jak suknie balowe dla córek, karetą z remizy na bale „Pod

Baranami” i u pani Tar-nowskiej „Na Szlaku”, wachlarze i długie rękawiczki.

Obie córki Juliusza bywały w „najpierwszych” domach krakowskich, na czym pani Zofii bardzo zależało, wiedziała ona, że nawet świetny malarz, jeśli nie należał do sfery szlacheckiej, traktowany był z góry i mocno pogardliwie, na co nikt nie miał się ochoty narażać. Sławne były słowa cesarza Franciszka Józefa do Stanisława Tarnowskiego: „*Sind Sie noch immer Professor, lieber Herr Graf!*”

Najlepiej było być „po prostu” arystokratą, bez jakichś tam tytułów naukowych czy innych, no ale jeżeli już niemądry los lub przeznaczenie zrobiło człowieka naukowcem czy artystą, to musiał nosić przynajmniej przed swoim nazwiskiem „von” albo „de”, inaczej był rodzajem kaleki 20

lub biednym pariasem. Na to wszystko więc, na tę przynależność do sfery szlacheckiej musiał zapracować ten cudny malarz i gorący Polak.

Noblesse oblige. Pani Zofia miała wprawdzie swój mały posąg, ale większa jego część poszła na... krewnych z Australii. Brat Juliusza, Leon, też malarz, ożenił się z Angielką, panną Hamilton. Po ślubie oboje wyemigrowali do Australii, gdzie zamieszkali w miejscowości Victoria. Między szwagierkami zaczęła się czuć korespondencja, oparta prawdopodobnie ze strony Juliuszowej na większej dozie snobizmu, ponieważ nawet „Pod Baranami” rzadkością było mieć w rodzinie autentyczną Angielkę.

„Postarajcie się przyjechać do Polski” - pisała po angielsku Zofia do pani Leonowej - „tak bardzo chciałabym cię poznać...” Jakże gorzko żałowała później tych niebacznie napisanych słów, bo oto w jakiś czas później otrzymała od Leonów radosną wiadomość, że korzystając z uprzejmego zaproszenia wybierają się z wizytą do Krakowa. I rzeczywiście któregoś na pozór pogodnego poranka zjechali na Kossakówkę państwo Leonowie Kossakowie z przerażającą ilością ku-frów i tobołków.

- *Ah, Sophy, how can you not have a waterproof!* - powtarzała pani Leonowa. (Ach, Zosiu, jak możesz nie mieć płaszcza nieprzemakalnego!) Tak samo dziwiła się, jak można istnieć bez łazienki, specjalnej *nurse* do dzieci i wielu innych zagranicznych wynalazków. Zofia natomiast nie mogła się nadziwić, jak można przyjechać do kogoś „z wizytą” i siedzieć już czwarty miesiąc bez chęci do powrotu. Gdy w końcu namówiony przez żonę Juliusz zapytał brata, jak długo mają jeszcze zamiar w Polsce pozostać, dowiedział się rzeczy najstraszniejszej.

- Skoroście nas zaprosili - odparł Leon - to musicie nam teraz za-płacić powrotną drogę do Australii, inaczej nigdy stąd nie wyjedziemy, ponieważ nie mamy za co. U nas, w Australii, jeśli ktoś kogoś do siebie zaprasza, to zawsze zwraca mu koszty podróży.

Usłyszawszy to Zofia dostała spazmów. Wyglądało to bardzo groźnie i łączyło się z „palpitacjami” serca, a było po prostu atakiem hysterii. Gdy przyszła do stanu równowagi, postanowiła upłynnić większą część swojego posagu i zafundować państwu Leonostwu powrotną drogę do Australii, co musiało kosztować majątek. Gdy wiele lat później opowiadała 21

swoim wnuczkom o tym okropnym przejściu, zaciskała białe palce, aż stawy trzeszczały, a jej piękne

ciemne oczy rzucały groźne blaski, gdy przez zaciśnięte usta cedziła słowa szwagierki: „*Sophy, why haven't you a waterproof!*” Od tego czasu warunki finansowe w willi „Wygoda” zaczęły się bardzo psuć. Zofia liczyła na swoje piękne córki i na ich bogate mariaże. Starsza rzeczywiście wyszła bogato za mąż za pana Romańskiego, plenipotentą dóbr Potockich na Ukrainie, do którego nie czuła żadnego sentymentu. Młodsza wyszła z miłości za swojego kuzyna Unruga, zanadto przystojnego i za bardzo podobającego się kobietom. Obie były nieszczęśliwe w małżeństwie, jedna dlatego, że jej się mąż nie podobał -

a druga dlatego, że jej się zanadto podobał. Starsza martwiła się w wielkim dobrobycie - a młodsza w ubóstwie. Babcia Kossakowa żyła do dziewięćdziesięciu lat i rok czy dwa przed śmiercią postanowiła popełnić samobójstwo (rzecz w późnym wieku niespotykana!) i w tym celu zażyła na noc całą tubkę aspiryny. Skończyło się tylko na silnym ataku serca i biedna Babcia, która już w ogóle nie wstawiała, musiała swój nędzny żywot ciągnąć jeszcze czas pewien. Obie wnuczki mogły się od niej dowiedzieć niezmiernie ciekawych rzeczy, ale Babcia pamiętała lepiej swoje dzieciństwo niż lata młodości, a jej umysł wciąż był zaprzątnięty mnó-

stwem drobiazgów, których się starość czepia jak tonący trzcina lub gałą-

zek..

Ze swoich paryskich czasów, gdzie zaraz po ślubie zamieszkali z Juliuszem, chętnie opowiadała o satyryku i znanym piosenkarzu Bartelsie, który wspaniale parodiował tłumaczenia rodzimych piosenek na język francuski. Na przykład: „Szynkareczko, szafareczko, bój się Boga, stój -

tam się śmiejesz, a tu lejesz miód na kaftan mój” - na: „*Cabarietiere, cabarietiere, craint le Dieu et reste - ici tu ris et la tu verses le miel sur ma veste* albo: *Wanda couche dans notre terre, qui ne voulait Alle-mand - elle prefere son citoyen que l'etranger monsieur*”. Płacząc ze śmiechu opowiadała, jak figlarny Bartels przetłumaczył dla polskiej emigracji całe menu w jakiejś paryskiej restauracji, a więc *Vermicelle aux oeufs pochés*” na Zielony Michaś z jajami w kieszeni”.

22

„*Culottes sauce Robert*” na „Portki z sosem pana Roberta”, „*Vol-au-vent a la financiered*” na „Lata z wiatrem pani skarbnikowa” itp. Babcia bywała u Władysława Mickiewicza, syna Adama, u księżny Marceliny Czartoryskiej, uczennicy Szopena. Widziała”, idąc z Dziadzią na spacer, cesarza Napoleona III wraz z cesarzową Eugenią wyjeżdżających z Tuile-ries na konny spacer, co później wymalował Juliusz z pamięci, i obraz ten długi czas zachował się w rodzinie. Czego zresztą ta Babcia nie widziała i z jakimi ludźmi się nie stykała! Ale jakże mało potrafiła o tym wszystkim opowiadać, brak jej było pamięci, jaką miewają artyści.

- Babciu - zapytała ją kiedyś Lilka, gdy była już dorosłą panią -

przecież babcia musiała widywać w Paryżu Norwida?

- Poczekaj, moje dziecko, Norwid, Norwid... coś sobie przy-pominam, a był, był taki ubogi poeta... gdyśmy z Dziadzią szli na spacer, to wychodząc z domu zawsze zostawialiśmy dla niego obiad w

kuchni.

Po śmierci męża Babcia mieszkała jeszcze jakiś czas w oficynie mieszczącej się przy głównej willi na placu, już wówczas Juliusza Kossaka, po czym przeniosła się z całym dobytkiem do ukochanego syna Tadeusza na wieś. Nie przyniosło jej to szczęścia, bo w niedługi czas potem wybuchł w owym majątku pożar, który pochłonął mnóstwo pamiątek po Juliuszu, wiele jego akwarel, starych mebli pamiątkowych i całą jego korespondencję. Pobielany dworek z gontowym dachem, tak zwany Domek Babci, został przed pierwszą wojną przebudowany na brzydką nowoczesną willę, w której mieszkał Jerzy Kossak ze swoją rodziną.

Pamiątkowy klomb przed dworkiem, gdzie Juliusz przez okno mansardowe rzucał dzieciom cukierki, został skopany i zamieniony na plac tenisowy. Nie dbało się w owych czasach o zabytki po sławnych ludziach.

Niewiele pamiątek zostało na Kossakówce po owym wielkim malarzu i pięknym człowieku o gołęmbim sercu a lwim pazurze: kilka akwarel, szkiców piórkiem i ołówkiem, przeważnie ilustracji do „Odysei” i do „Pana Tadeusza”, który nigdy nie ukazał się z jego ilustracjami, prawdopodobnie dlatego, że nagła śmierć przerwała mu pracę nad nimi, zbiór starych mundurów i broni, to wszystko. O Dziadziu opowiadano w rodzinie następującą anegdotę: Z Koła Literacko-Artystycznego, którego był prezesem, wysłano przywołanego z Rynku „ekspresa” w czapce z czerwonym

otokiem. Miał zanieść list, w którym proszono Juliusza, aby zechciał

szybko przyjść na mające się odbyć zebranie.

- Pójdziecie - rzekli mu - na plac Latarnia do malarza, pana Kossaka, i poprosicie go, aby był uprzejmy zaraz tu przybyć.

Ekspres poszedł i długo nie wracał. W końcu zjawia się.

- Byliście, załatwiliście?

- Byłek i załatwiłek. Ino tak, nie plac Latarnia, ino plac Matejki -

nie Kossak, ino Nowak - nie malarz, tylko mulorz, i pedzioł, co zaraz przyjdzie.

Dziadziu, pełen jeszcze krzepy i talentu, umarł nagle na zapalenie płuc. Nie było wówczas ani penicyliny, ani nawet omnadyny. Kto w póź-

niejszym wieku zachorował na zapalenie płuc, musiał umrzeć. Juliusz zaziębił się z kurtuazji dla dam. Była późna jesień, nieoczekiwanie przyjechała jego ukochana córka, Zochna Romańska. Oba domki przepel-

nione były gośćmi z rodziny i Juliusz odstąpił swój pokój córce, a sam poszedł spać do zimnej i nie opalonej pracowni. Chorował trzy dni i umarł z całą świadomością i pogodną rezygnacją. Gdy wszedł ksiądz z Ostatnimi Sakramentami, skłonił mu się ręką pięknie i powiedział, że wita najdostojniejszego z gości.

- Jak mogliście pozwolić na to, aby Dziadzio odstępował swój pokój cioci Zosi, a sam szedł spać do zimnej pracowni? - mówiły Lilka i Madzia, gdy były już dorosłymi pannami.

- Cóż - odparła na to ich Matka - babcia tak postanowiła... a zresztą dziadzio sam chciał.

Pogrzeb miał wspaniały. Morze ludzi czarno ubranych wpływało przez furtę do ogródka. Nawet obcy ludzie płakali. Dwie małe dziewczynki, Lilka i Madzia, siedziały w oknie i przyglądały się temu. Miały na sobie szkockie sukienki w czarno-białą kratę i czarne kokardy we włosach. Stojąca za ich plecami *Fräulein* rzekła:

- *Aber, Kinder, weint doch, der Grosspapa ist gestorben!*

I wówczas obie rozplakały się głośno, nie zdając sobie sprawy z tego, co się stało.

24

Rozdział III

DOM KOBIET

Działo się to pół wieku temu na tej samej planecie, którą można by nazwać „globus histericus wszechświata”, w mieście Kaliszu. Mama zawiozła obie dziewczynki na uroczystość dziewięćdziesiątych urodzin prababki Gałczeńskiej. Prababcia w srebrnej koronkowej sukni, w koronkowym czepcu, spod którego spływały długie białe loki, siedziała na aksamitnym czerwonym fotelu. Wokoło niej jak kardynałowie przy papieżu siedziały półkolem inne babcie - jej córki. Ponieważ babcie były przeważnie wdowami (w owych czasach mężowie zawsze umierali wcze-

śniej od żon, udręczeni przez owe cnotliwe matrony), więc rodzaj męski nie miał tu swoich przedstawicieli. Na początku długiego salonu tłoczyły się jak pisklęta prawnuczki czcigodnej jubilatki, w otoczeniu swoich matek. Mama popchnęła lekko Lilkę i Madzię, aby poszły pocałować w rękę prababcie.

- Ja się boję! - pisnęła Madzia.

Lilka, prześliczne dziecko o długich, jasnych lokach, mądra i stateczna, wzięła tę małą za rączkę i poprowadziła ją w stronę, gdzie królowała rodzinna papieżyca. Prababcia pobłogosławiła przeźroczyście ręką dziewczynki i złożyła na ich czołach zaświatowy pocałunek. Obie cmoknęły ją w rękę. Stara pani wyciągnęła z fałdów szaty małe emaliowane pude-

łeczko z miętówkami i poczęstowała nimi dzieci.

Tego samego dnia wieczorem odbył się wielki rodzinny bankiet. Na długim stole, przybranym kwiatami, stało moc butelek i zakąsek. Gdzie są butelki, tam również nie brak i mężczyzn, znalazło się więc nagle wielu wujków, stryjków i prawujków. Prababcia królowała na pierwszym miejscu w swoich srebrnych robronach i koronkach. Raz po raz któryś z panów wstawał, dzwonił łyżeczką w kryształowy kieliszek i 25

wygłaszał mowę na cześć sędziwej matrony. Pływały z ich ust jak miód słowa pochwały dla czcigodnej jubilatki, nastrój był wzniosły i pełen pogodnego wzruszenia. Babcie koronkowymi chusteczkami ocierały łezki, ksiądz kanonik ocierał usta po węgierskim winie, rozmyślając nad toastem, który również za chwilę wzniesie. Wojciech Kossak, nie mając do przemówień najmniejszego daru, podniósł się z krzesła, podkręcił

pięknego czarnego wąsa, błysnął ognistym okiem arabczyka, brzęknął w kieliszek i rozpoczął mowę od następującego zdania:

- Kto nie pamięta wojen napoleońskich, zgliszcz i walących się starych chałup, niech spojrzy na prababcię... - dalej mówić nie mógł, ponieważ nagły, niepowstrzymany wybuch śmiechu przerwał mu potok wymowy. Usiadł z powrotem, okropnie zmieszany, po czym zaczął się śmiać razem z innymi. Czy do prababci siedzącej daleko od niego i prawdopodobnie nieco głuchej doszły te słowa - nie wiadomo.

Wspominając ową niezwykłą uroczystość mimo woli zadajemy sobie pytanie: z czego żył cały ów kaliski „Dom Kobiet” i kto utrzymywał te wszystkie staruszki? Czy zmarli dziadziusiowie pozostawili im jakieś większe majątki albo konta w bankach? Nigdy się o tym nie mówiło, ponieważ posiadanie pieniędzy było w sferach szlacheckich rzeczą równie naturalną jak powietrze i oddychanie nim. Prababcia posiadała na Kujawach piękny majątek Siaszyce, gdzie wychowywali się jej wnukowie

- Wojciech i Tadeusz. Kiedy została wdową (jak one wszystkie), przepu-

ściła majątek na ciągle podróże. Gdy Juliuszowa spodziewała się pierwszego rozwiązania, prababcia, korzystając z okazji, jechała już do Paryża, częściowo dyliżansem, a częściowo koleją żelazną, która przejmowała ją ogromnym lękiem. Stamtąd pisywała do rodziny listy z horrendalnymi błędami, jeśli chodziło o język rodzimy - po francusku bowiem pisała bezbłędnie. Co dzień rano w Siaszycach, gdy cała rodzina wraz z wnukami zbierała się wokoło stołu, prababcia stawała przy dwóch wielkich imbrykach i pytała: - Kto chce kawy, kto herbaty? - Zażywała przy tym tabaczkę i z nosa pomału spływała jej mała tłusta kapka, która nie wiadomo było, do jakiego z imbryków padnie. Zgromadzone wokoło niej 26

wnuki, bacznie spoglądając na jej nos, mówiły wahająco: - Ja proszę herbaty, nie, nie, raczej kawy... albo jednak herbaty... nie, nie, nie, kawy, kawy!

Wojtek i Tadeusz byli braćmi bliźniakami, tak podobnymi do siebie, że ich matka wiązała im na szyjach kolorowe tasiemki, aby ich móc od-różnić. Gdy dorośli, zdarzało się na ten temat mnóstwo zabawnych *qui pro quo*. Chłopcy kochali się bardzo i razem płatali figle. Ulubioną ich zabawą było robienie fuzji z gałęzi i strzelanie z niej. Ilekroć prababcia to widziała, powtarzała jedno i to samo zdanie: „Uważajcie dzieci, bo gdy Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści”. W związku z tym babcinym ostrze-

żeniem chłopcy postanowili spłatać staruszce paskudnego figla. W tym celu wyszukali gruby kij, wydrążyli go od wewnątrz, napchali do niego prochu strzelniczego i gdy prababcia zbliżała się do nich, zaczęli z kija mierzyć do wróbli.

- Ej, chłopcy - rzekła swoim zwyczajem stara pani - jak Pan Bóg do-puści, to i z kija wypuści! - I nagle huk! blask! wystrzał! Prababcia padła na ziemię zemdlona, chłopcy zaś dostali od ojca tęgie „cropidupum punctatum” - jak to Juliusz nazywał - i od tego czasu odechciało się im tego rodzaju zabaw.

Córki prababci były babciami, te babcie miały córki, które były ciotkami Madzi i Lilki.

Ciotki nie były piękne, nie miały nic z wrózek.

Były dzielne, szczawiowe, barchanowe żony.

Nie miały złotych włosów ni jedwabnych nóżek, ni oczu tajemniczych, ni rzęs wykręconych -

jak pisała wiele lat później Maria Pawlikowska w swojej „Różowej magii”. Do jednej z nich, która wyszła bardzo bogato za mąż i mieszkała na Ukrainie w majątku Hrusiatycze, jeździła na lato Mama Kossakowa ze swoimi córkami. Przyjeżdżała tam również ciotka Tadeuszowa z Zofią (późniejszą Kossak-Szczucką), ciotka Unrużyna z córkami i wiele innych ciotek ze swoimi dziećmi. Takiej zabawy i takiego żarcia nie było już potem nigdzie na świecie! Wujek Kazio Romański, elegancki pan z przy-strzyżonym wąsikiem, robił jakieś wielkie interesy, jeździł wciąż do 27

Kijowa i do Wiednia, skąd przywoził dla swojej żony wspaniałe suknie i biżuterię. Ciotka była podobno bardzo piękna, ale starała się nie pokazywać tego po sobie: zawsze chodziła w zniszczonym szlafroku doglądając sztucznej wylęgarni kurcząt, co było jej wielką pasją. Męża, który ją uwielbiał, traktowała z niechęcią i lekką pogardą. Był on wzbogaconym parweniuszem o żadnym nazwisku, ciotki więc miały go za nic. Wujek puszczał pieniądze w sposób zawrotny, ale puszczał je tylko na swoją ukochaną żonę i dzieci. Ciotka nigdy nie dziękowała mu za prezenty, które przywoził, rzucała kosztowne suknie do szafy, nie oglądając ich nawet. Niekochany mąż przeniósł wówczas wszystkie swoje uczucia na najstarszą córeczkę, którą zaczął psuć w sposób niebywały. W tajemnicy przed matką dawał jej na noc kieliszek szampana, tkał w nią całe pudła ukochanych przez dzieci „bałabuchów”, które przywoził z Kijowa, wychowywał dziewczynkę na małą królową: gdy tupnęła nóżką, zjawiało się natychmiast wszystko, czego zapragnęła. Raz zachciało jej się własnego domku. Wujek pojechał do Wiednia i stamtąd kazał przysłać ty-rolski domek ogrodowy z dykty, z drzwiami i oknami, który postawiło się w parku. Były tam dziecinne mebelki, na których siadywały dzieci i przy małym stoliku piły czekoladę i jadły ciastka.

- Chcę mieć własny wózeczek z kucykami! - zażądała dziewczynka.

Zakochany ojciec kupił natychmiast mały, dziecinny kocyk wyplata-ny i do tego najmniejsze kucyki, jakie mógł znaleźć. Tym zaprzęgiem powoziła ukochana córeczka, woząc nim dzieci po całym parku. Ponieważ nauka czytania nużyła ją, więc ojciec postanowił, że jej na razie da spokój. Ssała duży palec, więc niech sobie „biedactwo ssie”. Ciotka zajęta swoimi kurami, których posiadała rzadkie okazy, nie zanadto wtrącała się do wychowania córki. W domku dla dzieci siedziały na fotelikach najpiękniejsze lalki świata. Takie, które mówiły „papa” i „mama”, chodziły, gdy się je nakręciło, nieomal że jadły i robiły kupki. Po kątach leżały lalki już trochę podniszczone i przywiedłe, którymi się już dzieci nie bawiły. Lilka, która miała zawsze jakieś „dziwaczne” pomysły, 28

namówiła kuzyneczkę, aby wszystkie te niepotrzebne lalki zapakować i zanieść biednym dzieciom do czworaków. Dziewczynka przyklasnęła temu projektowi. Był to nowy rodzaj zabawy, którego jeszcze nie zakosztowała. Obarczone wielkimi paczkami z lalkami szły przez park na wieś, gdy wtem spotkały ciocię w szlafroku, sypiącą swoim kurom poślad.

- Co wy niesiecie takiego?

- Zniszczone lalki dla biednych dzieci na wsi.

- Macie w tej chwili odnieść je z powrotem do domku!

- Ale dlaczego, mamusiu?

- Bo wam się mogą jeszcze kiedyś przydać...

To zdanie słyszało się od ciotek bardzo często. „To się nam może jeszcze kiedyś przydać”. Zachłanność i gromadzenie dobytku, nawet już nieprzydatnego, było ich charakterystyczną cechą. Po strychach stały skrzynie pełne starych jedwabnych i wełnianych sukien, które czekały na nowe pokolenie. Nigdy nic z tego nie dawało się służbie ani ich rodzinom. To należało do inwentarza domowego i było nienaruszalne. A tymczasem pod gratami, które nie lubią leżeć bezużytecznie, gromadziła się pleśń jak zemsta. Zemsta przedmiotów martwych, które tak bardzo mogły się komuś przydać. Na strychach wybuchał nagle pożar, który ognistymi jezorami lizał kosztowne jedwabie, chrupał niemodne buciki wypluwając guziczki, połykał cenne koronki, buszował w futrach i dzieciennych płaszczykach. Albo też dwory stawały się pastwą rabunku przez szajki bandytów grasujących po wsiach. A gdy nawet uszły cało tym niebezpieczeństwom, przychodziła wojna, która już zupełnie nie liczyła się z tym, co się komuś kiedyś może przydać.

Rozrzutny wujek umarł nagle przy obiedzie, podnosząc do ust kielich szampana, w momencie kiedy chciał wznieść toast na cześć jakiegoś rodzinnego jubilata. Potem przyszła pierwsza wojna światowa. Z majątku trzeba było uciekać z tobołkami na plecach. Ukochana córeczka znalazła się nagle w mieście, w bardzo skromnych warunkach. Nie było już zakochanego w niej ojca, nie było „bałabuchów” i drogocennych zabawek. Gdy tupnęła nóżką, to co najwyżej myszy chowały się do kątów.

29

Zdziwaczała, nigdy nie wyszła za mąż, została milczącą starą panną, pracującą w jakimś urzędzie. Smutna bajka o zwykłej dziewczynce wychowywanej na królową.

Na ogół jednak ówczesni rodzice nie psuli swoich dzieci, a przeciwnie

- trzymali je bardzo krótko, wychowując w bojaźni wobec rodziców i Boga. Dziwna ambicja, aby dzieci „bały się” ich, panowała wszechwładnie. Przypominało to raczej tresurę niż wychowanie, tym bardziej że harap albo różga były w ciągłym ruchu. Dzieci, bojąc się panicznie srogich rodziców, uczyły się kłamać jak z nut, oszukiwać, działać podstęp-

em i chytrą. Zamykano przed nimi tak samo jak przed służbą sady owocowe i spiżarki. Starsi

byli na pierwszym miejscu i chełpili się tym, że są starsi. Było to wówczas raczej zaletą niż smutną koniecznością i czterdziestoletnie matki, przyjmujące już na siebie tę godność, wygląda-

ły jak dzisiejsze sześćdziesięciolatki. Najlepsze kęski na stole były zawsze rezerwowane dla starszych, nie tak jak dzisiaj - dla dzieci, i czasem, gdy legumina obeszła cały długi stół, dla dzieci nic już nie zostawało. Niektó-

re ciotki lubiły się z nimi droczyć, pytały się na przykład tak:

- Józiu, chcesz jabłko?

- Chcem!

- No to nie dostaniesz!

Dzieciom rzadko umilały życie ich matki pełne surowej godności, tę rolę spełniały za nie jakieś stare nianie, stare klucznice, które w kiesze-niach fartucha przemycały dla nich, rezerwowane dla starszych, smako-

łyki. „Barchanowe” ciotki miawały zwykle większą ilość potomstwa. Do życia i „na wynos” dla śmierci. Księża, którzy z zamożnego obywatela ciągnęli niezgorsze zyski, bardzo pilnowali, aby produkcja wiernych nie ustawała, i przy spowiedzi nie dawali rozgrzeszenia tym żonom, które z tych czy innych względów chciały się od tego obowiązku wykręcić. Nawet słabe zdrowie i brak sił nie były żadnym powodem do unikania ma-cierzyństwa. Wymyślili oni, że grzechem śmiertelnym jest żyć z mężem nie mając progenitury, i ogłupiałe kobiety święcie w to wierzyły. Pewna młoda osoba z rodziny Kossaków, nie mogąc dla braku zdrowia mieć 30

więcej dzieci, aby nie być „wodzona na pokuszenie”, rozeszła się z mę-

żem, którego bardzo kochała. Oboje zamieszkali osobno. Ona doczekała się starości, żyjąc w skrajnej cności, on - wprost przeciwnie, „rzucił się w wir życia”, miał wiele kochanek i prawdopodobnie błogosławił mądrego księżulka, że mu w ten sposób pomógł otworzyć drzwi do rozkoszy ziemskich, których przy żonie nie byłby nawet próbował odemknąć. Było to zresztą poprzednio bardzo dobre i przywiązane do siebie małżeństwo.

Jedynie ciocia Lila, wiotka i pachnąca,

podobna była wróżce i paryskiej lali.

Chodziła w piórkach i tiulach ze słońca,

całowała unosząc nakrapianych woali...

Czy naprawdę istniała taka? Owszem, tylko że nie było jej na imię Li-la, ale Madzia, i że nie otruła się truczką na szczury, jak w wierszu Pawlikowskiej, ale gorzej, bo... s u b l i m a t e m. Była to jakaś wielka uwodzicielka, której urokom ulegał również przez dłuższy czas Wojciech. Mama była do tego stopnia zazdrosna o piękną kuzynkę, że postawiła mężowi ultimatum. „Albo ona - albo ja!” Przez

kilka dni Tatko chodził chmurny i zgryziony, a Mama z czerwonymi oczkami. Dziewczynki włożyły jej na kolana i przepraszały:

- Już będziemy grzeczne i posłuszne, tylko niech M a m i d ł o nie płacze.

- To nie przez was, moje drogie dzieci. Mam swoje zmartwienia.

W końcu Tatko wybrał, wybrał kochaną małżonkę, a z uwodzicielka zerwał raz na zawsze. Pozostała po niej tylko fotografia w starym aksamitnym albumie. Na tym zdjęciu smukła jej talia opięta była ciemnym stanikiem. Na głowie miała wysoki cylinder do konnej jazdy, z którego sphywał lekki woal. Oczy miała ogromne, smutne i melancholijne. Koniec jej był tragiczny. Zakochała się śmiertelnie w Alfredzie Chłapow-skim, późniejszym ambasadorze polskim w Paryżu, postanowiła rozwieść się i wyjść za niego za mąż. Gdy już przeprowadziła rozwód, Chłapowski zaczął się wahać. Wówczas ta bohaterka ponurego romansu 31

zdecydowała się otruć, ale tak niezupełnie, ponieważ na swoim biurku zostawiła adres i nazwisko lekarza, który ją miał odratować. Dzisiejsze kobiety, kute na cztery nogi, jeśli chodzi o znawstwo środków medycznych, na pewno wybrałyby do tego celu nie sublimat, ale co najwyżej weronal. Sublimat popalił jej przelyk i wnętrzości, krzyczała biedna:

„ratujcie, ratujcie!”, ale było już za późno. Tak wyglądała prawda „O

cioci, co się otruła”. Gdy w trzydzieści lat później kuzyn Lilki i Madzi kazał otworzyć trumnę samobójczyni, aby szukać skarbów rodzinnych zakopanych podczas powstania przez jego pradziadka (o czym zaznaczył, w testamencie), widok, który ujrzał, był niesamowity i wstrząsający: prześliczna młoda kobieta, w żółtej balowej sukni z pękiem fiołków na piersiach, leżała nietknięta... tak jakby spała. Jedyłą oznaką nekrozy była mała czarna plamka pod okiem. Sublimat zakonserwował jej młodość poprzez śmierć.

Była jeszcze jedna piękna ciotka, ale ta była wierną i cnotliwą żoną.

Madzia nigdy nie zapomni, jak do jej dzieciennego łóżeczka z siatką podeszły dwie wróżki, aby jej powiedzieć „dobranoc”. Obie wróżki szły na bal. Jedna z nich była płową blondynką, miała na sobie suknię z ja-snoniebieskiej mory, na szyi boa z białych piórek, we włosach brylantowy półksiężyc. Druga była czarnowłosa i czarnobrewa, miała suknię żółtą, czarne boa z piórek, na głowie czarne strusie pióra. Ta pierwsza to była Matka Madzi, druga - ciocia Wandzia Marylska. Trudno było powiedzieć, która z nich była piękniejsza. I Madzia popadła na tym tle w taką rozterkę, że się rozplakała; wróżki zupełnie nie rozumiały dlaczego.

Złożyły pocałunki nie malowanych ust na jej czole, powiedziały: „no śpij, śpij!”, zaszeleściły jedwabiami, zaszumiały piórkami, zapachniały perfumami „Ideal” i „Vera Violetta” i zniknęły jak sen jakiś złoty i błękitny.

Rozdział IV

WYCHOWANIE DZIEWCZYNEK

Kartka z pamiętnika ośmioletniej Madzi:

Co tu pisać jezdem nieszczęśliwa w całym znaczeniu tego słowa nie-tylko że muszę iść do spowiedzi ale jeszcze muszę pić tran żółty tłusty.

Zegnajcie miłe poranki bez troski wesole z Azorem w pracowni codzień łyszka żółtozłotawego tranu codzień gorzkie ziulka. I za te męczarnie nic tylko przycinki Jurka ach Boże to straszne Nikt nikt na świecie mnie niezro-zumie każdy powie E to nic straszego I jeszcze spowiedź nie nie wytrzymam

Kilka razy do roku dziewczynki mogły się spodziewać, że do ich pokoju wkroczy Mama z wyrazem twarzy specjalnym, tym od niezłomnych postanowień. Na jej widok egzotyczne ptaszki, których pełno fruwało po pokoju, rzuciły się w stronę okna. Dwa płowe szczeniaczki śpiące na łóżku przytuliły się mocniej do siebie, świnki morskie w kartonowym pudełku zastrzygły uszkami, a dwie papużki *inseparables* zaskrzeczały po papuziemu.

- Czy dziewczynki pamiętają, że w sobotę będą musiały iść do spowiedzi wielkanocnej? Radzę już zacząć robić rachunek sumienia.

Nad grzechami, które miały powiedzieć księdzu Tuszowskiemu w ko-

ściele Św. Barbary, zastanawiały się wspólnie. Lilka miała zawsze jakieś wspaniałe przestępstwa, którymi mocno imponowała młodszej siostrze.

- Powiem księdzu, że byłam dumna!

- To znaczy, że co?

- To znaczy, że czułam pogardę dla wszystkich.

- Jak to dla wszystkich... dla mamy też? - głos Madzi zabrzmiał grozą.

33

- Taak, nawet dla mamy, wtedy, kiedy mnie zmuszała jeść zupę piwną, której nie znoszę.

- To straszny grzech... ja też czułam wtedy dla mamy pogardę.

Lilka pod stołem tupnęła gniewnie nóżką:

- Proszę cię bardzo, abyś mi nie podkradała moich grzechów, rozumiesz! Wymyśl sobie co innego.

- Przeklinałam - zapisała po chwili na ćwiartce papieru.

- Ja też - pisała młodsza.

- Naturalnie, już mnie naśladowe, dlatego że kiedyś powiedziała bardzo cicho „psiakrew”! Byłam

niedobra dla służby - pisała Lilka w skupieniu, ze zmarszczką na czole. Magdalena już się nie odzywała, bo-jąc się ściągnąć na siebie gniew siostry.

- A ja nie chciałam wyjść spod łóżka, jak mnie mama wołała na lekcję! - zawołała nagle triumfująco.

Lilka wzruszyła ramionami:

- To nie jest żadnym grzechem, tylko oznaką tępoty.

- Jak to nie jest żadnym grzechem - ujęła się za swoimi przewinie-niami młodsza - lenistwo i nieposłuszeństwo!

Pamiętała dobrze tę niemiłą scenę, kiedy z braku ochoty do nauki schowała się pod łóżko *Fräulein*, które było tak niskie, że żaden dorosły człowiek nie byłby się pod nim zmieścić.

- Niech Madzia natychmiast wyjdzie stamtąd, inaczej zawołam słu-

żącego, aby ją wyciągnął! - rzekła Mama surowo.

A ponieważ spod łóżka nie objawiła się żadna reakcja na tę groźbę, więc chudy stary Nikodem zaczął się za panienką wczołgiwać pod leże tak zwanej Frojlusi.

- *Comment peut-on!* - zawołała wówczas po francusku obrażona dziewczynka. - *Une telle honte devant les domestiques!* - po czym sama wyszła spod łóżka, zmięta i zakurzona.

U Św. Barbary było zimno i mroczno. Dobroduszny ksiądz Tuszowski, staruszek biały i różowy, pachnący mydłem i świeżo wypitą kawą, mówił do dziewczynek w ten sposób:

- Dziecko, tyś jeszcze święta. Dziecko, ty jeszcze nie wiesz, co to grzech. - Potem przenikliwym szeptem: - A czy nieprzystojnych zabawe-czek nie było? Dziecko, przyznaj się! Odprawisz pokutę i Bóg Najświętszy wybaczy ci. Powiedz, moja duszo...

34

- Nieee, proszę ojca.

- Nie?... - w głosie zacnego staruszka był jak gdyby lekki zawód. - A powiedz mi, dziecko, tyś z takiej artystycznej rodziny, czy nie malowałaś nieprzystojnych obrazeczków? To wielki grzech, ale święty Józef i Naj-

świętsza Panna wybaczą ci na pewno, powiedz, nie było?

Wstyd niemalowania „nieprzystojnych obrazeczków” był tak wielki, że w końcu Magdalena zaczęła próbować. Amorek o przedziwnej anatomii, który wpadł w ręce Mamy, był pierwszą bardzo udaną próbą w tym kierunku.

- Co to Madzia narysowała! - zawołała Mama udając bardzo oburzoną. Porwała rysunek i

pokazała go swojemu mężowi. Madzia usłyszała potem z drugiego pokoju wybuchy śmiechu obojga. Honor jej jako grzesznicy został jednak uratowany, bo gdy w czasie następnej spowiedzi ksiądz Tuszowski znów ją zapytał, „czy nieprzystojnych rysunczków nie było?“, odparła z dumą: - Były!

Historia rysowania amorków o dziwnej anatomii miała swój początek w czasach, kiedy siostry w jakimś muzeum zobaczyły dokładne kopie antycznych rzeźb, z których jedna miała coś obtłuczonego, druga coś zakrytego listkiem figowym, a inna nie miała żadnych braków i ściśle odpowiadała naturze.

Dziewczynki zainteresowała ta różnorodność i nieraz tak rozprawały między sobą:

- Ja - mówiła Lilka - chciałabym mieć takiego całego.

- A ja nie - odparła Madzia - ja bym wolała takiego z listkiem.

Mając piętnaście lat, Magdalena pocałowała się w ogrodzie z trochę starszym od niej kuzynem. Było to przed wielkanocną spowiedzią. Nic się nie przyznała starszej siostrze, ale chodziła dumna jak paw.

- Pocałowałam się z kuzynem, proszę ojca - wypaliła zaraz na wstę-

pie.

- A czy nie przykładał swojego grzesznego ciała do twojego grzesznego ciała? - zapytał biegle księżulo.

Aby wzbudzić w niewinnych dziewczęcych umysłach tak zwane 35

„myśli zdrożne”, pracowali nie tylko księża, ale i ich rodzone matki. Pani Manusia na przykład zalepiała w oprawionych rocznikach tygodnika

„Świat” kartki takich rozdziałów, które jej się wydawały „nie dla panien”, myśląc w swojej naiwności, że dziewczynki ich nie odlepią. W owym tygodniku pisywały długie powieścicidła grafomanki, o których dawno słuch zaginał, takie jak Grot-Bęczkowska i Esteja. Esteja była zresztą ciotką dziewczynek i nazywała się naprawdę Kisielnicka. Miała kulawego wujka za męża i dwoje dzieci. Kulawego wujka nigdy nie zdradziła, ale za to w jej czołowej powieści pod tytułem „W sieci pajęczej” aż gorąco było od miłosnych oparów. Występował w niej „wamp” z najlepszego mondu, nazywany Satanella, a dziewczynki czytając, jak jej „falowało łono” i jak

„śmigła mężczyzn przez twarz biczem ognistego spojrzenia”, dostawały wypieków i nie mogły sypiać po nocach. Tę powieść czytywały zresztą w tajemnicy przed Mamą, która uważała, że powinna ona być na specjalnym indeksie. Nigdy nie można było wiedzieć, kiedy Mama stanie za krzesłem w momencie, gdy się było w owej zakazanej lekturze zagłębionym po uszy, i usłyszy się surowy głos karcący owo przestępstwo. Zde-nerwowane tym stanem rzeczy obie postanowiły zacząć pisywać takie powieści, „które by im mama zabroniła czytać”. Niesłuchanie płodną grafomanką okazała się po pewnym czasie Magdalena. Grube zeszyty powieścideł leżały w szufladzie jej biureczka. Treść jednej z nich pamięta doskonale. Nazywała się „Pokątnik złowieszczy” (nazwa wzięta od pewnego autentycznego żuka). Była to historia manekina z *papier-mâché* -

był taki w atelier Ojca jako sztuczny model, na który nakładało się różne mundury i broń z epoki napoleońskiej - wieczorami zaczynał on żyć, wychodził oknem z pracowni i prześladował swoją miłością córkę owego malarza, która w końcu dostała się do domu obłąkanych. Temat naprawdę godny pióra jakiejś Grot-Bęczkowskiej. Wszystkie te powieści

„nie dla dzieci” zbierała skrzętnie ich ukochana nauczycielka, panna Aniela Kopacz, osoba niesłychanie mądra i już przeczuwająca w obu dziewczynkach pisarskie talenty. Młodsza po powrocie z wakacji, które zwykle spędzały u ciotki Dziembowskiej na wsi, napisała humoreskę pod tytułem „Wyjazd Mamy do miasta”. Nauczycielce spodobała się ona 36

bardzo, poprawiła wszystkie w niej znajdujące się błędy gramatyczne i posłała do redakcji brukowego pisemka, które nazywało się „Nowiny Krakowskie”. Magdalena przybrała pseudonim *Maud* (jako że angielsz-czyzna modna była wówczas w domu Kossaków) i z niepokojem oczekiwała rezultatów. Po dwóch tygodniach panna Kopacz przyniosła numer

„Nowin”, gdzie w rubryce „Odpowiedzi Redakcji”, wśród zdań brzmią-

cych np. „*Melancholia jesienna* - spoczęła w koszu” i tym podobnych, widniało pod *Maud*: „umieścimy niebawem”. Była to chyba jedna z najpiękniejszych chwil w życiu Magdaleny i tych słów nie zapomni ona do końca życia. A najwięcej ją cieszył triumf nad starszą siostrą, która tak bardzo lekceważyła sobie jej zdolności. Gdy po jakimś czasie humoreska ukazała się w owym codziennym pisemku, triumf jej nie miał granic.

Poczuła się od razu wielką pisarką i z góry spoglądała na swoje otoczenie. Mama Kossakowa, „matka geniuszów”, była uszczęśliwiona.

- Widzicie, zawsze mówiłam, że nasz Magas nie jest taki głupi, jak to zawsze twierdziliście, ciotkę Urszulkę opisała jak żywą!

Madzia zachęcona powodzeniem posłała zaraz jakąś nowelkę do miesięcznika „Wieś i Dwór”, ale tym razem nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Zaczęła więc operować już tylko w kółku rodzinnym i co tydzień każdy z członków otrzymywał redagowany przez nią tygodnik, który powielano się na dziecinnej drukarence, a który nazywał się PIMOMO -

był to skrót słów: „Moje Pisemko”. Jerzy zstępował wówczas z piedestału swojego „bicykla”, jak się wówczas nazywał rower, i robił do owego pisemka bardzo zabawne rysunekki. Czasem udało się Madzi ubłagać siostrę-poetkę, która nieomal od urodzenia pisywała wiersze, aby dała do PIMOMA jakiś swój utwór poetycki. Redagowanie tygodniczka nie trwało długo, bo Madzia poczuła w sobie (za przykładem starszej siostry) niesłychane zdolności malarskie, które na razie objawiały się tym, że zasmarowywała kolorowymi kredkami wszystkie ryciny w książkach młodzieżowych i tygodniku „Przyjaciół Dzieci”. Lilka zawsze była górą i kiedy młodsza siostra męczyła się, aby wyrysować jako tako postać 37

ludzką, Lilka malowała akwarelę secesyjne nimfy ze złotymi i rudymi splotami, nenufary i maki. Na każde imieniny Mama otrzymywała od starszej córki teczkę rękami malowane, tomiki jej wierszy

ozdobione własnymi ilustracjami i przepiękne laurki malowane w kwiaty jabłoni lub maki. Oprócz nieocenionej panny Kopacz przychodziły na lekcje inne nauczycielki: muzyki, rysunków, francuskiego i niemieckiego. Jedna z nich, która uległa urokowi Wojciecha i, jak się wydaje, musiała być zazdrosna o panią Maniusię, poradziła Lilce, aby na imieniny Mamy wypowiedziała na pamięć wiersz pod tytułem „Pogrzeb Kościuszki”.

Imieniny pani Kossakowej odbywały się bardzo uroczyście. Już rano oczekiwał na nią stół ozdobiony kwiatami, na którym stały torty i prezenty. Obie córki ze świeżymi kokardami we włosach, w odświętnych sukienkach, czekały z bijącym sercem na ukazanie się ukochanej rodzi-cielki, która miała lada chwila zjawić się w sukni z trenem (od rana wówczas nosiło się suknie z ogonami), dzwoniąc breloczkami, które miała przywieszzone do łańcuszka od zegarka. Tatko również czekał na nią podkręcając sarmackiego wąsa. Oczekiwana chwila nadeszła, Mama,

„śliczna jak poranek, ze swoją różową buzią i wałkiem płowych włosów nad czołem, ukazała się w drzwiach jadalni i obie dziewczynki rzuciły się na nią z pocałunkami. Lilka odchrząknęła i nabrzmiałym ze wzruszenia głosem zaczęła swoją imieninową deklamację:

Biją razem wszystkie dzwony jak ludowe głosy, Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się pod niebiosy...

Po skończonej recytacji, która wypadła bez zarzutu, dziewczynka otrzymała rześiste brawa, tylko Tatko jakoś spochmurniał i wypił dwie filiżanki kawy (zamiast trzech).

Na następne imieniny ta sama nauczycielką znów wybrała dla Lilusi podobnie „okolicznościowy” wiersz. Był to Ujejskiego „Marsz żałobny”: *Ile dzwonów! Skąd te dzwony?*

Czy w mej głowie huczą?

Czemu idą jacyś ludzie,

Z jakąś pieśnią kruczą?

38

A potem:

Była piękna i anielska

I kochała mnie,

Jak piosenka jakaś sielska

Płynęły nam dni.

Ach, nie czujesz ty już woni

Z wianka białych róż,

Całowaniem twojej skroni

Nie zbudzę cię już.

Takież moje ślubne łożo,

I ja w takim dniu

Żyję jeszcze, Boże! Boże!

Co ja pocznę tu?...

Gdy dziewczynka skończyła recytację, pokój zaległa grobowa cisza.

Mama, smutna, odsunęła od siebie filiżankę i kawałek tortu.

- Wiesz, Lilusiu - rzekła - że nie bardzo rozumiem, dlaczego wybie-rasz na moje imieniny takie smutne i grobowe wiersze.

- To panna Maria mi poradziła - odparła dziewczynka - powiedzia-ła, że to takie piękne i wzniosłe.

- Co tej zwariowanej starej pannie przyszło do głowy! - rozsierdził

się Wojciech. - Na imieniny mojej ukochanej małżonki takie grobowe wiersze wynajdywać! Na złość jej wypijemy zdrowie Maniusi i oby nam żyła sto lat!

Od tego czasu Lilka nie deklamowała już cudzych poezji w formie powinszować, ale swoje własne, które rodziców wprawiały w szczerzy zachwyty. Prezenty, które wówczas córki dawały rodzicom z okazji imienin lub Gwiazdki, były równie ponure jak owe wiersze i doskonale obra-zowały brak smaku, jaki z początkiem naszego wieku panował wszechwładnie. A więc na przykład haftowany w nenufary „pantofel” do zegarka. Zegarek nie miał w owym „pantoflu chodzić” - miał na nim wisieć na łańcuszku! Futeralik ten był zrobiony z ciemnego sukna i wykrojony w rozmiarze ludzkiej stopy. Piękny i praktyczny prezent stanowiło również z sukna wykonane etui do szczotek, haftowane w maki lub łabędzie. Te półgotowe wyroby, zwane wówczas „patarafkami”, kupowało się w 39

galanteryjnych sklepach wraz z kolorowymi jedwabiami do haftu, które nazywały się tak poetycznie: filozele. Wojciech nienawidził patarafek i mając od urodzenia doskonały smak, pienił się na ich widok. Ale dobra Mama, otrzymując je, udawała radość i zachwyty.

- Ach, właśnie było mi czegoś takiego potrzeba! – wołała kłamliwie, całując głowy swoich kochających córek.

Wszystkie dziewczynki musiały wówczas haftować, taki był nakaz epoki. Babcia wieczorami przy lampie czytywała im „Ogniem i mie-czem”, niezgrabnie opuszczając bardziej ciekawe fragmenty, a panienki, garbiąc się okropnie, trwoniły czas, haftując te wszystkie strasznie drobnomieszczańskie

przedmiociki, które później ginęły w otchłani przepastnych szuflad maminej komody. Oprócz malowania, „twórczości literackiej” i robótek ręcznych - również grywały na fortepianie. Zaraz po śniadaniu Mama mówiła surowym głosem:

- Teraz Madzia będzie ćwiczyć gamy i palcówki!

Granie rano gam w zimnym salonie należało do ciemnych i okropnych stron życia i równało się chodzeniu do spowiedzi i picciu tranu. Z

Lilką pod tym względem nie było żadnego kłopotu. To naprawdę cudowne dziecko w lot nauczyło się czytać nuty i mając dziesięć lat grywało już biegle sonatiny Kuhlaua i tańce hiszpańskie Moszkowskiego. Była tak muzycznie uzdolniona, że „matka geniuszów” wahała się, czy przeznaczyć starszą córkę na sławną pianistkę, czy też powinno się ją pchać w kierunku malarstwa. A może będzie wielką poetką? Muzyczne wykształcenie nie mogło jednak przeszkodzić tamtym zdolnościom, a przeciwnie - mogło im tylko dopomóc. Było to twierdzenie mądre i słuszne i obie córki, gdy dorosły, były swojej mądrej Matce niesłychanie wdzięcz-ne za to. Mama sama grywała na fortepianie, przeważnie Szopena, staroświeckim stylem - rzewnie, rozwlekłe i lirycznie, a tak rozdzierająco smutnie, że gdy grała preludia czy nokturny, obie dziewczynki płacząc zbiegały z pięterka na dół przeproszać Mamę za jakieś widocznie popeł-

nione Winy.

- Już ni i i gd y nie będziemy niegrzeczne - wołały całując Matkę po 40

rękach - tylko niech Mamidło nie gra tak smutnie, bo nam się serca krają!

Tak tępej do muzyki dziewczynki, jaką była Magdalena, doprawdy ze świecą szukać. Mając siedem lat rozpoczęła stawiać pierwsze kroki nie-zgrabnymi palcami na klawiaturze pod kierunkiem metra muzyki, pana Kudasiewicza. Po kilkunastu lekcjach zacny mistrz Kudasiewicz rozłożył

bezradnie ręce i rzekł do pani Kossakowej, że to dziecko ma antytalent muzyczny i szczerze radzi, aby jej pod tym względem dać spokój.

- Ja w każdym razie - rzekł - nie czuję się na siłach uczyć jej w dalszym ciągu.

Wojciech był całkowicie zdania nauczyciela: - Dajcie biednemu Ma-gasiowi spokój! Przecież widzisz, moja Maniusiu, że to tak jakbyś naszego Azora chciała nauczyć rachować.

Manusia bardzo się wówczas obraziła i na nauczyciela, i na męża. Jej dziecko nie miało prawa być tępe i niezdolne! - Sama ją będę uczyć! -

postanowiła i okropne tortury w zimnym salonie rozpoczęły się na no-wo. Madzia jednak była spryciarką nie lada i postanowiła zrobić coś takiego, co by Mamę przekonało, że lekcje muzyki „szkodzą” jej wyraż-

nie. Babcia Kossakowa, matrona starej daty, bardzo często dostawała tak zwanych „spazmów”. Wystarczyło, że ktoś jej się sprzeciwił albo odpowiedział niegrzecznie - i już atak gotowy, twarz

bladła, białka wy-wracały się do góry-, a z ust wydobywało się: „ach, ach, ach, ach!” - które przechodziło w głośny szloch. Za każdym razem robiło to na domowni-kach szalone wrażenie, służące zaalarmowane biegały po zimną wodę, Mama drżącymi rękami rozpiniała stanik Musi, a dziewczynki podsuwały jej pod nos sole angielskie, pachnące silnie mentolem. Po chwili atak przechodził i Babcia wracała do normalnego stanu. Madzia postanowiła więc, że i ona, podczas lekcji muzyki z Mamą, dostanie takich samych spazmów. Któregoś więc dnia, gdy sztywne i nieposłuszne palce otrzymały uderzenie linijką, dziewczynka zbladła nagle niepokojąco, chwyciła się za serce, zaczęła się cała trząść, a z ust jej padało raz po raz takie samo „ach, ach, ach, ach!” jak u Babci. Nie pomógł zimny kompres na głowę, dziewczynka histeryzowała dalej. Przerażona Mama, której jakaś 41

ciotka miewała „taniec św. Wita” (choroba bardzo wówczas modna), przestraszyła się nie na żarty i zaprzestała z nią lekcji muzyki. Wypadek komentowany był bardzo poważnie przez, całą rodzinę, tylko Lileczka uśmiechała się ironicznie, myśląc zapewne, że wprawdzie Madzia jest tępak i kretynek, ale aktorka byłaby z niej nie najgorsza. Pani Kossakowa dała jednak za wygraną tylko na przeciąg kilku lat. Gdy Madzia ukończyła dziesiąty rok, lekcje muzyki z pełną poświęcenia nauczycielką, uczennicą profesora Lalewicza (ówczesnej krakowskiej sławy), rozpoczę-

ły się na nowo, teraz już z lepszym rezultatem. Tatko był z tego powodu zrozpaczony i uciekał z domu do klubu, do tak zwanej Resursy Końskiej („końskiej”, bo chodziły tam przeważnie „stare konie”), aby tylko nie słuchać tych gam, palcówek i rąbanych drewniano sonatin Kuhlaua oraz ćwiczeń ze szkoły pana Czernego. Sam był szalenie muzykalny i słynne arie ze wszystkich znanych oper umiał na pamięć. Jego słuchowe cierpienia nie miały się jednak ograniczyć do samego fortepianu, bo oto niezmordowana w kształceniu córek Mama postanowiła, że obie córki będą brały lekcje śpiewu u znanego wówczas profesora Ludwiga, który założył w Krakowie szkołę śpiewu. Wtedy dopiero zaczęło się w domu istne „niebo” (w niebie wszystkie anioły śpiewają ponoć). Obie dziewczynki, z oczami wbitymi w sufit, śpiewały godzinami „do re mi fa sol la si do” i odwrotnie, poza tym oczywiście inne ćwiczenia, które brzmiały:

„a a a a a” - we wszystkich tonacjach, od najniższych do najwyższych.

Jeśli chodzi o piękny głos, to nawet genialna starsza córka nie posiadała go. Mama jednak twierdziła z całą stanowczością, że „głos zawsze może się wyrobić”. Prof. Ludwig, tłusty baryton o twarzy nalanego Włocha, który za owe lekcje brał słone honoraria, był też tego samego zdania.

Młodsza Kossakówna miała jakoby kontralt, starsza - mezzosopran.

Biedny Tatko zatykał uszy, gdy Magdusia sztucznie grubym głosem śpiewała pieśni Brahmsa.

- Magdusia, drogie dziecko, przestań, błagam cię, bo będę musiał z domu uciekać!

- Daj jej pokój, mój Wojteczku, przecież wiesz, że musi ćwiczyć! - broniła młodszej, nieobiecującej śpiewaczki jej Matka.

Kto wie, czy tak częste ucieczki Wojciecha za granicę - do Paryża, do Londynu, a nawet do Egiptu, nie były trochę spowodowane owym mu-zykalnym nastrojem, jaki w jego domu panował. Ciszy nie zaznał w nim nigdy, bo albo zacna małżonka grała „w Szopena” (według słów jednej służącej), albo dziewczynki śpiewały i grały gamy, albo któraś z ciotek rznąła fałszywie na fortepianie - młodzieży do tańca - poleczki i walczyki. Z przyjemnością, o wiele później, słuchał tylko gry na fortepianie starszej córki, która mogła być naprawdę zostać znaną pianistką.

Prosił ją nawet sam, aby grała mu niektóre fragmenty z „Bohemy” Puc-ciniego, z „Madamy Butterfly” lub z ukochanej jego „Szecherezady” Rimskiego-Korsakowa. Muzyczne ziarno, zasiane przez troskliwą Matkę, kiełkowało dalej i Magdalena, podrósłszy, porzuciła fortepian, aby cały dzień brzęczeć na mandolinie, a później grać do śpiewu na gitarze. Tymi brzęczeniami i nieudolnymi szarpaniami gitary starała się „zawracać gitarę” młodym uczniakom, którzy przychodzili do dziewczynek w od-wiedziny. Zmiarkowawszy jednak, że to chłopców wcale nie bierze, a raczej odstrasza, zaczęła z zapalem grywać w... tenisa.

Dziewczynki, chociaż nie chodziły do żadnej szkoły (aby do domu nie sprowadzać chorób) i otrzymywały tak zwaną „edukację domową”, zaję-

te były lekcjami więcej niż pół dnia. Mama kładła duży nacisk na naukę obcych języków, w czym miała zresztą wielką rację. Od małego obie mó-

wiły biegle po francusku i po niemiecku. Dla pani Maniusi nie było to jednak wystarczające i zapragnęła, aby jej córki władały również językiem angielskim. W tym celu, gdy Lilka i Madzia były jeszcze małe, wzię-

ła do domu rodowitą *miss*, niejaką pannę Carlier. Panna Carlier była osobą niezwykle przystojną, nosiła walek ze złotych włosów nad czołem, miała oczy fiołkowe i pachniała zawrotnie modnymi wówczas perfumami „Ideal”. Była cieniutka w pasie, z tyłu, według ówczesnej mody, nosiła mały wystający kuperek. Mama powiedziała o niej, że jest bardzo dystygowaną i że na pewno dziewczynki nauczą się od niej dobrych manier. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że Mamie zaczęła w zastra-szający sposób znikać z dużej butli woda kolońska. Wody ubywało, a pięknej *miss* przybywało jakiegoś sennego rozmarzenia. Stara, garbata 43

służąca Marysia ujrzała kiedyś z przerażeniem, jak piękna dama przechyliła butlę do ust i chłepce z apetytem wodę kolońską!!! Doniosła o tym swojej pani, która nie chciała wierzyć, aby to było możliwe. Na wszelki wypadek jednak zamykała odtąd wodę kolońską do swojej wielkiej szafy, pełnej skarbów. Wieczorami, gdy dziewczynki szły już spać, panna Carlier wymykała się z domu. Któregoś ranka przyproceedził ją policjant.

Miała przekręcony kapelusz i podartą woalkę. Bardzo zażenowany zeznał, że ta pani zaczepia mężczyzn na ulicy... nie mając na to legalnego uprawnienia. Pani Manusia, z twarzą, która kolor bladuróżowej róży zmieniała na barwę piwonii, wskazała *miss* ręką drzwi. Dzieciom powiedziało się, że policjant przychwycił ją na kieszonkowej kradzieży. Bardzo żałowały owej pięknej pani, do której zawsze na ulicy przyczepiali się jacyś grzeczni panowie, częstując dziewczynki cukierkami po to, aby w domu nic nie opowiadały o tych znajomościach. Nie wiemy, co się póź-

niej z nią stało, czy poszła uczyć „dobrych manier” inne młode dziewczę-

ta, czy też powróciła do swojego rodzinnego kraju.

Mama, zniechęcona do rodowitych Angielek, przez kilka lat dawała swoim córkom spokój z lekcjami angielskiego, dopiero w wiele lat póź-

niej, gdy powstała w Krakowie słynna Szkoła Berlitz - *english spoken* znów się zaczęło. Lekcje w owej szkole, gdzie uczono języków: angielskiego, francuskiego, niemieckiego i włoskiego, należały do niezmiernie atrakcyjnych. Były to lekcje zbiorowe, a nauka odbywała się najnowszym wypróbowanym systemem Berlitz. Zamiast jakiejś zasuszonej starej nauczycielki z długimi zębami, oczom obu Kossakówien ukazał się prze-

śliczny młody Anglik, taki jak z pocztówek Gibsona, w świetnie skrojonych bryczesach i wysokich brązowych butach, który uczył w ten sposób, że stawiał swoją wspaniałą obutą nogę na stole i z czarownym uśmiechem mówił „*the boot*” - po czym to słowo kredą wypisywał na tablicy.

Następnie rzucił się na stojącą w pokoju sofę i mówił: „*the sofa*”. Dziewczynki były zachwycone, bo język angielski okazał się łatwy i dziwnie przypominał język polski. *Mister* Turner bo tak nazywało się to 44

cudo męskie, na następne lekcje przyniósł z sobą dwie małe laleczki, które nazwał *Mr. Brown* i *Mrs. Brown*. Owe laleczki prowadziły ze sobą dialog ustami nauczyciela. W pewnej chwili pani Brown wywróciła się i ukazała koronkowe majteczki, dystyngowany Anglik spłonął rumień-

cem, zażenowany postawił ją na nogi, ale natychmiast słowo „majtki” wypisał po angielsku na tablicy. Był z tym wszystkim razem tak zachwycający, że obie siostry zakochały się w nim po uszy. Magdalena po lekcji uklękła przed starszą siostrą, która od najwcześniejszych lat posiadała adoratorów, i ze łzami w oczach prosiła, aby go jej odstąpiła.

- Błagam cię, Lileczko, tego jednego mi zostaw!

Lilka miała zwyczaj tupać nogą, gdy z czegoś była niezadowolona, co jej zostało do późnych lat. Tupnęła więc nóżką i rzekła:

- Mowy nie ma, właśnie jego nie!

Mr. Turner jednak od obu dziełatek wołał panią Kossakową, która od czasu do czasu zapraszała go na doskonałe podwieczorki tylko z tą myślą, aby jej córki wprawiały się w języku angielskim. Kiedyś jednak piękny Anglik przyszedł ciut-ciut pod gazikiem, śmiał się z byle czego, w końcu gdy wszyscy przeszli do ogródka, na maliny, „dżentelmen” poklepał panią Maniusię po plecach, mówiąc: „*Ah, I like your garden, Mrs.*

Keussak!” - po czym roześmiał się jak sama radość życia. Śmiał się sam, ponieważ wszystkich obecnych w tym momencie zamurowało! Poklepać matrone polską, której uosobieniem była Mama, równało się niemal zbezczeszczeniu świętego obrazu. Nigdy więcej obie panienki nie ujrzały uroczego Anglika. Lekcje w Berlitz-Schoolu zostały przerwane. Stanowczo do Anglików i Angielek

nie miała szczęścia ta zacna matrona.

Po tym przykrym incydencie Mama postanowiła wziąć do domu

„dziewczę do wszystkiego”, czyli nauczycielkę, która by udzielała dziewczynkom polskiego, francuskiego i angielskiego. Perła tego rodzaju była właśnie do wzięcia prosto z Kwilcza od pp. Kwileckich, gdzie panienki już dorosły i nie potrzebowały nauczycielki. Perła nazywała się Maria Chwalibóg i pochodziła ze znakomitego, aczkolwiek podupadłego rodu Chwalibogów. Była to stara panna tak uderzająco brzydka ze swoim 45

siodełkowatym nosem i olbrzymimi sinymi ustami, że obie panny, które od małego kochały wszystko, co ładne, zniechęciły ją momentalnie.

Nazywały ją „Bożkiem” i postanowiły wspólnymi siłami obrzydzić jej życie, ile się tylko dało. Panna Chwalibóg, która znowu w przeciwień-

stwie do obu Kossakówien nienawidziła wszystkiego, co piękne (szczególnie, jeśli chodziło o wybitnie przystojne młode dziewczęta), odpłacała im tym samym. Panna Maria Chwalibożanka od pierwszego wejrzenia zapalała gorącą, aczkolwiek beznadziejną miłością do pięknego Wojciecha Kossaka, który znosił to z wrodzoną mu cierpliwością i pogodą.

Panna Maria władała znakomicie językiem angielskim, więc Wojciech, który nie chciał stracić wprawy w tym języku, rozmawiał z nią nawet chętnie, tym bardziej że była wybitnie inteligentna i wszechstronnie wykształcona. Aby być bliżej swojego ideału, panna Maria poczuła nagle w sobie wybitne zdolności malarskie i wszystkie wolne chwile od lekcji z dziewczynkami spędzała w dawnej pracowni Dziadzi, gdzie wówczas malował Wojciech. Wojciech, z początku trochę tym ubawiony, szybko znużył się ciągłym towarzystwem brzyduli i zaczął rozmyślać nad tym, w jaki sposób można by się tego kibica pozbyć. Szalenie dobry i delikatny, nie był w stanie jej tego powiedzieć, więc wpadł na genialny pomysł i...

wybudował sobie tuż obok dawnej pracowni Juliusza własne atelier, gdzie nikt nie miał mieć dostępu poza handlarzami obrazów i interesan-tami. Przyznał się potem córkom, że gdyby nie ten „koczkodon”, który go swoim towarzystwem prześladował, nigdy nie byłby się zdobył na tak wielki wydatek.

Dziewczęta tymczasem wysilały swoje zdolne główki, aby zniechęconej nauczycielce płać najokropniejsze figle. W drugi dzień Wielkanocy, kiedy to obchodziło się tak zwany „śmigus”, zakradły się wieczorem do jej pokoiku i pod mocno napięte prześcieradło wsunęły jej płaską miednicę z lodowatą wodą. O godzinie dwunastej w nocy cały dom obudził potworny wrzask panny Chwalibożanki, która usiadła na miednicy z wodą. Do pokoju dziewczynek przybiegła Mama i ponieważ Madzia zawsze obrywała za wszystkich, więc nie tylko że otrzymała kilka porządnych klapsów, mimo że była już dużą dziewczynką, ale jeszcze 46

Mama wylała jej za kołnierz od koszuli całą karafkę zimnej wody, co nie było gestem zbyt przemyślanym, ponieważ nazajutrz Madzia obudziła się z silnym katarrem. Gdy Mama wyszła, Madzia wybuchnęła radosnym śmiechem, bo wtedy po raz pierwszy w życiu poczuła, że „zemsta jest

rozkoszą nie tylko bogów...” Z nauczycielką miała specjalnie „na pień-

ku”, ponieważ nigdy nie umiała lekcji i wówczas panna Maria biegła do pracowni po Ojca. Wojciech, oderwany od pracy, przychodził mocno wzburzony, z paletą w rękę, i robił młodszej córce gorzkie wymówki; zapisywał również w specjalnym notesiku złe stopnie, które po tygodniu obliczało się i które ściągały kary w formie niepójścia z Tatką do cukierni albo, co było gorsze, „wiecznej milczącej pogardy”, jak to ich dowcipny Ojciec nazywał. (Madzia przybiega rano na śniadanie, grzecznie mówi Ojcu „dzień dobry”, a Tatko nic, zasłania się gazetą i udaje, że jej nie widzi. Madzia próbuje zagadać o pogodzie, 0

koniach, Tatko dalej

nic, udaje, że jej nie dostrzega, nie słyszy, tak jak gdyby była powietrzem.) Była to jedna z najsroższych kar i Madzia bała się jej bardziej niż klapsów i klęczenia w kącie pokoju na grochu. Lilki to nigdy nie spotka-

ła, uczyła się bez żadnej fady i wysiłku, pisała bez błędów nie tylko po polsku, ale po francusku i po niemiecku i całego „Pana Tadeusza” recytowała na pamięć. Jeśli jednak chodziło o płatanie znieawidzonej nauczycielce figlów, to nie ustępowała w niczym młodszej siostrze i miała w tym kierunku niezrównane pomysły. Z Wiednia przychodziły wówczas katalogi różnych firm, między nimi firma POHL-Zauber und Juxartikel przysłała swój katalog bogato ilustrowany. Z tego katalogu Lilka wybierała różne „czarodziejskie” przedmioty, takie jak pudełko od zapalek, które wybuchało w rękę, rogaliki z masy papierowej łudząco przypominające świeże pieczywo (znakomite do łamania zębów), sztuczne psie gówienko, które się kładło na dywan, i tym podobne „cacka”.

„*Gehrter Herr* - pisała Lilka swoim pięknym wyraźnym pismem

- proszę nam przysłać za pobraniem: 1 psią kupkę, 1 sztuczną kapkę do nosa, 1 torebkę musującego proszku, 1 sztuczną plamę z atramentu, 1

gumową piszczałkę do kładzenia pod siedzenie... *Marie Kossak - Kossak-Platz 5 - Krakau*”.

47

Paczka przychodziła za tydzień i wówczas nikt w domu nie był pewien, czy pudełko do zapalek nie wystrzeli w rękę, czy z książki, którą otworzy, nie wyskoczy sztuczna mysz na gumce i czy niewinna zawartość nocniczka nie zacznie musować jak szampan. Kiedyś przy lekcji panna Chwalibóg, swoim zwyczajem spacerująca po pokoju i czytająca z podręcznika, widzi nagle, że Madzi wisi u noska kapka.

- Madzia, wytrzymaj nos!

- Nie wytrę...

- Jak nie wytrzesz, to pójde po ojca!

Wówczas szkaradna figlarka wyjęła kapkę i położyła ją na zeszyte.

Kiedyś, gdy miała być jakaś uroczysta kolacja z okazji świąt, obie dziewczynki, nim wszyscy usiedli do stołu, podłożyły pannie Chwalibóg na krześle szatańską gumową piszczałkę. Goście siadają na przeznaczonych dla siebie miejscach, a tu raptem spod siedzenia nauczycielki wydobywa się mocno podejrzany odgłosik.

- To one, to nie ja! - wrzasnęła wówczas biedna stara panna, pokazując wszystkim gumową prukaczkę. Goście w śmiech, Mama w pąsach, a dziewczynki, niewiniątka w białych marynarskich sukienkach, udają, że o niczym nie wiedzą.

- To nikt inny, tylko Azor musiał przyaportować tę zabawkę i położył na krześle panny Marii - oświadczyła z całym spokojem Lilka.

Ponieważ Madzi nie chciało się uczyć i zawsze myliła wszystkie daty historyczne, za co otrzymywała złe stopnie, więc wzięła się na iście szatański sposób, który polegał na tym, aby zadawać nauczycielce takie pytania, na które ona nie umiałaby odpowiedzieć. Swoje wiadomości, skrzętnie notowane w zachowanym do dzisiejszego dnia dzienniczku, czerpała z pewnego angielskiego pisemka, które im Ojciec zaabonował.

Te pytania zadawała zwykle, gdy cała rodzina siedziała przy obiedzie.

- Proszę pani, czy pani wie, w którym roku został uruchomiony pierwszy pociąg?

- A gdzie w połowie dziewiętnastego wieku.

- Ale pani nie wie, w którym roku i gdzie - a ja wiem. W tysiąc 48

osiemset trzydziestym piątym, między Paryżem, a Saint-Germain. Aha!

Albo:

- Może pani mi powie, pani, która tak wszystko wie, ile razy sacharyna jest słodsza od cukru?

- Dajże mi święty spokój!

- Bo pani nie wie - a ja wiem: pięćset pięćdziesiąt razy. Aha!

Panna Chwalibóg pyta tę niesforną uczennicę przy lekcji, w którym roku była bitwa pod Waterloo.

- Nie wiem, ale za to pani też nie wie, kto pierwszy dotarł do Oceanu Spokojnego i od czego konie dostają zaburzeń żołądkowych. A ja wiem - od głosu piszczałki! Aha!

Obie dziewczynki, wychowane w niezdrowej atmosferze zupełnej nie-

świadomości, która miała być specjalnym urokiem panienek z „dobrych domów”, wciąż głowiły się nad problemem, skąd się biorą dzieci i w jaki sposób przychodzą na świat. Mama potrafiła się tylko czerwienić i zmieniać temat, Tatko wolał czytać gazetę, doprawdy nie było się od kogo dowiedzieć.

Ile razy na obiedzie był jakiś wujek lub starszy kuzyn, zadawały mu przy czarnej kawie te niedyskretne pytania, które z maminej twarzy robiły piwonie.

- Wujku, wujek taki kochany... wujek nam powie, skąd się dzieci biorą?

- Jak będziecie zadawały takie głupie pytania, to będziecie jadały u siebie na górze! - odpowiadała za biednego wujka Mama.

Lata biegły, dziewczynki podrastały i wciąż nie bardzo wiedziały, jak to z tymi dziećmi... i co młode małżeństwo robi ze sobą po ślubie. Lilka, która zaczytywała się w zbiorkach ówczesnej poezji, czytając wiersze pana Butrymowicza, przyjaciela Babci, doszła do wniosku, że „coś się robi z piersiami”, z czym się zaraz zwierzyła Madzi.

- I dlatego - twierdziła - we wszystkich poezjach występują „twoje łabędzie piersi”, „na twej dziewiczej piersi”, i tym podobne...

Kiedyś, gdy rodzice wyjechali kareta na jakiś bal, a panna Chwalibóg 49

stała oparta o piec, kurząc papierosa, starsza z sióstr zapytała ją nagle:

- Proszę pani, może pani nam wreszcie powie, co robią państwo młodzi w noc poślubną?

- A skądże ja to mam wiedzieć - odparła stara panna z tak ciężkim westchnieniem, że obie dziewczynki spojrzały na nią zmieszane i nagle zrobiło im się okropnie żal tego biednego „Bożka”, który zapewne nigdy nie miał się o tym dokładnie dowiedzieć.

Strasznie obleśna angielska książeczka „Jak uświadamiać dzieci”, którą znalazły w jakiejś antykwami, pomału naprowadziła je na ślad prawdy. Żeby nie być nieprzyzwoitymi, przytoczymy z niej tylko jedno zdanie, i to po angielsku: „*Your father, dear children, has a kind of a natural little pipe...*” itd.

W owych czasach, kiedy nic nie brało się naturalnie, działy się pod tym względem ponure dramaty. Panny podróżujące z narzeczonymi dostawały uremii, tak jak w wypadku jednej naszej znajomej, która wstydząc się wyjść na stacji do *Für Damen*, o mało tego panieńskiego wstydu nie przyplaciła życiem. Straszną i mrozącą krew w żyłach historię opowiadano wówczas o pewnym młodzieńcu z ziemiańskich sfer, który klękawszy przed ukochaną dopuścił się niechcący pewnego naturalnego odgłosiku. Młodzieniec z rozpacz przed tak potworną kompromitacją natychmiast popełnił s a m o b ó j s t w o ! ! ! Dużo złego naro-biło nazywanie kobiet „aniołami”. „Mój aniele” - mówili zakochani do swoich dziewczyn. Więc jakże „anioł” mógłby pójść do klozetki lub znieść, aby ktoś przy nim zachował się tak kompromitująco jak ów biedny samobójca. Rzecz wprost nie do pomyślenia! Biedna Lilka też kiedyś doznała pewnej okropnej kompromitacji, która kosztowała ją wiele łez i samobójczych myśli, a stało się to na ślizgawce na Oficerskim Stawie, gdzie wraz z *Fräulein* chodziły co dzień przez całą zimę. Otóż przy tak zwanym „wężu” nagle Lilce opadła spódniczka i biedna starsza Kossakówna została w samych granatowych „reformach”, na oczach wszystkich znajomych studentów. Wróciwszy do domu oświadczyła ponuro, że ma już życie złamane i że nie pozostaje jej nic innego jak samobójstwo!

Owa czystość moralna szła zadziwiająco w parze z brudem fizycznym i „anielice” nosiły czarne i brudne gorsety, nigdy się na noc nie myły, zatłuszczone włosy splatały w dwa grube warkocze i pewne swojej „czystości” klękały do wieczornego pacierza. Nieuświadomienie młodych dziewcząt z „dobrych domów”, które trwało nieraz aż do dnia ślubu, przynosiło najfatalniejsze urazy i wstręt do męża, ukryty głęboko pod słowem „obowiązek małżeński”, prześladował je przez całe życie. Młode żony nieraz wariowały albo przybiegały z płaczem do rodziców, zeznając wśród łkań, że Oleś czy Zdziś, tak spokojny, dobrze wychowany i delikatny za narzeczeńskich czasów, nagle dostał „pomieszania zmysłów” i że wobec tego ona już więcej do niego nie wróci.

Sławna była historia niejakiej panny Grocholskiej, która przed legalnymi zakusami swojego młodego męża zasłoniła się krucyfiksem! Mąż, mimo iż był wierzącym i praktykującym katolikiem, odesłał ją nazajutrz do matki. Osoba ta, dziś już wiekowa, ukazuje się jeszcze czasem na ulicach Krakowa, z płaską białą twarzą zakonnicy i wielkimi arystokratycznymi nogami w zakonnych czarnych trzewikach. Jest ona żywym wspomnieniem tych okropnych czasów, w których mężczyzna kupował

„kota w worku”, pilnując jednak, aby w owym worku była oprócz towaru i... brzęcząca moneta.

Pewna ciocia Lilki i Madzi dziesięć lat po ślubie żyła w „czystości”, czując do pożycia małżeńskiego nieopisany wstręt. Dopiero w równych jedenaście lat po zawarciu aktu małżeńskiego przyszła na świat córka, która była dziwnym i nie całkiem normalnym dzieckiem. Jej nienormalność polegała na tym, że wciąż się wszystkiego wstydziała. Wstydziała się wyjść do gości, wstydziała się jeść przy ludziach i, będąc bardzo muzykalna, wstydziała się grać na fortepianie, gdy w pokoju była choć jedna osoba. Dorósłszy wstydziała się wyjść za mąż i dotychczas pozostała w stanie panińskim. To katolicko-wstydlive wychowanie odbijało się i na nieszczęsnych owocach owych małżeńskich gwałtów.

Do uświadomienia młodych panienek w latach 1912-15 przyczyniły się ogromnie pierwsze filmy. Madzia i Lilka w asyście pocziwej Frojlusi 51

z zapartym oddechem przyglądały się pierwszym filmom niemieckiej produkcji ze słynną Astą Nielsen. Mama, która wyobrażała sobie kino jako coś w rodzaju latarni magicznej, byłaby chyba zemdląca z oburzenia, widząc te niesłychane pornografie, które się wówczas wyświetlało.

Pamiętamy film z tą właśnie Astą Nielsen pod tytułem „Dziecina woła”.

Treścią tego filmu było uwiedzenie przez „panicza” młodej służącej, która, ukazując się z coraz bardziej zaokrąglonym brzuszkiem, stacza się w końcu do rynsztoka, nieomal jak Ewa Pobratyńska z „Dziejów grzechu”. Lilka, dbająca o moralność młodszej siostry, w pewnym bardzo dramatycznym momencie poruszyła się niespokojnie i oświadczyła *Fräulein*, że powinny wyjść, bo film stanowczo nie jest dla „młodych panienek”. Wówczas *Fräulein* z wypiekami na twarzy oświadczyła: „*Es ist aber nichts solches*” (nauczyła się bowiem od dziewczynek źle mówić po niemiecku) i wszystkie trzy zostały na seansie do samego końca.

DLA PANIENEK ODPOWIEDNIE

Rodzice prenumerowali dla dziewczynek „Wieczory Rodzinne” i

„Przyjaciela Dzieci” - świetnie redagowane czasopisma młodzieżowe, gdzie drukowano powieści Dygasińskiego, Przyborowskiego, Gąsiorow-skiego, Gomulickiego i innych znanych powieściopisarzy. Poza tym przychodził co tydzień tygodniczek francuski pod tytułem „Petit Français Illustré” i miesięcznik angielski dla dorastających panienek, który zwał się „Girls Own Paper”. W tym bogato ilustrowanym magazynie zamieszczano sentymentalne powieściska, które zawsze miały *happy end*. Ilustracje przedstawiały piękne panny z olbrzymimi fryzurami, a obok nich równie prześliczni chłopcy kładli im w ramiona naręcza kwiatów. Jedna ilustracja specjalnie została dziewczynkom w pamięci: wyobrażała ona cudną *girl*, która starała się uwolnić z uścisków obejmującego ją chłopca, a pod tym rysunkiem napis: *Put your arm away, Georgie Lilly!*

- Och, jak ja bym chciała móc powiedzieć do takiego pięknego chłopca: weź twoje ramię, Georgie Lilly... - powiedziała namiętnie Madzia.

- To jest fałsz i kokieteria - odparła na to starsza siostra - bo ta dziewczyna z obrazka wcale nie chciała, aby on cofnął swoje ramię, jestem tego pewna.

Pod innym obrazkiem piękny amant pyta się dziewczyny: „*May I kiss you, darling?*” - Ach, wszystko w tym magazynie było takie dystygowane, podlane olejkami różanym, grzeczne i ulizane. Z fotografii spogląda-

ła dobrymi oczami na czytelniczki królowa Maria angielska z mężem Jerzym, w otoczeniu królewiczów i krolewien. A ten tłusty bachor w wózku w koronkach - to przecież Julianna holenderska! Świat, który przedstawiał angielski magazyn dla panien, był światem panujących i możnych, inni ludzie nie powinni byli interesować panien z „dobrych domów”; o artystach, o pisarzach również nigdy nie było tam- mowy -

nie wchodzili w rachubę.

Ze świata pracy „Girls Own Paper” pokazywał im tylko - i to w numerach noworocznych - sympatyczną sylwetkę kominiarza, bo po co miały sobie zaśmieczać główki, pięknie ufryzowane, widokiem zdjęć robotników w dokach lub górników w kopalniach.

Tatko dla własnej uciechy abonował ilustrowany tygodnik pod tytu-

łem „Berliner Leben”. Ów tygodnik, który sobie dziewczynki wrywały z rąk, pokazywał inny świat, który je o wiele bardziej interesował; były w nim zdjęcia sławnych berlińskich baletnic, w króciutkich spódniczkach, z wyciągniętą w tył nóżką lub *sur les pointes*, zdjęcia znanych aktorów i aktorek, fotografia malarza Mentzla „*In seinem Heim mit Kindern und Gemahlin*” itp. Lektura dozwolona, która mogła zawsze leżeć na stole w domu, w którym były młode dziewczęta, to był krakowski „Czas”. Oto co czytamy w jednym z jego numerów, który się zachował z tamtych za-

mierzchłych czasów:

W tych dniach ukazał się pierwszy numer pisma przeznaczonego dla ludu pod tytułem „Oświata”. W słowie wstępnym redakcja wyjaśnia, że „światło” i „oświata” pochodzą z tego samego źródła i zmierzają do jednego celu, to znaczy do zbawienia duszy po śmierci. Redaktor oświadcza, że będzie w pierwszym rzędzie umieszczał artykuły o wierze świętej jako źródle wszelkiego światła, ale ponieważ i inne światła są potrzebne, jak to znajomość praw swojego kraju i rozporządzeń władz oraz obowiązków względem swoich chlebodawców, więc będzie umieszczał i tego rodzaju artykuły.

I dalej:

Wczoraj wieczorem zmarł hr. Mioszowski, ordynat myślowicki. poseł do Sejmu i do Rady Narodowej. Bliższe szczegóły o tej wybitnej postaci, która w ostatnich latach uchylała się od życia publicznego, ale będąc gorącym Polakiem napisała dzieło o polskiej heraldyce w języku niemieckim, podamy w numerze jutrzejszym...

A potem nagle pogodne ogłoszenie:

KARDYNAŁ AMERYKAŃSKI wyborny śpiewak za sześć koron.

54

„Czas” obfitował również w różne drobne ogłoszenia, na przykład: Oficjalista prywatny agronom, który przez 10 lat pełnił swe obowiązki z zadowoleniem chlebodawcy i posiadający polecające papiery od hr. Żółtowskiego, szuka posady w tym lub innym fachu

- za pośrednictwo gotów jest dać pieniężne wynagrodzenie!

A oto reklamy poszczególnych firm, pisane jakąś polszczyzną austriacką:

Łomnickie biszkopty niemniej wszelkie przekąski do kawy, wina i herbaty, suszone jabłka, gruszki, cakes wyrabia tylko na czystym maśle z Karkonoszów - J. JURA -

I dalej:

Beliebte Seife der feinen Welt, Savon au lait de Violettes jako saszetka dana do bielizny rozszerza niezrównany zapach fiołków.

„Kronika Towarzyska” notuje obiad u hr. Pinińskiego: Hr. Gołuchowski bawiący we Lwowie był u hr. Pinińskiego na obiedzie o 17 nakryciach. Obiad zaszczycili: hrabia i hrabina Baworowscy, hrabia Starzeński z małżonką, hrabiostwo Badeniowie, księżna Eleonora Lubomirska, był także twórca pomnika hr. Agnora Gołuchowskiego, Cyprian Godebski.

Z krakowskich hoteli podawał „Czas” codziennie notatkę „Kto przybył”. Niewierne żony i wiarołomni mężowie dowiadywali się w ten sposób, że ich kochankowie i kochanki znajdują się w Krakowie. Mniej to było wygodne na przykład dla dłużników, na których czyhali wierzyciele, ale

prawdopodobnie meldowali się pod fałszywymi nazwiskami. Wśród autentycznych nazwisk arystokratycznych można było w rubryce „Kto przybył” czytać i zmyślane, jak: „hrabia Redo” i „hrabina Robrońska”. W

tym wypadku chodziło zapewne tylko o „uprzejmość” portierów, która była zupełnie inna w stosunku do ludzi utytułowanych - a inna dla zwykłych śmiertelników. Wśród hoteli krakowskich były te uprzywilejowane, które gościły u siebie jedynie ludzi z „mondu”, jak „Grand” i

„Saski”, a ich ubodzy krewni - jak hotel „Pod Różą” i „Pollerà”, a później

„Hotel Krakowski” bez żadnej satysfakcji podawały, że stanął u nich: 55

pan Braun, pani Netkowa, pan Pollaczek, Klein lub Abramek z Kołomyi.

Toteż osoby z krakowskiego towarzystwa czytywały tylko listę gości przybyłych do „Grandu” lub „Saskiego”.

Lekturą pod każdym względem nadającą się dla „przyzwoitych panienek” był prenumerowany przez Mamę o wiele później „Rycerz Nie-pokalanej”. Najciekawsze w tym piśmie były odpowiedzi redakcji.

Z w r ó c s i ę do C h r y s t u s a ! - brzmiała krótka i lapidarna odpowiedź naczelnego redaktora ks. X. na jakieś nie znane nam kłopoty któ-

regoś z czytelników.

Rozdział VI

„JAK KREW Z NOSA”

To powiedzenie słyszy się czasem z ust starych brydżystów w momencie, gdy ich ktoś zapyta, jak im karta idzie. Młodzi partnerzy puszczają to powiedzonko mimo uszu, nie bardzo wiedząc, co ono oznacza.

Postaramy się to wytłumaczyć. Otóż przypatrzmy się naszym dwóm dziewczynkom, Madzi i Lilce, jak stojąc w ogródku puszczają wysoko w powietrze bąka zwanego „diabolo”. Diabolo to śliczna gra. Rozpędzony wirowym ruchem sznurka bąk wylatuje gdzieś ponad drzewa i dachy i trzeba go na wyprężony sznurek z powrotem złapać. Obok dziewczynek stoją ich mali przyjaciele i bawią się w tę samą grę. Konkurencja polega na tym, kto najwyżej rzuci bąka do góry i z powrotem chwyci furkoczą-

cego na sznurek. Madzia spogląda niebieskimi oczami w niebo. Diabolo gdzieś się podziało, ale za to z nosa zaczynają jej kapać gęste krople krwi. Tamując krew chusteczką, opuszcza czym prędzej wesołe grono.

Mama w takich wypadkach radzi stać z pochyloną głową nad miednicą tak długo, póki krew nie przestanie iść. Babcia, która wierzy we wszystkie przesady, dowodzi, że najlepiej, by krew kapała

na cynową miseczkę, wtedy podobno po półgodzinie przechodzi jak ręką odjął. Doktor Rozenblat z poczciwym uśmiechem twierdzi, że jak panienka dorośnie i wyjdzie za mąż, to ta przykra dolegliwość minie bezpowrotnie. Innego środka nie widzi. W ogóle lekarze na różne dolegliwości chętnie przepi-sują zamążpójście. Podobno mąż dla młodego dziewczęcia to panaceum na wszystko. Dziewczynki, słysząc o tej recepcie, pąsowieją, marzenia o tym lekarstwie jeszcze je więcej osłabiają.

Wszystkie dziewczęta w mieście są blade i anemiczne. Na anemię da-je się dzieciom żelazo, które im psuje zęby. Surowizn - broń Boże! Co najwyżej zielona sałata, która jest tak mocno przyprawiona octem, 57

musztardą i oliwą, że zaostrza krew i panienki mają ciągle jakieś krostki i wyrzuty na twarzy. Piękna, gładka cera w wieku dojrzewania to rzadkość i jeśli która z dziewcząt ją posiada, to się o tym szeroko rozprawia.

Lilka, to dziwne dziecko, lubi gryźć surową marchew, chrupać zielony groszek i w tajemnicy przed Mamą zajada się surową... cebulą. Tajemnicę tę jednak ujawnia przykry oddech i zaniepokojona Mama dziwi się, skąd jej córka ma takie „żydowskie” gusty. Anemiczne, przemęczone wiecznym ślęceniem przy biurczku dziewczynki zaczynają zdradzać objawy krzywicy. Doktor Rozenblat przykłada do ich wątłych pleców wielkie ucho poczciwego słonia i ordynuje gimnastykę. Muszą obie chodzić na gimnastykę ortopedyczną. Cofamy się myślą o kilkadziesiąt lat i oto znajdujemy się w jakiejś dziwnej sali tortur. Huczą przerażające żelazne aparaty, jedne zginają delikwentów przemocą do ziemi, inne wyciągają im ramiona. Młode dziewczęta wiszą w powietrzu. Głowy mają w skórzanych maskach. Cóż ta biedna Madzia zawiniła, za jakie okropne przestępstwa maszyna obraca ją tak w kółko?!

- Proszę zatrzymać aparat! - ryczy. - Mnie się w głowie kręci.

- Co jej się ma kręcić, kiedy ona tam nic nie ma - odpowiada na to rechocząc pogodny szarlatan dr Chlumsky.

Śliczna, cierpliwa Lilka wisi na głowie w skórzanej masce, której że-lazna obręcz wrzyna się w podbródek. Po zdjęciu jej będzie miała czerwoną pręgę. Ale nic nie narzeka, bo to przecież „dla jej dobra”. Główka jej pracuje nad jakimś nowym wierszykiem. Minęły czasy, kiedy pisała takie bzdury jak na przykład:

Wyszedł Bobcio z swojej budki,

tam gdzie rosną niezabudki,

tam gdzie chabry, maki rosna,

jak to zwykle bywa wiosną. I

poszedł Bobcio w świat,

bo wielki był z niego chwata...

albo:

-

Czemuś się tak zaczerwienił,
rzekła marchew do buraczka –
wtem spostrzegła, że czerwona,
więc ze wstydu spiekła raczka.

Jakież to marne! - i cóż biedna Mama widziała w tym takiego nadzwyczajnego? No, wprawdzie Lilka miała wtedy sześć lat.

58

Dzisiaj ma dwanaście i pół, więc nic dziwnego, że jej poezje są już o wiele dojrzsze, ale nie pokazuje ich nikomu. Po co? Pisze na razie tylko i jedynie dla siebie, bo cóż, ten głuptasek Madzia i tak by ich nie zrozumiała.

Był bal, wśród kwiatów,

szukano królowej.

Lecz trudny był wybór

wśród kwiatów tysięcy.

Ten jest podobny do secesji nowej.

a tamten ma znowu uśmiech za dziecięcy.

Wzdycha i rękę wkłada pod żelazo maski, które tak strasznie uwiera i wrzyna się w skórę. „Trzeba cierpieć, aby być piękną!” - ileż razy słyszała od starszych to zdanie. Więc cierpi z pogodą i myśli, że gdy dorośnie, chciałyby mieć taką figurę jak pani Fałatowa: długi stan, brzuch wciśnię-

ty, a z tyłu wystające naturalne siodełko. Przypomina sobie scenę ze swoich dzieciennych lat: idą z Madzią w towarzystwie *Fräulein* na spacer na Planty i widzą, że naprzeciw nich idzie istna wróżka. Ma na sobie kostium z zielonego szewiotu, kapelusz aksamitny ze zrywającym się do lotu gołębiem, obrzucony białą woalką w czarne aksamitne grochy. Całą przepiękną twarz ma obsypaną liliowym pudrem. Wielkie fiołkowe oczy.

Lilka staje przed nią w zachwycie, a piękna pani porywa ją w objęcia, obsypuje pocałunkami i pyta się Frojłusi:

- Czyja to taka cudna dziewczynka?

- To mała Kossakówna.

- Ach, Kossakówna... - twarz pięknej pani pochmurnieje, jej mąż ma ciągle zadrapy z Wojciechem. Nawet miało dojść między nimi do pojedynku, tylko że Fałat w ostatnim momencie, ku wielkiemu niezado-woleniu sekundantów, rzucił pistolet na ziemię i oświadczył, że nie bę-

dzie strzelał. Sekundanci liczyli jeszcze na to, że Wojciech będzie to uwa-

żał za obrazę i nowy powód do pojedynku, ale Wojtek, ten „król życia”, oświadczył, że zgadza się na polubowne załatwienie sprawy. Lilka swoim nad wiek rozwiniętym rozumem łączy te wszystkie fakty ze sobą. Ze strzępów rozmów Mamy z Tatą przy obiedzie można się niejednego dowiedzieć, gdy się dobrze i pilnie słucha. Tatko zawsze mówił o malarzu 59

Fałacie „ten Fałaciuch” i że pod nim dołki kopie, i że go chce wygryźć. A potem kiedyś przy kolacji padło słowo p o j e d y n e k , a Mama nazajutrz miała oczy czerwone jak królik i ręka jej się trzęsła, gdy trzymała filiżankę. A potem przyszedł jakiś dobry telegram i Mama była w cu-downym humorze i wzięła dziewczynki do Redolfiego na lody. Wszystko jedno, panowie mogą się ze sobą sprzeczać, ale ona, Lilka, gdy dorośnie, musi być podobna do pani Fałatowej.

Jest o czym myśleć, wisząc tak na głowie i tylko czubkami palców do-tykając podłogi. W kaźni dra Chlumsky'ego są i lżejsze narzędzia tortur, widocznie dla mniejszych przestępców, jak mechaniczny koń, podrzuca-jący delikwenta do góry na siodełku, i rower ze złego snu, który pedała-mi obraca w miejscu. Na aparatach siedzą lub wiszą sami znajomi: oto Julcia Malczewska, córka Jacka - chuda, wąska i dziwnie niekobieca, tłusty pulpecik - Jan Starzewski itd. Synowie i córki krakowskich profesorów, hrabiów i okolicznych obywateli ziemskich. Gimnastyka ortope-dyczna jest koedukacyjna i dziewczęta silą się na dzielność i cierpliwość, aby chłopcom zaimponować. Pogodny szarlatan, który na naiwności ówczesnych rodziców zbija grubszy majątek, poleca im, aby postarali się lżejsze aparaty zainstalować w domu. Gorliwa pani Manusia, która wszystko by poświęciła dla zdrowia swoich córek, zamawia u stolarza pochyłą deskę, na którą nie „skaczą kozy” przysłowiowe, ale na której co dzień po obiedzie młode kózki muszą leżeć bez ruchu, z głową przytrzy-mywaną w owej wyżej wspomnianej skórzanej masce. Jest również zain-stalowane na sznurach „wieszadło” z tąż samą maską, trapez w drzwiach do jadalnego pokoju oraz huśtawka w ogrodzie, w formie olbrzymiej drabiny, na której dziewczęta po torturze „deski” i „wieszadła” wyżywają się w powietrznych ewolucjach. Ponieważ dziewczynki garbią się coraz bardziej, dr Chlumsky każe starszą zapakować do gipsu na dziesięć dni, aby jej się krzyż wyprostował. Po tej najgorszej z tortur Lilka jest tak osłabiona, że w ogóle nie może się prosto trzymać. Zrozpaczony Tatko zamawia jej u jubilera pierścionek składający się z liter, które razem tworzą słowo: PROSTO.

60

Jest to naprawdę genialny wynalazek, który powinien był Wojciech opa-tentować. Jakżeż każdemu dorosłemu przydałby się pierścionek z takim napisem! Tatko wyjeżdża za jakiś czas do Anglii, dokąd jest zaproszony przez swojego niesłychanie bogatego przyjaciela, schorowanego pana Rymkiewicza, który jest poza tym mecenasem sztuki. Wojciech wystawia w Londynie swoją wspaniałą „Krwawą

Niedzielę”, obraz przedstawiający pochód petersburskiego tłumu do Zimowego Pałacu, z petycją do cara.

Na czele pochodu, na który wpada z nachajami i szablami pluton kawalerii, kroczy pop Hapon, zasłaniając się ikonami przed cięciami szabel.

Obraz ma w Londynie szalone powodzenie i niesłychanie pochlebne recenzje. Manusia oczywiście cieszy się i promienieje z sukcesów ukochanego męża, ale zdrowie córek zawsze jest u niej na pierwszym miejscu, pisze więc do męża w ten sposób:

Chlumsky przylepia teraz Lilusi jakieś plastry dziurkowane, które zdaje się, że jej bardzo dobrze robią. Od kilku dni go nie ma, wyjechał do Wiednia, pewnie w sprawie swojej profesury. Jak wrócisz, musisz pomówić z Hardtem o nim. Mój Woniu, co by ci szkodziło nawet specjalnie pójść do Hardta w jego sprawie i osobiście im polecić tego porządnego i poczciwego człowieka.

Nie wiadomo, co by za biedne i ułomne stworzenia były wyrosły z obu dziewczynek, gdyby mądry Ojciec po powrocie z Anglii nie dokonał

przewrotu w całym systemie fizycznego wychowania córek. Mimo to Lilka pozostała do końca życia ofiarą ortopedycznych ćwiczeń dra Chlumsky'ego.

- Przede wszystkim, drogie panny - rzekł zasiadłszy do jajecznicy -

vous sentez mauvais. - (Jak miał coś drastyczniejszego do powiedzenia, to zawsze mówił to po francusku lub angielsku). - Musicie się lepiej i dokładniej myć, w tym celu - ciągnął smarując sobie piętą z rzędu kromkę - przywiozłem wam gumową składaną wannę, czyli *tub*, mydła Atkin-sona i duże gąbki. Po drugie - w Anglii już przestały być modne te wszystkie idiotyczne gimnastyki ortopedyczne - modne są tylko sporty, hydropatia i masaże.

- Ale przecież doktor Chlumsky...

- Twój doktor Chlumsky to o s i o ł i bałwan - zaperzył się 61

kochający Ojciec. - Popatrz, co zrobił z moich córek! Biedne panny, po-czekajta, będziecie miały w ogrodzie plac tenisowy i będziecie się musia-

ły uczyć konno jeździć. Wszystkie Angielki w waszym wieku jeżdżą już konno doskonale; dlaczego wy nie macie być też takie jak one!

- Ależ, mój Wojteczku...

- Manusia, ty siedź cicho, widzisz, jak wygląda twoja higiena! Szarlatańskie systemy dra Chlumsky'ego zastąpiły sporty.

Dziewczynki poczęły brać lekcje konnej jazdy od pana Ferdynanda Targowskiego w ujeżdżalni na ul. Rajskiej. I w tym wypadku Lilka wzięła górę nad Madzią i wkrótce jako prawdziwa młoda amazonka, w rajtroku, w meloniku na głowie, wyjeżdżała z Ojcem i znajomymi na spacer na Błonia.

Magdalena nie mogła się z takim dużym zwierzęciem jak koń oswoić, wcale jej nie słuchał i robił, co chciał, kpił sobie z niej, zupełnie tak samo jak i nauczyciel.

- Panno Madziu, proszę nie straszyć konia! - wołał dowcipnie nauczyciel, ilekroć bachmat pozwolił sobie na kilka krótkich, szybko po sobie następujących odgłosów. W końcu i ona jednak dostała szczęścia wyjechania z rodziną na konny spacer. Pocziwa klacz, gdy ujrzała inne konie galopujące, galopowała bez pomocy amazonki, gdy inne przechodziły w kłusa - robiła to samo. Przed niewielkim rowem, który inne konie przesadziły bez wahania, Madzia wołała zlecieć - nic jej się nie stało, natomiast śmiechu było co niemiara. Na domiar niepowodzenia pewien stary generał austriacki, który często z nimi jeździł, rzekł do młodej jeźdźczynie w ten sposób:

- *Aber, mein Fräulein. Sie sitzen doch wie ein Regenwurm mit a Wasserkopf!* (Moja panienko, siedzi pani jak glista z wodą w głowie).

W tym czasie bardzo modnym sportem stały się wrotki. Był to rodzaj łyżew z czterema kółkami, przytwierdzonych paskami skórzanymi do bucika. Na tych wrotkach obie panny szalały. Chociaż Mama była temu przeciwna, jednak jeździły one po wszystkich chodnikach Krakowa w szalonym ślizgawkowym pędzie. Policjant chciał kiedyś szalejącą- Madzię zatrzymać, ale ona wymknęła się i jak strzała popędziła naprzód.

62

Na szczęście założono w Krakowie, jak i w innych miastach Europy, tak zwany „Skating Ring” i tam przy dźwiękach orkiestry młodzież robiła wrotkowe ewolucje na wyslizganej posadzce. Madzia wygrała wówczas konkurs zręczności, polegający na tym, aby dwa razy przejechać całą salę dookoła z płaską łyżką, na której leżało „ jajko, które do końca nie miało prawa spaść na posadzkę, co wymagało wielkiej uwagi i zręczno-

ści. Zdobyła wówczas p o z ł a c a n y m e d a l !

Madzia była wtedy śliczną trzynastoletnią dziewczynką. Rude, kasztanowate włosy nosiła rozpuszczone na ramionach, długie do pasa, i cała była zgrabna i okrągłutka, jak gdyby toczona na tokarce. Mistrz Chlumsky nie zdążył zniekształcić jej figurki. Toteż młodzi studenci ze znajomych domów, którzy całe wieczory spędzali na Skatingu, kochali się w niej skrycie, a niektórzy nawet jawnie. Jawnym adoratorem był tłusty student, o niebieskich natchnionych oczach - Jaś Starzewski (jej przyszły mąż), który kiedyś, ślizgając się na wrotkach, rzekł n a j b e z c z e I n i e j w świecie: - Jak dorosnę, to się z panią ożenię! - Powiedział to biedny w złośliwą godzinę, z tych, co to mówią: „Dobrze - stanie się tak, jak sobie tego życzysz”. Dziewczynka obraziła się na niego okrutnie, bo jakże tak można obcesowo i... w ogóle, i przez wiele lat nie chciała na niego patrzeć.

Kiedy dziewczynki jeszcze były małe, Matka ich, zupełnie pozbawiona jakiegokolwiek żyłki sportowej, nie chcąc być gorsza od innych pań, sprawiła sobie damski rower, szerokie pumpy i zawzięcie pedałowowała na wycieczki z mężem, aby tylko on z innymi paniami nie jeździł. Po tych okropnie męczących spacerach wracała do domu blada ze strachu, z poobijanymi kolanami.

Gdy obie Kossakówny były podlotkami, też otrzymały od Ojca rowe-ry. Służący trzymał je z tyłu za

siodełko i tak biegł za nimi naokoło klombu. Nie był to jednak dobry system nauki. Któregoś dnia zdenerwowana Madzia wyrwała się służącemu, wyjechała pędem na Błonia i dopiero na samym końcu alei wywaliła się jak długa. Od tego czasu jeź-

dziła już doskonale wraz z Lilką, która także poszła w jej ślady. Panny na rowerach to był jednak w Krakowie *événement* i *shocking*. U wylotu 63

Błoń, koło ohydnej żelaznej bramy, która tam wówczas stała pod torem kolejowym, dziewczynki, jadąc na rowerach, spotykały zazwyczaj starszego, chudego mężczyznę, który zabiegał im drogę i wygrażał laską.

„Bezwstydnice!” - darł się - „ja wam dam! Przyjdzie na was kara boska, zobaczycie!” - Dziewczynki oczywiście nic sobie z tego nie robiły i nawet starały się na niego najeżdzać. Dziwna ta figura w czarnym tużurku i czarnym kapeluszu istniała długie lata i znikła wraz z wieloma kuriozami Krakowa.

Ale nie tylko „straszny dziadunio” prześladował młode rowerzystki.

Goniły je chmary młodocianych łobuzów, którzy nagle zatrzymywali im w pędzie tylne koło, co musiało spowodować momentalną katastrofę.

Lepiej wychowani wołali za nimi: „Panna! koło się kręci!” albo: „Panienko! majtki widać!” - Przez Błonia maszerowały także oddziały żołnierzy, którzy starali się zatrzymać młode rowerzystki, prosząc je o całusa. To-też gdy się miały zbliżać do tak romantycznie nastrojonych wojaków, mądra Lilka wydawała rozkaz, który brzmiał: „Madzia, wykrzyw się, zrób się szkaradna!” - I obie z wykrzywionymi paskudnie buziakami spokojnie przejeżdżały koło owego niebezpieczeństwa. Ścigał je tylko przeraźliwy odór, nazywany przez dziewczynki perfumami „*Milles piers*”, tak odrażający, że trzeba było chować nosy w chusteczki.

Rozdział VII

STRIP-TEASE

Inicjatorką i reżyserem wszystkich zabaw na Kossakówce była zawsze Lilka, w której niezwyklej główce pod jasnymi włosami rodziły się coraz nowsze i coraz atrakcyjniejsze pomysły. W tych zabawach brały czasem udział inne znajome dzieci, ale zazwyczaj bawiły się we dwie. Lilka wcze-

śniej niż Madzia przestała wierzyć w „aniołka”, ale swoim brakiem wiary w cuda nie dzieliła się z siostrą. Razem z rodzicami stroiła drzewko wigilijne w wielkiej tajemnicy przed tą małą i układała pod nim prezenty gwiazdkowe. Madzia, drżąca z wrażenia, z nogami bijącymi o krzesło, niecierpliwie czekała, aż kolacja wigilijna dobiegnie do dziesiątej z rzędu potrawy i zadzwoni wreszcie „aniołek”. Firanka od salonu rozsuwała się i jej zachwyconym oczom ukazywał się roziskrzony cud gwiazdkowy.

„Aniołek” nie zawsze spełniał dziecięce marzenia, nawet można powiedzieć, iż często „nawalał” i zamiast wspaniałego serwisu dla lalek układał

pod drzewkiem tanią loteryjkę lub, co gorsza, komplet papieru listowego w ozdobnym pudle.

Cierpiał też po trochu na sklerozę i zapominał, że akurat przy tej samej okazji zeszłego roku ofiarował dziewczynkom takiego samego „Pana Tadeusza” w czerwonej oprawie ze złożonymi brzegami, z ilustracjami Andriolliego. Tych „Panów Tadeuszów” miały obie dziewczynki w swojej biblioteczkę po kilka sztuk, bo zawsze się znalazła jakaś ciocia lub wujek, którzy wpadli na tę genialną myśl w wyborze prezentu gwiazdkowego. Takiego wujka nazywały wówczas dziewczynki pogardliwie p f u j e k : Kiedyś jednak „aniołek” postanowił być aniołem z gestem i ofiarował obu siostrą prawdziwe złote zegarki z monogramami i podwójnymi kopertami. Lilka ucieszyła się szalenie i zaraz przypięła sobie zegarek na białej wstążeczce do piersi jak order, ale niemą-

dra Madzia rozplakała się, ponieważ chciała dostać kufer dla lalki 65

wypełniony szmatkami. Jej uraz do zegarka trwał odtąd bardzo długo i wstyd się przyznać, ale była już dorosłą panną, a jeszcze nie znała się na zegarku, co szalenie bawiło jej Ojca, lubiącego ją kompromitować przy gościach. - Powiedz no mi, Magdusia, która teraz godzina? - Panienska czerwieniła się wówczas po błękit oczu i odpowiadała, „że przecież tatko ma zegarek przy sobie, więc po co się pyta?”

- Dobrze - mówił Tatko śmiejąc się do łez - ja wyciągnę zegarek, a ty mi powiesz, która jest godzina.

Madzia, zmieszana okropnie, uciekała z pokoju. Skomplikowany me-CHANIZM wskazówek nie trafiał jej do głowy. Trwało to do czasu, kiedy zegar wskazywał tylko jasne i słoneczne godziny.

Co roku szóstego grudnia Madzia z niepokojem i wzruszeniem oczekiwała przybycia św. Mikołaja. Już od dwóch lat wiedziała doskonale, że św. Mikołajem była *Fraülein*, zaś Lilka - aniołkiem, ale do rytuału nale-

żało się tego nie domyślać. Pod wieczór odzywał się dzwonek i do przed-pokoju wkraczał św. Mikołaj w biskupim stroju i infule na głowie. Miał

długą, sztywną brodę, okulary, a na plecach worek. Aniołek nosił długą, śnieżną, białą sukienkę, miał jasne rozpuszczone włosy, wielkie, poważ-

ne, niebieskie oczy, w rączce trzymał różgę. Madzia musiała uklęknąć i wyspowiadać się ze swoich ostatnich grzechów. Po tej wstępnej ceremonii święty, oceniwszy jej grzechy za „powszednie”, ściągał z pleców worek i wręczał wzruszonej dziewczynce cukierki, pierniki i drobne prezenty. Surowy anioł trzepnął różgą Madzię lekko po plecach, po czym or-szak ruszał w stronę kuchni, gdzie go witały radosne piski służącej i kucharki. Gdy Lilka zorientowała się, że Madzia już „nie wierzy” w św.

Mikołaja, przestała ją ta maskarada bawić. Jej główka pracowała nad poważniejszymi problemami natury rozrywkowej. Żywe obrazy - oto co postanowiła organizować wieczorami po odrobionych lekcjach.

- Madzia, przystaw sobie krzesło i włącz na szafę!

- Po co mam włączyć na szafę?!

- Masz mnie słuchać i koniec.
- Co ja tam będę robić?
- Zaraz się dowiesz. Jesteś Wandą, która skacze do Wisły. Rozumiesz?
- Ale ja się boję skakać z szafy... buuuu... zabiję się!
- Nie zabijesz się, bo ci podłożę dwie pierzyny.
- A może byś ty skoczyła, Lileczko?
- Jeszcze czego! Ty jesteś Wandą i ty będziesz skakała do Wisły.
- Aaa czym ty będziesz, Lilusiu?
- Ja będę Niemcem, którego ty nie chciałaś, rozumiesz?
- Taa... rozumiem...
- No, więc stój spokojnie na szafie. Jak babcia wejdzie do pokoju i usiądzie w fotelu, dam ci ręką znak i ty skoczysz z szafy. Tylko żebyś mi nie zrobiła wstydu. Babela musi zgadnąć, co ten obraz przedstawia.

Babcia Juliuszowa stanowiła przeważnie jedyną publiczność na owych wieczornych spektaklach. Rodziców się obie „wstydzili”. Należy pamiętać, że dzieci w owych czasach wszystkiego się „wstydzili”, poza tym Mamidło było tym, co Anglicy nazywają „*Joy-killer*”, a Francuzi

„*gatte-plaisir*” - miewała zawsze jakieś zastrzeżenia, robiła ironiczne uwagi. Zresztą znanym jest faktem, że babki o wiele lepiej zgadzają się z dziećmi niż rodzice. Czasem polega to na pewnym zdziecinnieniu, które przychodzi w późnym wieku, albo też - przeciwnie - na większej dojrze-

łości i zrozumieniu świata dziecięcego. Ileż to razy Babela, gdy jej coś dolegało i leżała w łóżku, wołała Madzię, aby jej opowiadała bajki własnej kompozycji.

Owego wieczoru, gdy wspaniała postać Babci wtoczyła się do pokoju dziewczynek, Lilka dała Madzi ręką znak i posłuszna ofiara runęła jak długa z szafy na rozłożone na podłodze pierzyny.

- Jezus Maria! - wykrzyknęła pani Juliuszowa zrywając się z krzesła i biegnąc w jej stronę. - Madziuchna, czy ci się coś nie stało?!
- Nic - odparła bohaterka, trąc sobie kolano.

- Któż to wymyślił taką mądrą zabawę! Przecież Madzia mogła sobie nogi połamać! Pewnie Lilka!

- My obie - odparła Madzia.

- Co to miało znaczyć? Jeszcze nie mogę ochłonąć z przestachu.

Przynieście mi z mojego pokoju sole angielskie! Skończone wariatki, słowo daję!

- Nie żadne wariatki - odparła spokojnie Lilka - tylko to miała być Wanda, co nie chciała Niemca i skacze do Wisły. Powinna się Babela od razu domyślić.

Po żywych obrazach przyszła kolej na odgrywanie poszczególnych scen z komedii Fredry. Madzia, mimo iż do nauki była dziwnie tępa, na pamięć uczyła się wierszy bardzo szybko i po tygodniu prób można już było Babele zaprosić na wieczór składający się z fragmentów „Zemsty”.

Lilka z *Fräulein* skleiły dla Madzi, która miała grać rolę Papkina, piróg na głowę. Ze składu starej broni w oszklonej szafie, jaka stała w pracowni, Lilka wydobłała odpowiednią szablę i gdy Babcia godnie zasiadła w

„pierwszych rzędach”, zaczął się dialog Rejenta (Lilki) z Papkinem (Madzią). Gdy maleńkiego wzrostu Papkin z olbrzymią szablą u boku zaczął

deklamować z emfazą i bez zajknięcia:

Jestem Papkin lew północy, Rotmistrz sławny i kawaler itd.

a potem:

Artemizy ostrze sławne

I niem władać ramię wprawne -

Babcia nie wytrzymała, porwała Papkina w objęcia i płacząc ze śmiechu, poczęła obsypywać go pocałunkami, aż nasadzony na jego rozpuszczonych włosach piróg zleciał na ziemię.

- Czemu babcia przerywa przedstawienie! - zawołała z niezadowoleniem Lilka.

- A bo ta Madziuchna to takie cudowne dziecko, jak to ona się wspaniale na pamięć wyuczyła... Boże mój... i t o r a m i ę w p r a w -

n e . . . - łzy kapały z oczu Babci na zaróżowioną buzię Papkina.

68

- To moja zasługa - odparła z dumą Lilusia. - Po nocach ją wyuczy-

łam na pamięć Fredry, bo to przecież tępe od urodzenia...

- Już ty mi na Madziuchnę nic nie mów - genialne dziecko!

Latem w pogodne popołudnia zajeżdżała przed dworek na Kossakówce bryczka zaprzęzona w gniade koniki. Mama powoziła, a dziewczynki z *Fraülein* siedziały na tylnych siedzeniach. W bryczce oprócz koszyka z podwieczorkiem, składającym się niezmiennie z białej kawy i lukrowanych sucharków od Redolfiego, znajdowały się również zabierane przez Lilkę akcesoria do gier na świeżym powietrzu. Po drodze na Bielany wstępowało się do willi Malczewskich i po niedługim czasie dwie bryczki z dziećmi i powożącymi mamami, którym chwiały się na głowach olbrzymie kapelusze pełne kwiatów, tiulu i woalek, miały się wśród tumanów kurzu. Na polance, w cieniu starych buków mamy rozkładały derki i przygotowywały podwieczorek. Z klasztoru ojców Kamedułów dochodził głęboki ton dzwonów. Głos ich rozchwiewał liliowe leśne dzwonki na długich łądkach i rozmarzał poetycką główkę Lilki.

Gdy później, jako dorosła kobieta, pisywała wiersze o dzwonek, konwaliach, żółtych i wiewiórce, to zawsze stawał jej przed oczami Bielański Lasek pod Krakowem, pełen gąszczów, wilgotnych wąwozów, splątanych jeżyn i stuku spadających żółtych. Ten las na Bielanych kochała bardzo. Zamawiała sobie dorożkę i kazała się nią wozić po lesie.

Zabierała ze sobą Madzię, zeszyt i ołówek. Potrafiła godzinami leżeć na mchu i obserwować tajemnicze, pulsujące własnym życiem dno lasu -

jak nurek dno morza.

Rekwizyty, które pewnego popołudnia wzięła ze sobą na „majówkę” mała Lilka, były zgoła zadziwiające: części starego japońskiego parawanu; na jego białym jedwabiu widniały różowe ibisy, gałązki kwitnącej jabłoni i fragmenty charakterystycznego pejzażu. Zjadłszy podwieczorek na trawie, Lilka zabrała swoją młodocianą kompanię i zaprowadziła na lesiste wzgórze, kładąc im nieść ze sobą skrzydła parawanu.

69

- To jest Olimp - rzekła z całą powagą. - A my jesteśmy greckimi boginiami i bogami. Ja jestem Pallas Atene, Julcia Diana, Rafał Jowi-szem, a Madzia Prozerpina.

Madzia, która nie знаła jeszcze mitologii, oburzyła się na tę nazwę.

- Ja nie chcę być Prozerpina, bo to na pewno stara panna. Ja chcę być Diana!

- Diana! Z takimi krótkimi nogami! Wypchaj się! Będiesz Prozerpina.

Potem rozkazała greckim bogom i boginiom wziąć na ramię jedno skrzydło parawanu i lekko sfrunąć z Olimpu w dół. Musiał to być widok zaiste niezwykły, kiedy cała ta czwórka, uskrzydłona częściami japoń-

skiego parawanu, spływała na dół do wilgotnego wąwozu. Mamy, zajęte plotkami o dzieciach, służbie i „drożyznie”, nie zwracały uwagi na zabawy dzieci. Lilka, niewyczerpana w pomysłach, postanowiła, że ciemny ponury wąwóz będzie Hadesem.

- Rafciu - rzekła do młodego Malczewskiego – będziesz Charonem, który przewozi do Hadesu zmarłe dusze. Stań na tej kłodzie drzewa i weź gałąź do ręki. Madzia będzie zmarłą, a ty ją przewieziesz do Hadesu.

- Ja nie chcę być zmarłą duszą! - wrzasnęła Madzia tupiąc nóżką. -

Ani mi się śni!

- Ona zawsze musi popsuć całą zabawę! Masz robić to, co ja ci każę!

- Nie będę nieboszczką! Ty sobie bądź... buuuuuu!!!

Gdy Lilka miała piętnaście lat, zaczęła myśleć poważnie o prawdziwym teatralnym spektaklu, z licznymi aktorami, dekoracjami i kurtyną.

Sposobność właśnie nadarzyła się, ponieważ jej koleżanka i przyjaciółka, Nina Woźniakowska, napisała bajkę sceniczną, którą Lilka oceniła jako nadającą się do grania. Zbliżyły się imieniny Mamidła i w wielkiej tajemnicy przed nią zaczęły odbywać się próby po południu w pracowni Tatki. Aktorami byli: obydwie siostry, rodzeństwo Malczewskich, autorka scenicznej baśni oraz dwóch studentów gimnazjalnych, w 70

granatowych mundurkach ze srebrnymi guzikami. Wiezorami w pokoju dziewczynek terkotała maszyna do szycia, na której *Fräulein* szyła kostiumy. Lilka malowała i wycinała z kartonu dekoracje, a Madzia naszy-wała na seledynowym tiulu błyszczące szkiełka mające imitować krople rosy. W przeddzień premiery Mama, Babela i rodzice występujących aktorów otrzymali pisemne zaproszenia. W pracowni Tatki ustawiono podium, zawieszono na sznurach firankę, zrobiono budkę dla suflera, którym miała być *Fräulein*. Znosiło się na wielką bombę, o której miał

mówić cały towarzyski Kraków.

- Boję się, co ta Lilusia znowu wymyśliła - niepokoiła się Mama w rozmowie z Babcią - żeby to tylko nie było coś niestosownego...

- Nie obawiaj się, moja Maryleczko, dowiedziałam się od Madzi, że to jest czarodziejska bajka, napisana przez małą Woźniakowską, a stara Woźniakowska wychowuje swoje dzieci w takim rygorze i surowych obyczajach, że na pewno nic w tym nieodpowiedniego nie będzie. Mo-

żesz być zupełnie spokojna.

Mamidło rozpogodziło czółko i nawet było trochę dumne, że jej córki zdobyły się na prawdziwe amatorskie przedstawienie. Zaprosiła na ów uroczysty spektakl imieninowy swoje przyjaciółki: panią Mieroszewską, Axentowiczową, panią Laska, panią Szujską i kilka innych krakowskich pań. O godzinie szóstej wieczorem rzędy krzeseł zapełniły się. Manusia, której wspaniałe blond włosy, artystycznie ułożone, pięknie odbijały się od czerni aksamitnej szaty, siedziała w pierwszym rzędzie obok Babcy, udostojnionej czarnymi dżetami i koronkami. Odezwał się dzwonek.

Kurtyna rozsunała się, ukazując dekoracje wykonane przez Lilkę, przedstawiające las o zmierzchu. Strzeliły ognie sztuczne, zalewając scenę zielonym światłem, w tym świetle ukazały się dwie wielkie ćmy w szarych opończach ze szarymi skrzydłami, kręcąc się i podskakując do góry.

Za sceną odezwały się dyskretne dźwięki ustnej harmonijki połączone z artystyczną grą na grzebieniu. Huczne brawa publiczności zagłuszyły tony „orkiestry”. Serce Matki odgadło szybko, że owe szare ćmy to Lilka i Madzia. Scenę oblało w następnym momencie światło czerwone, ćmy 71

szybkim ruchem zrzuciły z siebie opończe i szare skrzydła i ukazały się jako dwie piękne nimfy w białych długich szatach i gazowych woalach.

Serce Matki zabiło niespokojnie. Co one jeszcze wymyślą, te dwie zwariowane dziewczynki? Na scenę w podskokach wpadł piękny młody król-

lewicz, składając nimfom głębokie pokłony. Nimfy jednak nie poprzesta-

ły na owych wdzięcznych igrach i oto... zrzuciły w tańcu białe obłoki, którymi były szczelnie otulone, i ukazały się w króciutkich, zaledwie sięgających kolan spódniczkach z zielonego tiulu i - o zgrozo! - w zwy-czajnych panieńskich, białych haftowanych staniczkach z głębokim de-koltem. Powietrze stanęło z wrażenia. Pracownię zaległa złowieszcza cisza, która trwała tylko moment, ponieważ już w następnej chwili rozległ się na scenie głos Mamy, brzmiący najwyższym oburzeniem:

- Madzia, Lilka, marsz do domu przebrać się natychmiast! Taki wstyd!

- Proszę mamy zejść ze sceny - rzekła nieustraszona Lilka. - Tutaj mogą się znajdować tylko aktorzy!

- Ja wam dam aktorów, smarkate jedne! W tej chwili macie iść do domu ubrać się przyzwoicie! Skandal, aby się prawie gołe pokazywać ludziom!

Madzia, beksa od urodzenia rozplakała się. Lilka zacięła maleńkie usteczka. Mama, bardzo energiczna i czasami nawet bezwzględna - nie tak jak dzisiejsze matki - pociągnęła obie córki za ręce i wypchnęła ze sceny. Dalszy ciąg przedstawienia nigdy się nie odbył. Młodzi aktorzy, smutni i zawiedzeni, rozeszli się do domu, zaś ich matki bezapelacyjnie przyznały rację pani Kossakowej. Możemy sobie wyobrazić komentarze na ów temat, które później ze sobą zamieniały:

- Ale to wina starej Kossakowej, że w ten sposób wychowuje córki!

- Przecież to było wszystko w tajemnicy przed nią...

- Bardzo źle, córki nie powinny mieć przed matką tajemnic! Gdyby, proszę drogiej pani, moja córka ośmieliła się wystąpić publicznie w takim stroju, toby tak dostała w skórę, żeby sobie popamiętała ruski miesiąc!

- Trudno dawać klapsy dużym paniąkom...

- A to wszystko zły przykład tej starszej, tej Lili, bo młodsza to jeszcze głuptasek, ale starsza, proszę pani, to już taka zuchwała od urodzenia. Żeby przynajmniej była coś narzuciła na ten staniczek...

- I nogi miały obie gołe...

- Jeszcze jak! Rzeczywiście zrobiły biednej Kossakowej piękny imieninowy prezent!

Gdy dziewczynki miały jedna dziesięć lat, druga trzynaście, „Mama zapisała je na komplety taneczne, które odbywały się u pani Dorożyn-

skiej w jej pięknym i obszernym salonie. Mistrz Witkay, szczupły brunecik z czarnymi wąsikami à la Wiluś, w czarnym fraku z kołnierzykiem tak wysokim, że mu krajał brodę, uczył panienki i młodych studentów stawiania pierwszych tanecznych kroków. Zaczynał od ustawiania nóg w

„trzeciej pozycji”, pilnując, aby siedząca osoba też je w ten sposób trzymała. Nie należy przypuszczać, aby ówczesne tańce były zgoła łatwiejsze od samby lub *rock and rolla*. Jakżeż szalenie skomplikowany był na przykład taki kontredans, gdzie trzeba było wciąż uważać, czy się robi *chaîne de la main gauche*, czy też *chaîne de la main droite*, a jakieś *balancé*, jakieś *chassé-croisé*, Bóg wie co! Przy tych skomplikowanych czynnościach należało prowadzić z danserem błyskotliwą rozmowę.

Poza kontredansem i walcem wiedeńskim, uczono młodzież dziwnych tańców, które poszły w zupełną niepamięć jak *pas de quatre*, *pas pat-tineurs* i „węgierkę” (rodzaj salonowego czardasza). Poza tym, oczywi-

ście, krakowiaka, mazura, oberka, kujawiaka, polkę i galopkę. Na tych lekcjach tańca u pani Dorożyńskiej Madzia poznała przedziwną gorycz tak zwanego „pietruszkowania”. Już wcale nieźle umiała tańczyć walca i mazura, a studenci w lansadach podbiegali prosić do tańca starsze dziewczynki, omijając ją, jak gdyby miała na głowie jakąś czapkę-

niewidkę. - Jestem za mała, aby ze mną chcieli” tańczyć - myślała połykając łzy. Ujrzała, jak zacna pani Dorożyńska podeszła do grupki studentów, namawiając ich, aby zechcieli poprosić do tańca młodszą Kossakównę. Coś odmruknęli i żaden z nich się nie ruszył. Pokazało się, że 73

przesadna młodość to taki sam feler jak przesadna starość... Zlitował się w końcu nad biednym kopciuszkiem sam pan domu, czterdziestoletni

„starzec”, i porwał ją za rączkę, zapraszając do mazura. Madzia sięgała mu wzrostem do połowy uda, ale mimo to czuła się dumna, zaszczycona i z dołu, ale z wielką pychą spoglądała na swoją starszą siostrę, którą tego rodzaju wyróżnienie nie spotkało.

Jeszcze jedną zabawę wymyśliła genialna Lilka, a mianowicie „zabawę w pocztę”. Tatko, który tak często bywał za granicą i całe miesiące spędzał w Paryżu, przysyłał swoim ukochanym córkom wielkie paki, obite czarnym płótnem pachnącym specyficznym terem, w których znajdowały się ilustrowane roczniki tygodników dla dzieci, piękne papeterie, farby i kredki. Ponieważ w swoich marzeniach widział je już jako dorosłe panny, więc od czasu do czasu wysyłał im z Paryża kapelusze

- cuda pełne kwiatów, tiulu, piórek, które Mama chowała do szafy z obietnicą, że pozwoli im je włożyć, gdy... dorosną. Kiedyś radość była olbrzymia -

od Tatki przyszły pocztą pierwsze „amerykany”. Były to brązowe skórzane półbuty z wywieszonym dziurkowanym językiem. Och, jakżeż dumnie stapały w nich obie siostry po krakowskim bruku. Dewotki, wracające z kościoła, żegnały się na ich widok, a małe przyjaciółki zieleniały. Zagraniczne „ciuchy” były zawsze w Polsce obiektem marzeń i zazdrości wszystkich kobietek, nawet tych najmłodszych.

- Ten Wojciech przewraca w głowach swoim córkom - mówiły krakowskie matki. - Popatrzcie tylko, jak on je stroi! Istne czupiradła!

Był to rzeczywiście odosobniony wypadek, aby młode panienki chodziły tak elegancko i zagranicznie ubrane w czasach, kiedy ich koleżanki nosiły wyłącznie granatowe peleryny albo granatowe płaszczyki obszyte szarym barankiem, a na głowach nasunięte na czoło berety granatowe lub czerwone. W krótkich okresach, kiedy Tatko przebywał w kraju, można było widzieć trójkę wyglądającą bardzo zagranicznie, która szybko przebiegała ulicę świętego Krakowa. Wojciech w pumpach z angielskiego materiału, w kolorowych pończochach i angielskich żółtych butach, a obok niego dwie pensjonarki w czarnych trykornach obszytych 74

złotą tasiemką i w jednakowych trzywierzciowych piaskowych płaszczykach. Młodsza z córek, która do szesnastego roku życia nosiła rozpuszczone włosy, specjalnie swoim „wyzywającym” wyglądem zwracała uwagę przechodniów. „Bo i cóż może wyrosnąć dobrego z dziewczynek, któ-

re się w ten sposób stroi?” Wspomniana wyżej „zabawa w pocztę” polegała na tym, że obie siostry siedziały na parapecie okna, wyczekując pocztowego wozu, który wpierw majaczył z dala na ulicy Zwirzyńskiej, a potem obiecująco zakręcał na plac Kossaka i stawał przed do-mem. Był żółtego koloru, jak wszystko, co austriackie, i miał wymalowanego czarnego dwugłowego orła. Był to jednak szalenie rzadki wypadek, aby upragniona poczta zajeżdżała przed Kossakówkę właśnie wtedy, kiedy się jej tak wyczekiwało, siedząc na parapecie okna. Zwykle zajeź-

dzała wtedy, kiedy się miało lekcję albo kiedy dziewczynki były na spacerze.

Kiedyś, właśnie w związku z oczekiwaniem na pocztę, która nie chciała się zjawić, Lilka rzekła do Madzi te oto pamiętne słowa:

- Wiesz, Madzia, nie należy czekać na coś z upragnieniem, bo wówczas TO się nie zjawia. Oszukamy los i będziemy niby to z upragnieniem wypatrywały panny Kopacz. Może nie przyjdzie, tak samo jak poczta, i lekcji nie będzie?...

Madzia przyklasnęła temu projektowi. Rozumiały się przecież obie jak konie idące w tym samym zaprzęgu. Panna Kopacz, nauczycielka polskiego, była bardzo przez obie siostry lubiana i ceniona, ale lekcja była lekcją. Można było przez ten czas robić ciekawsze rzeczy - malować nimfy albo irysy na gładkim białym brystolu, można było na drzewie wypalać secesyjne desenie. Można było komponować wiersze... Panna Kopacz przychodziła codziennie o godzinie czwartej, już z daleka widać było jej zgrabną, prostą sylwetkę, gdy brnęła przez błoto na placu Kossaka, gubiąc kalosze.

Bystre oczy dziewczynek widziały, gdy skręcała z ulicy Zwierzynieckiej, zupełnie jak żółta poczta.

- Jest już dwadzieścia po czwartej, może nie przyjdzie... taka niepo-goda.

- Idzie, idzie, idzie, widzę z daleka jej parasol.

75

- Nie, na szczęście to nie ona, nastraszyłaś mnie niepotrzebnie.

Panna Kopacz była delikatnego zdrowia i nieraz się zdarzało, że przyjść na lekcje nie mogła. Lilka przypisywała to swojemu genial-nemu systemowi wyczekiwania na coś.

- Widzisz - mówiła do Madzi - pomogło. Los jest pewien, że jej oczekujemy z niecierpliwością i upragnieniem, i dlatego nam jej nie

„zsyła”. Siedź dalej w oknie, nie ruszaj się, a ja pójde przynieść dwie gruszki i kawałek czekolady... czuję, że dzisiaj nie będzie lekcji...

Rozdział VIII

ŚWINOUJŚCIE

Prawie co roku, od najmłodszych lat obu dziewczynek, odbywał się wyjazd latem nad morze do Swinemünde, czyli Świnoujścia. Już od czerwca chodziła Mama z córkami do łazienek na Wiśle, aby się dziewczynki oswajały z zimną wodą. Dzisiejszej młodzieży, wylegującej się wspólnie na wiślanych plażach, bardzo dziwną wydawałaby się ta długa drewniana buda, przedzielona na łazienki męskie i damskie. Łazienki nie posiadały większego basenu, tylko małe kłitki o drewnianym dnie, przez które przepływała rzeczna woda. Woda sięgała zaledwie do piersi, tak że o pływaniu nie było mowy. Mimo to Mama, w długich granatowych majtasach i długim kaftanie przepasanym paskiem, schodząc po schodkach do wody, na wszelki wypadek robiła zawsze znak krzyża świę-

tego.

Gdy dziewczynki miały jedna sześć, druga dziewięć lat - Mama postanowiła kazać je uczyć pływać. Było to niesłychanie mądre postano-wienie, za które obie córki były jej bardzo wdzięczne. Lekcje te pobierały od starego rybaka w Świnoujściu, który trzymał je na długim kiju, z po-mostu wydając rozkazy, jak się mają poruszać. Woda w owym miejscu była na dwa metry głęboka i gdy rybak, zapalając fajeczkę, opuszczał ów rodzaj wędki, uczennice znikwały pod wodą, krzycząc z przerażenia:

- *Ich ertrinke!* (topię się)

- *Aber ich ertrinke net* - odpowiadał lakonicznie rybak podnosząc pręt do góry.

Był to niezawodny sposób nauczania się pływać, aby nie krztusić się słoną wodą. Rybak był poza tym zwolennikiem metod ks. Kneippa, ponieważ nawet gdy było bardzo zimno, trzymał swoje uczennice przez pół

godziny w wodzie.

77

- *Mir ist kalt!* (zimno mi) - kłapała Madzia zębami.

- *Aber mir ist nicht kalt* - odpowiadał niewzruszony.

Rezultat owych lekcji był jednak bardzo dodatni, bo już po pierwszym sezonie obie dziewczynki pływały jak młode żabki, z tym że Madzia, o wiele mniej bojąca się wody niż konia, nauczyła się szybko pływać na wznak i pod wodą.

Kąpieliska w Świnoujściu podzielone były na *Damenbad*, *Herrenbad* i *Familienbad*. Do „Familienbadu” wolno było chodzić rodzicom z dziećmi

- dziecko było warunkiem wstępu. Aby się dostać do owego wspólnego kąpieliska, sprytni młodzieńcy i samotne kobiety wynajmowali dzieci od rybaków i wówczas bez kłopotu byli wpuszczani. Kiedyś jednak wybuchł wielki skandal, bo jedno z wypożyczonych dzieci utonęło, i odtąd kontrola była ściślejsza. Mama, b r z y d z a c a się mężczyznami (poza własnym mężem), chodziła z dziewczynkami do damskich łazienek.

Madzia i Lilka, niczym więźniarki w obozie karnym, rozmawiały z Ojcem, wujami i kuzynami przez szpary w drewnianym płocie, który odgradzał płec piękną od n i e b e z p i e c z n e j . W sumie wszyscy razem mogli być śmiało uważani za „płec brzydka”, do czego przyczyniały się ówczesne kąpielowe stroje odznaczające się horrendalną brzydotą i brakiem smaku. Obie przybrane były w długie czerwone kombinezony z jakiegoś wstrętnego drelichu, ozdobione u kostek i przy szyi białą tasiemką. Na głowie miały czepki z żółtej gumy, okraszone czerwoną fal-banką, a na nogach czarne cizemki wiązane w kostce tasiemkami. Kombinezon w wodzie wydymał się jak balon i z morza widać było wystrzela-jące tu i ówdzie czerwone lub granatowe półkule. Wiele dam przyjeżdża-

ło nad morze ze swoimi pokojówkami, bynajmniej nie dlatego, żeby i one używały zdrowotnych morskich kąpeli - ale głównie po to, żeby swoją panią, wychodzącą z wody; szybko zasłonić kąpielowym prześcieradłem, dyskretnie ściągnąć z niej mokry kostium i nawlec na nią gorset, bieliznę i suknię. Damy w olbrzymich półmiskach-kapeluszach, pełnych sztucznych kwiatów i owoców, siadywały po kąpeli w koszu, czytając jakiś romans lub robiąc robótki ręczne, podczas gdy dzieci bawiły się w piasku. Czasem przez plażę przeszła jakaś „emancypantka” w bluzce z 78

męskim krawatem i małym słomianym kanotierku na głowie, kopcząca ostentacyjnie papierosa, i wówczas damy krzywiły się na jej widok i pogardliwie wydymały usta.

Niemieckie „Hausfrauy” w słomianych kapeluszach z napisem na wstążce *Strandhut* - aby się nikt nie mógł pomylić - przychodziły na plażę, dźwigając pełne jedzenia torby, na których czerwoną nicią wyhaftowane było *Guten Appetit*. Mężczyźni wyglądali na plaży równie ko-micznie i nieatrakcyjnie jak kobiety. Albo nosili jakieś dziwne ubranka z granatowego lub czerwonego szerżu, albo straszliwe trykoty w niebiesko-białe lub granatowo-białe paski, długie do połowy łydki. Moda noszenia kapeluszy obowiązywała nawet na plaży, więc ci straszni panowie w pasiastych trykotach, w których

wyglądali jak zebry albo jak więźniowie, nosili na głowach słomiane panamy lub małe słomiane dżokejki.

Wieczorem, gdy plaża była pusta, przychodził kąpać się miejscowy plebs oraz panny służące zamożnych dam. Wchodziły one do morza w długich, śmiertelnych koszulach, wydymanych wiatrem jak żagle.

Matka Madzi i Lilki wynajęła dwa pokoje w willi, która zwała się „Se-estern”. Była to willa w stylu *echt* niemieckim, z wieżyczką, kopułą i szeregiem większych i mniejszych balkoników. Z okien jej widać było morze, raz szare i pomarszczone jak stado słoń - a raz znów zielonosza-firowe z białymi wypustkami i koroneczkami piany na horyzoncie. Do willi schodziły się wieczorem kuzynki Mamy i przyjaciółki i plotkowały do późnej godziny. Lilce nie przeszkadzało to spać, ale Madzia była dzieckiem okropnie nerwowym, które byle hałas rozbudzał. Leżała więc godzinami nie śpiąc, w końcu biegła na bosaka do drzwi sąsiedniego pokoju, pytając rozpaczliwym głosem: „Na co jest noc?” Gdy zamknęła oczy, zwidywały jej się okropne straszidła, upiory i kościotrupy. Były to reminiscencje pasjonującej obie dziewczynki lektury - pisemka pod tytułem „Spuck und Geister-Geschichten”, czyli „Opowiadania o strachach i duchach”, ukazującego się co tydzień i będącego do nabycia za jedną markę we wszystkich kioskach z gazetami. *Fräulein* też bardzo interesowały owe „Spuck-Geschichten”: tłumaczyła ona 79

dziewczynkom to, czego nie rozumiały. Sama okładka tego „Świerszczy-ka” z owych czasów była już wiele mówiąca: przedstawiała śmierć z kosą na tle poprzecznych czarno-białych pasów. W tych opowiadaniach zmar-

łe żony przyjeżdżały do swoich mężów czarnymi karetami zaprzężonymi w karę konie, śmierć pukała do okna podczas wesela kochającej się młodej pary, na balu maskowym najbardziej atrakcyjna „maseczka” ukazywała po zdarciu maski trupią czaszkę, czym powodowała natychmiastową śmierć pana młodego. Doprawdy, że redaktor owego tygodniczka, *businessman-nekrofil*, był niewyczerpany w makabrycznych pomysłach.

Mama, która nie znała języka niemieckiego, nie miała pojęcia, jaką lekturą podkarmiają się jej córki „wieczorową porą”, zresztą chowało się to śliczne pisemko przed nią skrzętnie, bo sama okładka byłaby się jej na pewno wydała dość podejrzana. Czasy były wówczas spokojne, o żadnej wojnie się nie śniło, ale widać w ludziach tkwi jakieś źdźbło zamiłowania do makabry: gdy im nic nie grozi, starają się stworzyć jakieś fikcyjne strachy. Widzenia, prorocze sny jak również spirytystyczne seanse zajmowały wówczas umysły nawet poważnych profesorów. Sławna była wówczas w Niemczech i szeroko komentowana historia duchów na cesarskim jachcie „Hohenzollern”: Wilusiowi, podczas któregoś z jego morskich rejsów, ukazali się nagle przy stole von Moltke i Tegetthoff.

Cesarz drżącym z wrażenia palcem wskazywał puste miejsce naprzeciw siebie, rycząc: „*Da sitzt ja der Moltke und der Tegetthoff, die leben doch nichtt!*” - po czym zemdlał.

Jednego sezonu w Świnoujściu, gdy Madzia i Lilka były jeszcze ma-

łymi dziewczynkami, miała odbyć się na morzu niezwykła zaiste uroczystość: Oto dwóch wielkich

mocarzy świata, Wilhelm II i car Mikołaj II, każdy na swoim jachcie, mieli się zjechać w pobliżu Świnoujścia. Publiczności, która łodziami wyruszyła w stronę obu jachtów, danym było z

„przyzwoitej” odległości oglądać tę historyczną chwilę. „Kronsztad” cara przybliżył się do Wilhelmowskiego „Hohenzollerna” i car wraz ze swoją przyboczną świtą przeszedł przez rzucony mostek na „niemiecki teren”.

Załoga cesarskiego jachtu prezentowała broń, flagi „zbratanych” narodów pofrunęły do góry, a panowie gorąco uściśnieli sobie dłonie. Po czym 80

orkiestry obu jachtów odegrały na przemian hymny narodowe - rosyjski i niemiecki. „Pomazańcy” mieli na sobie białe mundury i kapitańskie czapki z daszkiem. Wiluś miał charakterystyczne, do góry wykręczone, spiczaste wąsy - Mikołaj czarną bródkę w klin. Twarz Wilhelma wyraża-

ła pychę i zadowolenie z siebie, twarz cara była blada i jak gdyby załęknioma. Na morzu po tym przywitaniu zerwał się sztorm i publiczność na łodziach ledwo zdążyła cało powrócić na ląd. Ponieważ łódź, na której siedziały Lilka z Madzią i Mamidłem, co chwila zapadała się w przepa-

ście morskie, aby się znów ukazać na grzbiecie olbrzymiej fali, więc Mama wraz z dziewczynkami poczęła głośno odmawiać „Pod Twoją obronę”. Gdy przemoczone od deszczu i zielone ze strachu znalazły się na lądzie, Madzia, szczękając zębami, oświadczyła, że nigdy więcej nie będzie chciała oglądać, „jak car Mikołaj z cesarzem Wilhelmem podają sobie ręce na morzu”. W kilka lat po tym „braterskim” podaniu sobie rąk wybuchła wojna światowa.

Lilka miewała zawsze niesamowite pomysły, którymi zarażała młodszą siostrę. Szalała na przykład za wzburzonym morzem i gdy tylko tworzyły się na nim białe baranki, natychmiast zmuszała *Fräulein*, aby kupowała dla nich trzy bilety na *Sonderfahrt auf die hohe See*, i wówczas ładowały się na pokład „Kormorana” albo „Mewy”, małych stateczków pasażerskich, kursujących na niedalekich przestrzeniach, wówczas Lilka wyżywała się w silnym kołysaniu małej, parowej zabawki. Kapitan

„Kormorana”, stary wilk morski z czarną kwadratową brodą, znał już dobrze te dwie małe Polki, które mu włożyły bezczelnie na mostek kapitański, gdzie zwykłym śmiertelnikom wstęp był surowo wzbroniony, i które poprawną niemczyzną rozprawiały z nim o sprawach morza. Ludzie morscy różnią się od ludzi lądu; cechuje ich wielkie do siebie podobieństwo, i marynarzy niemieckich, angielskich, francuskich czy rosyjskich nie można rozpoznać według typu, raczej tylko po różnicach w umundurowaniu. Morze żłobi ich rysy jednakowo, daje im to samo błę-

kitne rozmarzenie w dalekowzrocznych źrenicach, tę samą smagłą cerę, spokój, opanowanie i dobroduszną wesołość.

Kapitan „Kormorana” nie czuł więc żadnej niechęci do dzielnych polskich dziewczątek, mówił do nich *meine lieben Mädels* i nawet starszej, która miała również ambicję, aby być „wilkiem morskim”, dawał na chwilę do ręki ster. Kapitan był pięknie tatuowany i gdy w gorący dzień rozpiął mundur i koszulę, na jego włochatej piersi rozwijał się wspaniały kogut z piórami i dziobem. Ten tatuaż nie

dawał Lilce spokoju.

- Czy ty wiesz - mówiła do Madzi - co by to było za szczęście mieć na ramieniu wytatuowaną kotwicę, ster albo też słońce i gwiazdy?!

Ale Madzia była tępak i żadnego w tym szczęścia nie widziała.

Lilka dowiedziała się od swojego morskiego przyjaciela - kapitana, że w porcie w Swinemünde mieszka tatuownik, jego dobry znajomy i kum-pel.

- Och, niech go pan z nami zapozna! - zawołała. - My obie chcemy mieć tatuowane ramiona.

Madzia struchlała. Ta Lilka miała też pomysły! Wiedziała od kapitana, że proceder tatuowania jest bardzo bolesny, bo igłą zanurzoną w farbie nakłuwa się miejsce na skórze, gdzie ma powstać rysunek, i że bardzo często to miejsce później puchnie i zaognia się - ale nie śmiała sprzeciwić się siostrze.

Odważna i stanowcza Lilka wypytała kapitana, gdzie, kiedy i o której godzinie ma nastąpić spotkanie z magikiem, i zadowolona ze swego pomysłu oczekiwała tego dnia z pozornym spokojem. Wystraszona Madzia-płaksa popłakiwała po kątach.

- Ja się boję... - mówiła. - To będzie gorsze od dentysty!

- Może to i bardzo bolesne - odparła Lilka - ale czy ty wiesz, co to będzie za duma pokazać później na balach, gdy dorośniemy, tatuowane ramiona; przecież wszystkie panny pochorują się z zazdrości.

- A ja ze strachu - pisnęła Madzia.

- Obrzydliwy tchórz! - Lilka wydeła pogardliwie małe usteczka.

Sama też bała się potężnie, ale nie mogła dyskredytować się w oczach młodszej siostry.

- Prawdziwe wilki morskie muszą mieć tatuaże - dodała z cichym westchnieniem.

- Ale my nie jesteśmy tymi prawdziwymi - odparła Madzia.

- Co ty wiesz! Masz mnie słuchać i koniec!

Spotkanie z tatuownikiem naznaczone było na następną *Sonderfahrt auf die hohe See*, w jakąś sobotę. Lilka postanowiła, że na tę wycieczkę wymkną się same, bez *Fräulein*. Spotkanie miało się odbyć na „Kormo-ranie”, bez świadków, poza jednym kapitanem. Madzia po nocach nie spała i marzyła o tym, aby się coś takiego stało, by cała ta historia nie doszła do skutku. Świat nie myślał się zawalić, co byłoby rzeczą w tym przypadku najskuteczniejszą, pogoda była piękna, stanowczo wszystko sprzyściło się przeciwko niej. Lilka bała się tak samo. Ach, po cóż zgodziła się tak pochopnie na tę okropną torturę? Ale trudno, klamka zapadła. Z kapitana-przyjaciela nie można było robić durnia. Trzeba o godzinie dwunastej stawić się na molo, skąd odbijał „Kormoran”. Lilka zawczasu wyciągnęła od Tatki kilka marek na bilety, co nie było rzeczą trudną.

- Ach, jak wy mnie rujnujecie, moje drogie panny! - wzdychał Tatko i wsadzał rękę do portfela.

- Może ten tatuownik nie przyjdzie - marzyła głośno Madzia. - Mo-

że zapomni...

- Nie bój się - odparła Lilka bardzo spokojna, choć blada. - Nie ma nadziei, aby nas to ominęło.

Wchodząc na pomost okrętowy, ujrzały ze zgrozą jakiegoś obcego ty-pa, stojącego obok kapitana. Lilka na moment zawahała się, czy ma przekroczyć pomost łączący statek z mołem, ale kapitan już je ujrzał z góry i począł wesoło machać ręką.

- *Kommt, Kinder!* - zawołał.

Była to typowa sytuacja bez wyjścia. Madzia była zielona ze strachu.

- Pokaż, że jesteś dumną Polką - szepnęła Lilka do niej.

- A ty się nie boisz?

- Jeszcze jak, ale teraz nie ma już wyjścia.

Kapitan przedstawił im swego kumpla. Syrena zaryczała jeszcze raz, po czym cały statek począł się trząść od pracy maszyn. Z komina buchnęły kłęby czarnego dymu i „Kormoran”, zatoczywszy łuk, wypłynął na morze. Obie dziewczynki milczały, tylko serca biły im głośno - „teraz...” -

myślały - „za chwilę...”

83

Tylko czekać, jak ten ponury typ wyciągnie z zanadrza igły, błękitny tusz i straszna tortura się rozpocznie.

Plaża swinemündzka oddalała się coraz bardziej. Kapitan kopcił fajeczkę.

- Cóżescie takie dzisiaj bez humoru? - zapytał drwiąco. - Macie stracha? Przecież morze spokojne jak jezioro.

- Nieee, skąd... czujemy się wprost wspaniale - odparła Lilka.

Tortura oczekiwania trwała półtorej godziny. Po czym poczciwa plaża Świnoujścia poczęła się znów przybliżać. I kochane moło wyłoniło się z morza. Zahuczała znów syrena i „Kormoran” począł dobijać do brzegu.

Dwóch majtków wyskoczyło na moło i przycumowało statek. Dziewczynki szybko podały rączki na pożegnanie obu mężczyznom i bardzo prędko zbiegły po schodkach na dolny pokład. Z góry doszedł je głośny śmiech dowcipnego kapitana: cha! cha! cha! - śmiał się grubym głosem -

cha! cha! cha! Nigdy nie miały się dowiedzieć, czy ponury typ, który im towarzyszył na tej przejażdżce, był rzeczywiście owym tatuownikiem, czy też podstawionym naumyślnie przez kapitana zwykłym pasażerem?

Mama bardzo była zagniewana na nie, że tak same i bez pozwolenia wyruszyły na morze, i surowo zabroniła im dalszych tego rodzaju eskapad.

Rozdział IX

ZAKOPANE

Zakopane - świadek życia obu siostr od ich najmłodszych lat. Zakopane - miejsce na ziemi o jakiejś przedziwnej atmosferze wszelkich szaleństw i możliwości, jak to określił angielski pisarz Chesterton, którego Zakopane od pierwszego wejrzenia oczarowało; uroczy zakątek - w któ-

rym rozwijały się i kwitły największe polskie talenty. Za austriackich czasów stanowiło ono jakąś małą wysepkę polskość, do której nie docierały żadne c.k. napisy i żółto-czarne kolory. Było zawsze białoczerwone ze swoimi ośnieżonymi szczytami i czerwonymi od promieni słońca zboczami górskimi. Tu nie słyszało się języka niemieckiego i nie widziało się reklam wiedeńskich wyrobów. Było się U SIEBIE. Wojciech Kossak specjalnie kochał Zakopane i Tatry i spędzał tam większą część roku. W

Zakopanem poznał swoją przyszłą żonę na jakiejś dobroczynnej wencji (bo to musiało być wszędzie) i oświadczył się o jej rękę. Ten już wówczas znany malarz, piękny 24-letni młodzieniec, za którym kobiety szalały, dostał od niej dwa razy kosza. Gdy córki pytały Mamę kiedyś, dlaczego z nim tak okrutnie postępowała, odparła: „Aby mnie więcej szanował i cenił...” - Tak wyrafinowane były wówczas młode Polki, które według słów Wincentego Pola miały być „niby jakieś niebożątka”. Jak widzimy,

„niebożątka” umiały lepiej postępować z mężczyznami od dzisiejszych

„kociaków”. Gdy za trzecimi oświadczeniami został w końcu przyjęty, wydawało się pięknemu Wojtkowi, że zdobył największy skarb. Pisał też do niej w swoich listach narzeczeńskich: „Mój Skarbie najśliczniejszy” albo „Moje Caco”.

W podróż poślubną postanowił udać się nie do Włoch, jak to uczynili jego znajomi, ale do... Zakopanego, a stamtąd na... Zawrat. Manusia przysięgała przy akcie ślubnym „posłuszeństwo”, które miało się 85

stosować do wszelkich zachcianek męża, więc bez sprzeciwów poszła na wysokogórską wycieczkę w prunelkowych trzewiczkach, w sukni z turniurą, spiętą po bokach klamerkami, aby była nieco krótsza, i małym kapelusiku z wstążkami wiązany pod brodą (z gołymi głowami chodziły wówczas tylko „femmes de chambrey”). Nim doszli do schroniska, zrobiło jej się słabo, a w schronisku zemdląła. Ocuciwszy młodą małżonkę, Wojtek, będący jak wszyscy Kossakowie żarłokiem, rzucił się wygłodniały na kiszkę kaszaną i pożarł ją wraz z p a t y k i e m ! Ciężko odchorował później ten „twardy” posiłek i gdy w końcu po wielu zabiegach patyk się „ujawnił”, Manusia gorąco

dziękowała Bogu za uratowanie kochanego męża.

Madzię zawieziono pierwszy raz koleją do Chabówki, a stamtąd furką do Zakopanego, gdy miała trzy lata. Gdy zobaczyła Giewont, rozplakała się okropnie i odtąd zawsze zasłaniała oczy na jego widok. Przestała się go bać dopiero wówczas, kiedy, jako większą już dziewczynkę, zaprowadzono ją na sam szczyt. Stąd wniosek, że nie należy się bać rzekomych wielkości.

Była wówczas dziewczynką bladą, nalaną, o skłonnościach malarycznych. Miała wielkie niebieskie oczy i malutki nosek, widoczny jedynie dzięki roztropnej Babce, która jej go palcami wyciągała, bo dziecko to urodziło się podobno z dwiema dziurkami zamiast nosa. Wyrzucała później Babce Kossakowej, że ta nie posiadała zdolności plastycznych i że jej nie wyciągnęła nosa o kształcie greckim. Ponieważ była bardzo spokojna i poważna, rodzeństwo nazywało ją „ciocią Madzią”. Po silnym wstrząsie z Giewontem prawie wszystkie jej większe przeżycia łączyły się z Zakopanem.

Aż do wybuchu drugiej wojny światowej Zakopane odgrywało w Polsce rolę wielkiego literacko-artystycznego klubu. Kto z braci artystycznej raz łyknął tego zaczarowanego powietrza, musiał już albo przyjeżdżać tu kilka razy do roku, albo też tak czuł się wszędzie źle, że osiadał w Zakopanem na stałe. Słynny w okresie międzywojennym pianista holenderski, Egon Petri, przyjechawszy tam raz ze swoim koncertem oświadczył, że nigdzie indziej już mieszkać nie będzie, kupił willę w Zakopanem i

86
stamtąd wyjeżdżał na swoje artystyczne *tournée*. Nie obliczył się jednak z tym, że w Zakopanem rozpylony był wówczas jakiś niebezpieczny bak-cyl „kocha - nie kocha”, jakiś wybujały erotyzm, który rozkazywał kochającym i uczciwym żonom porzucać nagle swego dozgonnego towarzysza i rzucać się w objęcia innego „pięknoducha”. Granitowe kolosy, patrzące z wyższością na brzydką, małą osadę i na szkaradne w każdej epoce Krupówki, oglądały co roku różne cuda i dziwy, które wyczyniały tak zwane „cepry”. Piękna, kochająca swego męża pani Petri po kilku latach pobytu w Zakopanem zakochała się nagle w brzydkim od urodzenia i niemłodym malarzu Brzozowskim i przez dłuższy czas stanowili nieroz-

łączną parę.

Chmurne turnie, spoglądając w Dolinę Kościeliską, zaciągnęły na groźne oblicza welony z obłoków, aby nie patrzeć, jak narzeczona Witkacego (Stanisława Witkiewicza juniora) będzie skakać w przepaść z jednego ze skalnych kominów. Popęłniła ona wówczas samobójstwo, nie mogąc dłużej znieść ponurej indywidualności tego genialnego chłopca, w którym pokutowały resztki satanizmu Przybyszewskiego. Kiedy indziej zdumiewały się skalne profile widząc, jak zwariowana i dzika Zofia Stryjeńska, słynna malarka, rzuca w swojego męża, uroczego Karola Stryjeńskiego, płonąca lampę naftową albo jak mu przed jakimś jego reprezentacyjnym występem kraje z zazdrości frak na drobne strzępy i jak leci zbić miotłą swoją rywalkę - zakopiańskiego wampa, panią M., osobę wówczas nieuleczalnie chorą, w której kochały się beznadziejnie wszystkie te chorobliwe pięknoduchy.

- Bo romans z nią - oświadczył znakomity rzeźbiarz, August Zamoyski - to tak jak niebezpieczna wyrypa górską.

W tych czasach, kiedy żony i mężowie nie byli pewni dnia i godziny, granitowe kolosy ujrzwały scenę, która musiała nimi wstrząsnąć do głębi.

Oto gniazdo Pawlikowskich na Bystrem, tak zwany Koziniec. Piękne, w czysto góralskim stylu utrzymane dworzyszczce, urządzone z wielkim smakiem: drewniane, rzeźbione stołki, ławy przykryte ludowymi kilim-kami, cynowe misy, mosiężne dzbany, na ścianach ręcznie malowane talerze góralskie, wszystko w najszlachetniejszym gatunku. Panuje tu jednak nastrój ponury, pełen tak lubianej wówczas d z i w n o ś c i .

87

Po wielkich izbach o belkowych pułapach krząta się stara zgarbiona wróżka, zawsze w wełniakach, pani Wanda Pawlikowska, żona starego Jana Gwalberta. W alkowie pierwsza żona starszego syna, Michała, Maryna, zaplata przy świeczce włosy, zarzuca góralską chustkę na ramiona i mimo że na dworze dmie niepokojący halny, zbiega na dół do znajomych gazdów, gdzie na nią czeka jej ukochany góral. Nikt jej tego nie ma za złe. Na tej scenie ponurego zamczyska w góralskim stylu powinny dziać się jakieś ibsenowskie tragedie. Zakopiański Rosmersholm nie uznaje szczęśliwego małżeńskiego pożycia, pogody i duchowego komfortu. To byłoby zbyt banalne, zbyt proste. Tej atmosferze ulega również młodszy syn, Jan Pawlikowski, piękny młodzieniec, istne górskie bóstwo. Skalny profil, oczy przezroczyście, niebieskie, chłodne jak lodowiec, włosy rozdzielone pośrodku głowy opadają mu jak orle piórka po obu stronach twarzy. Siedzi naprzeciwko swojej żony - poetki, Marii z Kossaków Bzowskiej-Pawlikowskiej, czyli Lilki - i mówi do niej w ten sposób:

- Szczureczku - (w tej rodzinie, żeby było d z i w n i e j , każdemu nadawano nazwę wręcz przeciwną do jego charakteru) - wiesz, jak cię kocham; ale mam zostać ojcem. Będziemy musieli się rozwieść... chyba że ty zechcesz to dziecko zaadoptować.

Wiatr halny szarpie szybami, chwieje płomyczkami świec w lichta-rzach - złowieszczo skrzypią drzewa. Drzwi same się otwierają i zatrza-skują. Nastrój jak diabli! Lilka jest blada, ale spokojna i opanowana.

Macha w powietrzu piękną smukłą nogą. Olbrzymie niebieskie oczy wbiła w swojego „Jaśka”. Trzy lata zaledwie minęły, kiedy pisała w pa-miętniku: „Pocałowałam cię na progu mojego domu - o, radości pro-mienna! Jaśku, życie moje... Jaśku!...” Prawie zaraz po ślubie wielka międygwiezdna miłość obojga poczęła opadać, skropliła się we łzach poetki, pozostała w jej wierszach - Jaś, który nie miał być „Jasiem z Księżycy”, ale z planety Wenus, okazał się typem czysto ziemskim, zakochał się w małej ślicznej tancereczce, uczennicy znanej tancerki Rity Sachetto, i nawet występował z jej całym zespołem jako tancerz w masce pod pseudonimem hrabiego Orłowa. Lilka jest poetką i nie może żyć 88

bez miłości, więc też zakochuje się w kimś innym. Okropnie się męczą oboje, bo są mimo wszystko do siebie bardzo przywiązani. Jasiek przyjeżdżał, wracał... Lilka stroiła się na jego przyjazd, wpinała kwiaty we włosy.

Ponieważ rodzina Pawlikowskich zaraziła ją jakimś swoim dzi-wacznym, *quasi-dziecinnym* stylem, więc nazywa swojego męża „Kwa-kiem”.

- Nie. Kwaku - mówi chłodnym głosem - nie zaadoptuję twojego dziecka...

- Boś ty nigdy nie chciała mieć dzieci! - wybucha Jaś.

- Gdyby ludzie byli nieśmiertelni, miałabym ich dziesięcioro! Nie mogę brać na swoją odpowiedzialność rodzenia ś m i e r t e l n i k ó w : Jaś zaciska ręce, aż stawy trzeszczą. Jest to kawał histeryka.

- Więc ty się zgadzasz na to, abym cię opuścił na zawsze?

- Daj spokój, Kwaku... możemy się rozwieść, skoro tego chcesz...

Madzia, wciśnięta w kąć ławy przykrytej kilimem, chlipie.

- Błagam, Lileczko, zaadoptuj to dziecko, co ci szkodzi... Tylko się nie rozchodźcie...

- Cicho, Madziusiu - mówi Lilka. - Nie wtrącaj się do nas. Rozwie-dziemy się, rzecz postanowiona.

- A co mama na to powie?

Lilka pochmurnieje. Ta słodka Mama, tak cnotliwa i pobożna. Znadto często twierdziła, że w Kościele katolickim nie ma rozwodów, i oto ledwie przeboleła pierwszy rozwód swojej starszej córki, a tu już drugi nadlatuje. Poza tym cała rodzina Kossaków przepada za uroczym Jasiem, i Tatko, i Mama. Będzie to dla nich poważny cios. Ale znowu tak żyć nie ma sensu, ni to małżeństwo, ni to para przyjaciół. Należy rozciąć, zoperować braci syjamskich, przecież całą sztukę wierszem o tym napisała.

Lilka idzie do swojego pokoju, który nawiasem mówiąc wciąż jej na Kozieńcu zmieniają, gdy ma przyjechać jakiś ważniejszy gość, co ją bardzo drażni. W ogóle w tej rodzinie uważa się, że w Polsce był tylko jeden wielki poeta, a mianowicie Juliusz Słowacki, a z poetek, urocza zresztą, 89

Maryla Wolska, z którą Michała Pawlikowskiego łączą długoletnie stosunki miłosnej przyjaźni. Lilka - owszem, ładne pisze wierszyki, ale i Jaś przecież tworzy poezje, nie mówiąc już o Michale. Bardzo kochany Szczurek, ale nic znowu takiego nadzwyczajnego w rodzinie Jana Gwalberta seniora. Madzia przeżywa tę całą historię o wiele dramatyczniej od swojej siostry, która przy świeczce poszła pisać wiersz, jaki - nie wiadomo. Może ten o Don Juanie i o Doni Annie:

Dony Anny porzucać nie wolno!

Wolno tylko powtarzać jej z wolna:

O paloma! o paloma mia!

Całą noc Madzia przesiedziała wówczas ze swoim szwagrem, który bawił się rewolwerem i mówił, że musi popełnić samobójstwo, ponieważ kocha Szczurka, a równocześnie chce być ojcem... Wypili razem przez tę noc całą butelkę koniaku.

Zakopane ówczesne było azylem dla zaawansowanych i mniej zaawansowanych gruźlików. Gruźlicy rozmieszczali się nie tylko w sanatorium dra Dłuskiego, Chwistka (ojca Leona), dra Hawranka i innych, ale również po prywatnych pensjonatach, gdzie jadali z tych samych talerzy, co wszyscy zdrowi goście, i zarażali ich. Po balkonach, w największym słońcu, ponieważ wówczas lekarze uważali, że słońce jest doskonałym lekarstwem na kawerny w płucach, zesychali na brązowe mumie młodzi mężczyźni i piękne młode kobiety o czerwonych, spieczonych ustach i błyszczących oczach. Zdrowi mężczyźni kochali się w interesujących gruźliczkach lub też odwrotnie i takie tragiczne pary spotykało się spacerujące wolno po dolinkach lub wysiadujące u Karpowicza, Gruźlica była chorobą poetyczną, chorobą duszy wyższych, chorobą pisarza, po-etów i malarzy. Toteż gdy Madzia jako podrastająca panienska zaczęła gorączkować i została przez dra Majewicza wysłana do Zakopanego, poczuła się istotą niezmiernie interesującą, choć nieszczęśliwą, i z pewną smutną dumą spoglądała na swoje otoczenie. Ponieważ miała tylko lekko powiększone gruczoły, więc niepokojące temperatury minęły i znów sportowy duch zagościł w tym na ogół zdrowym ciele. Obie z Lilką, 90

Babcią Kossakową i nieodzowną *Fraülein* przesiadywały całymi tygodniami w Zakopanem, chodząc na górskie wycieczki i biegając po doli-nach. Babcia, która spokrewniona była z panną Anielą Zagórką, stała tłumaczką dzieł Józefa Conrada na język polski, zaprowadziła kiedyś do panny Anieli obie dziewczynki, aby poznały sławnego pisarza. Conrad, drobny pan z brodą, o przenikliwych oczach, nie zrobił na nich żadnego wrażenia, tak samo jak one na nim. Był obojętny, suchy i Polska wcale mu się nie podobała, jak to później dał do zrozumienia w swoich wspomnieniach. Po Zakopanem i po Krupówkach spacerowali brodaci panowie w pelerynach, między nimi Kasprowicz, Orkan, Tetmajer, Karłowicz, młody wówczas, ale już też brodaty Andrzej Pronaszko, który uwiódł

Madzię na spacer do Hali Gąsienicowej. Kazał jej jak fotograf, stawać z daleka od niego, w słońcu, i przymrużonymi oczami spoglądał, czy jest dość „malarska”.

- O tak, niech pani się zatrzyma jeszcze chwilę... cudownie... co za koloryt!

- Mimo iż spacer nie miał w sobie nic zdrożnego i panienska wró-

ciła z niego jako *virgo intacta*, Mama bardzo się na nią pogniewała i kazała jej przysiąc, że nigdy więcej nie będzie spacerować sam na sam z młodym człowiekiem.

- Wprawdzie - dodała - ten pan Pronaszko to jakiś spokojny i przyzwoity człowiek, ale z tymi malarzami to nigdy nic nie wiadomo...

Lilka i Madzia nieraz musiały się nałykać wstydu za tę kochaną Ma-mę, która była taka przesadnie cnotliwa i staroświecko zacofana. W sali

„Morskiego Oka” odbywały się wówczas artystyczne imprezy. Któregoś wieczora pani Kossakowa wybrała się ze swymi córkami na wieczór piosenki i humoru, w którym brał udział humorysta Zygmunt Trojanowski.

W pewnym momencie, gdy jego monologi wydały się jej nie dosyć przyzwoite dla uszu młodych pańienek, rzuciła w stronę córek gromki rozkaz

„wychodzimy!” Siostry, czując komizm sytuacji, starały się jej wytłumaczyć, że tonie wypada, ale wola komendanta rodziny była niezłomna: -

Czy dziewczynki słyszały, co powiedziałam?! - powtórzyła już surow-szym tonem. Powstała, a za nią obie córki z okropnie głupimi minami, 91

czerwone ze wstydu. Trojanowski przerwał swój monolog i ubawionym wzrokiem odprowadził je do drzwi wyjściowych. Gdy w wiele lat później spotkał Magdalенę, jak jeździła po Polsce ze swoim frywolnym odczytem pod tytułem: „O miłości skórzanej, płóciennej i papierowej” - przypomniał jej ten incydent.

Tatry przed pierwszą wojną światową należały do prywatnych właścicieli. Bogaci górale, tacy jak Bustryccy, Gąsienice, Sobczakowie i inni, posiadali tam swoje grunta. Lasy koło Morskiego Oka i Kuźnice należały do dóbr hr. Zamoyskiego, a Szaflary, Murzasichle i Dolina Jaworzynki do bogatego szlachcica pana Uznańskiego. Stary Uznański miał czterech synów i jedną córkę, ta wyszła później za męża za podupadłego, starego księcia Sułkowskiego, któremu na gwałt potrzeba było potomka dla „zachowania linii”, ale mu tego potomka nie zrobiono. Jeden z młodych Uznańskich, Józef, był mocno „kopniętym” typem, który chodził w habicie, nosił tonsurę i rudą brodę, przy czym modlił się pod figurą a...

chłopców miał za skórą: młodych górali, a przede wszystkim k o m i -

n i a r z y . Podobno, gdy mieli przyjść kominiarze, przyjęcia u niego były najwystawniejsze. Pokazywał się później, wniebowzięty, ze śladami sadzy na twarzy. Od czasu do czasu, aby zmienić „menu”, nie gardził

również i młodymi górkami. Jedną z nich tak zatknęło, że przez kilka dobrych chwil nie mogła ust otworzyć. Gdy przyszła do siebie, opowiadała o tym później w ten sposób:

- No to, wicie, pon Józef pedzioł, co byk przysła du niego, a on mi da święte łobrozecki. Przisłam, a tu, wicie, stół piknie zastawiony: gorzał-

ka, piwo, kielbasa i nikogusieńko, wtej dźwirze się łotwierajom i pon Józef w nich staje nagusieńki z rudą brodą, jak diobeł - no to mnie, wicie, zatkneno!

Córka starego Uznańskiego, Maryna, była wysoką dziewczyną, starszą od Kossakówien o dziesięć lat. Miała rudozłote, kręcone włosy, które jej rosły nawet na twarzy, wydatną końską szczękę i małe zmrużone oczka. Mama pozwalała obu swoim córkom chodzić z nią na górskie wycieczki, uważając ją za dostateczną dla nich opiekę. Maryna biegała 92

po górach jak koza i co chwila rżała końskim śmiechem. Kiedyś zaprowadziła Lilkę i Madzię do Doliny Jaworzynki. Któraś z nich zaczęła grymasić, że jej się tu nie podoba i że wolałyby pójść gdzie indziej.

- Powinnyście wiedzieć o tym, smarkate, że jak się jest U KOGOŚ -

bo to nasze dobra - to się nie grymasi i nie mówi, żeby się wolało pójść gdzie indziej, ale skoro tak,

skoro wam się U MNIE nie podoba, to wra-cajcie sobie same do domu! - po czym tak szybko pognęła naprzód na swoich długich nogach o olbrzymich stopach, że biedne dziewczynki nie mogły jej dogonić. Przerazone wołały za nią, aby się wróciła, Madzia coraz płaczliwszym głosem krzyczała: „hop-hop!” - ale tylko echo górskie odpowiadało im na to. Zbłąkane, po dłuższym czasie dopiero doszły do szosy i pod wieczór wróciły do Zakopanego.

Generałowa Zamoyska, jedna z właścicielek Tatr, posiadała w Kuźnicach słynną szkołę gospodarczą dla młodych dziewcząt. Szkoła ta dzieliła się na dwa c h ó r y . Chór pierwszy - płatny - przeznaczony był dla pań z obywatelskich domów, które miały się u niej wyuczyć gospodarstwa domowego i wiejskiego, i drugi chór - bezpłatny - dla wiejskich dziewcząt, które miały się tam wykształcić na wzorowe gosposie. Generałowa była istnym generałem w spódnicy i jej wychowanice, tak zwane Cepculki (od białych czepców, które nosiły na głowach), trzęsły się przed nią ze strachu, jak przed drugim Panem Bogiem. Gdy któraś córka była nieposłuszna albo nie chciała się uczyć gospodarstwa domowego, to matka jej groziła: „Oddam cię do Kuźnic do generałowej Zamoyskiej!

Tam się nauczysz nie tylko gospodarstwa, ale posłuszeństwa i poczucia obowiązku”. - Ileż razy słyszała Magdalena tę groźbę z ust Matki. Pani Zamoyska pilnowała skrzętnie, aby żadna myśl zdrożna nie powstała w głowach jej wychowanie. Wojciech opowiadał swoim córkom, jak będąc jeszcze kawalerem przebywał w Zakopanem wraz ze swoim bratem-bliźniakiem, Tadeuszem, i jak obydwaj stali się postrachem cnotliwej generałowej. Młodzi Kossakowie znani byli z wybitnej urody. Ilekroć po drodze do Kuźnic napotykali panią Zamoyską na czele hufca Cepculek, czujna pani generałowa rzucała głośno komendę dziewczynkom: „patrz w lewo!”, gdy Kossakowie szli prawą stroną szosy, lub „patrz w prawo!”, 93

gdy szli po lewej. Zaczyna matrona nie zaniedbywała również swoich fi-nansowych spraw i w Kuźnicach założyła wzorową kawiarnię, w której były najlepsze w Galicji ciastka, wykonywane - pod fachowym nadzorem

- przez jej wychowanice, tak że produkcja nic jej nie kosztowała. Do obsługi gości przeznaczone były dziewczęta z drugiego chóru, a więc i obsługę miała za darmo. Produktów dostarczały dobra kórnickie, więc wszystko razem było imprezą czysto dochodową. Nikt jednak nie nazywał pani Zamoyskiej „genialnym businessmanem”, tylko „wielką polską panią”.

Jak już wyżej było wspomniane, wszystkie ważniejsze wydarzenia w życiu obu Kossakówien ściśle związane były z Zakopanem. Nawet...

pierwszy papieros. Podczas pierwszej wojny światowej rodzina Kossaków schroniła się do Zakopanego, gdzie zamieszkiwała najpierw w za-kładzie dra Chramca, a później w pensjonacie „Stamara”. Siedemnastoletnią Magdalenię nakłoniła do zakosztowania pierwszego papierosa jakaś dorosła pannica. Madzi początkowo zrobiło się niedobrze - potem jednak paliła już jednego po drugim. Była to zapewne samoobrona przed nadmiarem krzepy i zdrowia. Ale nikt sobie dzisiaj nie zdaje sprawy, czym był wówczas papieros w ustach młodej panny! Ów zwitek tytoniu w bibułce stał się symbolem emancypacji, a nawet złego prowadzenia.

Przecież tak zwane tinglówki zawsze malowało się z papierosem w ustach. Nuty z operetki

„Rozwódka” też przedstawiały piękność ćmiącą

„cygaretkę”.

- Ona pali papierosy... - mówiły matki do synów, krzywiąc się przy tym, co oznaczało, że one by nigdy na mariaż z taką nie zezwoliły.

- Jeśli będziesz paliła, to żaden przyzwoity młody człowiek nie bę-

dzie chciał się z tobą ożenić - ostrzegała Mama swoją córkę Magdalenę.

Strach ówczesnych matek, aby córki przypadkiem nie pozostały w domu przy rodzicach, był wręcz nieopisany. Bardzo wiele młodych panien, które nie miały szans dobrego zamążpójścia, szło do klasztoru, aby tylko nie słyszeć złośliwych drwin rodziców i młodszego rodzeństwa oraz wiecznie powtarzającego się epitetu „stara panna”.

94

Magdalena oczywiście przyrzekała solennie, że nigdy więcej nie weźmie papierosa do ust, ale gdy tylko uroczysta postać Matki zniknęła z pola widzenia, wyciągała z kieszeni wonnego „damesa” lub upajającego

„egipskiego” i zaciągała się dymem po pępek. Ponieważ ówczesne panny nigdy nie posiadały pieniędzy, więc wykradała papierosy Ojcu lub też chętnie korzystała z uprzejmości częstujących ją znajomych młodzień-

ców. Kiedyś, a było to również w Zakopanem, o mało tego nałogu nie przyplaciła życiem. Zakład dra Chramca położony był w pięknym cieni-stym parku. Przyjemnie tam było siadywać na ławeczce, z książką, paląc papierosy i gryząc czekoladę. Kiedyś Madzia, w jasnej letniej sukience, siedziała właśnie kopiąc papierosa, gdy wtem ujrzała zbliżającą się godną postać Mamy. Szybko schowała go za siebie, ale gdy Mama zniknęła na zakręcie ścieżki, cała batystowa sukienka stanęła w płomieniach. Na szczęście na poręczy ławki wisiał biały wełniany dżemper. Z zadziwiającą przytomnością umysłu przydusiła nim płonąca suknię i pobiegła szybko do domu, krzycząc, ponieważ, „ratunku!” Miała na sobie spalone wszystko oprócz... skóry. Ale palacza nawet pożar nie odzwyczaia od palenia. Przerażona Mama przestała ją prześladować. „Może jednak po-mimo to wyjdzie za mąż” - myślała ta czcigodna dama. - „Ostatecznie każda z moich córek ma posagu sto tysięcy koron złożonych w banku, co wobec prawdziwie posażnych panien, tych, które posiadają po kilka tysięcy mórg ziemi, nie jest wiele, ale zawsze jest to coś...” - Należy zaznaczyć, że w owych czasach osobiste zalety panien były tylko atrakcyjnym dodatkiem do posagu. Jeśli posag był mały lub wcale go nie było, najpiękniejsze panny miały minimalne szanse, aby klęknąć przed ołtarzem i powtórzyć za księdzem nabrzmiałym ze wzruszenia głosem: „Biorę sobie ciebie... na siebie...” czy coś w tym rodzaju. Małżeństw z miłości lub ze wspólnych upodobań i zainteresowań było niesłychanie mało. Na ogół panny wychodziły za mąż za pierwszego, który się o ich rękę rodzicom oświadczył, tak jakby przyjęły ramię jakiegoś tancerza do mazura, aby tylko nie siedzieć, gdy inne tańczą, czyli aby - jak to się wówczas mówiło - „nie gryźć pietruszki”. Tylko bogate i piękne mogły wybierać i 95

grymasić, wszystkie inne brały, co Bóg dał, tym bardziej że babki i ciotki mówiły im z tajemniczym uśmiechem, nie pozbawionym obłeśności, że

„miłość, moje dziecko, zwykle przychodzi po ślubie...” Nie można się więc dziwić, że nasze dwie siostry, nasiąknięte tą zaciemnioną atmosferą, w której to, co istotne i naturalne, gubiło się w jakichś przyjętych formach i przesadach, nie myślały o niczym innym jak o szybkim za-mążpójściu. Pierwszym narzeczonym Madzi był niejaki pan Tolo, które-go poznała u Chramca w Zakopanem. Na pierwsze wejrzenie nie zrobił

on na niej żadnego wrażenia. Był niezgrabny, strasznie czarny, miał

olbrzymi nos i murzyńskie usta. Zaczęli chodzić razem na wycieczki i młodzieniec zakochał się. Objawiało się to w różnych drobnych czuło-

ściach: gdy na przykład w górach lunął deszcz, ruchem zdecydowanym ściągał z siebie marynarkę, aby zasłonić panienkę przed zmoknięciem, na spacerach w lesie zbierał dla niej grzyby i jagody, spozierając przy tym na nią łakomym wzrokiem, jak na świeżo dojrzałą poziomkę. Ale żeby ją móc połknąć, trzeba się było oświadczyć. Rodzice Madzi nie brali na serio tego skromnego konkurenta:

- Nie rozumiem, co Magdusia w nim widzi - mówił Tatko podkreca-jąc wąsa.

Gdy cała rodzina Kossaków wróciła z Zakopanego do Krakowa, pan Tolo począł „oficjalnie” bywać w ich domu. Grywał z Madzią w szachy i tańczył z nią przy dźwiękach wielkiego gramofonu z tubą.

- Kiedy pan nareszcie oświadczy się rodzicom o moją rękę? - namawiała go panienka.

Młodzieniec jednak nie spieszył się zbytnio. Rozgniatał murzyńskimi wargami jej panięskie usteczka, gdy nikt nie widział, i mamrotał: „kocham, kocham... ponad wszystko”.

Rodzice Madzi byli zaniepokojeni, sprawa zaczęła przybierać poważ-

ny charakter. Ostatecznie nie mogli mieć nic przeciwko niemu. Rodzina dobra, ziemiańska, mająteczek ziemski niemały, chłopak zdolny, tylko że taki nieefektowny. Ale cóż. skoro Madzia twierdzi, że „kocha”... a nuż się jej nikt lepszy nie trafi?

- Dzisiaj musi się pan oświadczyć - rzekła mu Madzia surowo i kategorycznie. Oczywiście chodziło jej przede wszystkim o to, aby być 96

oficjalnie zaręczoną i imponować Lilce, która zawsze brała nad nią górę.

- „Lilusia pęknie z zazdrości, gdy ja wpierw od niej wyjdę za mąż” -

kombinowała. Młodzieniec zgodził się i poszedł do salonu, gdzie na se-cesyjnej kanapce siedziała Mama w czarnej aksamitnej sukni, obwieszona różnego rodzaju łańcuszkami, jeden był od złotego zegareczka, drugi od *lorgnon*, a trzeci tak sobie, dla ozdoby, cały z małych ametystów.

Przez kotarę dzielącą salon od jadalni słyszała Madzia, jak prosił o jej rękę zdławionym i ściszym

ze wzruszenia głosem.

- Ale czy Madzia będzie z panem szczęśliwa?

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy...

- No, skoro tak...

Gdy wrócił do Madzi, był spocony jak koń po treningu i chustką ocierał czoło. To bezsensowne małżeństwo byłoby się może dokonało, gdyby nie mądry i przezorny Tatko, który młodzieńca wziął do Hawelki na śniadanko i rozpoczął z nim męską rozmówkę:

- Czy pan może mi dać słowo honoru, że pan nigdy nie przechodził

żadnych chorób... już pan wie jakich?

Młodzieniec zbladł jak ściana: - Daję słowo honoru, że nie... - odparł.

Niemniej od tej pory zmienił się nie do poznania. Zaczął być cierpki, kwaśny. Wyrывał Madzi z ust papierosa, mówiąc bzdury w rodzaju:

„matka moich dzieci nie może palić papierosów” i tym podobne rzeczy.

W końcu oświadczył, że nim się ożeni, musi wpierw pojechać na studia do Paryża. Wówczas Madzia zerwała z nim, co jej przyszło tym łatwiej, że go wcale nie kochała. Wieczór był zimowy, Magdalena, otulona w piękny cygański szal w tęczowe pasy, siedziała z podwiniętymi nogami w rogu kanapki. Miała wtedy długie rzęsy, szerokie ciemne brwi, twarzyczkę jak morela, a nad górną wargą wąsiki, które panów doprowadzały do szału. Wąsiki u kobiet były wówczas specjalnym urokiem.

Usłyszawszy wyrok pożegnania na zawsze, młodzian padł do jej stóp i począł szlochać. W jego miłosnym bełkocie były jakieś „białe śniegi”, jakiś „bezcenny skarb”, który jest zmuszony porzucić, i inne tego rodzaju komunały. Madzia miała również łzy w oczach. Całe te pożegnanie opisała w swoim dzienniczku stylem cklwym i napuszczonym. Gdy to nazajutrz przeczytała, zaśmiała się sama z siebie.

97

W jakiś czas potem zaręczyła się z Janem Starzewskim, bratankiem Rudolfa Starzewskiego. Winne temu zupełnie niedobranemu małżeń-

stwu było to przekłete-zakłete Zakopane ze swą romantyczno-erotyczną atmosferą, przesiąkniętą lasecznikami miłości. Jaś był wówczas legionistą-szeregowcem, a później adiutantem Sikorskiego. Mówił o Piłsud-skim „Ziuk” i był zagorzałym pepesowcem, chociaż tomik poezji legionowych (pisywał wiersze, a jakże!) zadedykował swojemu koledze szkol-nemu, hr. Potockiemu z Krzeszowic. Dziwna to była ta pierwsza wojna europejska, a później wojna polska, w której żołnierze mogli sobie brać długie urlopy, wyjeżdżać do Zakopanego i strugać wobec pańienek frontowego wojaka, którego jakimś c u d e m ominęły kule i odłamki poci-sków. Jakkolwiek młody

Starzewski nie odpowiadał ideałowi Madzi, bo był okrągły, tłuściutki i daleki od obrazu sportowego, muskularnego młodzieńca, robił jednak na niej silne wrażenie, chociażby przez swój mundur legionowy. Jaś uwielbiał Boya, Wyspiańskiego, Miriama i francuskich impresjonistów, a z lekka pogardzał malarstwem Kossaków. W

ogóle należał do wrogiego Kossakom obozu „Czasu”, który od czasu do czasu lubił Wojciechowi przypiąć łatkę. Był więc przez rodziców Magdaleny traktowany chłodno i nieprzychylnie, co mu tylko dodawało uroku Capulettich wobec Montecchich. W tajemnicy przed Mamą widywała się z nim, chodząc na spacer po dolinkach i Nosalach. Nie myślała jednak serio o małżeństwie z Jasiem i nigdy nie byłoby do tego doszło, gdyby nie historia z „cygaretką”. Padał wtedy deszcz i oboje siedzieli na dwóch skrzydłach bramy wjazdowej willi „Pod Jedłami” Pawlikowskich. Wiatr zbliżał obie połowy bramy i oddalał. Czułe słowa młodzieńca dochodziły do niej raz silniej, raz słabiej. Nastrój był mało romantyczny.

- Proszę mi dać papierosa - poprosiła Madzia.

Jaś miał przy sobie tylko małe cygarka, czyli „cygaretki”, bardzo mocne, o silnym mdłym zapachu. Madzia zaciągnęła się i momentalnie zrobiło się jej słabo. Na zapytanie Jasia: - Czy chce pani zostać moją żoną? - odparła „mdlejącym” głosem: - Tak. - Jaś wziął to na serio i od-tąd uważał się za jej narzeczonego.

98

Zakopane w roku 1916 widziało też bardzo dziwną podróż poślubną dwudziestoletniej Lilki z Władysławem de Janota-Bzowskim, pięknym ułanem z armii austriackiej. Już sam przydomek „de Janota”, którym się ten młody człowiek bardzo szczycił, powinien był Lilkę wstrzymać od tego niedobranego małżeństwa. Ale ona była poetką, ubrała młodego oficera w swoje poetyckie marzenia o mężu-kochanku i poprzez te marzenia nie dostrzegała jego przeciętnej, pocziwej duszyczki. Nie była to zresztą jego wina. Wychowywał się w wiedeńskim Theresianum, a nie mając majątku wstąpił na stałe do służby wojskowej. Był zacnym, po-rządny człowiekiem bez n a ł o g ó w ; jedynie można mu było zarzucić to, iż nie zdawał sobie sprawy, że bocian nie jest odpowiednim mężem dla orlicy. Wszyscy w domu wiedzieli, że Władzio nie będzie właściwym mężem dla Lilki, ona po dwóch latach narzeczeństwa też chyba zdawała sobie z tego sprawę, ale fizycznie zanadto ją pociągał, aby się mogła go wyrzec.

W podróż poślubną postanowili pojechać do Zakopanego. Ponieważ pociągi zajęte były wojennymi transportami, poproszono Tatkę o auto.

- Ja mojego wozu bez siebie nie dam - odparł Wojciech kategorycznie. - Będę musiał z wami pojechać.

- To świetnie, tatku! - zawołała Lilka.

- Ależ, mój Wojteczku - zaproponowała Mama - przecież nie ma sensu, abys jechał z nimi w podróż poślubną!

- A cóż to szkodzi... - Wojciech podkreślił węża i spojrzął na młodszą córkę, na którą nikt w tym dniu nie zwracał uwagi. - Tylko jest jedna rzecz - dodał po chwili - że ja bez Magdusi nigdzie się nie ruszę. Albo weźmiemy Madzię, albo radźta sobie, jak chceta, ja się nie myślę nudzić przez całą drogę.

Bzowski spojrzął na teścia z niesmakiem. W jego zacnej szlacheckiej rodzinie taka rzecz byłaby nie do pomyślenia. Jakżeż to państwo młodzi mają jechać w podróż poślubną w asyście całej rodziny młodej żony?!

Może jeszcze i teściową zechcą zabrać!

- To najlepiej nie jedźmy nigdzie - rzekł z godnością.

- Dlaczego?! - wykrzyknęła Lilka. - To świetny pomysł, aby i Madzia jechała, będzie nam o wiele weselej.

99

Wszyscy czworo więc, z szoferem Jankiem Mazankiem na piątego, mieli wyruszyć w podróż poślubną nazajutrz rano.

Madzia, wsiadając do samochodu, z żalem spojrzała na stojącą na stopniach werandy Mamę.

- Weźmy i mamę! - zawołała. - Mamidło doskonale się zmieści!

- Naturalnie - dorzuciła młoda żona. - Nie ma powodu, aby Mamidło zostawało w domu, skoro wszyscy jadą.

- W t a k i m razie ja nie jadę - odparł młody mąż wychodząc z auta.

- Jedźcie, jedźcie! To nie miałoby sensu, abym jeszcze i ja z wami jechała. W imię Ojca i Syna, i Ducha! - zrobiła nad nimi wszystkimi znak krzyża i zniknęła w drzwiach domu.

„Ona jedna z nich wszystkich, co ma trochę taktu” - pomyślał na pewno ułan wsiadając do wozu.

Na Lubniu, jak zwykle podczas samochodowych wycieczek, musiał

odbyć się tzw. podkurek. Tatko zatrzymał maszynę i wyciągnął spod siedzenia skórzaną kantynę, w której była zawsze gdańska „Złotówka”, krakowska kiełbasa, chleb i masło. Nie było na całym świecie większych przysmaków. Tatko krajał kiełbasę w wielkie kawały i wszystkim po kolei dawał pić z tego samego kubka wódkę, w której pływały złote opił-

ki. Na samym końcu pił szofer, po nim znów *da capo* goliła wódkę Madzia, która zawsze była istotą trunkową. Lilka nie lubiła wódki i z przerażeniem spoglądała, jak młodszą siostrą wypijała bez zajknięcia jeden kubek po drugim. Ponieważ nikomu się zbytnio nie spieszyło, z wyjątkiem może pana młodego, więc Wojciech, podjadłszy tęgo, wyciągnął z wozu swoją kasetę z farbami, postawił na niej kartonik i począł szybko malować na nim fragment lasu. Dla obu córek nie było większej

przyjemności niż patrzeć, jak na białym kartonie pojawiały się kolorowe plamki, ciapki naprędce kładzione, i po chwili wyrastały z nich brzozy oświetlone górkim słońcem albo jodły czy kawałek polanki z fioleto-wymi wrzosami. Żywa przyroda bez blagi, ale również bez podlizywania jej się pędzlem. Wojciech był wielkim i zapoznanym pejzażystą, który 100

sobie z tego daru nawet nie zdawał sprawy. Odśpiewał pejzażyk, niby kos swoją melodyjkę, po czym, jak gdyby nigdy nic, wkładał zamalowany karton do kasety - i jazda dalej! Przed wieczorem całe towarzystwo z podróży poślubnej stanęło w zakopiańskim pensjonacie „Stamara”.

Madzia całą noc nie spała, rozmyślając nad tym, jak to ukochana siostra spędzi tę tajemniczą noc poślubną - postrach i marzenie wszystkich panien. O dziewiątej rano. po nie przespanej nocy zapukała dyskretnie do drzwi pokoju młodej pary. Lilka pozwoliła jej wejść, bo mąż właśnie poszedł myć się do łazienki. Leżała w łóżku w pięknej koszuli obszytej koronkami. Na głowie miała koronkowy czepeczek z błękitnymi wstąż-

kami, jakie się wówczas nosiło; spod niego wypływały gęstą falą jej przepyszne popielate włosy. Była bardzo piękna i bardzo smutna. Madzia, trzęsąca się z ciekawości, przypadła do jej łóżka:

- No i co, Lilusiu, opowiedz, jak to było, czy to przyjemne? Opowiedz wszystko, dokładnie!

- Nie wychodź za mąż, Madziu. To wszystko, co ci mogę powiedzieć

- odparła Lilka. - Nie warto...

Madzia z Ojcem i Jankiem Mazankiem odjechali po kilku dniach, zostawiając młodą parę samą. Lilka była bardzo smutna i jej maleńkie usta krzywiły się jak do płaczu, gdy się z nimi żegnała.

- Ach, Madziusiu - rzekła ściskając siostrę - żebyś ty przynajmniej mogła z nami zostać, byłoby mi jakoś różniej...

Po ich wyjeździe Władzio, który był wielkim pedantem, wybrał się z Lilką na Krupówki kupować gwoździe, ponieważ szafa w ich pokoju rozlatywała się. O tych gwoździach mówił bardzo dużo. nie zdając sobie sprawy, że były to gwoździe do trumny, w której Lilka pogrzebała zaraz po ślubie swoje uczucia do pięknego ułana.

Ach, to Zakopane! Ileż wspomnień, ile przeżyć - wprost uwolnić się od tych obrazów nie można! - Magdalena - wielka sportsmenka - z zapa-

łem uczyła się jeździć na nartach. Narty n o s i ł o się wówczas długie, a zamiast dwóch kijów wlokło się za lub przed sobą jeden wysoki kij. O

spodniach narciarskich nie było jeszcze mowy, więc do nart ubierały panie długie do kostek spodnice, a pod spód wełniane reformy. Bardzo 101

modnym wówczas sportem były bobsleje. Był to sport dość niebezpieczny, ale przyjemnie denerwujący, bo wszyscy na tych sankach siedzieli rzędem jeden za drugim, a mężczyźni trzymali kobiety w pół, co panny przyprawiało o miły zawrót... zmysłów. Z Kuźnic do Zakopanego zbud-

wano specjalny tor bobslejowy, dość stromy. Na tym torze zdarzyła się kiedyś poważna katastrofa, która kosztowała życie jednej z uczestniczek, pani Potworowskiej. Bob, kierowany nieumiejętną ręką pewnego młodego lekarza z Krakowa, gruchnął o drzewo z całą siłą rozpędu. W tym miejscu postawiono jako tragiczną pamiątkę i znak ostrzegawczy dla nieumiejętnych bobsleistów małą kapliczkę z Matką Boską.

Zimowi goście urządzali też w Zakopanem tak zwane szlichtady. Bra-

ło się góralskie sanie, a do nich na sznurach przymocowywano małe saneczki na dwie albo na jedną osobę. Im sznur był dłuższy, tym zabawa lepsza. Śmiechu było przy tym mnóstwo, bo nieraz małe saneczki wy-wracały się, a pasażer gonił za nimi piechotą. Małe saneczki drogą ewolucji zmieniły się z czasem na tak zwany skikjöring. Sport ten polegał na tym, że narciarze, trzymając się sznura, jechali za saniami. Był to już sport o wiele bardziej karkołomny i trzeba było być niezłym narciarzem, aby się nie wywrócić. Magdalena odważyła się również na jazdę skikjöringiem do Doliny Kościeliskiej i Strążyskiej, czerwona od wiatru i strachu, zgięta wpół, na trzęsących się z wysiłku kolanach. Snobowano się jazdą na nartach i tylko chorzy lub skończone niedołęgi nie uprawia-

ły tego „szportu”. Na Lipkach lub Gubałówce widać było starszych, bro-datych panów, którzy również próbowali zjeżdżać. Kursów jeszcze wówczas żadnych nie było i każdy jeździł tak, jak mu było wygodniej, niektó-

rzy zgięci w pałąk, inni przechyleni na bok, hamując pęd wysokim kijem, a później dwoma kijami trzymanymi w jednym ręku. Dużo pań, między nimi i Madzia, zjeżdżało okropnym systemem czarownic z Łysej Góry, to jest z kijami między nogami, od czego się z trudem później musiała odzwyczajać. Wszystko to razem było jednak szalenie zdrowe i snobizm narciarski wyrugował kompletnie tragiczny snobizm na choroby płucne.

Zapanowała moda na krzepę.

Madzia nie nauczyła się nigdy dobrze jeździć na nartach. Znadto się 102

bała. Wiedziała już, jaka to przyjemność leżeć twarzą w śniegu, z jedną nartą nad głową, a drugą pod sobą, czekając w tej okropnej pozycji, aż ją ktoś wyratuje.

- Gdy jestem z panią na nartach - rzekł kiedyś jeden z jej kompanów - to sobie myślę: „Nie, ona jednak lepiej gra w brydża!”, a jak gram z panią w brydża, to sobie myślę: „A jednak ona lepiej jeździ na nartach...”

Po tych zapasach ze śniegiem szło się wieczorem na tańce. Jakżeż pięknie wyglądały młode kobiety z cerą zaróżowioną od wiatru i słońca, z błyszczącymi zdrowiem oczami.

W czasie kiedy przygasły „Barany” krakowskie wraz z liczną rodziną Potockich, zapanował w Krakowie niepodzielnie Marian Dąbrowski, naczelny redaktor i twórca „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, naj-popularniejszego pisma w Polsce. Stanowił on wraz ze swoją rodziną najwyższą, silnie milionami podpartą arystokrację, wobec której - wówczas już ubożejące - stare krakowskie

rody czuły się nieco blade i wypłowywały jak dawne konterfekty. Marianek, tęgi bonza ze skośnymi oczami i zażywnym brzuszkiem, właściciel Pałacu Prasy, willi na Woli Justowskiej i willi na Riwierze, obnosił swoją wielkość dla obcych z godnością, a dla przyjaciół-lizusów (z Kiepurą na czele) z miłym, ujmującym uśmiechem. Nie każdy mógł bywać u „Ikacyka” - jak dawniej nie byle kto mógł

się dostać „Pod Barany” - na to trzeba było być k i m ś . Wojciech Kossak był dość wielki, aby być zapraszany, ale już „ta Samozwaniec” nie zanadto, tym bardziej że w pismach warszawskich i poznańskich zawsze coś przypięła „Ikacowi” („Noce i Dnie Mariana Dąbrowskiego”, a kiedyś, jak pojechał do Włoch - „Marsz, marsz Dąbrowski z ziemi polskiej do włoskiej”).

Gdy pewnego razu, zanosząc swój felieton do redakcji, wyraziła życzenie widzenia, się z „samym panem posłem”, sekretarka wydymając pogardliwie wargi, wycodziła: „Oo, pani ma za wielkie wymagania...” -

Marianek był skrojony na modłę amerykańskich self-made menów.

Podczas pierwszej wojny światowej wzbogacił się zakupiwszy - od tego zaczął - cały wagon... mydła. Koncern - „Ikaca” miał być wierną kopią 103

amerykańskich i obejmował szereg ilustrowanych tygodników i dodatków, z których najbardziej dochodowy był „Tajny Detektyw”, wydawany w latach 1931-34. To straszne pisemko, ociekające krwią pomordowanych ofiar, pełne fotografii katastrof, trupów i złoczyńców, było rozchwytywane przez ówczesną młodzież i z pasją czytowane. Był to jak gdyby poradnik techniczny dla morderców i bandytów. Fotografie ukazywały adeptom sztuki mordowania, jak najlepiej i najskuteczniej dopaść ofiary, jakich używać narzędzi i w jaki sposób ujść potem policji.

Możemy sobie wyobrazić radość redakcji tego krwawego pisemka, gdy w Polsce zdarzył się sensacyjny mord.

Sprawa słynnej Gorgonowej zajmowała całe szpalty „Tajnego Detektywa”. Młodzież wciąż miała na ustach imiona: Staś, Lusja (ofiara mordu). Wszystkie „postępowe” kobiety, a wśród nich wiele pisarek, występ-

owały jako adwokatki Gorgonowej.

Kto jawnie tępił „Tajnego Detektywa” (jak to czyniła Magdalena), był

uważany za osobistego wroga naczelnego redaktora koncernu. „Tajny Detektyw” był oczkiem w głowie Mariana i źródłem jego największych dochodów. A dochodów potrzeba było dużo rodzinie Dąbrowskich, choćby dlatego, by pokryć wszystkie zachcianki ukochanej córeczki -

Tuty, którą wychowywało się na córkę amerykańskiego milionera.

Marianek, niewyczerpany w pomysłach, hołdując ówczesnej modzie na problemy zaświatowe, założył w „Ikacu” dodatek „metapsychiczny”, w którym co tydzień widniała ankieta: „Czy pan(i) widział(a) ducha(y)?” Ten wielki *businessman* trzymał nieustannie rękę na pulsie gustów czytającej

publiczności i nie przepuścił żadnej okazji, aby tym gustom i guścikom nie uczynić zadość. Był wrogiem „bolszewików” i Wschodu i podchlebując animozycje „krakauerów” do Warszawy, drukowało niej zjadliwe artykuły pod tytułem „Spod czapki Monomacha”. Potem zaczął

być wielkim zwolennikiem sanacji, a jego ilustrowane tygodniki reprodukowały chętnie scenki polowań w Spale z Göringiem, oprowadzania Goebbelsa po Wawelu etc. Jedyłą chyba jego zasługą było przeforsowanie kolejki linowej na Kasprowy, przeciwko której występowało dużo zacofanych miłośników Tatr.

104

Wszystkie sportowe imprezy w Zakopanem odbywały się zawsze pod

„najwyższym” protektoratem Mariana Dąbrowskiego i jego „czcigodnej małżonki”. Corocznie odbywał się na zakończenie zimowego sezonu bal prasy w sali pensjonatu „Bristol”, na który przyjeżdżały tłumy ludzi z Krakowa. Magdalena doskonale przypomina sobie taki jeden bal, na który wybrała się samotnie nie mając tego wieczoru żadnego

..absztyfikanta”. Mimo jakiejś niebywałej toalety, specjalnie na ten wieczór sprawionej, i małego, złotego, dobranego do sukni kapelusika nie miała jakoś powodzenia i stała pod ścianą wraz z tłumem balowych piękności. Spozrzęła to ludzka królowa - pani Dąbrowska, i kiwnęła na nią, aby się przysiadła do ich stołu. Był to zaszczyt nie lada, który momentalnie zauważyli młodzi, dotąd powściągliwi tancerze. Brak powodzenia jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienił się w szalony sukces, który już trwał do rana. Siedzieć przy stole pana posła znaczyło niemal tyle, co w Anglii być zaproszonym na dworski bal. Jednym słowem: „to order dla panny - to awans dla panny”.

Z początkiem 1939 roku odbył się w Zakopanem po raz ostatni szumny bal prasy pod wyżej wspomnianym protektoratem. Modnym tańcem był wówczas *lambeth walk*, którego cechą odróżniającą go od innych było figlarne wzajemne wygrażanie sobie palcem przez tańczą-

cych. „Ikac” reprodukował wszystkie fazy tego skomplikowanego tańca, nazywając go tańcem z paluszkim, ani się domyślając, że to k i w a -

n i e palcem było jak gdyby ostrzeżeniem tej sfory szalejących bałwa-nów, że nadchodzi to, co dewotki nazywały „karą bożą”.

Pamiętamy też zakończenie pierwszego reprezentacyjnego rajdu narciarskiego z rodziną Dąbrowskich oraz ówczesnym ministrem komunikacji - inżynierem Bobkowskim na czele. Magdalena miała mieć w Tatrzańskim Klubie swój wieczór autorski, cóż, kiedy w pośpiechu zakręci-

ła sobie loczki na papiloty z przygotowanych na ten wieczór rękopisów.

Szuka ich w zrozumiałej panice i nie może znaleźć, dopiero jej przyjaciółka wpada na myśl, że roztrzepana autorka na pewno użyła ich swoim zwyczajem na... papiloty. Z pomocą pokojowej znajdują się wreszcie te 105

rękopisy w śmietniku... Na gwałt rekonstruuja je z tych strzępków. Dwa kieliszki koniaku dla kurażu i wieczór udaje się znakomicie.

A oto słynny zjazd członków Pen-Clubu z takimi znakomitościami, jak Galsworthy i Jules Romains, a tak popularnymi, jak: Vicki Baum oraz Ernest Toller. Autor „*Le Dieu des Corps*” jest pod urokiem młodzianki wówczas pisarki, która, nigdy o nim nie słyszała i do czego się najbezczelniej przyznaje. Jules Romains myśli więc, że ma do czynienia z idiotką, i tłumaczy jej barwnym stylem, co to jest paryska *étoile*, chociaż ona zna Paryż doskonale, w końcu, opisując jej pejzaż marokański, tłumaczy, co to są kaktusy (!) - *Alors, vous savez, les cactus ce son des plantes pourvues de ronces...* - Madzia nie śmie mu przerwać, ale bawi się jak król.

Wracając z Morskiego Oka jeden z członków Pen-Clubu, zdolny młody poeta i bajkopisarz, Julian Ejsmond, ginie w okropnej katastrofie samochodowej. Przed pół godziną przemawiał jeszcze tak pięknie w języku francuskim, mówiąc, że pisarze są najbardziej zbliżeni do anio-

łów, ponieważ też mają pióra. Mówił o zaświatach, o słońcu, w które by chciał wsiąknąć po śmierci... Wszyscy się trochę dziwią, że mówi o śmierci, kiedy nastrój jest huczny i wesoły. W godzinę potem leży z czaszką rozbitą o skałę.

Cygańską atmosferę Zakopanego tworzyły niezwykle typy. Oto sunie przez Krupówki (tak samo paskudne jak i teraz) Staś Witkacy w wiśniowym płaszczu i wielkim kapeluszu sombrero; jest ponury i bez humoru, bo kawał mu się nie udał. A kawał polegał na tym, że chcąc oszołomić swoich kompanów, wybrał się na podwieczorek do Trzaski w piżamie łowickiej, którą mu matka z pasiaków uszyła. Ktoś jednak dowiedział się uprzednio, że Staś ma zamiar przyjść w ten sposób ubrany, i umówiono się, że nikt na ten strój nie zwróci najmniejszej uwagi. Siedzą: Karol Stryjeński, Rytard, Rafał Malczewski - syn Jacka, Gucio Zamoyski, Jaś Pawlikowski, Karol Szymanowski, Boy, Maria Pawlikowska. Staś dumny, że zrobi taki efekt, siada przy nich, a oni udają, że nic nie zauważyli.

- Czy nic na mnie nie widzicie wyjątkowego?! - pyta w końcu zdławionym głosem.

106

- Na tobie? Nie... a bo co? - odpowiada ktoś obojętnie.

Staś zerwał się wściekły i długo nie mógł tego swojej kompanii darować. W ogóle coraz to obraża się na kogoś z przyjaciół, aby nie było mo-notonii i nudy. Ze swoim wielkim przyjacielem, Leonem Chwistkiem, znanym filozofem i malarzem „strefistą”, potrafił nie rozmawiać przez szereg miesięcy.

Karol Stryjeński, dyrektor Szkoły Przemysłu Drzewnego, po objęciu kierownictwa zaczął urzędowanie od tego, że porozbijał wszystkie gipsowe modele, które się w owej szkole znajdowały. Postawił on wyroby przemysłu ludowego na bardzo wysokim poziomie, prowadząc z dotychczasowymi kiczami zażartą walkę. Cóż to za ciekawy typ ten Karol!

Rzeźba grecka przerobiona na umorusanego i zaniedbanego andrusa.

Włosy nie strzyżone, twarz najczęściej nie golona, portki nigdy nie pra-sowane. Jego wielkie dwie miłości - to góralszczyzna, wraz z jej tańcami, weselami i bójkami pijackimi, oraz żona, sławna wówczas malarka, Zofia. Zosia, równie zaniedbana jak on, o wielkiej kudłatej czuprynie za-męcza go swoją zazdrością. Sekretarka Karola, dzisiejsza pani Flukowska, siedzi kiedyś w pracowni i pisze na maszynie, nagle trzask! Wszystkie szyby lecą! Przerazona wybiega, by zobaczyć, co się stało, a na to któryś z uczniów powiada, że to pani Stryjeńska przyjechała. Innym znów razem Karol dostaje od swojej żony z Paryża telegram, który daje sekretarce do odczytania: „Cholero...” - zaczyna pani Flukowska. Karol spogląda na nią przerażony: czyżby ta łagodna istota miała zamiar mu wymyślać? Skąd, to tylko treść telegramu: - „Cholero” - brzmi tekst -

„kiedy przyślesz mi 500 złotych?”

Mają ze sobą troje dzieci, córeczkę i dwóch synków-bliźniaków. Ponieważ bliźnięta nie mają kołyski, więc leżą w... szufladzie od komody.

Kto by się zresztą przejmował takim drobiazgiem jak dzieci! Kiedyś bliź-

niaki o mało się nie podusiły, bo matka poszła na zabawę, zostawiając je w zamkniętej szufladzie i dopiero w czasie tańca przypomniała sobie o tym.

Całe to niezwykle towarzystwo popija tego co wieczór. Jest między nimi cudny, o zmysłowo-anielskim uśmiechu Karol Szymanowski, jest Boy, Leon Chwistek i Guccio Zamojski, znakomity rzeźbiarz futurysta, 107

który kiedyś po dobrej popijawie w pracowni porozbijał młotkiem wszystkie swoje rzeźby. Ze swoją żoną, znaną tancerką Ritą Sachetto, o wiele zresztą starszą od niego, tworzą niezbyt dobraną parę. Rita jest w gruncie rzeczy małą mieszczańką, Guccio prawdziwym artystą. Charakter ma ta pół Włoszka, pół Austriaczka niezbyt przyjemny i gdy się rozżłości, ciska talerzami, przy czym występuje jej na dekolcie czerwona wysypka.

Prowadzi w Zakopanem szkołę tańca wyzwolonego, do której uczęszcza między innymi i Maryna - pierwsza żona Michała Pawlikowskiego. Rita jest istotą pełną pychy, jak tylko potrafią być ludzie mali. Kiedyś Wojciech Kossak, zachwycony jednym hiszpańskim tańcem, zrobił jej szkic portretowy. Ponieważ nie była na nim dość piękna i dość królewska, więc portret powiesiła w... W.C. Nawiasem mówiąc ów szkic portretowy był rzeczą znakomitą, jak wszystkie portrety Kossaka, których nie

wykończył.

Całe to bractwo artystyczne żyje sztuką, miłością i... alkoholem.

Wśród nich przesiaduje często Jan Kasprowicz. Witkacy pisze wciąż niesamowite sztuki, które mu od czasu do czasu wystawiają, ale które są tak deficytowe, że dyrektorzy teatrów bronią się przed nimi, błagając tego niezwykłego autora, aby napisał coś „pod publikę”, ale on woli biegać niż napisać rzecz normalną. Tkwi w nim jakiś przekorny, szalenie zdolny diabeł, który go krótko trzyma. Już same nazwiska postaci występujących w jego sztukach, dowodzą, że posiadał dowcip nad

dowcipy, pomysły nad pomysłami, tylko wszystko razem nieujarzmione i wariackie; oto dyrektor Skurwe, księżniczka Rozhulantyna etc. Małe autko w jego niesamowitej powieści pt. „Pożegnanie jesieni” nosi markę Pierdoletka, a dobroduszny typ w satyrycznym wierszyku - Barblichenko. Nie mogąc przeforsować swoich scenicznych utworów w prawdziwych teatrach, stwarza w Zakopanem amatorski zespół, który ma grać w wynajętej na ten cel sali „Morskiego Oka” jego najnowszą sztukę pod skromnym tytułem „W małym dworku”. Rolę zmarłej matki, która przychodzi odwiedzić swoje dzieci, gra przyjaciółka Witkiewicza i jego żony, wysoka i koścista Angielka, która na stałe osiadła w Zakopanem. Gdy z całą 108

naiwnością i powagą angielską mówi z cudzoziemskim akcentem: - Ja jestem widmeu! - sala ryczy ze śmiechu. Witkacy czuje się z tego powodu mocno obrażony. Kto ze znajomych wybuchnął wówczas śmiechem, uważany jest przez niego za osobistego wroga.

Z Lilką Pawlikowską, która ma już za sobą dwie wystawione w teatrach warszawskich i krakowskich komedie, piszą razem niezwykle interesującą sztukę pod tytułem „Koniec świata”. Sztuka ma typowo komediowe założenia: megafony ogłaszają przepowiedziany przez astro-nomów koniec świata, światła gasną, jakieś dziwne znaki ukazują się na niebie, a wierna żona pewnego profesora, która go nigdy jeszcze nie zdradziła, biega po mieście i szuka kochanka, którego wreszcie znajduje w osobie młodego elektromontera starającego się zaświecić gasnącą latarnię uliczną. Przy pisaniu owej sztuki autorzy wciąż się nie zgadzają, ponieważ Lilka pragnie, aby sztuka była możliwa do wystawienia, a Witkacy wysiła się, aby jej żaden dyrektor nie przyjął. W pierwszym akcie podłoga się otwiera i wyłażą spod niej dusze umarłych, wśród których jest i stara babcia ze swoim hajduczkiem. I jeszcze wszystko byłoby do przyjęcia, ale Stasia ponosi jego szatański humorek i babcia nagle i bez powodu śpiewa: „W imię Ojca, Syna, Ducha - dajcie babce Kummelku-cha!” W trzecim akcie megafony odwołują ponury spektakl końca świata, ale żadna zdrady, a ongiś wierna żona, włóczy się po scenie, nie dostrzeżona przez męża, dla którego stała się nagle powietrzem. Witkacy nie był zadowolony z tej wspólnej pracy z Lilką, uważał, że sztuka jest nazbyt n o r m a l n a , i nie zgodził się, aby była złożona w jakiejś teatralnej dyrekcji. Staś Witkiewicz był zawsze i stale zakochany. Tak jak inni nie wyobrażają sobie życia bez pieniędzy, tak on nie wyobrażał sobie życia bez miłości. Pierwszą jego wielką pasją była Irena Solska, wówczas piękna i u szczytu sławy. Potem przez długie lata - Boyowa-

Żeleńska, osoba o wielkiej inteligencji i przyciszonym wdzięku. Jej zawsze czytywał wszystkie swoje utwory, a kochając również jej męża - od-malowywał go wielokrotnie w najrozmaitszych wielkościach i fazach.

Całe mieszkanie państwa Boyów straszło olbrzymimi twarzami 109

sławnego pisarza, niektóre ujęte były karykaturalnie i groteskowo w straszliwych, jaskrawych tonach, a inne zupełnie po „ludzku”. Pierwszym objawem zainteresowania się Witkacego, jakąś kobietą było na-tychmiastowe malowanie jej portretu lub portretu jej męża.

Witkacy, ten wspaniały dziwoląg bez precedensu i bez epigonów, gdy tylko chciał, potrafił malować prawdziwe portrety, w których uchwycone było podobieństwo w sposób zadziwiający; wyrażały one duszę i charakter modela. W ten sposób namalował portret Marii Pawlikowskiej, tak rozdzierająco podobny, że płakać się chce, gdy się nań patrzy. Malarze z

„prawdziwego zdarzenia” wzruszali ramionami na widok owych portretów i uważali je za niemalarskie i amatorskie, niemniej był on i pozostał

jednym z najlepszych portrecistów swojej epoki. Malował je zawsze pa-stelami i zwykle wykańczał na jednym posiedzeniu. Pod nimi widniały znaki i cyfry oznaczające, że były malowane „bez alkoholu” albo „alkohol bez papierosów”, albo „bez alkoholu plus 1 małe piwo” itp. Tymi normalnymi portretami zarabiał na bardzo skromne życie. Sprzedawał je po śmiesznej cenie od 150 do 200 zł. W tym przedziwnym człowieku była jakaś mieszanina demonizmi! z dziecięcą pustotą, filozoficznej głębi z chłopięcą naiwnością i nigdy nie można było wiedzieć, czy mówi coś na serio, czy tylko nabiera swoje audytorium. To wszystko razem czyniło go trudnym nieraz do zniesienia i Madzia po godzinie przebywania w jego towarzystwie dostawała silnego bólu głowy, który jej przechodził, gdy tylko mogła zniknąć z jego zaczarowanego kręgu. Sławny był w Zakopanem wieczór Witkacego - pseudonaukowy, na który dały się nabrać róż-

ne miejscowe powagi. Na owym odczycie ten wielki humorysta wyłuszczał jakieś nowe filozoficzne teorie i tezy tak biegle i takim niezrozumia-

łym stylem, że kto tylko posiadał pewne ambicje w tym kierunku, udawał, że świetnie rozumie, o co prelegentowi chodzi, i z aprobatą przyta-kiwał głową. Witkacy posiadał słynny album osobliwości, w którym z pasją małego chłopca gromadził takie obiekty, jak kawałek zasuszonej skóry ludzkiej, ząb tygrysa, obcięte loki swoich flam, no i pornograficzne 110

sztuchy japońskie. Kto tylko posiadał jakąś o s o b l i w o ś ć , ofiarowywał ją Witkacemu do albumu, czym robił mu największą przyjemność.

Przez jakiś czas zbierał on również parasole. Gdy deszcz lał, trzeba było walczyć z Witkacym, aby oddał gościowi przyniesiony przez niego parasol, ponieważ potrzebował go do swojej kolekcji. W roku 1939, uciekając z Warszawy przed Niemcami, popełnił samobójstwo. Wykazał tym ostatecznym gestem swoją prawdziwą naturę, którą chował głęboko pod błazeńskim kostiumem. Był więc w istocie śmiertelnie poważnym, głę-

boko uczuciowym człowiekiem, który nie mógł przejść do porządku nad klęską, jakiej wówczas Polska doznała.

Wszyscy przeważnie z tych wybitnych zakopiańczyków odeszli w krainę cieni. Nie żyje Boy, Witkacy, Sichulski, Leon Chwistek, Makuszyński, Maria Pawlikowska, Karol Szymanowski, Rafał Malczewski i wielu innych. Reszta, jak rzeźbiarz - Zamoyski - żyje, ale za granicą .[Zmarł we Francji w r. 1970]

Niemcy podczas okupacji wymietli z Zakopanego całą tę artystyczną kompanię i kompletnie wyjałowili jego niezwykłą atmosferę, w której tak wspaniale rozwijały się te wielkie i niepowtarzalne indywidualności.

Rozdział X

LITERATURA I PANNY

Pierwszymi wierszykami, które obie dziewczynki, Lilka i Madzia, umiały na pamięć, pó groźnych bajeczkach ze „Złotej różdżki”, były bajki Jachowicza, który jakoś dziwnie sadystycznie podchodził do swoich małych czytelników; przede wszystkim zawsze trzymał z rodzicami przeciwko dzieciom, radząc im, aby w razie potrzeby nie unikali różeczki.

Ileż razy Madzia słyszała z ust swojej Matki wiersz Jachowicza: *Różeczką dziateczki Duch Święty bić radzi,*

Różeczka nigdy zdrowiu nie zawadzi...

Tymczasem było przeciwnie - dużo histeryków i zbrojeńców wyrosło na tej metodzie, tak zalecanej przez ówczesnego pisarza dydaktyka. Bo trzeba wiedzieć, że „branie w skórę” odbywało się z całym sadystycznym ceremoniałem.

- Proszę natychmiast zdjąć majtki i położyć się na kanapie! - mówiło któreś z rodziców, podobnie jak lekarz do pacjenta, stojąc nad dziecią-

ciem z wierzbową różgą. Po „zabiegu” wstrętnei kaci radzili dziecku obolałe miejsca na pupce smarować wazeliną albo przykładac na nie kom-presy z zimnej wody. Dzieci podczas tej operacji ryczały, jakby je kto zarzynał, co było zupełnie naturalne, ale były i takie, które wołały: „Jeszcze, jeszcze, tylko silniej!” Madzia miała inny system, już po pierwszym uderzeniu mówiła cichym głosem: - Żeby mamusię tylko rączka nie roz-bolała! - co na srogą rodzicielkę działało rozbrajająco i momentalnie zaprzestawała dalszych katuszy.

Jachowicz poza umoralniającymi bajeczkami miewał i wierszyki zupełnie dla dzieci niezrozumiałe, które nie wiadomo jaki zawierały sens i morał, na przykład:

113

Masz tu jabłko, Franusiu - rzekł przyjaciel domu –

Tylko schowaj głęboko i nie mów nikomu.

Na to Franus, mały sknerka,

Schował jabłko do kufierka.

Pisywał również wierszyki antydemokratyczne, jak ten na przykład o pewnym małym grymaśniku:

To złe, to niedobre, to mnie kłuje w zęby!

Tego nie wezmę do gęby!

Złe jedzenie, niedobre suknie!

Na to ojciec syna ofuknie:

Jeśli ci wszystko wadzi.

To pójdiesz na żur do czeladzi!

Pójście na żur do czeladzi było więc, jak sobie wyobrażał Jachowicz, najsroższą z kar po wskórobraniu. Słowem - literatura dziecięca w Polsce zawsze szwankowała i gdyby nie wiersze Marii Konopnickiej, dziewczynki nie miałyby co deklamować, gdy trzeba było się przed gośćmi popisać. „A gdy poszedł król na wojnę, grały jemu surmy zbrojne...” -

dekłamała Lilka nabrzmiałym ze wzruszenia głosem. Deklamowało się również chętnie Mickiewicza „Powrót taty”, oblizując się na „rodzynki w koszyku”. Gdy dziewczynki były większe, dostały na gwiazdkę „Polskiego bazarza” Glińskiego, gdzie czytać można było straszne opisy mszy w Rydzynie, podczas której ministrantami były kościotrupy, a przy konfesjonale zasiadała Biała Dama. Pełne okrucieństwa bajki braci Grimm stanowiły też codzienną lekturę. Kiedyś otrzymały od jakiejś cioci prze-

śliczną książkę Lucjana Rydla „O Kasi i królewiczu”. Nie można sobie wyobrazić czegoś bardziej nie dla dzieci, jak ta książeczka. Pierwsze marzenia o miłości były stanowczo jej zasługą. „Nie żałuj mnie, nie żałuj, ino całuj mnie, całuj...” - prosiła Kasia złotowłosego królewicza. - „Czy to od niespania masz tak niebieskie oczy do kochania?” „Nie żałuj mnie, nie żałuj - ino całuj mnie całuj, królewiczu sokole...” - Te słowa nieraz powtarzała Madzia później kuzynom-adoratorom. Takich słów nie zapomina się do końca życia! Bajki Andersena były najistotniejszą lekturą dla młodego wieku i przez dzieci bywały najbardziej lubiane. Posiadały tyle wdzięku, fantazji i zawsze zawierały jakąś głęboką mądrość. Bardzo 114

pożyteczna dla młodzieży i pełna humanizmu była książka Amicisa „Serce”, którą czytywało się tam i z powrotem i *da capo*. Gdy obie były większe, przyszła moda na powieści o plemionach czerwonoskórych. Któż z tego pokolenia nie pamięta „Ducha puszczy”, z Krwawym Natanem i jego psem Cukierkiem?! Powiedzonka z tej pasjonującej książki dziewczynki powtarzały stale. Lilka, na przykład, częstuje jakiegoś wujka czekoladkami, które od niego otrzymała. Wujaszek mówi, że dziękuje i że nie ma ochoty. A na to Lilka mruczy pod nosem: - Piankishaw kocha Błądą Twarz, bo mu nie robi uszczerbku w wodzie ognistej, hugh! -

Wszystkie dzieci przypinały sobie do głowy pióra, robiły z gałęzi łuki i bawiły się w Indian. Dzisiaj, kiedy nikt już prawie nie pamięta „zabawy w Indian”, niezrozumiały byłby wiersz szesnastoletniej Lilki, który zaczynał się od słów:

Twoje imię, nie wiem czemu, jest jak wróbel młody i przyjemnie jest go pieścić wzięwszy w obie dłonie...

Jest jak zabawa w Indian - Hugh! - rzekł Pantera.

Nieco później obie siostry zaczytywały się w powieściach Juliusza Vernea i Mayne Reida. Na przełomie XIX i XX wieku powieść młodzie-

zowa stała w Polsce na najwyższym poziomie. Wówczas dla dzieci pisywały najlepsze pióra w

Polsce. „Wspomnienia niebieskiego mundurka” Gomulickiego - cóż to była za pasjonująca książka! Jakżeż żywo przeżywały obie siostry wizytę lekarza homeopaty, który w powieści tej przychodzi odwiedzić chorego chłopca: przede wszystkim (o zgrozo!) każe odsłonić okna i wpuszcza (horrendum!) świeże powietrze do pokoju chorego, po czym chłopcu, który od całych tygodni skazany jest na dietę, każe podać wielkie plastry różowej szynki... Tego wspaniałego opisu nie zapomni się nigdy. Dla młodzieży pisywali: Dyakowski, Teresa Jadwiga (Papi), Gąsiorowski, Anczyc, Żmijewska, Przyborowski - same doskona-

łe pióra. Co tydzień młodzież otrzymywała „Przyjaciela Dzieci”, redagowanego znakomicie, gdzie oprócz rodzimych piór były również i tłumaczone powieści z obcych języków. W tym tygodniku był świetnie prowadzony dział naukowy i ilustracyjny. W drugiej połowie ubiegłego wieku ilustratorem „Przyjaciela Dzieci” był Juliusz Kossak.

115

Młodzież wielbiła najbardziej książki Henryka Sienkiewicza. Z tym pisarzem szło się pod rękę aż do dwudziestego roku życia. Gdy dziewczynki były małe. Babka czytywała im „Krzyżaków” i „Quo vadis”.

opuszczając niezgrabnie te momenty, które jej się zdawały niestosowne dla młodego wieku. Gdy Babcia przez roztargnienie zostawiła potem książkę w pokoju dzieciennym, obie dziewczynki rzuciły się na nią i wyszukiwały z gorączkową ciekawością opuszczone zdania. Sienkiewiczowskie powiedzonka weszły w potoczną mowę ówczesnej młodzieży.

Kiedyś Mama przyszła na górę do pokoju córek i zapowiedziała *Fraülein*, że dziewczynki mają włożyć na siebie odświętne sukienki i zejść do salonu. Obie westchnęły przerażone.

Schodzenie na dół do gości było straszną piłą i jedną z wielu kar boskich. Trzeba było wejść uśmiechniętą, zrobić ładny dyg. po czym cmoknąć czarną *glacé* rękawiczkę jakiejś nowej damuli. Ponieważ obie tego nie cierpiały, więc Lilka wymyśliła sposób, aby nie całować przepoconej rękawiczki, tylko... rączkę od parasolki, którą zwykle ówczesne panie zabierały ze sobą na wizytę i wchodziły z nią do salonu. Damy, chcąc zrobić przyjemność Mamie, zachwycały się panienkami, a kiedyś jedna z nich wykrzyknęła z afekcją na ich widok: - Ależ to są istne arcydziełka!

- Dobrze ułożone dziewczynki musiały się przed gościem popisywać jak tresowane małpki, więc albo coś bezbłędnie zadeklamować, albo sięść do fortepianu i zagrać sztywnymi z emocji palcami jakąś serenadę czy sonatine. Gdy dziewczynka z trudem odegrała taki popisowy kawałek, dama na kanapie zwykle mówiła z uśmiechem: - No, a teraz zagraj nam coś ładnego! - Inne znów tłumaczyły: - Nie wstydź się, drogie dziecko, przecież wiemy, że nie jesteś żadną artystką... - „Matka geniuszów”, dumna ze swoich córek, wyciągała jakieś wierszyki Lilki, których ona się szalenie wstydziła, albo jej malowidła i pokazywała gościom. Damy przykładowały do oczu lornetkę ze złotą rączką i udawały szalony zachwyty.

Wszystko to razem było bardzo żenujące i biedne małpeczki czekały tylko momentu, kiedy Mama powie: - No, panienki, teraz możecie się już ładnie pożegnać i iść na górę!

Więc kiedy Mama wezwwała dziewczynki do salonu. *Fräulein* ubrała je 116

w białe marynarskie sukienki, rozplotła warkocze, włosy przewiązała im z boku granatową kokardą i gotowe do występu sprowadziła na dół. Na kanapie zamiast jakiejś damy siedział poważny pan w średnim wieku, ze szpakowatą brodą.

- Ależ to zupełnie moja Litka z „Rodziny Połanieckich”! - zawołał

chwytając w objęcia starszą. Na małą Madzię nie zwrócił najmniejszej uwagi. Był to Henryk Sienkiewicz. Później w Zakopanem nieraz go spotykały; nosił góralski serdak albo granatową pelerynę, jak wszyscy panowie wówczas. Jego duże już dzieci - Henio i Dziunia, często przychodziły do willi „Wołodziejówka”, gdzie mieszkała rodzina Kossaków. Henio był chłopcem mizernym i cichym, jego siostra szczupłą, wyrosniętą panią o przygaszonej urodzie. Sienkiewicz całymi dniami przesiadywał

u p. Stablewskiej, która była jakoby jego żoną. Bardzo zażyłe stosunki łączyły rodzinę Sienkiewiczów z rodziną Kossaków, a Mama obu dziewczynek opowiadała im, gdy dorosły, różne dziwne historyjki o tym znakomitym pisarzu. Przede wszystkim tak świetnie opisana w „Rodzinie Połanieckich” panna Castelli - czyli Topólka - była dokładnym portretem jego drugiej żony, co dla nikogo ze współczesnych nie było tajemnicą.

Użył sobie też na matce panny, która w powieści występuje jako jej ciotka. Jednym słowem rozrobił je na całego. A wszystko z zemsty, ponieważ podczas podróży poślubnej Sienkiewicz, będąc już wówczas niemłodym człowiekiem, tak przestraszył albo - co gorsza - nie przestraszył „niewinnej panią”, że ta ziała mu z podróży poślubnej wprost w objęcia zdumionej matki. Był to wielki towarzyski skandal, którym dłuższy czas zabawiało się grono ich znajomych. Mszczynie się piórem nie jest może bronią szlachetną, ale za to bardzo skuteczną, jak chodzi o oddanie w powieści postaci naprawdę żywych i oryginalnych. Największą zaletą współczesnych powieści Sienkiewicza jest może właśnie jego mistrzostwo w kopiowaniu ludzi żywych, osobistych przyjaciół, znajomych lub wrogów. Takich na przykład „Maryń” - jak jego Marynia Połaniecka -

wiele biegało wówczas po świecie obywatelskim i każda cnotliwa i bogobojna młoda mężatka była w typie bardzo do niej zbliżona. Lilka i Madzia podejrzewały nawet, że Marynia została żywcem skopowana z ich 117

Matki, która też była wstydliva, co chwila się rumieniła, i która wszystko, co czyniła, podkładała pod „służbę bożą”, nawet gdy wymierzała małej Madzi sążniste klapsy. Żaden chyba ze współczesnych pisarzy nie wywierał na młodzież takiego wpływu jak Sienkiewicz. Mówiło się jego językiem, językiem Zagłoby albo rycerza Juranda, chłopcy chcieli być tacy dzielni jak Kmicic, a młode dziewczęta próbowały siedzeniem roz-gniatać orzechy jak Jagienka i czerwieniły się na podobieństwo wstydlivej Maryni, gdy im się przy panach włosy rozplotły.

Sienkiewicz w sferach ziemiańsko-katolickich był tak popularny i miał tak ustaloną markę pisarza hołdującego cnotcie, że najsurowsze matki bez cienia wątpliwości pozwalały swoim córkom czytać „Rodzinę Połanieckich” i „Bez dogmatu”, nie zdając sobie sprawy, jaki to będzie miało na nie wpływ. A miało szalony, i wszystkie pierwsze erotyczne dreszcze i marzenia, wszystkie domysły

zawdzięczały one temu zmysło-wemu świętoszkowi. Przypomnijmy sobie te jego „Marynie”, które nale-wając herbatę nagle „poczuły się matkami”, te Anielki, które uderzały w pąsy i płakały ze wstydu całą noc, gdy je młody człowiek pocałował w...

czoło, tych mężczyzn perwersyjnych, którzy robili sobie gorzkie wyrzuty, że ośmielili się ucałować nosek bucika swojego ideału, a wreszcie te małe dziewczynki, jak Litka z „Połanieckich”, które miały już erotyczne pociągi do panów Stachów. Wobec tej zmysłowości niech się schowają tacy natura-liści jak Emil Zola. Nawet okrzyczany Pitigrilli był szczenia-kiem wobec cnotliwego Sienkiewicza, który stosunki małżeńskie nazywał „służbą bożą” i któremu słowo „ciąża” nie byłoby przeszło przez pió-

ro. Był on również specjalistą od dziwnych, nie znanych lekarzom chorób, którym podlegały jego bohaterki, gdy zaszły w ciążę. Marynia Połaniecka ginie w oczach, jest już skazana na śmierć, ale gdy następuje rozwiązanie, ta dziwna choroba Maryni przechodzi jak nożem uciął. „Służba boża” zaczyna się na nowo... Anielka z „Bez dogmatu” nie tylko że po dwóch miesiącach ciąży ma już zmienioną postać i, co gorsza, zmienioną twarz, ale po psychicznych przejściach zapada też na jakąś tajemniczą

chorobę, o której Płoszowski w swoim pamiętniku pisze w ten sposób:

„Polepszenie jest znaczne. Pani Celina traci zmysły z radości. Ja jeden z rodziny wiem, co to jest. Nie potrzebował mi doktor mówić, że to przychodzi paraliż kiszek”. Jeśli Płoszowski jest taki mądry i on jeden wie, co to jest, to czemu, u diabła i do jasnej Anielki, nie zwołał jakiego kon-sylium, tylko pozwala, aby przy ukochanej sterczał jeden i ten sam domowy lekarz? Czy jesteśmy na progu średniowiecza, czy też w końcu drugiej połowy XIX wieku? Sienkiewicz lubił, zdaje się, kobiety nie bardzo schludne: Anielka, schodząc na śniadanie miała jeszcze w sobie

„ciepło snu”, co Płoszowskiego wprawiało w zmysłowe podniecenie. Ten cnotliwy lubieżnik słowo „czystość” rozumiał tylko jako zaletę natury moralnej. Kto wie, czy w ogóle kobiety bardzo domyte robiły na nim wrażenie i czy nie był w tym podobny do Henryka IV, który gdy mu przyprowadzono wiejską dziewczynę poprzednio przez jego dworzan dobrze wyszorowaną, skrzywił się mówiąc: *On me la gâte*, (zepsuli mi ją).

Dziwne i nie znane lekarzom choroby, którym podlegały jego współczesne bohaterki będące w ciąży, zaprzętały umysły obu siostr.

- Lepiej już wcale nie wychodzić za mąż, jeśli się ma umierać z tej

„służby bożej” - zakonkludowała Magdalena

- No dobrze - rezonowała Lilka - ale co robić, przecież nie można zostać starą panną jak panna Chwalibóg - to już lepiej umrzeć.

Gdy przy wejściu na bal któryś z młodzieńców pomagał im w przed-pokoju zdjąć narzutkę, spoglądały na niego splecione, czy zatrząsł się ze zmysłowego wrażenia jak Połaniecki, kiedy

zdejmował z ramion pani Maszkowej jakąś *sortie de bal*, czy też nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Tego rodzaju opisy słynnego prozaika polskiej literatury dadzą się jedynie porównać z księgą „Żywotów Świętych Pańskich”; na przykład pewien bogobojny ojciec-grafoman opisywał, że św. Alojzy był tak skromny i wstydlivy, że nawet wówczas, kiedy jego matka wchodziła do pokoju, rumienił się, robił znak krzyża świętego i... odwracał głowę.

Mama dziewczynek, chociaż była bardzo religijna, oburzyła się na ten 119

opis i wrzuciła książeczkę do pieca. Jeszcze piękniejszą lekturą był „Żywot św. Filotei”. W tej książeczce jakiś świątobliwy mąż dawał cenne małżeńskie porady młodziutkiej Filotei, które brzmiały następująco:

„Nawet słoń, luba Filoteo, tylko raz do roku i to w celu mienia dziątek...”

- Zdanie to powtarzał Wojciech Kossak przy każdej okazji, zaśmiewając się zdrowym śmiechem.

Gdy Lilka była już dorosłą panną, wynajdywała po antykwarniach dzieła Bolschego, Nietzschego i Schopenhauera po niemiecku i zmuszała Madzię, aby je również czytywała. Czytanie Nietzschego było ciężkim grzechem, z którego należało się spowiadać. Jakże dumna była szesna-stoletnia Magdalena, gdy mogła księdzu na spowiedzi pochwalić się, że go czyta. Ksiądz Bratkowski, o twarzy Savonarola wznosił dłoń i za-grzmiał: - Jeśli mi, moja duszo, nie przysięgniesz, że więcej tej ohydnej i przez Kościół wyklętej literatury nie weźmiesz do ręki, to ci nie dam rozgrzeszenia!

- Kłamstwo jest grzechem - wybąkała Madzia - a ja nie mogę przysiąc, że więcej go nie będę czytać, proszę ojca.

- No to odejdz, grzeszna duszo! Ja ci rozgrzeszenia nie dam...

Trzeba wiedzieć, co to wówczas znaczyło nie otrzymać rozgrzeszenia, to było jak klątwa! Madzia poszła do innego księdza i po prostu zataiła ten okropny grzech. Oczyszczona ze wszystkich przestępstw z wyjątkiem tego jednego, najstraszliwszego, wróciła do domu z niepewnym uczuciem popełnionego świństwa. Obaj ci niemieccy myśliciele - i Schopenhauer, i Nietzsche - byli wrogami kobiet. Nie należy zapominać, że mieli przeważnie do czynienia z „Hausfrauami”, co tylko *Kinder*, *Kirche* i *Ktiche*. Ileż razy Lilka cytowała młodszej siostrze na przykład takie zdanie Nietzschego: „Kobiety nie mają zrozumienia dla wiedzy ani dla przyrody - dla niczego, co wychodzi poza ich płęć”. Lilka była taką wielbicielką Schopenhauera, że wyjątki z jego dzieł, nie tłumaczonych na język polski, tłumaczyła dla własnej przyjemności i miała ich całe zeszyty.

Obie siostry bardzo chętnie czytywały amerykańskiego pseudo-filozofa Mullforda, który propagował „optymistyczną” wiedzę życia.

Jego książka „Przeciw śmierci” była ukochaną lekturą Magdaleny.

Z tej czarującej książki szczególnie jedno zdanie stało się niejako mottem jej życia: „Nie rób nigdy tego, co ktoś inny może za ciebie lepiej zrobić”. To zdańko było wspaniałym wykrętem, aby nie

sprzątać po sobie, nie pościelić samemu łóżka, nie nalać sobie samej herbaty i w ogóle nie robić tego, co ktoś fachowy - a w tym wypadku służąca - potrafiłaby zrobić lepiej i sprawniej. Oczywiście, że to nie stosowało się do zajęć, które jej sprawiały przyjemność; tu znowu opierała się na zdaniu angielskiego pisarza Ruskina, którego książki też znajdowały się na jej stoliku nocnym. „Pamiętaj” - pisał ów mądry pan - „że masz czas na wszystko, tydzień składa się nie tylko z dni, ale i z godzin, jedną godzinę w tygodniu możesz przeznaczyć na studiowanie historii sztuki, inną na poznawanie przyrody, jeszcze inną na literaturę piękną, wyuczenie się sportów, grę w szachy itd...” Opierając się na tej mądrej radzie Madzia rzeczywiście znajdowała czas na wszystko. Chodziła do tak zwanego

„Baraneum”, czyli na kursy prof. Baranieckiego, gdzie literaturę polską wykladał straszliwie brzydki, ale niezmiernie uroczy prof. Lucjan Rydel, historię sztuki - Maciej Szukiewicz i in. Chodziła na wykłady chemii i fizyki, jednym słowem prawie na wszystko - bez wyboru, ponieważ godzinę w tygodniu można było i na to przeznaczyć. Kursy prof. Baranieckiego przeznaczone były dla podrastających panienek. Wszystkie one bez wyjątku woniały cebulką z domieszką zapachu zjełczałych orzechów, zapach ten wydzielały ich tłuste warkocze. Lilka tylko raz jeden poszła na wykład prof. Rydla i po powrocie do domu oświadczyła kategorycznie, że było to po raz pierwszy i ostatni. - Mój nos nie jest stworzony na to, aby wachać tak okropne smrodki - rzekła. - Nie rozumiem, jak Madzia może wytrzymać w tym powietrzu, ale ona jest taka inna ode mnie.

- Powietrze w tej dusznej małej salce było rzeczywiście straszne. Okna otwierało się dopiero po skończonych wykładach, późnym wieczorem.

Biedni, pełni poświęcenia profesorowie musieli też cierpieć z powodu tej swojskiej *Eau de Pologne*, ale na to nie było rady. Kursy higieny dla młodych dziewcząt nie istniały.

Pod wpływem mądrej rady Ruskina Magdalena, będąc podrastającą panią, chodziła również do szkoły malarskiej panny Niedzielskiej, 121

gdzie pod kierunkiem znanych ówczesnych malarzy rysowało się akty i martwe natury. Jeśli chodzi o akty, były tylko kobiece, aby nie wodzić panienek na pokuszenie. Madzia nie miała za grosz zdolności do malarstwa sztalugowego, nad czym zresztą mocno bolała. Doskonale sobie przypomina, jak czarujący profesor Józef Czajkowski za każdym razem, ilekroć przychodził oglądać prace swoich uczniów, pochylał się nad nią i szeptał jej w uszko: - Wszystko zmasać i na nowo!

Poza książkami z dziedziny przyrody i filozofii, modne wówczas nauki „tajemne” bardzo interesowały obie siostry. W antykwariatach na ulicy Szpitalnej pełno było tego rodzaju literatury, tłumaczonej horren-dalnie z języka niemieckiego. Jedną z owych książek, pt. „Czerwony smok”, była istnym wzorem szkodliwego grafomaństwa na tle jakichś średniowiecznych zabobonów: „Weź dudka (samca)” - czytało się w tej broszurce - „wytocz z niego krew (najlepiej w noc świętojańską) i pokrop nią poduszkę twego małżonka, natychmiast zaofiaruje ci stosunek”. Poza przepisami natury erotycznej były tam i inne doniosłe rady, na przykład:

„Jak rozśmieszyć dziewicę?” - „Weź do gęby trzy ziarenka fasoli i patrząc bystro w oczy dziewicy wypowiedz szybko: ebe, mebe, matristope - a roześmieje ci się na pewno”. Obie siostry oczywiście pękały ze śmiechu czytając „Czerwonego smoka”, co im nie przeszkadzało wypróbować na biednej *Fräulein* systemu z niezawodnym rozśmieszeniem dziewicy.

Madzia włożyła do ust trzy ziarnka fasoli i stając przed Frojłusią wybeł-

kotała jednym tchem: ebe, mebe, matristope.

- *Um Gottes Willen!* - zawołała przerażona *Fräulein* bez cienia uśmiechu. - *Seid ihr verrückt geworden?* (Mój Boże, czy wyście powario-wały?).

- A może ona już nie jest dziewicą? - roześmiała się Lilka, gdy Fro-lusia uciekła z pokoju.

Śmiechy śmiechami, ale co szkodziło spróbować magicznych recept zawartych w tym niezwykłym dziele? Na przykład - „Jak zdobyć młodzieńca?” Obie siostry zastanawiały się, czy lepiej wrzucić mu do kawy lub herbaty kawałek cukru, który powinno się nosić w woreczku pod pachą cztery tygodnie, czy lepiej wsypać mu do filiżanki trochę popiołu 122

ze swoich spalonych włosów? Drugi sposób wydawał im się o wiele prostszy i łatwiejszy. Młody przystojny kuzynek, który miał po południu przyjść z wizytą, został skazany na rolę królika doświadczalnego.

- Ja mu wsypię trochę popiołu z moich spalonych włosów do kawy -

postanowiła Lilka.

- Dlaczego ty, a nie ja?

- Bo ja jestem starsza.

Madzia zwabiła kuzynka na werandę, a tymczasem Lilka wsypała mu do kawy szczyptę magicznego popiołu.

Młodzieniec skrzywił się i odsunął filiżankę. - Tę kawę czuć spalenizną - rzekł. - Może mi kuzynka naleje świeżej...

Książki i broszurki z dziedziny „obojga magii”, tj. czarnej i białej, aby nie zrażać katolików, pakowały do swoich formułek magicznych różnych świętych i Świętą Trójcę. Obie siostry, już jako dorosłe panny, wychodząc z domu mówiły ze śmiechem: „Boże strzeż mojego wchodu i wchodu - amen”; tę formułek zapamiętały sobie z jakiegoś dziełka „O przepi-sach magicznych”. Wspaniały typ i doskonały kupiec Wincenty Lutosławski, twórca tak zwanej „Eleuterii”, czyli stowarzyszenia abstynentów, w jednym ze swoich późniejszych dzieł o jogach i ich ćwiczeniach oddechowych też starał się połączyć naukę jogów z wiarą katolicką.

Ranne ćwiczenia woli, polegające na zakryciu głowy kołdrą i trwaniu tak przez kilkanaście minut, łączył z jakąś modlitwą dla wiernych. Brzmiało to mniej więcej w ten sposób: „Z łaski Boga i Trójcy Przenajświętszej wdychuję PRANE. Amen” albo „Na pamięć męki Chrystusa niechaj wy-trwam w tej pozycji lotosu pół godziny bez poruszenia”. Obie siostry, Lilka i Madzia, były bardzo długo pod wpływem „wtajemniczonych” i pilnie odprawiały wszystkie ćwiczenia gimnastyczno-oddechowe wzięte ze znanego podręcznika „Hatha Yoga”, co, nie uprawiane z pobożną przesadą, było nawet korzystne dla ich zdrowia. O ile jednak Lilka umia-

ła we wszystkim utrzymać szlachetny umiar, o tyle młodsza siostra, traktująca wszystko z entuzjastyczną przesadą, już o szóstej rano nakrywała głowę kołdrą, nie ruszając się z łóżka (główne ćwiczenie woli). Mogła 123

się była wydać istotą z lekka kopniętą, gdy idąc ulicą nie dostrzegała znajomych, przejęta liczeniem kroków połączonych z rytmiką oddechów i wydechów, czy też gdy stojąc rano w otwartym oknie zatykała po kolei obie dziurki od nosa, za każdym razem mówiąc te słowa: „wdychuję miłość - wydychuję obojętność”. Kiedyś Tatko, zastawszy ją przy takim ćwiczeniu, rzekł ze swoim dobrym humorkiem: - A może byś tak. Magdusia, spróbowała „wdychiwać” mądrość, a „wydychiwać” głupotę, co?

Mistrz Lutosławski w swoim dziełku chrześcijańsko-filozoficznym polecał gorąco posty przez Kościół nakazane, przyrównując je do wyrzeczeń natury materialnej jogów i teozofów. Prawdziwy chrześcijański

„wtajemniczony” powinien był nie tylko nie jadać mięsa, ale nawet jajek, jako produktu zwierzęcego, oraz... kawioru. Miał żywić się jedynie ro-

ślinkami i owocami. Lilka, kochająca zwierzęta nade wszystko, była najzupełniej jego zdania i jedząc przez jakiś czas tylko jarzyny i owoce, o mało nie popadła w złośliwą anemię. Zmuszona - przez lekarzy, ze łzami w oczach nieomal, obgryzała kostki od kurczenia i piła surowe jajka, ale nikt nigdy nie widział, aby zjadła porcję krwawego befsztyka albo płat pięknej różowej polędwicy.

Wśród owych dzieł traktujących o magii i jogach było też w bibliotece obu sióstr grube, wyczerpujące dzieło słynnego chiromanty Debarollesa

„O chiromancji”. Z tej książki Madzia czerpała wiedzę tajemną, ucząc się na pamięć odczytywania na ludzkiej dłoni znaków, gwiazdek i krzyży-ków i niedługo zasłynęła w gronie młodych przyjaciół jako „znakomita chiromantka”. Miało to swoje bardzo podniecające walory, ponieważ w

„celach naukowych” można było długo trzymać bezkarnie rękę jakiegoś atrakcyjnego młodzieńca, obracać nią w stronę światła, badając z po-ważną miną złowróźbne lub szczęśliwe znaki. Była to wówczas zabawa bardzo popularna i wielu cwanych młodzieniaszków udawało biegłych chiromantów, aby móc dłonie pięknych dziewcząt długo przetrzymywać w swoich, o co nawet najbardziej cnotliwe i czujne matki nie mogły mieć do nich pretensji, ponieważ i one wierzyły w prawdziwość owej wiedzy tajemnej. Debarolles zresztą, podobnie jak Lutosławski, nawiązywał

124

wiedzę chiromancyjną do wierzeń niektórych Ojców Kościoła i we wstę-

pie do owego wyczerpującego dzieła cytuje słowa św. Augustyna: „Pan Bóg wypisał człowiekowi na ręce całe jego życie w hieroglifach, do któ-

rych pozwolił mu odnaleźć swoim rozumem klucz...” - Ponieważ jednak każda wiedza, nawet... „tajemna”, może się na coś przydać, więc Madzia, badając wiele rąk, które „przez jej ręce

przechodziły”, wiedziała od razu z zewnętrznego charakteru dłoni, czy ma do czynienia z człowiekiem czystym i schludnym, pracowitym czy leniwym, wysportowanym czy też zniewieściałym itd.

Wielkie wrażenie na dorastającej młodzieży robiła powieść Prusa

„Emancypantki”. Madzia szczególnie zaczytywała się w kolejach losu swojej imienniczki, do której zresztą wcale nie była podobna. Jej przyszły mąż, Jaś Starzewski, przyznał się jej po ślubie, że nigdy nie byłby się w niej tak zakochał, gdyby nie nosiła imienia bohaterki „Emancypantki”. Druga powieść Prusa, „Lalka”, nie miała takiego powodzenia jak obecnie. Typów takich jak Izabela Łęcka było w tak zwanym mondzie zatrzęsienie, nie frapowały one nikogo jako artystyczna koncepcja. Spotykało się je na balach, na dobroczynnych wentach, na *jour fixe'ach* i - jak u Prusa - na przedwielkanocnych kwestach. Każda z nich była tak samo jak w powieści wielkiego pisarza piękna, chłodna, wyniosła i każdej chwili gotowa sprzedać się jakiemuś dobremu kupcowi za grubszą forszę, czemu się wówczas nikt nadto nie dziwił.

Szalone wrażenie zrobiła na obu siostrach „Anna Karenina”. Była to pierwsza dla nich powieść, w której autor nie potępia wiarołomnej żony.

Robił to również w tym samym czasie i Maupassant, ale tak lekko i po łatyńsku, że to nie robiło tego wrażenia, co u Tolstoja. Lilka o miłości Anny do Wrońskiego powiedziała z westchnieniem: - Z miłością jest jak ze zwierzętami domowymi. To się nie może dobrze skończyć!

Stefan Żeromski, ubóstwiany przez dorastającą młodzież, był inny od Sienkiewicza i spokojnego, nieerotycznego Prusa. Postacie tego wspaniałego pisarza drżały od wewnętrznego żaru, który udzielał się jego czytelnikom. Opis tańca księżniczki z Rafałem, w „Popiołach”, wywoływał

125

na twarzach panien krwiste rumieńce. A scena z wilkami! Nie spało się później do rana. Nikt w Polsce tak przed nim nie pisał. Tylko jego „Dziejów grzechu” nie czytały panny przed zamążpójściem, na to musiały dać swojej Matce słowo honoru. Jedna z pensjonarek u panny Strażyńskiej po przeczytaniu tej powieści popełniła samobójstwo wypijając całą flaszkę octu, inne pochorowały się z wrażenia. Nie należy zapominać, że ówczesne panny, nie przeżywając jeszcze własnego życia, żyły i cierpiały wraz z bohaterkami romansów, co im pozostało nawet później, tak że Lilka, gdy już była mężatką, czytając „Czarodziejską górę” Manna dostawała temperatury i nie mogła się wstrzymać od kaszlu, a Madzia w trakcie czytania „Głodu” Knuta Hamsuna musiała się pożywiać bez przerwy. Ich późniejsze talenty pisarskie kształciły się na tych pisarzach, do których duchowo były najbardziej zbliżone i którzy na nich zrobili największe wrażenie. Pierwszym nauczycielem Magdaleny był Balzak w książce „Małe niedole pożycia małżeńskiego”, na której się później nieraz wzorowała, a potem książki Boya i nowelki Maupassanta. Ojcami poezji jej siostry, Marii Pawlikowskiej, byli: Heine, którego uwielbiała, a nawet tłumaczyła na język polski, i Staff, z którego tomikami poezji nigdy się nie rozstawała i brała je ze sobą w podróże. Jedna scena w Wenecji, związana z wierszami Staffa, na zawsze utkwiała Magdalenie w pa-mięci. W Lilce, dziewiętnastoletniej pannie, pięknej wówczas jak boginka, zakochał się bardzo przystojny kelner wspaniałego hotelu „Danieli”, przerobionego z pałacu dożów. Zakochany Włoch układał zawsze

przed nakryciem Lilki serce z czerwonych i niebieskich kwiatów. Lilka kiedyś zostawiła na stoliku, przy którym zawsze siadywała z Mamą i Madzią, swoją ukochaną książkę Staffa „Ptakom niebieskim”. Nazajutrz ujrzała ów tomik leżący przed jej nakryciem otoczony girlandą z kwiatów. Gdy przyszła, kelner pochylił się nad nią i poprzez jej ramię przeczytał głośno tytuł książki jakimś jak gdyby japońskim akcentem: - ptakoomnie-bieskiim.

Rozdział XI

TEATR

Na przełomie XIX i XX wieku teatry przeznaczone były przede wszystkim dla sfer posiadających, chociażby ze względu na wygórowane ceny miejsc. Młodzież uniwersytecka i rzemieślnicza gnieździła się na galerii, czyli tak zwanej „jaskółce”. Od czasu do czasu wystawiano dla maluczkich popularne przedstawienia, przeważnie „Obronę Częstochowy”, „Kościuszkę pod Racławicami”, „Krakowiaków i górali”, „Betlejem” Rydla, a w Dzień Zaduszny spektakl po zniżonych cenach - „Młynarz i jego córka”. W Teatrze Ludowym na ul. Rajskiej, przerobionym z dawnej ujeżdżalni pana Targowskiego, grywano przez szereg sezonów z ogromnym powodzeniem „Królową Przedmieścia” Krumłowskiego, o której w najpochlebniejszych słowach wyrażał się Przybyszewski. W tym samym teatrze, ale jeszcze na ul. Krowoderskiej, wystawiono wodewil Turskiego pt.: „Krowoderskie zuchy”, a panienki, wróciwszy po spektaklu do domu, nuciły z przejęciem:

Żołnierz w kuchni z panną sam - rym, cym, cym, cym, cym, Wchodzi pani: ja ci dam - rym, cym, cym, cym, cym.

Proszę pani, to mój brat - bum cyk tralala...

Teatr Miejski im. Słowackiego gościł w miesiącach letnich operę i operetkę lwowską, w której publiczność podziwiała popularną diwę operetkową, Helenę Miłowską, za którą mężczyźni szaleli. A dziewczynki marzyły o tym, aby - gdy dorosną - mieć taki wspaniały biust jak Ka-sprowiczo-wa, na którym składała okrągłe ramiona niby na poręczy od balkonu. Publiczność była w owe czasy o wiele mniej wybredna niż teraz i nikt nie kwestionował ani idiotycznych tekstów operetkowych („Kiedy miłość nas wraz złapie, pójdę o tym donieść papie...”), ani dekoracji, które przypominały tło ówczesnych fotografów („Te brzóz „kilka, ten 127

bieg wody...”). Jakiś pałacyk w głębi z wieżyczkami, namalowany na marszczącym się płótnie, kartonowe balustrady, zielone drzewa z któ-

rych każdy listek wymalowany był z osobna. Któż z owej generacji nie pamięta łabędzia z „Lohengrina”, który zaciął się i nie mógł wjechać na scenę, mimo iż skrzybiał żałośnie, albo aniołków w „Dziadach” („Do mamy lecim, do mamy, nie znasz, mam, swego Józia?...”), które z sufi-tu zjeżdżały z okropnym hałasem i nie mogły wjechać do góry z powrotem. Ale któż na takie głupstwa zwracał wówczas uwagę?! Z zapartym oddechem słuchało się jakiejś słynnej śpiewaczki jako Aidy, prawie nie dostrzegając jej brązowego marszczącego się trykotu, w który ją obleczono. Aktor był wtedy w teatrze najważniejszy, a nie kostiumy czy dekoracje. W atmosferze tego, co dzisiaj nazywamy „szmirą”, wykluwały się wspaniałe sceniczne talenty i siły śpiewacze, jak: Didur, Korolewicz-Waydowa, Zboińska-Ruszkowska, Ada Sari, Lachowska, Gruszczyński, niepowtarzalna

Lucyna Messal, jeśli chodzi o siły operetkowe, i jej partner Redo. Krakowski Teatr im. Słowackiego gościł nieraz i zagraniczne sławy, takie jak Gemma Bellincioni albo Selma Kurtz. Gdy zagraniczna sława miała zjechać do Krakowa, „bomondzik” szalał i z góry wykupywał

parterowe łóża i fotele. Panie ubierały się balowo, a panowie nakładali fraki lub smokingi. Ówczesne teatry urozmaicały każdy spektakl orkiestrą, która zasiadała poniżej sceny i dobrą chwilę przed rozpoczęciem spektaklu obiecująco o s t r z y ł a instrumenty. Dodawało to nastroju i zagłuszało głośne rozmowy, jakie panowie prowadzili z damami w lo-

żach. Piękne panie kokieteryjnym ruchem strząsały z ramion boa z pió-

rek lub kosztowne etole i z góry jak ptaszki z gniazdek spoglądały na widownię. Złota młodzież przykładała do oczu lornetki i b e z c z e l n i e lornetowała piękne damy. Podczas antraktów samczyki wpadały do gniazdek-łóż i przynosiły samczkom czekoladki, pomadki i kwiaty. Zjawienie się w łóża młodzieży bez bombonierki uważane było nieomal za afront. Konkurenci, mający „poważne zamiary”, często przysyłali paniom łóżę przez umyślnego. W drugiej połowie ubiegłego wieku pewien młodzian, który posiadał tylko wykształcenie domowe (to znaczy, że brał

128

od ojca rzemieniem po plecach), a który pałał uczuciem do panny Kisielnickiej, późniejszej Kossakowej, posłał jej łóżę przez posłańca, z bilecikiem tej treści: „Człowiek lorze będzie miał” - co przekreśliło raz na zawsze jego szanse matrymonialne. Był on zapewne kuzynem innego ziemianina, który do obiektu swych westchnień napisał: „Nie mogę bez pani rzyć”, na co dowcipna panna miała mu odpisać: „To rzyj pan sam!” Panie z zamożnych sfer przygotowywały się do występu w teatralnej łóży, jak gdyby były aktorkami występującymi na scenie. Niektóre całe popołudnie leżały w zaciemnionym pokoju z maczanymi w wodzie różanej płatkami na oczach, inne, bardziej p o s t ę p o w e , brały przed

„występem” gorącą kąpiel z wonnymi solami. Panny służące już od rana prasowały i odświeżały wieczorowe toalety, prały w benzynie białe *glacé* rękawiczki do łokcia i wieszały je za oknem, aby na czas wywietrzały. O

godzinie piątej przychodził fryzjer z żelazkami, czesał, przypiekał i układał długie włosy swoich stałych klientek. Panie pozwalały sobie na „ner-wy” i nieraz całe misterne fryzjerskie dzieło nagłym ruchem burzyły i kazały za te same pieniądze czesać na nowo. Cierpliwość owych nieszczęsnych balwierzy przypominała cierpliwość lekarzy psychiatrów. Bez słowa, skrzyżowawszy ręce na piersiach, czekali, aż atak minie, i wówczas znów zabierali się do dzieła. Gdy fryzjer wyszedł, zaczynało się gnę-

wienie panny służącej, która nie zawsze mogła się od razu zorientować w zawikłanej sztuce dopięcia toalety, składającej się ze spodu, góry, staniczka, paska gurtowego i szarfy, a na którą jeszcze zarzucało się koronkową „bertę” lub bolerko haftowane dżetami lub perełkami. Trzeba było być bardzo bystrym, aby się na tym wszystkim wyznać. Gdy taka królowa nie miała dorosłych córek, które by jej pomogły po powrocie z teatru zdjąć ową skomplikowaną szatę, budziło się służącą, aby swojej pani pomogła się rozebrać (męża nigdy nie używało się do tego rodzaju kobiecych usług).

Jeśli chodziło o zdrady żon, to owe suknie-pancerze mia-

ły swoje dobre strony, bo nim amant zdążył porozpinać wszystkie owe tajemne i skomplikowane zapięcia, to albo mąż niewiernej mógł wrócić z dalekiej podróży, albo też jemu samemu mogło się odechcieć...

129

Do czasu pierwszej wojny trzymało się na Kossakówce konie. Były to dwie poczciwe klaczki, kasztanki o wyczesanych grzywach i lśniących zadach. Zaprzężone do karetki, z fasonem zajeżdżały przed ganek, zgina-

ły jak cyrkowe konie łby w uprzęży i rżały wesoło.

- Konie zajechały! - meldowała służąca.

- To niech czekają!

Mama w wielkim zdenerwowaniu szukała czystej pary długich bia-

łych rękawiczek, potem sakiewki ze złotej łuski, a na końcu kluczy. Z

tymi kluczami była istna komedia i nie było wypadku, aby Mama, zresztą świetna gospodyni, pamiętała, gdzie je położyła.

- Dziewczynki, szukajcie kluczy!

- Święty Antoni, zmiłuj się nad nami, znajdź klucze, bo się spóźni-my do teatru! - szeptały obie siostry pobladłymi wargami.

Magdalena, ten mały chytrus, szantażowała dobrego świętego szczególnego rodzaju inwokacją: - Święty Antoni, nie bądź takim fajtłapą, albo się jest cudotwórcą, albo nie!

Kluczyki w końcu się znajdowały i już zacna matrona miała wsiąść do karetki, kiedy nagle przypomniała sobie, iż nie wydała kucharce dyspo-zycji na jutrzejszy obiad.

- Może być zupa neapolitańska, pieczeń cielęca, no i legumina...

- To będzie mało, musi być przystawka - tłumaczyła poważnie kucharka. - Pan lubi dobrze i dużo zjeść.

- No to damy paszteciki z mózgiem.

- Wszystko na biało - krzywiła się mistrzyni rondla. - U hrabiny Po-tockiej zawsze się uważało, aby cały obiad nie był jednakowego koloru...

- Mamo, już dochodzi ósma!

- Dobrze, dobrze, tylko jeszcze dam jej pieniądze...

W końcu ruszało się. Kasztanki klapotały po błocie, w którym tonął

cały plac Latarnia. Cienie latarni tajemniczo przesuwają się po szybie karetki. Dziewczynki rozmyślały nad swoim wyglądem, ich różowe twa-rzyczki wзираły jak owoce z łupinek kapturków lub woali wiązanych 130

pod brodą. Lusterek ani puderniczek wówczas się nie nosiło, więc jedna drugą badała, jak wygląda.

- Madziu, powiedz, błagam cię, jak wyglądam?

- Przepięknie!

- Słowo honoru? Jak mamę kochasz?

- Jak mamę kocham. A ja?

- Ty też, przysięgam...

Strugi błota koloru pralinek ochlapują boki karetki. Koniki parska-jąc stawały przed wspinałym „tortem hiszpańskim” Teatru Słowackiego, opustoszałym, bo spektakl dawno się już rozpoczął. Tatko chodził

zwykle do loży tak zwanego Końskiego Klubu, która znajdowała się na parterze tuż koło sceny, po lewej stronie. W przerwie odwiedzał rodzinę przynosząc obowiązkowe pudełko czekoladek. Gdy występowała na Scenie jakaś znana artystka, członkowie Końskiego Klubu wstawali i lorne-towali ją od stóp do głów. Wojciech miał swój indywidualny sposób wy-chwalania kobiet. Podkręcał sarmackiego węża i mrucał: - A psiakrew, a niech ją wszyscy diabli, żeby ją wciórności, co za bestia, cholera, a niech ją!

Gdy Teatr Słowackiego wystawiał jakiś balet, panowie jeden przez drugiego wychylali się z loży, aby lepiej podziwiać nóżki i uda w różowych trykotach. Od czasu do czasu odbywały się przedstawienia amatorskie, w których brał udział kożuszek śmietanki krakowskiego mondu.

Arystokratyczny zespół reżyserował sam Teofil Trzeciński. Młodzi hra-biowie doskonale wyglądali we frakach z epoki Fredry i czuli się na scenie jak we własnych salonach. Mieli to nastawienie, że cały świat do nich należy, a więc również i teatr. To rozbawione towarzystwo zagrało kiedyś wschodnią pantomimę pt. „Sumurun”, gdzie od prawdziwych klejnotów, którymi spięte były turbany, aż się jarzyło na scenie. Jeśli któraś z owych wschodnich piękności jeszcze dziś żyje w charakterze babki lub prababki, to ciężko westchnie przypominając sobie, jak wówczas wyglądała w szerokich szarawarach, z biustem ledwie przykrytym przeźroczystym woalem, z rajerami na głowie, w ciężkich naszyjnikach z prawdziwych pereł i bezkarnie wymalowana niby jakaś k o k o t a . „Końska loża” 131

szalała, mogła wreszcie oklaskiwać s w o i c h i s w o i m posyłać kwiaty. Członkowie klubu mogli swobodnie zapuszczać „żurawia” w dekolty księżniczek i pod przeźroczystymi szarawarami

dopatrywać się kształtów ich nóg i ud. Miało to specjalny smaczek. Oprócz „łóży koń-

skiej” istniały łoże: dyrekcji teatralnej, namiestnikowska i prezydenta miasta. W namiestnikowskiej zabłysło kiedyś podczas jakiegoś galowego przedstawienia, jak gdyby ktoś w niej postawił drzewko wigilijne. To światło padało od księżnej Radziwiłłowej z domu Habsburg, która miała na sobie czarny stanik, gęsto nabijany prawdziwymi diamentami. Była wysoką brunetką o pociągłej twarzy i rzymskich rysach. Wyglądała jak jakieś bóstwo, do którego tłumy powinny się modlić.

Jej pomysł, aby tak błysnąć i górować nad wszystkimi, był naiwny i śmieszny, ale nikt się wtedy z takich rzeczy nie śmiał.

To prawdziwa królowa polska - szeptały z uwielbieniem bogate mieszczyki w pierwszych rzędach krzeseł.

Jako podlotki obie siostry mogły podziwiać młodą małżeńską parę, która wzbudzała ogólny zachwyty. Ona była smukłą i wiotką blondynką, wyjętą jak gdyby żywcem z secesyjnych ornamentów - on szalenie przy-stojnym, dystyngowanym panem, który wyglądał, jak gdyby się był urodził we fraku lub smokingu. Byli to państwo JACHIMECCY. Z pierwszych rzędów foteli przeszli z czasem do parterowej łoży. Lata mijały, mody się zmieniały, a państwo Jachimeccy byli nie zmienieni. Ona mia-

ła zawsze taką samą fryzurę, złożoną z blond loczków (które jej mąż upinał), i zawsze jednakowe suknie, długie i dopasowane do figury. Nawet puszysty biały lis, którego ze specjalnym wdziękiem narzucała sobie na białe ramiona, wyglądał jak gdyby był ten sam. Czas zachwycony nimi, jak wszyscy ich przyjaciele, nie śmiał się ich tknąć i tak trwało długie lata. Sławni malarze, których muza była urocza Zosia Jachimecka, starzeli się, umierali najwybitniejsi aktorzy, jak Kamiński, Frenkiel, Maszyński, Osterwa... a Z o s i ą t k o było zawsze niezmiennie, bez jednej zmarszczki, bez jednej fałdki. Z czasem on, słynny muzykolog, i ona, znakomita tłumaczka z języka włoskiego, stali się jak gdyby królewską parą w Teatrze im. Słowackiego i miało się wrażenie, że żaden spektakl 132

nie ma prawa się rozpocząć, póki w parterowej łoży nie ukążą się oboje Jachimeccy - ona w białym lisie, na białych ramionach, on w smokingu lub ciemnym ubraniu...

Gdy obie Kossakówny były pensjonarkami, czyli jak to się wówczas mówiło „Backfischami”, wystawiono w Teatrze Słowackiego nowość, zupełnie wyskakującą z na ogół przyjętego repertuaru, a mianowicie niemiecką sztukę pod tytułem „Sherlock Holmes” - Ferdynanda Bonn.

Mama najpierw zasięgnęła języka, czy można na tę sztukę zaprowadzić młode panienki, po czym dowiedziawszy się, że tak, zakupiła łożę na ów spektakl. Przed wyruszeniem karetką na „Sherlocka” odbył się w domu mały dramat. Lilka, chcąc pięknie wyglądać, ufryzowała sobie nad czo-

łem grzywkę żelazkami, gdy to Mama zobaczyła, wzięła mokrą gąbkę i przylizowała nią całą tak misternie ułożoną grzywkę.

- Na takie kokieterie masz jeszcze czas - rzekła surowo.

Lilka rozplakała się.

- W takim razie nie pójdę wcale do teatru.

- No to nie idź.

Skończyło się na tym, że Lilka pojechała do teatru z oczami czerwonymi jak królik i mokrymi włosami związanymi na boku kokardą. Nie żałowała jednak, że w takiej złej formie znalazła się w teatrze - sztuka była bowiem wspaniała, a młody amant, Aleksander Zelwerowicz, wręcz do zakochania! Obie były nim oczarowane. Madzia pisała później w swoim dzienniczku w ten sposób:

Ach ten Zelwerowicz co za cudo Miss Falkner ja kocham panią!

Ach czy do mnie kiedy kto tak powie?

W roku 1924 ten wspaniały aktor i reżyser wystawił w warszawskim Teatrze Małym sztukę Magdaleny pod tytułem „Małowana żona”. Nie była to ani komedia, ani farsa, tylko zbiór zabawnych scenek z życia krakowskich malarzy, upstrzonych niecenzuralnymi dowcipuszkami.

Genialny Zelwer czuł, że tego scenicznego figla nie powinno się wystawić tak jak normalną sztukę, że cała inscenizacja musi iść w parze z owym dziwolągiem. Z całą powagą oświadczył młodziutkiej autorce, że jego 133

zdaniem autor musi współpracować ze swoją sztuką i że skoro nie chce w niej osobiście występować, to winien przynajmniej sam zrobić projekty do dekoracji. Magdalena miała skończoną szkołę zdobnictwa u prof.

Buszka w Krakowie i pełna młodzieńczej pewności siebie i werwy zrobiła projekty do dekoracji, które wykonane przez takiego mistrza jak Drabik wypadły fantastycznie! Stylizowane Planty z kawałkiem Bramy Floriań-

skiej otrzymały brawa przy otwartej kurtynie, a gdy przez owe Planty przeszedł tak charakterystyczny dla Krakowa pensjonat młodych pań, z nauczycielką w okularach na przedzie - radość publiczności nie miała granic. Autorkę, która wystąpiła w sukni własnoręcznie przez siebie batikowanej (na złotej gazie granatowe motyle i kwiaty), wywoływano kilkakrotnie. Sztuczka szła kompletami przez dwa tygodnie. Było to przede wszystkim zasługą tej miary reżysera co Zelwerowicz, a przy tym aktorów, jakich ta sztuka otrzymała: Grabowski, Maszyński i Panciewiczowa!

Sztuka Madzi w pełni powodzenia musiała ustąpić miejsca komedii drugiej siostry - Marii Pawlikowskiej, która wystawiła również w Teatrze Małym swoją pierwszą sztukę - „Szofer Archibald”. Był to eksperyment, na który sobie Szyfman mógł pozwolić, ale nie przyniósł on Teatrowi Małemu deficytu.

Zelwerowicz ani jednej, ani drugiej siostrze nie powiedział: „*Miss Falkner - ja kocham panią!*”

Rozdział XII

GOŚCIE NA KOSSAKÓWCE

Gdy Lilka i Madzia bujały jeszcze między niebem a ziemią jako projekty owych aniołków z różkami, przychodził do Juliuszów Kossaków z codziennymi wizytami na wpół ociemniały Wincenty Pol, który mieszkał

wówczas w Krakowie i był członkiem Akademii Umiejętności. Z Juliuszem łączyła go bliska współpraca i wielka przyjaźń. Wielki malarz z całą wiarą w talent poetycki polskiego pieśniarza ilustrował jego „Pieśń o ziemi naszej” i „Mohorta”. To, czego poeta nie był w stanie wypowiedzieć słowami, Juliusz dopowiedział wruszająco pięknymi ilustracjami.

Łączyła ich wspólna miłość ojczyzny, wiara w polski lud i w polską szlachtę, której wad i błędów obydwaj swoimi gołębimi sercami nie wy-czuwali. Byli oni rozkochani raczej w małych szlacheckich dworach niż w wielkich arystokratycznych pałacach, tak jak to Pol pisze w „Pieśni o ziemi naszej”:

I ta strzecha, choć uboga,

Chociaż niska, przecież bliska

Dla obcego i dla swego;

I od Boga - aż do wroga

Jest tu miejsce dla każdego.

Poza Wincentem Polem bywał w domu państwa Juliuszów i Adam Asnyk, który wpierw pisał pod skromnym pseudonimem „Stożek”, a potem pod literami „El...y”. Różnił się on zasadniczo od tamtych po-etów nie tylko udoskonaloną formą wiersza, ale i lekką, od Heinego zapożyczoną nutką satyryczną, która czasem przebija przez tak modną wówczas „melancholię” jego poezji. W wielkiej przyjaźni żył również Juliusz ze Stanisławem Witkiewiczem, który po jego śmierci napisał o nim wspaniałe i wyczerpujące dzieło. Pod lipą, która dzisiaj ma przeszło sto lat, a wówczas była kilkuletnim drzewkiem, zasadzonym ręką Babci 135

Juliuszowęj, siadywali malarze. Brodowski, który później wyemigrował

do Turcji, sławny portrecista Rodakowski, Simmler, który czasem przyjeżdżał z Warszawy, może Siemiradzki, który przeważnie siedział w Ita-lij, skąd korespondował z Juliuszem i rzadkim był w kraju gościem, bez ręki malarz Benedyktowicz, wiedeńczyk Boiler. Pewnie siadywał i Grottger, który przez jakiś czas był uczniem Juliusza. O czym mogli rozmawiać w lipcowe popołudnie ci panowie w szamerowanych czamarach, wysokich palonych butach lub długich obcisłych spodniach i kamasz-kach? Może o Helenie Modrzejewskiej, której talent rozrastał się wspaniale i zaćmiewał wszystkie dotychczasowe gwiazdy sceniczne, a może o poetessie-improvizatorce Jadwidze Łuszczewskiej, czyli Deotymie, przezywanej ironicznie „Teodymą”, która w salonie swoich rodziców w Warszawie odpowiadała rymami na pytania zadawane przez arystokratycznych gości i, spowita w czerwony szal, improwizowała do muzyki młodego, ale już znanego kompozytora Władysława Żeleńskiego? Miała ona licznych wielbicieli, z których najbardziej jej oddanym był sędziwy Odyniec.

„Mówią oni” - pisał - „że tu tchnienie idzie z góry, że tutaj duch poezji tylko ocienił duszę improwizatorki naszej”. - Na pewno duch, bo czyżby ona sama z siebie mogła wymyślić takie brednie, jak na przykład wiersz pod tytułem „Barwa różowa” - niezrozumiały ani dla czytelników, ani chyba dla samej autorki. Oto dwie strofki z tej poezji seansowej: *Śpiewał słowik na drzewie, w trawach kwitła róża, I pytał słowik róży: „ Czemu jest różową?”*

A róża rzekła to słowo:

Bo gołąb jest moim ojcem, a matką mi burza...

Wiek orkanów, w których płoną

Szały, gromy i zapady.

Lśni suknią czerwoną.

Aż te dwie barwy stopione

Stworzą różową wszystkich barw koronę.

Wojciech Kossak zawsze nabijał się z „wieszczki”. Starsi panowie pod lipą, z których najbardziej figlarny był Juliusz, chyba również nie brali jej na serio. Woleli już inną piszącą w tej epoce, a mianowicie Narcyzę Żmichowską; dawała ona lekcje panienkom z zamożnych obywatelskich

domów - między nimi była i, żona Wojtka, Manusia - i która do swoich pupilek pisywała ładne i interesujące listy. O czym mogli jeszcze rozmawiać ci panowie o sumiastych wąsach? Może o gigantycznym i wspania-

łym talencie Matejki, który niedługo miał zaćmić wszystkich, nawet Juliusza, i stać się malarskim bogiem Krakowa i ulubieńcem jego arystokratycznych domów? Juliusz ze swoim pogodnym umysłem i gołębiem sercem nie zazdrościł Matejce jego sukcesów i przyznawał mu ogromny talent, natomiast jego żona Zofia serdecznie go nie lubiła, a przede wszystkim nie lubiła jego żony, która pozując mężowi do królowych polskich, wpadła w straszną megalomanię. Właśnie w to gorące lipcowe popołudnie pani Zofia przyniosła pod lipę flaszkę soku malinowego i kryształowy dzbanek ze źródlaną wodą, usiadła na trzcinowym krzeselku i zaczęła się użalać na krakowskich ludzi i na krakowskie kumoszki. Oto nie dalej jak wczoraj przyłapała w swojej kuchni jedną z takich panius, która przyszła do jej kucharki tylko po to, aby się od niej dowiedzieć, co państwo Kossakowie będą dziś mieli na obiad. Z wielką goryczą przytaczała niemiłe zajście z pewnym profesorem, którego wraz z małżonką zaprosiła do siebie na kolację; jak zwykle były serdelki, bułeczka i herbata. W pewnej chwili pan profesor podniósł do ust szklankę wody, mó-

wiąc ironicznie: - A teraz wypijemy zdrowie gościnniej pani domu! - Pani Juliuszowa miała łzy w oczach, opowiadając to wydarzenie, bo przecież wiadomo było, że Kossakom wcale się nie przelewa i że ledwo wiążą koniec z końcem. Od tego czasu zerwała wszystkie stosunki z rodzinami krakowskich patrycjuszów i bywała jedynie w domach ziemiańskich, gdzie panie domu także żyły oszczędnie i jako oznakę żałoby popowsta-niowej nosiły tylko czarne suknie i czarne koronki na

głowie. Gd> skoń-

czyła swoje utyskiwania i żale, Juliusz uśmiechnął się i powiedział słowami Schillera to, co tak lubił powtarzać, gdy żona go zanadto nudziła: *Die Frauen flechten und weben himmlische Rosen ins irdische Leben.*

W roku 1872 zmarł w Krakowie Wincenty Pol. Pomału przeredzało się kółko dawnych bywalców Kossakówki. Jedni umierali, drudzy 137

emigrowali za granicę. W roku 1899 zmarł na jesieni Juliusz Kossak. Z

lipy, pod którą tak chętnie siadywał, posypały się na jego trumnę zwię-

dłe liście. Nowi goście zasiadali pod lipą, a młoda pani Wojciechowa Kossakowa znów przynosiła im dla ochłody butelkę domowego soku i kryształowy dzban z zimną wodą. Na trzciniowych fotelach siadywał

często straszny dziwak i okropnie kochany człowiek, z czarną bródką i niesamowicie wypukłym czołem - Jacek Malczewski.

Ach, ten Jacuś! Wojciech zaśmiewał się do łez z jego wszystkich dziwactw. Bo już nie mówiąc o tym, że wciąż malował siebie jako Chrystusa, raz „pod krawatem”, raz w malarskim szafirowym kitlu, raz na dra-binie, to znów na tle prawdziwego zamglonego pejzażyku, ale ostatnio kazał swojemu służącemu mówić do siebie „ty”, a sam do niego zaczął

mówić „jaśnie panie”. Obaj artyści bardzo się kochali i żyli ze sobą w zażyłej przyjaźni, choć ich talenty były odrębne, również jak charaktery i zamiłowania. Wojciech nie mógł wysiedzieć na jednym miejscu i wciąż ganiał po świecie. Jeździł coraz do Paryża, przesiadywał w Londynie. Był

w Egipcie. Jacuś, po skończonych studiach w Monachium, nie chciał i nie miał zamiaru ruszać się z Krakowa. Miał swoją willę na ulicy Ks.

Józefa, z rozległym ogrodem, i zupełnie nie rozumiał dlaczego tego Wojtka, który to samo posiada co on, wciąż tak nosi po świecie. Raz pojechał do Włoch, ale zarzekł się, że nigdy więcej tam nie pojedzie, bo go do pasji doprowadzały tunele po drodze. Niechęć Jacka do zagranicy była oparta i na tym, że jego obrazy miały powodzenie właściwie tylko w kraju. Kochał przede wszystkim Kraków i Kraków go uwielbiał. We wszystkich zamożnych mieszczańskich domach wisały „Jacki”, wspaniale malowane - z faunami i nimfami, i muzami. U krakowskich dentystów wisały na ścianach „zęby Julci” (Julcia to córka artysty), u lekarzy... różne wewnętrzne organy Jacka i jego rodziny, leczone przez nich za te obrazy... W ogóle słynni malarze uprawiali wówczas handel za-mienny i nie tylko lekarzom płaciło się obrazami, ale również i krawcom, szewcom oraz zamożnym właścicielom sklepów. Obrazy były o wiele bardziej modne od dywanów i każda krakowska rodzina starała się, aby ich mieć jak najwięcej.

Wojciecha. Dziś jeszcze niektóre dawne krakowskie rodziny posiadają u siebie istne galerie obrazów, do których są przywiązane jak do własnych wnucząt. U znakomitego krawca Węglarskiego istnieje dotychczas zbiór pięknych dzieł Wojciecha Kossaka, u innych wiszą kwiaty Wyczółkowskiego, portrety Jacka Malczewskiego itp. Niektórzy wyzyskiwali sytuację i dla artystów mieli specjalnie wygórowane ceny, aby zamiast go-tówki wyłudzić od nich cenne obrazy.

Obaj przyjaciele - Wojciech i Jacek - mieli tę wspólną cechę, że byli szalenie skromni, jeśli chodziło o ich własne obrazy, i chętnie je oddawa-li za bezcen, gdy im potrzebna była gotówka. Najwięcej obławiały się flamy obu artystów, które przypuszczalnie udawały często wielką miłość, aby wyłudzić za darmo swój portret. Jacek ofiarowywał swoje olejne szkice każdemu, kto, goszcząc u niego w pracowni, wyrażał się o nich z zachwytem. Niezrozumiałą wobec tego rzeczą był zupełny brak obrazów Malczewskiego w tak z nim zaprzyjaźnionym domu Kossaków. Istniał

tylko wielki portret Wojciecha, malowany w okresie pierwszej wojny światowej przez Jacka, przedstawiający go w greckiej zbroi, a za nim boginię wojny Bellonę, szepczącą mu coś do ucha. Dlaczego Malczewski nie wymalował nigdy portrecików obu Kossakówien - natomiast przy każdej okazji malował swoje dzieci, które bynajmniej nie odznaczały się urodą czy wdziękiem? Czemu śliczna pani Maniusia nigdy nie służyła mu jako model? Coś w tym musiało być. Może żony obu artystów, zakochane w pracach swoich mężów, lekcewały każdy, nawet najlepszy pędzel, który nie był pędzlem ich małżonka? Dzieci Jacka, z którymi obie dziewczynki, Lilka i Madzia, żyły w wielkiej przyjaźni, były dość dziwne, szczególniejszczupła, chuda Julcia, typ wybitnie schizofreniczny, o twarzy sklezionej z dwóch ostrych profilów. Julcia miała uraz na punkcie mężczyzn. Gdy bawiąc się z dziewczynkami ujrzała jakiegoś zbliżającego się do nich pana, natychmiast chowała się przed nim w krzaki malin lub agrestu, aby jej tylko nie dostrzegł. Lilka i Madzia nauczyły się tego od niej i wszystkie trzy na widok mężczyzny uciekały jak 139

kotki na widok psa, co szalenie irytowało Wojciecha i czego szybko swoje córki oduczył. Dziewczynki zaraziły się również od starszej od nich Julci wiarą w PECHA. Gdyby tak dokładnie przekopać ogród na Kossakówce, to „z łona matki ziemi” wyrzałyby różne zadziwiające przedmioty: jakieś stare bombonierki, puszkizkoszyczki. Nieraz bardzo trudno było ustalić, co jest owym t r e f n y m przedmiotem. Rzeczoznawcą w tym kierunku była w domu Kossaków - Lilka, a u Malczewskich - Julcia, u której to doszło do kompletnej aberracji. Kiedyś pani Malczewska zakupiła dużą puszkę najlepszej chińskiej herbaty, która nazajutrz znikła. Po dłuższym czasie znaleziono nietkniętą puszkę herbaty w... stajni pod sianem. Julcia z płaczem przyznała się do winy.

- Ta herbata od razu przyniosła takiego strasznego pecha, że trzeba było wynieść ją z domu! - rzekła.

Kiedyś Lilka wpadła na znakomity pomysł, aby p e c h a zebrać z powietrza i zamknąć do małej, kryształowej flaszeczki od perfum. Rezultat był zadziwiający! Choroby znikły z domu. Tato przywiózł córkom z Paryża przepiękne kapelusze, panna Kopacz rozchorowała się i przez tydzień nie przychodziła na lekcje i wszystko byłoby może nadal tak dobrze i pięknie, gdyby nie to... że służąca sprząając stłukła flaszeczkę; wyzwolony pech rozprzestrzenił się w powietrzu i wszystkie drobne nieszczęścia zaczęły się na nowo.

Wielka przyjaźń Jacka z Wojciechem została trochę zaćmiona faktem na pozór błahym: otóż jeszcze

przed pierwszą wojną światową Wojciech zaczął pisywać swoje wspomnienia, do czego Jacek bardzo go zniechę-

cał: - Nie pisz, Wojtusi - mówił - ośmieszysz się, do tego trzeba mieć talent literacki... - Wojciech jednak nie dał za wygraną, a jego wspomnienia stały się jednym z najlepszych jego dzieł... tylko że malowanych piórem. Jacek nie zachwycił się nimi i wówczas cień padł na ich przyjaźń: - Jacuś jest widocznie zazdrosny o moje pamiętniki, które mi przyniosą jeszcze więcej sławy - rzekł Wojciech i zasepił się, ponieważ zazdrość cieszy nas tylko wówczas, gdy wypływa od naszych wrogów, a nie od przyjaciół.

140

Wojciech nie miał tak zwanych muz, miał kobiety przeważnie bardzo zwyczajne, bardzo przeciętne, żadne *femmes savantes*, ot po prostu kobiety, za którymi szalał. Jacuś był wybredny i wyrafinowany. Wielką jego pasją i muzą była pani Kinia Balowa, piękna dama, niezmiernie przy tym oryginalna, o nieprzeciętnej inteligencji, która chętnie przyjmowała u siebie sfery artystyczne. Jacek przesiadywał u niej godzinami i malował ją stale, raz jako głowę Gorgony, to znów jako jedną z nimf lub muz. Przeżyła ona Jacka o sporą ilość lat, przeżyła siebie i jako cień dawnej, świetnej, uwielbianej przez krakowskich malarzy pani Balowej przeniosła się parę lat temu w nicość, zwaną na pociechę w i e c z n o ś c i ą. O ile Jacuś był przez szereg lat wierny jednej bogini, o tyle Wojtek kochał się w dwóch i trzech damach naraz, a właściwie kochał się w jednej, ale tamtym biedaczkom, zakochanym w nim do białości, musiał

również dać coś z siebie. W tych sprawach był równie szczodry, jak w każdych innych.

Po pierwszej wojnie Wojciech zaczął większą część roku przebywać w Warszawie i bliskie jego stosunki z Jackiem zaczęły coraz bardziej zanikać.

Zupełnie innym typem był Teodor Axentowicz, z którym łączyła Wojciecha długoletnia przyjaźń. Było w tym człowieku ciekawe połączenie sprytnego kupca Ormianina z paryską *bohème*. Axentowicz myślami i marzeniami nie opuszczał Paryża i z Wojciechem wciąż wspominali wspólne, paryskie, studenckie czasy; mówił najchętniej po francusku, mając szybko słowa w dużych zmysłowych ustach. Jego pomadkowe portrety zamożnych mieszczek, które miały tak olbrzymie powodzenie, malowane były manierą, można rzec, businessową. Ten znakomity malarz miał zmysł kupiecki tak wyrobiony, iż dla niego poświęcał swój duży talent. Wszystkie jego bogate modelki życzyły sobie mieć siebie w formie portrecików na pudełkach pomadek ze słynnej krakowskiej firmy cu-kierniczej Redolfi. więc dlaczegoż nie spełniać cynicznie ich zamówienia? Gdyby nie słynny portret rodziny artysty i kilka główek własnych dzieci, nikt nie byłby się nigdy dowiedział, jaki posiadał lwi pazur. Pan Teodor potrzebował kupę pieniędzy, aby utrzymać trzy córki, dwóch synów i wymagającą żonę, pannę Giełgud z domu, której matka była Angielką. Kochał się w jedwabiach, błyszczących atłasach i biżuterii.

141

Komuś ze swoich przyjaciół przyznał się, że w swojej żonie, gdy była panną, zakochał się z powodu pięknej broszki, jaką miała na sobie. Jego długoletnią muzą, o anielsko słodkiej twarzyczce, była

prześliczna blond-dyneczka, panna Zosia Umlauf, córka pianistki pani Czop-Umlauf, która pierwsza w Krakowie założyła Instytut Muzyczny. Axentowicz, sam czarny jak kruk, kochał się przeważnie tylko w jasnych blondynkach, w czym podobny był do Wojtka Kossaka, który nie uznawał kobiet innej

„maści” i zawsze powtarzał słowa pewnego francuskiego pisarza, że „kobieta blondynka jest podwójnie kobietą”. Częstym modelem Axentowicza była również Zofia Jachimecka. Po skończonym pozowaniu gładził

jej cieniutką białą rączkę, mówiąc: - A teraz to sprzedamy, sprzedamy, sprzedamy...

Swoim muzom nie ofiarował ani jednego portretu, woląc je sprzedać za uczciwe pieniądze, w czym był podobny do innego malarza pięknych dam, Męciny-Krzesza (Kręciny-Wesza - jak go nazywali), nie cieszącego się przyjaźnią Wojciecha.

Między ówczesnymi malarzami były takie same animozje i zazdrości jak obecnie i nie było na Kossakówce obiadu, aby Wojtek nie wściekał

się o coś na Fałata, któremu zresztą uczciwie przyznawał duży talent, albo na Jana Stykę, z którym malowali razem sławną Panoramę Racławicką. Styka ze swoją bigoterią połączoną z zazdrością zawodową doprowadzał go do pasji. Córkom chętnie opowiadał, jak w czasie wspólnej pracy przy Panoramie przyszedł do niego Styka i rzekł tak:

- Czy wiesz, Wojtusi, że dzisiaj w nocy zjawiła mi się Matka Boska i wyraziła obawę, czy ci się powiedzie z tą „grupą pod krzyżem”, więc rano poszedłem do kościoła i leżałem krzyżem na intencję, aby ci się to udało.

Wojciech, natura zdrowa i szczerza, nie znosił takiej obłudy, więc też owa przyjacielska troska Styki bardzo go zirytowała.

Wielką natomiast przyjaźń żywił do Chełmońskiego. Cortei nie miały okazji go poznać, ale Wojciech często i chętnie o nim opowiadał. Sam bardzo wstrzeźliwy, jeśli chodziło o alkohol, miał mu tylko za złe jego pociąg do kieliszka i z tym często idące w parze zaniedbanie i nie-chlujstwo. Poza tym jednak admirał jego wielki talent i uważał go za

jednego z największych polskich malarzy. Lilka i Madzia nasiąkały od małego opinią sławnego Ojca o współczesnych polskich malarzach i nie próbowały nawet wyrabiać sobie indywidualnego na nich spojrzenia.

Ojciec ich na przykład nie kochał Jana Matejki, będąc zresztą z całym podziwem dla ogromu jego talentu. Może była to po prostu zazdrość zawodowa, a może brak sympatii dla człowieka - w każdym razie obie dziewczynki nie wychowały się w kulcie dla tego wielkiego artysty.

Wojciech nie był również zwolennikiem Siemiradzkiego, którego uważał za zbyt słodkiego, a Stachiewicza tak nie lubił, że pobożna Mama Kossakowa musiała ukrywać swój podziw dla jego Matek Boskich. Wolał

już od niego Żmurkę, chociaż też nie był jego entuzjastą. Władysław Czachórski, dobry znajomy

Babci Juliuszowej, swoimi obrazkami przypominającymi dzisiejsze kolorowe fotografie wprawiał w szczyry zachwyt obie dziewczynki, które musiały się z tym zachwytem przed Ojcem ukrywać. Uważał go za dobrego rysownika, ale słabego malarza, nie pojmując, jak można nad jednym obrazkiem ślęczeć kilka miesięcy!

Natomiast obie córki, niewyrobione jeszcze malarsko, nie mogły zrozumieć, dlaczego Tatko zachwyca się ciemnymi, jakby zgaszonymi kolorami pejzaży Stanisławskiego.

Wielką miłością darzył nieżyjącego już wówczas Grottgera, którego zawsze wspominał z wielkim rozrzewnieniem, a pamiętał go jako ucznia Juliusza. Opowiadał o nim taką wzruszającą historyjkę: Młody trzydzie-stoletni Grottger, zdjęty nieuleczalną chorobą, jechał na wózku popy-chanym przez siostrę-pielęgniarkę. Było to w Nicei, na słonecznej, roze-

śmianej Promenade des Anglais. Grottger, ujrzawszy któregoś z kolegów, kazał zatrzymać swój makabryczny pojazd, ucieszywszy się bardzo z tego spotkania. Minęły ich dwie wesole i barwnie ubrane Francuzeczki i wówczas Grottger rzekł: - Moje kochane kokosie! - i łzy zabłyśły mu w oczach. W tych słowach było tyle żalu za młodością, z którą się miał niedługo pożegnać, za życiem i za kobiecością, którą uwielbiał, że kolega odwrócił głowę, aby skazany na śmierć Grottger nie widział, że mu się na płacz zbiera. Ten znakomity rysownik zwierzał się nieraz bliskim, jak 143

wielką jego życiową tragedią jest brak poczucia koloru, w wyniku czego wszystkie jego próby malarskie były nieudane. Kiedyś na strychu w przepastnych skrzyniach, zawierających wiele skarbów, obie panny znalazły olejny szkic przedstawiający jakiś epizod wojenny. Były pewne, że to obrazek ich brata Jerzego, dopiero Tatko, przyjrzawszy mu się do-kładnie, skonstatował, że jest to młodociana praca Grottgera. Sprytnie panienki nie omieszkały go wobec tego szybko sprzedać jednemu z krakowskich „Kunsthändlerów”, czego potem na pewno gorzko żałowały.

Malarzem, który najczęściej obok Jacka przebywał na Kossakówce, był Stanisław Tondos. Jego znów tragedia życiowa polegała na tym, iż nie umiał malować ludzkich figur. Wojtek, najlepszy przyjaciel i niezawodny kolega, przychodził mu w tym z pomocą i wszystkie, znakomite zresztą, sylwetki osób na akwarelach Tondosa, tylekroć reprodukowane na kartkach pocztowych, były pędzla Wojciecha. Do wszystkich tych na poczekaniu robionych, sylwetek pozowały, jeśli chodzi o kobiety, obie jego córki. Nieraz się zdarzało, że Madzia lub Lilka leżą sobie, zacytane, w hamaku, gdy nagle odzywa się głośnie wołanie Tatki:

- Magdusia! Lilek! Chodźta mi na chwilę pozować!

- Może później, drogi tato... Taka ciekawa książka...

- Nie, zaraz! Staś Tondos stoi nade mną i nie daje mi spokoju!

Tatko tak był uwielbiany przez obie córki, że mógł być zażądać nie wiedzieć czego, a byłyby to momentalnie na rozkaz wykonały. Z westchnieniem więc porzuciły hamak, książkę i pachnący różami ogród i szły do zimnej pracowni, aby przez kilkanaście minut stać nieruchomo w żądanej pozie. Panienska prowadząca przez Rynek krakowski rannego legionistę, obrazek reprodukowany w tysiącach egzemplarzy na kartkach pocztowych przez firmę Immerglücka, to istny portrecik ówczesnej

Magdaleny. Córki słynnego malarza pozowały mu nie tylko do akwarel kolegi Tondosa, ale czasem również i do rąk portretowanych przez Wojciecha dam, które nie mogły się stawić do pozowania. W związku z tym zdarzyła się kiedyś Wojtkowi dziwna zaiste historia. Otóż będąc jak 144

prawie wszyscy ówczesni artyści wielbicielem Ireny Solskiej, zaproponował jej malowanie portretu w kostiumie Infantki z „Cyda”, wielkości naturalnej. Portret wypadł wspaniale i był już prawie gotów, brakowało jeszcze tylko wykończenia rąk. Ponieważ Irena była bardzo zajęta jakimiś próbami, więc nie chcąc tracić czasu, Wojciech poprosił starszą cór-kę, aby mu pozowała do rąk. Lilka, w przeciwieństwie do młodszej siostry, miała sławnie piękne ręce, białe o długich palcach i przezroczystej skórze, przez którą przebijały liliowe żyłki. Te ręce namalowane z wyjątkową dokładnością znalazły się na portrecie rudej Infantki i wówczas stało się coś niespodziewanego. Przychodzi Irena Solska, spogląda na portret, chmurzy się i powiada, że to nie są jej ręce i że wobec tego portretu w prezencie przyjąć nie może, chyba że mistrz je przemaluje!! Wojciech obraził się, rąk oczywiście nie przemalował i dzięki temu wspaniały ów portret znajduje się do dzisiaj w willi na Kossakówce.

Wracając do Stanisława Tondosa, którego paupry przezywały

„Tondos-gutapera”, podać należy, że był to rodzaj, powiedzmy, dużego i kwadratowego karła, który głowę o charakterystycznych rysach zadzierał

wysoko do góry, co tylko w jego wyobraźni dodawać mu miało brakują-

cej ilości centymetrów. Był on stałym pośmiewiskiem młodocianych chuliganów, którzy biegli za nim na ulicy wołając: - Patrzcie! patrzcie!

taki mały, a już chodzi! - Gdy rozwścieczony gonił ich z krzykiem, groź-

nie wyrażając im laską, wołali: - Patrzcie! patrzcie! taki mały, a już gada!

Wielka też przyjaźń łączyła Wojciecha ze Stanisławem Lencem. Lenc, sam podobny do portretów starych Holendrów - z olbrzymim nosem, jakby z dwóch kartofli złożonym, i wielkimi murzyńskimi ustami, szalał

na punkcie starej holenderskiej szkoły i lubił portretować tylko tych, z których mógł wyciągnąć choć trochę holenderskiego typu. Jakkolwiek nigdy mu nie przyszło na myśl (jak żadnemu zresztą z kolegów Wojtka), by ją portretować, to przecież, zachwycony urodą Mamy Kossakowej, nie mógł się nadziwić, skąd się u niej wzięły takie jasne włosy, przezroczyste oczy i mleczna, białoróżowa cera.

145

- Nie ma w tym nic dziwnego - przyznała się Manusia z pewnego rodzaju kokieterią - przecież moja prababka nazywała się z domu de With i była holenderskiego pochodzenia.

Często przesiadywał na Kossakówce Wincenty Lutosławski. Lutosławski był człowiekiem ogromnej wiedzy, ale jednocześnie i olbrzymiego sprytu. Pisywał książki propagujące wiedzę jogów, zajmował się mię-

dzy innymi stylometrią i wybadał, że Mickiewicz użył w swoich dziełach czterdzieści dwa tysiące słów! Ożenił się z uroczą Hiszpanką, panną Casanova, a chcąc ją przyzwyczaić do ostrego klimatu, którego nie znosi-

ła, zawiózł żonę do Rosji i tak długo woził saniami po zaśnieżonych stepach, aż się ciężko zaziębiła. Z tego małżeństwa miał trzy córki, z którymi bardzo przyjaźniły się obie Kossakówny. Ponieważ jednak nie mieli syna, więc wytłumaczył żonie, iż mimo że ją bardzo kocha, musi się z nią rozejść i ożenić się z pewną młodą osobą, z którą mógłby mieć potomka rodzaju męskiego, co dla jego „karmy” czy „awataru” było koniecznie potrzebne. Z drugą żoną miał syna i córkę. Umarł w roku 1954 w Krakowie, mając dziewięćdziesiąt pięć lat! Można by przypuścić, że wdychanie „prany”, tak zalecane przez jogów, posty i wyrzeczenia się alkoholu przyczyniły się do jego długowieczności, ale dla tych, co go dobrze znali, wiadome było, że te systemy, które tak silnie propagował, stosował

tylko wśród swoich wyznawców - „elsów”, sam mistrz bowiem lubił bardzo pić wino, a co do jedzenie mięsa... to bywało różnie. Mistrz Lutosławski zwykle wpadał na Kossakówkę w porze obiadowej. Nosił pelerynę, był często nie ogolony i dla zdrowia chodził bez kołnierzyka.

- Dla mnie - mówił siadając do stołu - proszę tylko szklankę gorącej wody i garść migdałków.

Gościnną Mama Kossakowa stawiała przed nim szklankę gorącej wody i talerzyk z migdałami, po czym bez słowa nakładała mu na talerz skrzydełko kurczęcia, sandacza z wody lub kuropatwę i wówczas

„mistrz”, zajęty rozmową, niby to przez roztargnienie wcinał smaczne kąski bez żadnego sprzeciwu. Potem dopiero pił gorącą wodę przegryzając migdałkami. Gościnną pani domu była zachwycona, ponieważ nie można jej było zrobić większej przykrości, jak nie zjeść tego, co komuś 146

sama nałożyła na talerz, dziewczynki jednak spoglądały na to ze zgrozą.

Lilka przejęta „elsami” w ogóle nie jadała mięsa, a Madzia jadała, ale uważała się za osobę niższą, która nie potrafi zapanować nad swoimi po-

żądaniami.

Wśród ówczesnej zamożnej szlachty trafiały się od czasu do czasu ciekawe typy, które odskakiwały od szablonu przeciętnego polskiego szlagona. Takim typem, poza Wincentym Lutosławskim, był również Feliks Jasioński, autor niezmiernie interesującej książki pod tytułem

„Manggha”, pisanej w języku francuskim. Jasioński przebywał dłuższy czas na Dalekim Wschodzie, skąd przywiózł sobie rzadkie okazy dzieł

sztuki starochińskiej i japońskiej i miał u siebie istne muzeum. Popularnie nazwano go „Manggha”. Wyglądał jak „starszy zbójca”, nosił bowiem czarną brodę, duże czarne okulary, ciemną pelerynę i miękki czarny kapelusz. Gdy przechodził ulicą, wzbudzał w dzieciach lęk połączony z szacunkiem. Poza ciekawymi i intelektualnymi typami istniało wówczas wśród ziemiaństwa i wielu oryginałów,

jak na przykład słynny dziwak imię pan Kleniewski. Kleniewski nadawał swoim dzieciom tylko imiona starosłowiańskie, jak: Ziemowit, Bogna, Światopełk, Marzanna, Wisława etc. Chłopcom nie pozwalał strzyc włosów do siódmego roku życia i wówczas dopiero urządzał im starosłowiańskie postrzyżyny. Biedne ofiary ojca-dziwaka, mając długie włosy do połowy pleców, chodziły w słomianych łapciach, lnianych portkach i koszulach przepasanych kraj-ką. Jego żona była najniezwyklejszą osobą pod słońcem. W niedzielę musiała jeździć do kościoła wozem zaprzężonym w woły, jako że w starosłowiańskich czasach nie używało się koni do zaprzęgu. Zamiast chleba jadano we dworze kołacze i podpłomyki, a zamiast rosółków - żur i polewkę piwną. Złośliwi twierdzili, że cała ta starosłowiańska maniera powstała u niego na tle skrajnego skąpstwa. Śmiesznym typkiem był też hr. Łoś, twórca kilku grafomańskich powieści, wobec których Mniszkówna mogła się wydawać wspaniałą gwiazdą. Kochał się on beznadziejnie do końca życia w Mamie Kossakowej, a obie córki wciąż prze-

śladowały ją owym adoratorem o wątpliwych urokach. Co jakiś czas 147

przed furtkę ogrodu na Kossakówce zajeżdżał kocznyk i z kozła zeskakiwał hajduk w szerokich szarawarach, trzymając w ręku opięty strzyżonym papierem bukiet róż - jaki widywało się już tylko na starych ryciach - by go z czołobitnym bilecikiem od pana hrabiego Wincenego Łosia doręczyć pani Kossakowej. O rodzinie Łosów krążyła wśród szlachty anegdota, z której się wszyscy zaśmiewali w braku lepszych dowcipów. Była to przygaduszka między Puzyną a którymś z Łosów.

Puzyna miał rzec: „Powiedział ktoś, że kiej Łoś”, a na to Łoś mu odpalił:

„Co Łoś to zwierzyzna - co kiej to Puzyna” - (cha! cha! cha!).

Kiedy dziewczynek nie było jeszcze na świecie, przemieszkiwał na Kossakówce naprawdę interesujący i niezwykły gość - daleki kuzyn pani Maniusi. Był to Stefan Rogoziński, słynny podróżnik i jeden z odkrywców Kamerunu, który wydawał cały swój majątek na dalekie podróże.

Manusia nic nie wiedziała o tym, że jego rodzina ze strachu, aby nie straciła całego majątku, zamknęła go podstępnie w zakładzie dla umysłowo chorych dra Żuławskiego. Takie ponure historie zdarzały się wtedy dość często: gdy jakiś członek rodziny zawadzał innym, zamykano go bezkarnie w „domu wariatów” (jak to się wtenczas nazywało), a lekarze, płaceni dobrze, nawet zupełnie zdrowych ludzi nie wypuszczali poza obręb muru swoich zakładów. Któregoś dnia pani Manusia, wówczas zupełnie młoda mężatka, otrzymała dziwny list, doręczony jej przez jakiegoś nieznajomego. Pisał do niej z zakładu dra Żuławskiego Stefan Rogoziński, aby go ratowała, gdyż go tam trzymają przemocą, chociaż jest najzupełniej przy zdrowych zmysłach. Ów list przerzucił przez mur swojego więzienia na ulicę, licząc na to, że ktoś go podniesie i odda adresatce. W liście proponował kuzynce, aby tego a tego dnia zajeżdżała póź-

nym wieczorem swoimi końmi przed mury zakładu, przez które on się przedostanie chyłkiem, i w ten sposób ułatwi mu ucieczkę. Dzielna Manusia, nie mówiąc o tym w domu ani słowa, kazała stangretowi zaprząć kasztanki do powoziku, jak w sensacyjnych powieściach nałożyła na twarz gęstą woalkę i sama powożąc pojechała w stronę zakładu dra Żu-

ławskiego. *Raptus pueri* udał się wspaniale. Manusia z bijącym sercem 148

zatrzymała koniki przed wysokim murem. Księżyc z miną dobrodusznego księdza-sповідnika dawał jej z góry swoją absolucję. Zaszleściły gałęzie wysokich drzew, zaszumiły listki. Na murze siedział mężczyzna w pasiastym stroju. Rozejrzał się na wszystkie strony, czy go nikt nie widzi, po czym zsunął się wzdłuż muru na ulicę. Bez słowa wsiadł do powoziku, Manusia zacięła konie, koła powozu zadudniły po pustych ulicach Krakowa. Znakomity podróżnik został uratowany.

W roku 1910 podczas uroczystości grunwaldzkich miał być odsłonięty pomnik - rzeźbiarza Wiwulskiego - ufundowany przez Paderewskiego.

Sam mistrz Ignacy zjechał do Krakowa, gdzie w sali Starego Teatru przewidziany był jego koncert. Run na bilety całego krakowskiego *high-life'u* był olbrzymi. Mama zawczasu zakupiła trzy bilety w pierwszych rzędach, dla siebie i córek, i wszystkie trzy ubrane wieczorowo - to znaczy: Lilka i Madzia w białych etaminowych sukniach na kolorowych spodach, a Mama w aksamitach i sobolach - ukazały się na chwilę przed rozpoczęciem koncertu. Pan Ignacy miał wówczas rudą, w tył zaczesaną czuprynę i małą rudawą kępkę na brodzie. Był podobny do lwa, palcami zgiętymi jak szpony atakował klawiaturę, odrzucając często głowę w tył.

Obok pani Kossakowej z córkami siedziała jakaś stara panna - melo-manka, która w histerycznym zachwyceniu mamrotała do siebie: - O tak, tak... tak... teraz nie tak... o, dobrze, dobrze, dobrze, dobrze... taak, taak, taak! - W czasie wykonywania etudy a-moll Szopena, gdy cała sala zamarła w zachwyconym wzruszeniu, Madzia, przejęta do głębi grą mistrza, pośród głębokiej ciszy rzekła niemal głośno do swojej siostry: - To bitwa pod Grochowem... - Wówczas stała się rzecz przerażająca: wielki lew oderwał ręce od klawiatury na króciutki moment i obrócił się w stronę owego śmiałka w białej sukience, który odważył się powiedzieć coś na głos wówczas, kiedy ON grał! Od wzroku, którym ją zmierzył, można było zapaść się pod krzesło. Wszyscy wyciągnęli szyje, aby dojrzeć tę, która ośmieliła się zakłócić artystyczne nabożeństwo. Biedna Madzia miała od tej chwili cały wieczór zatruty. Tym bardziej że Lilka uszczypnęła ją w ramię - „z zakręceniem”, co było bardzo bolesne, a, 149

Mama czerwona ze wstydu, spojrzała na nią zezem, równie srogo jak mistrz Paderewski.

Nazajutrz mistrz Ignacy przyszedł na Kossakówkę z wizytą. Wielkość świadoma swojej wielkości robi zawsze olbrzymie wrażenie. Wzruszone panienki przysły mu się przedstawić, blade z emocji. Z uwagą spojrzał

na młodszą i rzekł:

- A, to ta sama panienka, która wczoraj powiedziała coś głośno na moim koncercie. Od razu ją poznałem.

Przed pierwszą wojną objawił się w Krakowie nowy i niezwykle kobiecy talent malarski Zofii Stryjeńskiej, wówczas jeszcze panny Lubań-

skiej, córki krakowskiego rękawicznika. Odkrył ją Jerzy Warchałowski, esteta i wielki znawca sztuk pięknych. Biegał z pierwszym cyklem jej olejnych obrazów, urządził małą wystawkę, kazał

podziwiać te jeszcze trochę dziecinne i naiwne obrazki malowane z dużym talentem. Z temperamentem Włocha i przekonującym sposobem mówienia zrobił

koło niej wraz z Ludwikiem Pugetem taki szum, że młodzianka Zofia stała się od razu sławna. Kiedyś obie panny, Lilka i Madzia, usłyszały na dole w saloniku głośne dźwięki fortepianu. Gdy zeszły z góry, ujrzały siedzące przy fortepianie jakieś zabawne stworzenie z murzyńską kręconą czupryną i wspaniałymi, ognistymi, ciemnymi oczami.

- Co pani tu robi? - zapytała jedna z sióstr.

- Jestem Zofia Lubańska - odparła - ten domek mi się spodobał, więc weszłam przez werandę i gram sobie na fortepianie. Proszę mi nie przeszkadzać...

Obie siostry roześmiały się. Zaimponowało im to. Tak sobie wejść do obcego domu i zasiąść od razu do fortepianu - tego by nie zrobił byle kto. Zaprzyjaźniły się i od tego czasu Zofia była na Kossakówce bardzo częstym gościem, tym bardziej że Wojciech przepowiadał jej wspaniałą malarską karierę. W ogóle mało było malarzy, którzy by tak się radowali jakimś nowym młodym talentem jak on. Zofia robiła tysiące nietaktów i *faux pas*, ale bezpośredniością i jakimś swoistym zamorusanym wdzię-

ciem zdobywała każdego. W swoim mężu, Karolu Stryjeńskim, kochała się dziko, zachłannie i histerycznie. Wszyscy w krakowskim artystycznym świecie wiedzieli, że oboje ze sobą „chodzą”, ale nikt nie przypuszczał, 150

że te dwa cygany - on pochodził z niezwykle kulturalnego i inteligentnego środowiska, a ona z drobnomieszczańskiego *milieu* - pobiorą się.

Któregoś popołudnia Zosia wpadła na Kossakówkę w białej atłasowej bluzce (która wyjątkowo nie wychodziła z paska), z bukietem białych kwiatów, czerwona, z nienaturalnie błyszczącymi oczami.

- Przed chwilą wzięłam ślub z Karolem! - zawołała roztrzęsionym głosem - i... uciekłam mu.

- Dlaczegoś mu uciekła? Co się stało?

- Chcę, aby mnie szukał. Za chwilę jadę do Zakopanego. Gdyby tu przyszedł, błagam, nie mówcie, że byłam i dokąd pojechałam!

Obie siostry, Lilka i Madzia, spojrzały na nią jak na wariatkę:

- Ale po coś to zrobiła? Przecież go tak kochasz...

- Właśnie dlatego. Chcę, żeby się niepokoił... aby mnie przez to jeszcze więcej kochał. Ach, drogie moje - rzekła rzucając im się na szyję -

wy nie wiecie, jaka jestem szczęśliwa, to jest szczęście ponad siły! - rozplakała się i uciekła. Trzy dni samotnie włóczyła się po górach, po czym wróciła do męża, który przerażony i zaniepokojony szukał jej po całym Krakowie. Stary Stryjeński, człowiek o wielkiej wiedzy i kulturze latyn-

skiej, który przeważnie mówił tylko po francusku i będąc obywatelem szwajcarskim wcale się za Polaka nie uważał, nie mógł być zadowolony z tak dziwacznej, choć szalenie uzdolnionej synowej, nie mówiąc już o jego córce, starej panie Żańci, która była zupełnym przeciwieństwem malarki-wariatki, ze swoją stateczną dewocją i charytatywnymi zajęciami.

Stary Stryjeński z brakiem poczucia się do polskości nie był w ówczesnym Krakowie postacią odosobnioną. Snobizm na zagranicę był w pełni rozkwitu; jedni, tak jak Stryjeński, Jasieński, świetny rzeźbiarz Ludwik de Puget Puszet, Axentowicz, czuli się rodowitymi Francuzami -

inni, przeważnie arystokraci, mówili o sobie: „Ja nie jestem Polakiem -

ja jestem Litwinem”. Było też kilku Ukraińców, trochę Anglików - ale Polaków takich, którzy byliby dumni z tego, że nimi są, mało się spotykało. Wojciech Kossak, mimo iż był naprawdę gorącym Polakiem 151

i patriotą, co zresztą było z jego obrazów - polska dziewczyna, ułan polski, których umiał odtworzyć z takim mistrzostwem, były jego ukochanymi tematami - w rozmowie stale mieszał zdania francuskie i angielskie z polskimi i najchętniej z córkami rozmawiał po francusku.

Rdzennie polska sztuka Stryjeńskiej, która poza Kraków nie wyściu-biała nosa, przypuszczalnie nie wzbudzała entuzjazmu w rodzinie jej męża. Wzbudzała za to zachwyt w grupie tych, którzy zaczęli zajmować się sztuką ludową i założyli w Krakowie „szkołę” Polskiej Sztuki Stosowanej. Brali w niej czynny udział: Jerzy Warchałowski, Karol Frycz, Antoni Buszek, Gabriel Żeleński i inni. Był to szalony przewrót w zdobnictwie i zasłużony zgon ohydnych tapetowych motywów, których miejsce zajęły motywy z podkrakowskich chłopskich wycinanek. Jerzy Warchałowski, którego zasługi na polu zdobnictwa były olbrzymie, założył

dział batikarski, gdzie dziewczęta z ludu rysowały woskiem wpierw na płótnie, a potem na jedwabiu to, co im strzeliło do głowy - a „strzelało” im dzięki kierunkowi wspaniałego profesora bardzo artystycznie - i batikowe makaty, które wychodziły spod ich palców, nie ustępowały ani w deseniu, ani w kolorystyce batikom jawańskim. Warchałowski był nie tylko natchnieniem dziewcząt z ludu, ale również i amfitrionem Zofii Stryjeń-

skiej, którą wprowadził w świat roztańczonych bab krakowskich i druž-

bów, na czym się w końcu zmanierowała i jej wielki, rozbrykany talent zaczął się wykrzywiać, a motywy powtarzać. Warchałowski często przychodził na Kossakówkę i swoim entuzjazmem w stosunku do Stryjeń-

skiej i sztuki ludowej trochę drażnił rodzinę Kossaków, gdzie przecież wszyscy malowali, bo i Lilka okazywała duży talent ilustratorski, a jej akwarele pełne były wdzięku i poezji. Ale dla Warchałowskiego i Wojciech, i Maria byli „pacykarzami” i w ogóle niczym wobec talentu Zofii i batików jego uczennic. Ze swoją spiczastą, czarną bródką i ognistymi oczami, błyszczącymi jak rozżarzone węgle, przypominał trochę wschodniego kupca, gdy rozkładał na krzesłach batikowe cuda, chcąc, aby je wszyscy podziwiali. Mrużył oczy, cmokał z zachwytu, zwijał, rozwijał, zarzucał paniom na ramiona.

Bardzo zażyłe stosunki łączyły Kossaków z rodziną Morstinów. Siostra Ludwika Hieronima, Marysia, też była poetką, i to bardzo obiecują-

cą. Moda ówczesna wymagała, aby panny z tak zwanych dobrych domów koniecznie wyrabiały w sobie jakieś talenty: jedne malowały, drugie pisały wiersze, inne chodziły na lekcje rzeźby do Ludwika Pugeta. Te wszystkie ich zdolności i talenciki zwykle kończyły się z chwilą zamąż-

pójścia. Do obu sióstr przychodziła często Zosia Włodek z krakowskiej profesorskiej rodziny Włodków. Zosia okazywała dość duży talent rzeź-

biarski i oddawała mu się z prawdziwą pasją. Kiedyś przyprowadziła na Kossakówkę narzeczonego, typowego hreczkosieja i półinteligenta.

- A co będzie z Zosi talentem rzeźbiarskim? – zapytała Lilka. - Mam nadzieję, że nie zaniedba go po wyjściu za mąż.

Na to hreczkosiej spojrział na narzeczoną tłustym wzrokiem:

- Będziemy lepili, będziemy... - odparł uśmiechając się lubieżnie.

Ulepili potem furę dzieci i na tym się jej talent rzeźbiarski skończył.

Z braćmi Morstinami zgadało się kiedyś o Helenie Mniszek, której parodię właśnie Madzia zaczynała pisać. Pokazało się, że historia ze Stefcią była trochę historią samej Mniszkówny, która nazywała się Mniszek-Tchórznicka i przez jakiś czas była w Pławowicach, majątku Morstinów, nauczycielką. Tam zakochała się w tłuściutkim i różowym Alfredzie Morstinie, za którego z powodu różnicy nazwiska i majątku nie mogła wyjść za mąż.

Rozdział XIII

KRAKOWSCY KUPCY

Z końcem ubiegłego wieku żył w Krakowie znany ze swojej uczciwo-

ści handlarz obrazami - „mądry Żydek Himmelblau” (jak go nazywa Pawlikowska w swoim pięknym wierszu „Dziadzio”), który był stałym odbiorcą akwarel Juliusza Kossaka. Kiedyś Dziadzio potrzebował gwał-

tem pieniędzy (pewnie na zapłacenie jakiegoś długu, siedząc jak każdy ówczesny artysta po uszy w długach). Idzie więc do Himmelblaua z jakąś piękną akwarelką i chce mu ją sprzedać za śmieszłą cenę 100 reńskich.

Himmelblau drapie się w brodę:

- Oj, panie Kossak, ja wyłożę pieniądze, a co będzie, jak ja za ten obrazek tyle nie dostanę? Ja na

panu nie chcę dużo zarabiać, ale nie mogę dokładać. Dam panu siedemdziesiąt!

Juliusz obraził się, zapakował akwarelę i chciał wyjść, ale pani Himmelblauowa, zmartwiona, że mąż zrazi sobie takiego dobrego dostawcę, wysupłała z woreczka brakującą resztę i dopłaciła mu. Nazajutrz Himmelblau znalazł zamożnego nabywcę, który mu za obrazek dał 180 reń-

skich. I co wobec tego robi ten niezwykły i niespotykany kupiec? Idzie do mistrza Juliusza i wręcza mu czterdzieści reńskich w formie dopłaty.

To wygląda na bajkę, a jest najautentyczniejszym faktem.

W czasach kiedy Lilka i Madzia były małutkimi dziewczynkami, istniały w Krakowie czarodziejskie dla nich firmy, o których dawno słuch zaginął. Na przykład skład zabawek pana Fenza, na rogu Rynku i Sławkowskiej. Pan Fenz - stary jegomość z wiszącymi siwymi wąsikami - był

kupcem bez uśmiechu, pełnym powagi i godności. Za ladą siedziała pani Fenzowa w okularach, robiąca w wolnych chwilach włóczkową robótkę.

Dzieciom oczy zachodziły mgłą pożądaniami, gdy wchodziły do tego dziecięcego raj. Zabawki były wówczas solidne, żadnej lipy, żadnego bujania.

155

Lalki miały pod suknią wszystko, co potrzeba: halki, majteczki. Zamoż-

niejsze posiadały skórzane kuferki, w których szufladach leżały stosy bielizny, zapasowe sukienki, płaszczyki, kapelusze. Lalki jak dzieci miały swoje mebelki, kuchnie z rondlami, wózeczki, nawet miniaturowe piłki i inne zabawki. Wszystkie te cuda sprowadzane były z W i d n i a, tak jak przeważnie krakowskie towary. i wykonane były z drobiazgową starannością. Wszystkie swoje oszczędności zostawiały obie siostry w tym czarodziejskim sklepie. Za kilka centów można tam było dostać różne cuda

- na przykład szklane kulki różnej wielkości, które nie wiadomo do czego służyły. Zdaje się, że istniały tylko po to, aby je turlać po podłodze i potem łażąc na czworakach szukać ich pod kanapą czy szafą.

Gdy dziewczynkom brakło pieniędzy na szklane kulki, zabawiały się puszczaniem baniek mydlanych (piękna i tania zabawa, o której dzisiejsze dzieci nic nie wiedzą). Brało się trochę rozpuszczonego w wodzie mydła, słomkę rozdwojoną na końcu i, siedząc w oknie lub na stole, maczało się słomkę w mydlanym roztworze i dmuchało w nią, puszczając w powietrze bańki. Bujały one po całym pokoju mieniąc się kolorami tęczy i odbijając okna i przedmioty znajdujące się w pokoju. Dziewczynki goniły za nimi, chwytaly je do rąk i wówczas one rozpryskiwały im się w palcach. „Szczęście prysnęło jak bańka mydlana” - było wówczas po-równaniem bardzo często przez poetów i pisarzy używanym. Lilka potrafiła godzinami siedzieć w oknie lub w ogródku i puszczać tęczowe bańki. Nawet gdy już była dorosłą osobą i manikiurzystka przychodziła jej robić *manicure*, z resztek pozostałego w miseczce mydła puszczała bańki, wydymając je do olbrzymich rozmiarów. Gdy

wyszła trzeci raz za mąż za porucznika Jasnorzewskiego, z którym dopiero była naprawdę szczęśliwa, rzekła tak:

- Bo z mężami jest tak jak z bańkami mydlanymi: pierwsza jest zawsze nieudana, druga już lepsza - a dopiero ta trzecia jest naprawdę piękną i kolorową!

Drugim po sklepie pana Fenza ukochanym przez dzieci sklepem był

skład pierników pana Mołęckiego przy ulicy Brackiej.

156

W okresie zbliżającej się uroczystości Św. Mikołaja pan Mołęcki urządzał wspaniałą wystawę z tak apetycznymi domkami z piernika i

„mikołajkami”, że dzieciom wprost oczy wylaziły z twarzyczek. Dwuletnia Madzia, gdy tam przychodziła ze swoją Mamą, mówiła do sympatycznego właściciela, który sam wyglądał jak duży lukrowany piernik, w ten sposób:

- Mołęsi, dai Madziowi pi!

A gdy jej ze śmiechem wręczał piernik. wyciągała drugą rękę po następną: - Aby byli dla...

W tym gości odbijał się po trochu jej zachłanny charakter.

Cukiernia Redolfiego (późniejszy „Maurizio” na linii A-B) przedstawiała też dla dzieci niebywałą atrakcję. Szło się tam z Mamą na lody, gdy się było grzecznym i posłusznym. Nawet dzisiaj człowiek oblizuje wargi na wspomnienie tych wielkich kwadratowych pierników oblanych czekoladą, które były specjalnością firmy, a kosztowały pewnie... dziesięć centów.

Ukochanym sklepem dzieci był też skład bławatny pana Bobera na Stradomiu. Bober dawał dziewczynkom za darmo szmatki ilekroć przychodziły tam z Babcią Kossakową, wносиły całe pudła różnych skrawków, które potem służyły za materiał do ubrania lalek. Przejście przez Stradom przedstawiało już olbrzymią atrakcję. Co krok spotykało się tam poważnych, biblijnych, starych Żydów w lisich czapach i długich, czarnych, lśniących chałatach. Stare Żydówki w rudych lub czarnych peruczkach na głowie. Piękne młode Żydóweczki w kolorowych szalach, które stojąc w drzwiach nędznych sklepików reklamowały swój towar.

Był to skrawek Bliskiego Wschodu z całym jego urokiem i brudem. Kupcy i handlarze czepiali się sukien i płaszczy przechodzących, przemocą chcieli wciągnąć ich do ciemnych i cuchnących składzików.

- Oj, takie śliczne panienczki! Może pończoszki dla panienczek, buciczki, rękawiczki? U mnie jest wszystko. Szanowna pani wejdzie, zobaczy. Nieee? To ja bardzo przepraszam... może na chwileczkę...

O uprzejmych i nachalnych kupcach żydowskich krążyła w tych czasach następująca anegdota:

Jakiś Żyd namawiał klienta, aby wszedł do jego sklepiku:

- Ja mam wszystko, czego szanowny pan zechce i zażąda. U mnie nie ma - nie ma. Proszę, czym można służyć? U mnie jest wszystko...

- Wątpię - odpowiada chłodno klient.

- Wątpię? Są „wątpię”. Mojsie, *gib her die Schachtele mit dem*

„wątpię”! Nie ma? Oj, jeszcze wczoraj były. Może pan przyjdzie jutro, będą już świeżuchne „wątpię”!

Żydowscy kupcy udzielali klientom długotrwałych kredytów, na czym nie zawsze dobrze wychodzili. Rodzina Kossaków, chociaż nieraz posiadała gotówkę, nie była w stanie zapłacić brzęczącą monetą, bo to zanadto bolało, tylko podpisywała wekselki albo w bardziej zaprzyjaźnionych sklepach brała po prostu na kredyt. Przez pół ranka, wówczas kiedy obie siostry przesiadywały w ogrodzie, gdzie miały swoje obserwatorium, przychodziły jedna po drugiej panienki z magazynów z rachunkami i wekslami, które miewały już długie ogony proteścików.

- Lilka, chowaj się głęboko w krzaki! Idzie panienka z rachunkiem za twój kapelusz! - wołała Madzia.

Lilka na czworakach wpełzała w krzaki bzu czy jaśminu i tam przy-kucnięta czekała, aż niebezpieczeństwo minie.

- Madzia, ostrożnie wyglądnij, czy już poszła, czy jeszcze nie?

- Nie, stoi i rozmawia z Marysią - odpowiadała szeptem Madzia ze swojego obserwatorium w gałęziach rozłożystego derenia. - Ta idiotka Marysia idzie w naszą stronę zamiast jej powiedzieć, że nas nie ma!

- Ach, co za podłość! - mruknęła Lilka.

Po chwili zjawiała się służąca. - Proszę pani Pawlikowskiej, jakaś panienka przyszła z magazynu z kapeluszami i prosi, aby jej koniecznie zapłacić, mówi, że już czeka pół roku!

- Powiedz jej, że wyjechałam, rozumiesz!

- Kiedy jej powiedziałam, że panie są w ogrodzie!

- Boś niemądra! To jej teraz powiedz, że się pomyliłaś, że wyjecha-

łam właśnie przed chwilą autem do Zakopanego i nie wiadomo kiedy wrócę! Błagam cię, powiedz jej tak...

Po chwili meldunek Madzi z obserwatorium na drzewie brzmiał następująco:

- Marysia rozmawia z nią, coś jej przedkłada, ekspedientka wymachuje rękami w desperacji. No, już wszystko w porządku, idzie w stronę furtki. - I po chwili: - Już wyszła! Możesz wyleźć z krzaków!

- Biedactwo - litowała się Lilka, gdy już niebezpieczeństwo minęło.

- Na pewno dostanie reprimendę od swojej szefowej, że nic nie załatwiła, ale skąd ja mam wziąć pieniądze, kiedy właśnie nie mam ani grosza.

Że też one zawsze muszą przyjść wówczas, kiedy jest bryndza...

Jak nie było „bryndzy” i forsa napływała, też bardzo niechętnie płaci-

ło się rachunki i weksle, zwykle czyniła to w końcu Mama, która była osobą normalną, solidną i przedstawiała jak gdyby sumienie rodzinne.

Tatko też szalenie lubił brać wszystko na kredyt, a że miał dobrą markę, więc niektóre firmy nawet go do tego same namawiały, ponieważ zwykle płacił im obrazkami, na czym oni świetnie wychodzili. Największym węzem-kusicielem był pan Głogowiecki, który miał luksusową perfumierię na rogu Rynku i Sławkowskiej. Wyciągał z czeluści sklepowych zakamarków najlepsze rakiety tenisowe, najdroższe perfumy francuskie, najskuteczniejsze zagraniczne kosmetyki i pokazywał je zachwyconym oczom Wojciecha. Ceny na kredyt były oczywiście o wiele wyższe niż za gotówkę. Rachunki wynosiły potem kilkaset złotych... Tatko był dziecinny, co było jednym z jego największych uroków, bawiło go szalenie, aby przychodzić obładowanym paczkami do domu i wręczać każdemu to, co dla niego było najstosowniejszym prezentem.

- Proszę, tu są dla Manusi perfumy Guerlaine'a i angielskie mydeł-

ka, sole pachnące do kąpieli i gumowa gąbka...

- Pewnie znowu wzięłaś na kredyt, mój Wojteczku - wzdychała małżonka - nie cieszę mnie tego rodzaju prezenty.

- Manusi to rzeczywiście trudno dogodzić. Co to cię obchodzi, czy wzięte na kredyt? Namaluję obrazek i będzie zapłacone. A tutaj dla Magdusi piłki tenisowe „Standard” i kremy Elisabeth Arden, a dla Lilusi te perfumy, które tak lubi, i również kremy.

Siostrzyczki same również wpadały do firmy Głogowiecki i na rachunek Ojca brały towary pudłami. Rachuneczek rósł i dochodził do cen portretów naturalnej wielkości, które Wojciech bez sprzeciwów wykonywał, aby znów mieć otwarte konto. W ten sposób pan Głogowiecki dorobił się pięknych

portretów: synka na koniu, żony, siebie i wielu...

ułanów na koniu, przy koniu, przy dziewczynie, przy dzbanku z wodą lub z kuflem piwa.

Nie było na świecie równie dobrego, ale równie wyzyskiwanego ojca jak Wojciech.

- Moje panny, rujnujecie mnie - wzdychał, ale czarne ogniste oczy śmiały mu się do tych córek, które nade wszystko kochał. Córki jednak wychodziły z tej zdrowej zasady, że jak „tatko ma się rujnować dla obcych bab - to niech się także rujnuje dla nas...” Bo należy zaznaczyć, że firma Głogowiecki obsługiwała nie tylko rodzinę mistrza Kossaka, ale wszystkie jego flamy, których miewał zwykle kilka, i to do końca swojego wspaniałego życia.

Ze znanych firm krakowskich należy również wymienić sklep galanteryjny pana Porębskiego, który znajdował się u wylotu Grodzkiej i Rynku. Sam szef obsługiwał klientelę, mając do pomocy szereg sprzedaw-czyń, którymi komenderował jak kapelmistrz orkiestrą, tej wskazywał

ręką taki rząd pudeł na półce, innej następną półkę, a sam rozkładał

przed klientami szufladki z jedwabiami do szycia i guziczkami, mówiąc bez przerwy jednym tchem:

- Guziczki... jakie guziczki, małe, duże, kolorowe, z masy perłowej, złote, srebrne... tasiemeczki brązowe, czarne, popielate, proszę, proszę.

Jedwabie? Są jedwabie: żółte, czerwone, zielone, szare, czarne, białe.

Proszę wybierać.

Wspaniały, tęgi imć pan Porębski, o pięknym siwym wąsie, przypominał raczej jakiegoś szlagona z obrazów Juliusza Kossaka niż kupca.

Na rogu Rynku i ulicy Sławkowskiej (późniejszy Głogowiecki) mieli sklep galanteryjny państwo Smidowiczowie, największe snoby w Krakowie. On - mały, okrągły, łysawy, ze szpakowatym wąsikiem, pełen ukło-nów i uśmiechów, ona - korpulentna brunetka z czarnym wałkiem 160

włosów dookoła głowy i czarną muszką koło wargi. Pani Smidowiczowa miała cały wachlarz ukłonów i uśmiechów, które rozdawała według ran-gi społecznej i majątkowej, jaką wchodzący klient przedstawiał. W Krakowie wówczas wszyscy się prawie znali, ale gdy przypadkowo do sklepu wszedł ktoś obcy, taksowała go według jego wyglądu i ubrania i albo obsługiwała go sama, albo oddawała w ręce subiekta. Panny Kossaków-ny znała i bardzo lubiła - gdy wchodziły (oczywiście wziąć coś na kredyt), uśmiechała się do nich milutko i zapytywała o zdrowie Mamy, ale było to traktowanie ciut-ciut łaskawe, natomiast gdy do sklepu wchodzi-

ła pani Tyszkiewiczowa, Potocka z córkami lub inna jakaś arystokra-tyczna dama, pani Smidowicz zaczynała tańczyć, przyklękać, biegać po drabinkach, jak gdyby była młodziutką kozą, uśmiechać się, szczebiotać.

Roztropne hrabiny, znając jej słabość do nich, podawały jej poprzez ladę rączkę na przywitanie, a

potem brały sobie, co chciały, na kredyt, latami zalegając z zapłatą. Pani Smidowiczowa odbijała sobie te straty na za-możnych krakowskich mieszczkach, dla których nie było kredytów. Z

towarzyskiej salonowej damy przeistaczała się wówczas w prawdziwą kupcową, chytrą i cwana. Aby zastrzeżić i zaimponować osobom z tej samej co ona sfery, mówiła w ten sposób:

- Była u mnie przed chwilą Ada (pani Tyszkiewiczowa) i kupiła wła-

śnie taką samą bluzeczkę... - albo - K r y s i a nabyła u mnie przed chwilą dwanaście par takich gazowych pończoszek - K r y s i a to była pani Potocka spod „Barana”. Na każdej premierze można było oglądać państwa Smidowiczów w gali, siedzących w pierwszych rzędach foteli.

Ona przez *face à main* spoglądała na różne swoje hrabiowskie klientki siedzące w łożach, kłaniając im się z uśmiechem najlepszej znajomej.

Na ulicy Zwirzyńskiej miał swój sklep z delikatesami rudy Żydek pan Milimifkier. Jego żony nigdy nie widziało się inaczej jak w poważ-

nym stanie, co, zdaje się, u niej było stanem chronicznym. Rodziła chyba częściej niż inne kobiety, bo dwa razy do roku nowe niemowlę wisiało u jej piersi. Lilka Pawlikowska przepadała za bananami na równi z bobem, którego w lecie pożerała całe miski, twierdząc, że jej to pomaga w pisaniu, i co dzień chodziła do pobliskich sklepików kupować duże 161

okazałe banany, które nosiły etykietę „Fyfes”.

- Proszę o f a j f s y - rzekła kiedyś wchodząc do sklepu pana Milimifkiera i wymawiając tę nazwę z angielska.

- Coo? F y f e s y? - poprawiła ją kupcowa. - Nie ma dziś fyfesów. Są za to morele.

W kilka dni później Lilka z siostrą znów zjawia się w sklepiku.

- Poproszę o banany F y f e s y - powiada, aby być lepiej zrozumianą.

- Coo? F a j f s y ? - poprawiła ją pani Milimifkierowa patrząc na nią z lekką wzgardą.

Gdy obie siostry, jadąc „Po Słońce Afryki” statkiem „Kościuszko”, znalazły się w Marakesz, Lilka rzekła do Madzi:

- Pomyśl, Madziusiu, jak daleko jesteśmy teraz od ulicy Zwirzyńskiej i sklepiku pana Milimifkiera - wierzyć się nie chce, że to wszystko jest jednak na tej samej ziemi. - Potem westchnęła i zamyśliła się. -

Biedny ten Milimifkier - ciągnęła po chwili - całe jego życie upłynie w sklepiku wśród tych zasmarkanych bachorów, biednej zaniedbanej żony i nigdy nie zobaczy słońca Afryki, daktyli - nie prasowanych, ale na pal-mach, i bananów „na swobodzie”. Żal mi go okropnie.

Tymczasem gdy wróciły z owej czarownej wycieczki, zastały żelazne żaluzje w sklepiu na Zwierzynieckiej zapuszczone.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Lilka - pewnie wszyscy z brudu powy-mierali! - Tymczasem los i dla takich biednych małych Milimifkierów bywa czasem łaskawy, bo oto obie siostry dowiedziały się, że kupiec, otrzymawszy zaproszenie z Palestyny od swojej rodziny, przeniósł się tam wraz z małżonką w poważnym stanie i całą liczną marmalią.

Najciekawszym typem ze wszystkich krakowskich kupcowych była popularna pani Schreiberowa, która miała na końcu ulicy Floriańskiej, niedaleko Barbakanu, duży i elegancki sklep tekstylny. Była to rasowa kobieta, wysoka blondynka o haczykowatym nosie, która sama obsługiwała klientów, subiektem tylko zza lady rzucając gromkie rozkazy 162

jak dowódca swoim podwładnym. Posiadała ona zdrowy snobizm, moż-

na rzec, bardzo dzisiejszy, to znaczy na artystów i pisarzy. Lilka miała formalnego hysia na punkcie pięknych materiałów, szalała za miękkimi *peau d'ange*, za *velours chiffons* i innymi cudami, które pieściły jej wzrok, a wróciwszy do domu, lubiła zarzucać je na siebie, na siostrę, ozdabiać nimi krzesła i fotele, głaskała je i przykladała sobie do twarzy przed lustrem. Przypominała w tym trochę ową dziewczynkę z wierszyka Jachowicza, „która książki kupowała - lecz nie po to, by czytać, ot tak tylko, byle miała...” Gdy nie posiadała przy sobie żywej gotówki, brała na weksle lub na kredyt. U pani Schreiberowej zalegała zawsze z zapłatą i miewała u niej rachunki na sto kilkadziesiąt lub dwieście złotych, z czego sobie ta zacna dama nic nie robiła. Za to zaczytywała się w poezjach Marii, Lilka przysyłała jej bilety na premiery swoich sztuk grywanych w Teatrze Słowackiego i pani Schreiberowa wygłaszała o nich swoje zdanie, zarzucając poetce na ramiona jakieś najnowsze zagraniczne materiały.

- No, bierz sobie pani ten krepdeszyn w kwiatki, nie będziesz pani żałować. Siostra była teraz w Paryżu - cały Paryż w takim krepdeszynie biega...

- Kiedy nie mam pieniędzy...

- Pani zmartwienie czy moje?

- Ale ja mam już u pani rachunek na dwieście złotych.

- Zapłaci mi pani, jak będzie mogła.

Zarzuciwszy na poetkę cały zwał owego jedwabiu, kupcowa odchodzi-

ła kilka kroków w tył i przymrużonymi oczami spoglądała na nią jak malarz na modela. - Pięknie pani w tym kolorze!

Lilka miewała czasem momenty rozsądku i opanowania.

- Nie, niech mnie pani nie kusi... naprawdę nie mogę.

Pani Schreiberowa przemieniała się wówczas w węża-kusiciela, nawet nabierała jakichś węzowych ruchów. - Kiedy się pani będziesz ubierała, pani Pawlikowska, jak pani będziesz stara?

Był to argument, który na każdą młodą jeszcze kobietę działa niezawodnie. Lilka milkła pokonana, a właścicielka firmy bez dalszych per-traktacji ściągała z niej lśniące fale krepdeszynu i rzucała go poprzez, 163

ładę ekspedientkom, aby go zapakowały. Czasem podchodził do niej wspólnik, młody elegancki brunecik, i zaczynał szeptać, że przecież pani Pawlikowska ma już w firmie duży rachunek, to może by coś dała a conto albo też podpisała wekselki.

- Pański interes? - zaperzała się wielbicielka jej talentu. - Za panią Pawlikowską ja odpowiadam!

W pierwszym roku ostatniej wojny, gdy już zimą zaczęto robić łapan-ki na Żydów i panią Schreiberową prowadzono do getta, któryś z Niemców znieważył ją powiedzeniem: *verfluchte Jüdin!* Odwróciła się i z całej siły uderzyła go w twarz. Została przez niego zastrzelona na miejscu. Tę wspaniałą i dzielną kobietę będziemy zawsze wspominać z wielką sympatią i rozczuleniem. I każda z dawniejszych krakowianek przechodząc koło wielkiej witryny dawnego jej magazynu, który obecnie zajmuje jakiś sklep uspołeczniony, będzie ją miała przed oczami, jak - zarzucając na klientkę kosztowny materiał - mówiła: „Bierz, pani, bierz, zapłacisz mi, pani, jak będziesz mogła. Kiedy się pani będziesz ubierać - jak będziesz stara?”

Rozdział XIV

SPOD ZNAKU BARANA

Z końcem ubiegłego wieku dobrze było urodzić się pod znakiem „Barana”, a raczej „Baranów”. Dziecko urodzone pod tym znakiem miało mieć wszystko - nazwisko, majątek i urodę. Małe garbate noski, które miewali ci szczęśliwie urodzeni, powstałe może na skutek zapatrzenia się ich matek na godła przedstawiające baranie łby, dotąd ozdabiające ich dawny pałac na Rynku krakowskim, dodawały im tylko urody i rasy.

Cztery panny Potockie uchodziły za niesłychanie dumne i nie-dostępne, ale jakżeż mogły być inne, kiedy cały Kraków traktował je z czcią i honorami, należnymi rodom panującym, a panny ze szlacheckich domów płaszczyły się przed nimi i spoglądały im w oczy z minami wiernych jamników. Jakżeż czuły się zaszczycone, gdy któraś z owych królewien zaproponowała im „brudersaft”, i jakżeż im inne tego zazdrościły!

O ile panny Potockie nosiły się jak księżniczki krwi, o tyle ich matka, wdowa po namiestniku, wzorowała się na wizerunkach Matki Boskiej, bo tylko chyba Matka Boska była wielkością od niej znaczniejszą. Była to osobka niska, drobna, o pięknych regularnych rysach i anielskim wyrazie twarzy. Nie należy przypuszczać, że jej zbożna praca tworzenia linii Potockich ograniczyła się do owych czterech dorosłych córek. Miała jeszcze oprócz nich trzech synów i dwie małe córeczki, dojrzewające dopiero pod okiem piastunek. Jej skromny, ładny wygląd Matki Boskiej klócił się z jej charakterem. Pani Potocka była stanowcza i władcza. Surowo karała wszelkie odstępstwa od przykazań bożych i wymagała od swoich dzieci i domowników całkowitego pod tym względem po-

słuszeństwa. Była ona zaraz po biskupie drugą panującą osobą w Krakowie i matki bywających w karnawale panien najbardziej bały się tego, 165

czy ich córki znajdą aprobatę w jej oczach, czy nie... Bo wówczas - amen.

Kropka. Cnotliwa pani Andrzejowa, która po stracie męża nosiła wieczną żałobę, wywierała tak silny wpływ na inne matrony, że niektóre z nich, chociaż mężom ich nie śniło się umierać, również ubierały się na czarno, aby się do jej typu upodobnić, czesały się gładziutko z przedzia-

łem w środku i co dzień na ranną mszę biegały jak ona do kościoła Św.

Barbary. Na krakowski karnawał zjeżdżały matki z córkami ze wszystkich stron Polski, Litwy i Wołynia, Galicji i Królestwa. Wynajmowały w Krakowie luksusowe apartamenty i zaczynały prowadzić tak zwany dom otwarty. Ale aby go na wymaganym poziomie utrzymać, trzeba było bardzo dużo pieniędzy, musiało się też nieraz sprzedać część majątku lub kawał lasu - do czegoż jednak nie były zdolne owe handlarki własnymi dziećmi, gdy chodziło o dobry mariaż dla córki lub syna? Sprawy matrymonialne traktowało się jak *business* i młodzież męska nie rozmawiała ze sobą o tym, jakie dana panna posiada zalety, ale ile ma posagu.

- Ja ją cenię najmniej na jakie pięćkroć tysięcy reńskich - mówił

młodzian. - Nie mówiąc o tym, co dostanie jak papa kipnie.

Tak rozmawiali między sobą „złoci młodzieńcy”, gdy na karnawał do Krakowa zjeżdżała posażna jedynaczka. Mogła być brzydka, chuda, pie-gowata albo dziobata. To było prawie obojętne. Ci kulturalni arystokraci w swoich poglądach na małżeństwo nie różnili się niczym od zamożnych chłopów, dla których dziewczyna bez kawałka ziemi i kilku sztuk bydła nie wchodziła w rachubę jako materiał na żonę. Miejscem, gdzie takie targi dochodziły do skutku, były salony pałacu „Pod Baranami”. Ale aby się tam dostać, trzeba było przedstawiać sobą jakąś realną wartość, czy jako majątek, czy jako nazwisko lub koligację. Pani Potocka nie była wcale osobą zacofaną i na bale „Pod Baranami” przysyłała zaproszenia

„wraz z rodziną” wybitnym artystom lub profesorom. Ale dziwnym trafem bywający u niej malarze byli jakoś zawsze pochodzenia szlacheckiego, a profesorowie uniwersytetu mieli tytuły hrabiowskie. Ta dzielna niewiasta była poza wszelkimi zaletami również i dociekliwym 166

„personalnym”, wiedzącym wszystko o gościach, którzy u niej bywali. I tak Malczewski, mimo że ze świetnej szlacheckiej rodziny, posiadacz autentycznej „błogosławionej” babki, Wandy Malczewskiej, do której się Mamidło modliło - nie bywał zapraszany, ponieważ jego żona, panna Gralewska z domu, była córką aptekarza.

Ogniową próbą, którą musiały przejść wszystkie matki z córkami, pragnące bywać na balach „Pod Baranami”, był *jour fixe* u pani Potoc-kiej, który odbywał się raz w tygodniu. Po tej próbie albo się

otrzymywa-

ło zaproszenie, drukowane na welinowym papierze, na mający się odbyć wieczór taneczny, albo nie.

Czasem było wszystko w porządku, i nazwisko, i koligacje, ale hrabinie mógł się nie spodobać nos panny albo że narzeczony kiedyś z nią zerwał, albo bujna przeszłość jej babki i wtedy święty Boże nie pomoże. Święta niewiasta posiadała charakter! Spłakane ofiary snobizmu pakowały wówczas kufry i wyjeżdżały ze swoim t o -

w a r e m na „Targi Wschodnie” do Lwowa.

Ówczesna moda pozwalała na duże dekolty i obnażone ramiona, ale tylko starszym damom, których zwiędłe tłuszcze nie robiły już na męż-

czynach żadnego wrażenia. Panienki nie mogły sobie na to pozwolić i nosiły przy sukniach małe dekolciki, mimo to panowie wiedzieli doskonale, która panna ma „piękny dekolt”, a która nie. Publiczne i prywatne bale odbywały się niemal codziennie, niemniej najzamożniejsze panny nie miały na cały karnawał więcej jak trzy suknie do zmiany. Pod koniec karnawału owe jasne suknie z gazy, tiulu i jedwabiu wyglądały już bardzo nieświeżo, ale nikogo to nie dziwiło ani nie raziło, ponieważ czystość i schludność nie były w tych czasach rzeczą pierwszej wagi.

Brak świeżości w stroju zastępowały świeżością swoich osiemnastu czy dziewiętnastu lat i świeżymi kwiatami, które sobie przypinały do stanika lub wpinały we włosy. Różne pomieszane wonie były od tych młodych „wiochen”: zapach benzyny od czyszczonych nią białych skór-kowych rękawiczek mieszał się z zapachem róż albo mimozy, zaś w tę symfonię zapachów wpływała ostra woń naturalna... czosnku i cebuli, 167

czyli można byłoby rzec zapach *Eau de Pologne*. Panienki były anemiczne, wciąż „transpirowały”, a kąpały się bardzo rzadko, bo od wody dostawało się influency albo kataru. Za to zlewały się perfumami, co było jeszcze gorsze. Były to jednak sprawy nieważne, byle panna miała wypukły dekolt, piękne włosy i zgrabny... majączek. To wszystko - czego od nich panowie wymagali. Te męczennice karnawałowe z dziwnym stoicy-zmem znosiły nie przespane noce i nie przespane popołudnia, bo między piątą a szóstą trzeba było iść na „fajfy”, składać wizyty albo brać udział w wentach dobroczynnych. Gdy miały dzień wolny, biegały na ślizgawkę na Staw Oficerski, znajdujący się przy Błoniach. Że młode dziewczęta znosiły to wszystko bez szkody dla zdrowia, to jeszcze można uwierzyć, ale jakież szatańskie siły musiały mieć ich matki, ciotki i babki, które niestrudzenie wraz z nimi odbywały te wszystkie karnawałowe obrządki i wytrzymywały siedząc na balach pod ścianą - do siódmej i ósmej rano!

Szatańskie siły i zwierzęce żołądki, bo o obżarstwie, które wówczas panowało, warto wspomnieć słów kilka. Pani Potocka, prowadząc na co dzień podobno bardzo skromną kuchnię, gościom nie żałowała niczego i kolacje „Pod Baranami” na sto kilkadziesiąt lub dwieście osób były do-słownie szczytem „dobrego smaku”. Do tej zasadniczej kolacji, która odbywała się w trakcie balu, panowie prowadzili wybrane damy pod ramię. Na stole, który zaokrąglął się w podkowę, stały wśród kwiatów srebrne świeczniki, których blask rzucał niesłychanie twarzowe światło na biesiadników. Przed każdym nakryciem stał kieliszek ze starą madera, spirytusowe nalewki pili tylko panowie, i to po jednym kieliszku. Do każdego dania nalewano oczywiście odpowiednie wina, a owych dań była nie kończąca się litania. Panienki jadły zwykle mało i pół-

gębkiem, bo dziewczę obżerające się było w bardzo złym guście, za to matki i ciotki wyżywały się na

owych libacjach i miało się wrażenie, że po nudnym sterczeniu pod ścianą nadszedł nareszcie ich moment. Plot-kując ochoczo, ale z umiarem (pani Andrzejowa miała czujne uszka), nakładały sobie na talerz galarety, zimne mięsa lub kawior, potem jakiś 168

vol-au-vent z drobiu lub *chaud-froid* z kuropatw, następnie „coś z ryb” -

łososie z rusztu lub sandacze w sosie rakowym, potem piękne czerwone platy polędwicy. Z upojeniem frygały po tych daniach pieczone, jakieś kapłony nadziewane kasztanami lub perliczki z borówkami. Następnie szparagi lub karczochy. Po tym jarskim daniu rzucały się z zapalem na bomby z lodów, torty hiszpańskie, mrożone kremy z owocami. Nie myślmy, że po słodkim gardziły serami podawanymi razem z chlebem-pumpernikiem i rzodkiewkami. Na deser były mandarynki, winogrona i owoce w cukrze, których też sobie nie odmawiały. Nikt wówczas nie trzymał się jakiejś diety, jakiegoś odchudzającego reżimu - zdawało się, że ówczesni starsi ludzie nie posiadali żołądka i wątroby, ale jakieś gi-gantyczne spusty, w które bez szkody dla zdrowia wsiąkało to nadmierne żarcie. Należy zaznaczyć, że następnego dnia czekała ich podobna uczta u jakiejś innej hrabiny albo „skromne śniadanko” na pięćdziesiąt osób.

Przy owych libacjach wypijały każdy kieliszek wina lub szampana, który im nalewano. Po kolacji piły kawę, herbatę lub kruszon z anansem, chrupały ze smakiem owoce kandyzowane, oblizywały wargi po kasztanach w cukrze i daktylach, co nie przeszkadzało im nad ranem, po „bia-

łym mazurze”, rzucać się jak wygłodniałe wilczyce na barszcz i bigosik.

Ich przepastne apetyty spowodowane były może i tym, że nie paliły papierosów. Na „dobre maniere” trzeba było bardzo uważać w pałacu „Pod Baranami”, ponieważ na pozór słodka i łagodna pani Potocka miała oczko na wszystko i byle jaki drobny „nietakt towarzyski” mógł ją zrazić na zawsze do danej osoby, tak jak to się stało z pewną młodą mężatką, która siedząc naprzeciwko niej ośmieliła się założyć nogę na nogę t a k wysoko, że można było ujrzeć kawałek białej pończoszki nad atłasowym pantofelkiem. Wszyscy wówczas widzieli, jak pani Andrzejowa powstała z fotela, drobnym kroczkiem przeszła cały salon i bez słowa zaciągnęła fałdy sukni owej damy na tę tak nieprzyzwoitą część jej ciała. Dama, spłoniona po białka, powstała i z chusteczką przy oczach wybiegła z salonu. Fatalna noga. której kostkę tak niebacznie pokazała publicznie, nie miała więcej prawa przestąpić progu salonu „Pod Baranami”.

169

Na ówczesnych balach tańczyło się kontredansa o zawiłych figurach, którego prowadził jakiś dziarski młody wodzirej, rycząc w momencie najlepszej rozmowy tańczącej pary: - *Tour de main! Chaîne de la main gauche! Chassé-croisé!* - i inne tym podobne rytualne nakazy, które wprawiały w popłoch nie dosyć obeznanych z tajnikami owego tańca.

Tańczyło się kotyliona, podczas którego tancerki przypinały panom ko-kardki, a panowie wręczali im wiązanki nicejskich kwiatów. A kiedy orkiestra poczynała rznąć pierwsze takty mazura, młodzi ludzie podrywali się i podbiegali do upatrzonych przez siebie tancerek. Zaszczycem, który rzadko spotykał zwykle szlachcianki, było zatańczyć w tak zwanej

„pierwszej czwórce”. Zwykle tańczyły w niej wszystkie panny Potockie albo jakieś Lubomirskie, Tyszkiewiczówny, Tarnowskie. Szał mazura podrywał i starszych panów, którzy ze spokojnych, statecznych ojców rodzin przeistaczali się nagle w dziarskich „Podkomorzych”, takich, co to

„patrzcie, patrzcie, młodzi!”, i podkrecając węża, w mazurowym tempie, z ręką podniesioną do góry, podbiegali do najmłodszej z panienek, prosząc ją do tańca. I znów podziwiać należy niespożytą siłę owych starych szlagonów, którzy w tym dzikim narodowym tańcu, wycinając hołubce, przyklękając na jedno kolano, tupiąc na miejscu, przebiegając salę w zawrotnym tempie, nigdy nie dostawali zawałów serca ani ataków apo-pleksji. W jakimże „złym tonie” byłoby w obliczu samej pani Andrzejo-wej popełnić takie towarzyskie *faux pas*! Po tym wyczynie mazurowym mieli jeszcze tyle siły, aby starszym damom w garderobie zapinać kalosze, co było funkcją „honorową” panów po pięćdziesiątce. Przez to zapi-nanie kaloszy staruchom przestał chodzić z córkami i żoną na bale Wojciech Kossak.

- Szkoda mnie na to - rzekł po powrocie do domu - abym starym babsztyłom miał zapinać kalosze.

- Ależ, mój Wojteczku - odparła na to Mama Kossakowa - przecież wszyscy starsi panowie tak robią. Nie jest przyjęte, aby służba to czyniła!

- To w t a k i m razie ja na bale chodzić nie będę! - I słowa dotrzy-mał.

170

Rozdział XV

JEJ PIERWSZY BAL

Gdy Magdalena miała piętnaście lat, jej siostra Maria była piękną osiemnastoletnią panną, która bywała już na prywatnych balach. Madzia w granatowej sukience poplamionej atramentem, z warkoczami spiętymi na uszach w formie ślimaków, spoglądała z zazdrością, jak Lilka w długiej balowej sukni i wieczorowej narzutce z błękitnego aksa-mitu, obramowanej białymi muflonami, wsiadała do karetki. Kopciuszek zostawał w domu sam i oddawał się marzeniom, które jak u wszystkich ówczesnych panien kręciły się tylko koło balów i balowej sukni, posiadającej te właściwości, że z szarej i bladej pensjonarki miały uczynić młodą piękność, piękność fascynującą! Ale nie tylko marzenia pensjonarek kręciły się koło balów. Oczarowani nimi byli również i ówcześni literaci i malarze, a w „Tygodniku Ilustrowanym” i w „Świecie” coraz to ukazywały się nowelki pod tytułami: „Po balu”, „Przed balem”, „Jej pierwszy bal” etc. Te nowelki ilustrowane były przez zakochanych w owych tematach malarzy i rysowników, takich jak Kamiński, Rejchan i inni, którzy z prawdziwą miłością malowali damy zasłaniające pół dekol-tu wachlarzem lub górę twarzy czarną maseczką. Och, jakżeż filuternie uśmiechały się te piękne damy. Kokietki i „szelmutki”. Czasem, o zgrozo, pokazywały kawałek lśniącej czarnej pończoszki i cały czarny pantofelek, ale to już musiały być damy z półświatka. Nie było wojen, żadna polityka nie zajmowała niczyich umysłów. Lud istniał - owszem, ale w formie ślicznie wystrojonych krakowiaków lub górali. Podobno byli też „maso-ni”, „nihiliści” i „anarchiści”, ale ci interesowali tylko jakichś tam „sensa-tów”, eleganckie społeczeństwo, do którego należało również dużo artystów i literatów, zajmowało się przeważnie takimi pogodnymi sprawami, jak: wyścigi konne, bale, a przede wszystkim maskarady. Tu dopiero

talenciki wyżywały się. Jakże przyjemnie było pisać o wesołych przygo-dach na balach maskowych, gdzie maseczki w czarnych dominach „in-trygowały” nieraz nawet własnego męża, czy malować te szelmutki i kolombiny, pierrotki lub markizy - jedna rozkosz! Marzenia o balach stały się taką obsesją piętnastoletniej Magdaleny, że postanowiła je zre-alizować.

Salę krakowskiego Grand Hotelu wynajmowano nieraz na prywatne wieczory taneczne. Taki właśnie wieczór urządziła dla swoich córek pewna bogata dama z kresów. Panienkom, które nic były jeszcze dość dojrzałe, aby spaść na dół, na samą salę balową, wolno było spoglądać na to z góry, z galerii, gdzie chodziły w asyście jakiejś starszej osoby.

Mama, nie widząc w tym nic niestosownego, pozwoliła Madzi iść na ten bal na galerię pod opieką niestrudzonej *Fräulein*. Nie mogła w żaden sposób przewidzieć, jaki numer przygotowuje to pomysłowe dziecko.

Mając już plan gotowy, Madzia zakupiła w przeddzień butelkę esencji rumiankowej, która jej ciemnokasztanowate włosy zamieniła w ciągu godziny na złotorude. Rano zawiązała sobie na głowę batystową chusteczkę i ze zboląłą miną zeszła na śniadanie.

- Co się to Madzi stało? - zapytała Mama.

- Mam potworną migrenę.

Migrena była wówczas rzeczą tak częstą jak katar. Cierpiały na nią wciąż i Mama, i Babcia Juliuszowa; przychodziły rano do jadalnego pokoju i mówiły: „zanosi mi się na straszną migrenę” - i nikt nie doszuki-wał się przyczyn, dlaczego się tak często pojawia i z czego się bierze. Nie walczono z nią zbytnio, ponieważ była również świetnym wykrętem, aby nie przyjąć gości lub nie pójść z jakąś nudną wizytą.

- To w takim razie - orzekła Mama - nie będziesz mogła pójść wieczorem na bal na galerię.

- O, na pewno przejdzie mi do wieczora - odparła Madzia bardzo zdrowym i rześkim głosem.

Gdy rodzice ze starszą córką pojechali na bal, zdjęła z głowy chusteczkę i rudowłose warkocze upięła nad czołem w tak zwaną *Gretchen-Frisur*; aby być jeszcze bardziej demoniczną, wzięła na palec sadzy i pomalowała sobie nią gęste brwi na kolor kruczy. Nałożyła różową jedwabną sukienkę, jeszcze ze ślubu swojego brata, a do tego czarne 172

pończochy i czarne lakierowane pantofelki. Wyglądała trochę jak tan-cerka z *variétés*. Obie z *Fräulein* rozsiadły się na galerii, pod którą siedziała Mama Kossakowa ze starszą córką. Młodzieńcy znajdujący się na sali balowej, którzy bywali w domu Kossaków, poznali ją momentalnie, pobiegli na górę i poczęli namawiać, aby zeszła z nimi na dół zatańczyć.

- Mnie jeszcze nie wolno bywać na balach... Mama będzie się strasznie gniewać.

- Niech pani sobie z tego nic nie robi, ja to biorę na swoją odpowiedzialność - rzekł jeden z

dziarskich młodzieńców, po czym oboje zbiegli na dół na salę balową, gdzie właśnie orkiestra zaczynała pierwszymi taktami zapraszać do mazura. Zdumiona Mama ujrzała nagle swoją młodszą córkę zamienioną w rudowłosego demona, tańczącego mazura w „pierwszej czwórce” wraz z dwiema Potockimi i jedną Tarnowską.

Można sobie wyobrazić, jakiego wstrząsu doznała ta zacna matrona. W

owych czasach panienka z ufarbowanymi włosami i umalowanymi brwiami - to był gotowy materiał na kokotkę.

- Czy drrroga pani nie wie, kto to jest ta złotowłosa panienka, z kruczymi brwiami, która tak dziwnie odbija od n a s z y c h pańienek?

- zapytała nieszczęsną Matkę siedzącą koło niej matrona kanapowa. -

Pierwszy raz ją widzę.

- I ja też - skłamała pani Manusia czerwona ze wstydu. - Nie mam pojęcia, kto to może być. - Nim pierwszy kur zapiał, wyparła się własnej córki.

Po skończonym mazurze tycjanowska piękność znalazła się w bufecie, gdzie piło się szampana, przegryzając kanapkami z kawiozem lub łososiem. I wówczas jak w marzeniach otoczyły ją roje czarnych fraków, a młodzi ludzie jeden przez drugiego prosili ją o następne tańce. Wśród dystygowanych anemicznych pańien z mondu, o białych włosach i zielonkawych dekoltach, wyglądała jak ognisty storczyk wśród chwieją-

cych się na długich łodygach narcyzów. Przypominała mężczyznom jakieś nocne lokale, urzeczywistniała ich krwiste marzenia o kobiecie.

Nigdy już przez całe swoje życie nie miała takiego powodzenia. Nieszczęśliwa Matka wydelegowała do niej brata Jerzego.

- Madzia - szepnął jej do czerwonego uszka. - Wracaj natychmiast do domu, kompromitujesz całą rodzinę.

173

- Ani mi się śni! Bawię się doskonale!

Do walca poprosił ją młody jeszcze wówczas hr. Sawa Pusłowski, wielki snob oraz znawca sztuki. Był krótkowidzem w złotych binoklach i przez to ulegał częstym pomyłkom.

- Czy księżniczka zechce ze mną zatańczyć walca?

- Z największą ochotą.

- A może księżniczka chce się teraz napić oranżady? - zapytał po skończonym tańcu.

- Z rozkoszą.

- A może księżniczka pragnie spocząć?

Madzia była zachwycona: „Nazywa mnie księżniczką, bo jestem najpiękniejsza z wszystkich, a królowną mnie nazywać byłoby dla niego banalne. Poznał się na mnie, chociaż krótkowidz...”

- Chciałbym księżniczce złożyć uszanowanie w domu, na ulicy Marka - rzekł prosząc ją do następnego tańca.

- Kiedy ja mieszkam na placu Kossaka.

- Jak to - więc pani nie jest księżniczką Lubomirską?

- Nieee - roześmiała się rudowłosa ślicznotka - jestem Kossakówna.

- Ach, to przepraszam bardzo - głos miłego tancerza był oschły i lodowaty. Odprowadził ją po skończonym tańcu pod ścianę, gdzie siedzia-

ły córki z matkami, i przez cały wieczór więcej z nią nie tańczył.

Można sobie wyobrazić awanturę, która po balu rozpętała się w do-mu. Z ust Mamy padały takie słowa, jak „zakała rodziny”, „skandal w domu Kossaków!”, „własnej córki musiałam się wyrzec...”, „jak ja się teraz ludziom na oczy pokażę!” itp. A Magdalenka wysłuchiwała tego wszystkiego z uśmiechem barokowego aniołka. Była tak szczęśliwa! Mia-

ła największe powodzenie ze wszystkich panien, dostała moc kwiatów.

Nie usiadła ani na chwilę. Panowie mówili jej komplementy, o których jej się nawet nie śniło. Tańczyła mazura w pierwszej czwórce! Mogła więc teraz wysłuchać w pokorze wzburzonych słów Matki, która w końcu zawyrokowała, że póki jej włosy nie odrosną i nie wrócą do naturalnego koloru, nie wolno jej wychodzić do gości, a na ulicy może się tylko pokazywać w bardzo gęstej woalce i budce zakrywającej włosy.

174

Rozdział XVI

POJEDYNKI

W okresie kiedy nie było wojen i owego pieprzyka „igrania ze śmiercią”, co, jak wiadomo, jest jedną z wielu głupot męskich, panowie poje-dynkowali się o byle co, aby tylko szabelki i pistolety nie rdzewiały. Męż-

czynna, który miał z drugim „na pieńku”, starał się go sprowokować.

Sprawa była prosta i łatwa, wystarczyło mu publicznie nie podać ręki, co było już poważnym

afrontem. Obrażonemu nie wypadało nic innego zrobić, jak posłać tamtemu dwóch czarno ubranych, uroczystych panów, wyglądających jak żałobni goście, którzy mu w imieniu swojego klienta proponowali „honorowe załatwienie sprawy”. Warunki omawiali sekundanci obu stron i zależnie od stopnia urazy - albo ostre warunki: dwu-krotna wymiana strzałów do pierwszej krwi, albo też łżejsze, oraz wybór broni - szable albo pistolety. Bardzo często ów sprowokowany, a Bogu ducha winien, dostawał śmiertelny postrzał. „Zginął w pojedynku” -

mówiło się o takim wypadku jak o czymś zupełnie naturalnym. Była to śmierć szykowna, w „najlepszym guście”. Pojedynki, jako rzekomo nie-dozwolone, trzymało się w tajemnicy, ale była to tajemnica poliszynela, o której całe towarzystwo wiedziało. Nieszczęsne żony nie „spały po nocach i dostawały palpitanie serca, a kobiety „demoniczne”, te, przez które tylu ludzi się biło, chodziły dumne jak pawice, spoglądając z góry na skromne kurki domowe, dla których nikt nie byłby ryzykował życia. -

To ta, dla której trzech mężczyzn pojedynkowało się - mówiono z szacunkiem i uznaniem o takiej wydrze. A jeśli któryś z jej adoratorów zginął w pojedynku, powodzenie jej potęgowało się. W Niemczech, wśród tamtejszych studentów, czyli tak zwanych burszów, pojedynki - przeważnie na rapiery - były ukochanym sportem, takim jak dzisiaj piłka 175

nożna. W piwiarniach berlińskich i monachijskich widać było siedzących przy stolikach burszów z twarzami zalepionymi plastrami, z czarną opaską na oku l u b z ręką na temblaku. Im więcej któryś z nich miał tych oznak h o n o r o w y c h na gębie, tym był przez kolegów bardziej szanowany. Prowokacje odbywały się w ten sposób, że nagle jakiś bursz podnosił się od stolika, podchodził do obcego mężczyzny mówiąc groź-

nym głosem: „*Mein Herr, Sie fixieren mich!*” (Mój panie, pan z uporem wpatruje się we mnie!). Jeśli tamten zaczął się stawiać - otrzymywał w twarz i powód do pojedynku był gotowy. Gdy Wojciech Kossak jako uczeń Akademii przebywał w Monachium, też był prowokowany w podobny sposób.

- *Mein Herr, Sie fixieren mich!* - zaczepił go typ z pokrajaną gębą.

- *Jawohl* - odparł na to Kossak z uśmiechem - bo jestem malarzem, a pan byłby dla mnie znakomitym modelem.

Piękny Wojtek kochając życie nienawidził pojedynków i wystrzegał

się ich, jak mógł, mimo to kilka razy w życiu zmuszony był stanąć na

„udeptanej ziemi”. Raz mogło się to dla niego skończyć fatalnie, a ta niezwykła historia wyglądała następująco: Dwudziestoletni Wojciech już jako znany malarz pojechał ze swoim przyjacielem Czartoryskim w po-dróż do Włoch. W Wenecji spotkali się w pięknym hotelu „Danieli.” z hrabią - nazwijmy go - Czorsztyńskim i jego prześliczną młodziutką żoną. Hrabia był tęgim, zażywnym szlachcicem z zawieszonym wąsem, zazdrosnym o żonę jak Wojewoda w „Czatach” Mickiewicza. Ciągłe jednak niedyspozycje żony, która na skutek tego nie sypiała z nim we wspólnej sypialni, ale miała swój osobny pokój obok jego apartamentu, nie budziły w nim myśli niepokojących. Była w

jego pojęciu kobietą zimną. Kobieta zimna podobna jest do lodu, który gdy się gotrzyma na dłoni, zaczyna parzyć, a później rozpływa się. Wojtek, ten wielki uwodziciel, wiedział o tym i zaczął uwodzić chłodną piękność. Nocą przez balkon zakradał się do sypialni ślicznotki, która, będąc bardzo bogobojna, pewnie płakała nad swoim upadkiem, rano biegała do spowiedzi, ale nie mogła się oprzeć urokom dwudziestoletniego amanta, pięknego jak 176

marzenie i w dodatku utalentowanego. Ryzyko było straszne, bo ślubny wąsał mógł się w każdej chwili obudzić i wejść w długiej białej koszuli i szlafmicy do pokoju niewiernej, ale miłość tych dwojga była jeszcze straszliwsza. Romantyzm tej przygody potęgowała dekoracja za oknem: Canale Grande z połyskującą w świetle księżyca wodą, jak wielka pozła-cana jaszczurka, a na nim rozspiewane serenadami gondole, u jego brzegów pogrążony w śnie o minionej przeszłości Pałac Dożów. Przy takiej inscenizacji grzech słodki był jak miód. Gdy Kossak miał już opu-

ścić Wenecję, kochankowie wyznaczyli sobie spotkanie na Francuskiej Riwierze. Można sobie wyobrazić to radosne spotkanie zakochanej pary w dwa tygodnie później w Nicei na Promenade des Anglais. Ona w sukni z turniurą, z małą parasoleczką, obok niej stateczny szlagon w wysokim cylindrze popielatego koloru, w obcisłych spodniach, z brzuszkiem, złotą dewizką, a przy nich wzruszony Wojtek z wąsikami à la „Bel Ami” Maupassanta, w obcisłych beżowych spodniach i krótkiej, zapiętej wysoko na jeden guzik marynareczce. Obrazek jak wyjęty z Renoira. A te nie znane dzisiaj kociakom rumieńce zakochanej, te półsłówka i półuśmiechy! A mąż nic, na pewno ucieszył się ze spotkania z tym kochanym Wojtkiem, za którym przecież cała zagraniczna Polonia przepadała. Miłosne harce na wulkanie musiały się jednak skończyć. Wojtek ze swoim przyjacielem wrócili do kraju, dokąd po jakimś czasie udali się również i państwo Czorsztyńscy. Zakochana para przysięgła sobie dożgonną miłość, która tak jak „wieczna” ondulacja trwa najwyżej pół ro-ku. Wkład miłości ze strony Wojtka był jednak tak wielki, że nie mógł

przepaść, i po zwykłym w tych sprawach terminie urodził się hrabinie synek, wypisz-wymaluj podobny do Kossaka. Ciotki i babki niewiernej żony nie mogły się dość nadziwić temu podobieństwu. - Przecież wyka-pany Wojtek! - mówiły ze śmiechem. - Zapatrzyła się, czy co? - Tylko jeden mąż nie widział żadnego podobieństwa i bardzo był szczęśliwy, że ma syna. I wszystko byłoby poszło przyjętym w dobrym towarzystwie torem, gdyby nie to, że pobożna niewierna, nie mogąc znieść ciężaru śmiertelnego grzechu, załamała się i wyznała mężowi całą prawdę.

Hrabia nie wyrzucił wiarołomnej z domu, bastarda nie kazał utopić, ale za to zaprzysiął Wojciechowi zemstę i przy świadkach oświadczył, że gdy Kossak będzie pełnoletni, wyzwie go na pojedynek i położy go trupem. Lata minęły, dwudziestosiedmioletni Wojtek zakochał się w ślicznotkowej blondyneczce Manusi Kisielnickiej, oświadczył się o jej rękę i wziął z nią ślub. W pół roku później ta urocza para wyjechała do Paryża, gdzie również przebywał Czorsztyński z małżonką. Maryleczka opowiadała swoim córkom, że nigdy przedtem ani potem nie była tak szczęśliwa. Młody mąż nie tylko że nosił ją na rękach, ale oprowadzał po całym Paryżu, pokazywał jej dzieła sztuki w Luwrze, uczył ją patrzeć na piękno architektury Paryża swoim artystycznym wzrokiem, wysiadywał z nią w kawiarniach na bulwarach, prowadził wieczorem do Opery, do *Comédie Française*, gdzie występowała Sara Bernhardt. Zaprowadził ją nawet do jakiejś słynnej wróżki, która jej przepowiedziała, że będzie mieć dwie córki i jednego syna i że spotka jej rodzinę nieszczęście od wściekłego psa, co się jakoś dotychczas nie sprawdziło (na psa urok!). O tym, że jej mąż uzyska jako

artysta światową sławę, wróżka nie wspomniała, ale to pewnie tylko przez wrodzoną dyskrecję. W jakimś *variétés* pokazał jej słynnych braci Dawenport, którzy zamykali się w szafie i potem jakimś cudem z niej znikali i których występy zachwyciły Paryż; jednym słowem - umiłił jej ten pobyt, jak tylko się dało. Prowadził ją też na wieczorki muzyczne do księżnej Marceliny Czartoryskiej, uczennicy Szopena, gdzie zbierała się cała paryska artystyczna Polonia i świat arystokratyczny. I właśnie te tak czarowne i niezapomniane wieczory sprowadziły wypadek, który mógł się dla Wojciecha skończyć tragicznie. Hrabia Czorsztyński, dowiedziawszy się od znajomych, bywających u księżnej Marceliny, że Kossak jest w Paryżu, zdobył jego adres i posłał mu dwóch sekundantów. A jeszcze w przeddzień biedna Manusia pisała do swojej matki: „Nie wiedziałam, że można być aż tak szczęśliwą - Wojtek jest wprost ideałem męża...”

Kossakowi, jako człowiekowi honoru, nie wypadało nie przyjąć naj-ostrzejszych warunków, jakie mu sekundanci hrabiego zaproponowali.

178

Pojedynek miał się odbyć o świcie w Lasku Bulońskim, oczywiście na pistolety. Cała paryska Polonia o niczym innym nie mówiła. Przyjaciele donieśli Wojciechowi, że hrabia jest tak na niego zawzięty, iż głośno mówi o tym, że chce go położyć trupem. Był on najlepszym myśliwym w Polsce.

- Przygotuj się na śmierć Wojteczku - mówili ci poczciwcy. - Cóż to dla niego, który ptaki strzela w locie dubletem, taka zwierzyna jak ty!

Kossak opowiadał córkom, gdy dorosły, że chyba nigdy w życiu nie miał takiego stracha.

- Bo tylko pomyślcie, moje drogie, dwadzieścia siedem lat, całe życie i wspaniała kariera przede mną - no i Manusia, w której byłem taki zakochany...

Życie mu uratował mądry spowiednik i głęboka wiara przeciwnika.

W przeddzień pojedynku Czorsztyński poszedł do spowiedzi i jako wierny syn Kościoła przyznał się księdzu, iż ma niezłomny zamiar uśmiercić człowieka w pojedynku. Ksiądz, Polak, rozsądny i sprawiedliwy obrońca swoich owieczek, który znał Wojtkę i wiedział, o kogo chodzi, oświadczył

stanowczo, że wobec tego on mu rozgrzeszenia nie da. Próżno zawzięty szlagon szlochał i bił łbem o konfesjonał, błagając spowiednika, aby mu dał absolucję. Ksiądz był nieubłagany.

- Jeśli mi, mój synu, nie przysięgniesz, że w ogóle do tego pojedynku nie dojdzie.- nie otrzymasz rozgrzeszenia.

Płacząc przysięgnął mu hrabia, że do pojedynku nie dopuści, i dopiero wówczas otrzymał odpuszczenie grzechów. I gdy o świcie blady z emocji Wojciech stanął w białej koszuli i czarnych spodniach, z lewą ręką prze-pisowo założoną na plecach, a prawą, z pistoletem, wyciągniętą w stronę przeciwnika, stała się rzecz zdumiewająca i nieoczekiwana: zawzięty szlachcic, blady jak upiór, rzucił pistolet na ziemię i odwrócił się. Zawiedzeni sekundanci Kossaka przyskoczyli do niego:

- Przecież to afront i obraza! Teraz pan powinieneś hrabiego wyzwać na pojedynek!

Ale Wojtkowi .ani w głowie to było. Uszczęśliwiony z tak cudownego ocalenia, wpadł do doróżki, która na niego czekała, i - co koń wyskoczy -

179

kazał się zawieźć do domu, gdzie padł w ramiona splakanej Maniusi.

Dopiero w wiele miesięcy później dowiedział się, komu zawdzięcza życie.

Przyznał się do tego sam hrabia, który bał się, że go ktoś pomówić może o tchórzostwo. Nienawiść jednak do pięknego Wojciecha zachował do końca życia. I oto gdyby nie ów mądry ksiądz, który w tym wypadku był

jak gdyby emisariuszem szczęśliwej gwiazdy Kossaka, nie byłoby na świecie Marii Magdaleny...

Wojciech, jak już wspomnieliśmy, nie cierpiał pojedynków, które uważał za przeżytek i nonsens. Niejednokrotnie zdarzało się później, że któryś z jego przyjaciół prosił go na sekundanta i wówczas strapiony Wonio kombinował, jak by pogodzić zwaśnionych, a jak to przeprowadzał - zaraz zobaczymy.

Pocziwe koniki, które w końcu zmarły śmiercią zasłużonych, zastą-

pione zostały w domu na Kossakówce przez automobile, które przechodziły różne ewolucje. Okropny, wielki bladożółty wóz firmy „Benz”, któ-

ry trzeba było kręcić ręczną korbą, aby zapalił, i którego motor po obiecującym „teuf, teuf, teuf!” gasł i przez dłuższą chwilę nie chciał iść -

zmieniał się drogą ewolucji w coraz bardziej ulepszone maszyny. Wojciech przyjechał z Paryża pięknym własnym wozem marki „Austin” wraz z szoferem Francuzem, eleganckim młodzieńcem w skórzanej kurcie, który nie wyobrażał sobie, aby można było jadać nie z państwem, ale w kuchni ze służbą, jak polski szofer, Jan Mazanek. Tym więc pięknym ciemnozielonym wozem (który dzisiaj wydałby się co najmniej mamu-tem) jeździła rodzina Kossaków na Bielany, do Ojcowca i na niedzielę do Zakopanego.

Tatko lubił na wszystkie wycieczki autem budzić rodzinę o piątej ra-no.

- Panny, wstawajta! - krzyczał już od progu. - Kto nie będzie gotów za pół godziny - tego nie zabieramy!

Najdłużej zawsze czekało się na Maniusię. która miała moc swoich gospodarskich spraw i nie mogła się tak szybko zebrać. Po donośnym i irytującym trąbieniu, które trwało czasem i godzinę, zjawiała się w koń-

cu głowa domu w długim pudermantlu, w ogromnym kapeluszu 180

przewiązanym pod brodą woalem... i... z parasolką. O tę parasolkę były wieczne spory.

- Jak Manusia nie zostawi parasolki w domu, to jej nie zabieramy!

- Cóż ci to szkodzi, mój Wojteczku... a jak będzie słońce albo deszcz?

- To się podniesie budę.

- Mama chce nam popsuć cały sportowy wygląd samochodu! - piszczała Madzia.

- Jak Madzia będzie dla mamy niegrzeczna, to zostanie w domu.

Albo pojedę z parasolką, albo w ogóle mogę nie jechać.

Kończyło się na tym, że Manusia brała parasolkę do auta, ale jej nie otwierała, nie chcąc mężowi psuć humoru.

- Nie tak szybko, nie tak szybko! - wołała, gdy auto rozpędziło się na- zawrotną szybkość... trzydziestu kilometrów na godzinę!

Wojciech nauczył się sam prowadzić wóz, co kosztowało wiele zdrowia obie córki, ponieważ co chwila maszyna była o krok od katastrofy, a kilka razy nawet znalazła się w rowie. Zdarzało się to najczęściej wówczas, kiedy koło kierowcy siedziała jakaś piękna, młoda dama. Gdy wiatr podnosił jej sukienkę i odsłaniał kolana, Wojtek zapominał o tym, że siedzi przy kierownicy, zerkał ochoczo na nóżki i... kraksa gotowa.

Tym zielonym austinem wozził Wojciech nie tylko piękne damy, ale również i gwałtem chcących się strzelać „dżentelmenów”. Jazdy te odbywały się o sinym świcie i kierowane były na Bielany, gdzie na polanie koło klasztoru ojców Kamedułów zwykle odbywały się pojedynki.

Chodząc po pokoju wieczorem i rozmyślając, zwrócił się Wojciech nagle do żony:

- Manusia, każ zagotować mocnej kawy ze śmietanką do termosu.

Przygotuj jakąś mocną nalewkę, dużo bułek i kielbasy. Wszystko to za-pakuj do kantyny.

- Ale po cóż, mój Wojteczku, przecież ty tego wszystkiego nie zjesz... a ci panowie...

- Właśnie ci panowie... Już ja mam swoją myśl.

181

Gdy majowym zielonym świtem całe ponure towarzystwo z za-sępionymi, złymi twarzami wygramoliło się z obszernego wozu, Wojtek rzekł:

- Wiecie co, moi panowie, nim zaczniemy się bić, przekąśmy cośkolwiek.

Spojrżeli na niego jak na wariata: w takim momencie „przekasać”!

Ten Kossak miewał pomysły!

- Bo ja jestem głodny jak wilk - dodał i zaczął rozkładać na zielonym stole polanki najpierw obrusik, który znajdował się w podróźnej kantynie, talerzyki, noże, widelce, kubki. Posępni panowie początkowo się wzbraniali, po czym nie wytrzymali nerwowo, zaczęli pić kawę i chrupać bułeczki z kielbasą.

- No, a teraz po jednym! - zawołał uprzejmy gospodarz i począł nalewać wódkę do srebrnych kubeczków. - Traćcie się! - zawołał po drugim kieliszku do powaśnionych. - Co będziecie się bić, kiedy życie jest takie piękne, psiakrew!

Wiadomo, że przy wódce najlepsi przyjaciele potrafią się pokłócić na śmierć, a najzawziętsi wrogowie mogą się nagle pogodzić. I tak się też stało - wrogowie podali sobie ręce i pojedynek wcale się nie odbył.

Jak triumfator wracał Wojteczek z udanej ekspedycji do domu. Zacierał ręce, opowiadał rozbawionej rodzinie, jak to się wszystko odbyło, i obiecywał sobie, że nigdy bez kawy, wódki i zakąsek nie będzie nikomu ze swoich przyjaciół sekundował. Ten numer powtarzał potem kilkakrotnie i zawsze z dodatnim rezultatem. Był on nie tylko wielkim znawcą kobiet, ale i znawcą męskiej psychologii.

Nie należy przypuszczać, że pojedyunki były sprawą jakiejś zamierz- chłej epoki. Jeszcze na kilka lat przed ostatnią wojną dziarscy ułani ze słynnego z „elegancji” 8 Pułku Ułanów krakowskich, nie mogąc się doczekać wojenki, co to „nie oddamy ani guzika” (jak powiedział Rydz-

Śmigły), bili się na szable o byle głupstwo. Adoratorem Magdaleny w jej okresie „między- męzowskim” był jeden z nich, dziarski ułanek z „faje-rem”, który się w niej kochał dosłownie „na zabój” i gwałtem chciał się z 182

nią żenić. Byłaby na pewno popełniła to głupstwo, bo chłopak był dowcipny, zabawny i z dużym męskim wdziękiem, gdyby nie jego nałóg do alkoholu i do szabelki. Wystarczyło, że któryś z jego znajomych czy kolegów wyraził się o Magdalenie w sposób niepoehlebny lub z lekka obraź-

liwy, a już dziarski Józek posyłał mu świadków. Kiedyś w czasie spaceru na Błoniach, chmurny i milczący, odezwał się do Madzi:

- Muszę się o panią bić...

- Jezus Maria, co się stało!

- A bo ten X. powiedział, że przyklepiłem się do pani jak rzep do psiego ogona, no i... dostał ode mnie w pysk. Nazajutrz przysłał mi sekundantów. Będziemy się pojutrze bić na szable na Bielanach. Proszę się za mnie modlić.

Magdalena zmartwiła się okropnie. Bardzo lubiła wiernego chłopaka i przestraszyła się nie na żarty.

Będąc tego samego dnia u znajomego dentysty, poprosiła go o trochę kokainy. Powiedziała, że to nie dla niej, tylko dla jej chłopaka, który się przez nią będzie pojedynkował. Działanie „koka” znała od swojej przyjaciółki, narkomanki, która nieraz czę-

stowała ją białym proszkiem, aby go sobie „poniuchala”. Wiedziała, że działa on podniecająco i że chwilowo dodaje dużego wigoru oraz pewno-

ści siebie. Dentysta, „człek ludzki”, dał jej do papierka trochę białego proszku, który ona wręczyła przyjacielowi.

Nazajutrz rano telefon:

- Tutaj Józek.

- No, chwała Bogu, że się panu nic nie stało! Całą noc nie spałam z niepokoju o pana.

- Mnie się nic nie stało, ale za to tamten...

- No co, no co? O mój Boże!

- Ciachnąłem go tak, że sobie to długo popamięta. Do widzenia, zjawię się u pani po południu.

Temperamentny ułan i w Warszawie, dokąd Magdalena jeździła czę-

sto do Ojca, który miał tam w Bristolu swoją pracownię, nie dawał jej spokoju.

Madzia śpi snem sprawiedliwych po przetańczonej nocy. Nagle o pią-

tej rano telefon.

183

- Tutaj siostra Józka. Proszę się modlić, Józek dziś o szóstej będzie miał pojedynek o panią.

- Jezus Maria, cóż ja znowu zrobiłam takiego!

- Ktoś mu powtórzył, że pani ma nowego adoratora, który tańczył z panią całą noc, a nad ranem wyszliście gdzieś razem. Dostał od Józka w twarz. Gratuluję pani powodzenia kosztem mego brata. - Trzask, słu-chawka odłożona.

Tym razem ułan został lekko drażniony i, dumny jak paw, chodził z ręką na temblaku. Od tego czasu Magdalena zaczęła go unikać. Na szczęście został przeniesiony do Poznania, gdzie prawdopodobnie dalej pojedynkował się o „cześć i honor” innych, bliskich jego sercu dam. Doczekał się wreszcie upragnionej wojenki i zginął śmiercią wojkowego.

Rozdział XVII

Pasja do zwierząt w rodzinie Kossaków była odziedziczona po Juliuszu, który nie tylko uwielbiał konie, ale i psy. Co dzień przy śniadaniu Dziadzio robił dla swojego ukochanego psa, Budrysa, specjalną zupkę z gorącej słonej wody i skórek od kiełbasy. Babcia wówczas pytała ironicznie:

- I ty myślisz, że on to lubi?

- Bardzo lubi.

- Mówił ci?...

Wojciech kochał konie nieomal tak jak kobiety. Gdy obie jego córki były podlotkami, miał na Kossakówce angielską klacz, którą wołano czule: *Sweet heart*, a była tak rozpieszczona przez swojego pana, że przez otwarte drzwi od werandy wchodziła do salonu, czego Manusia bardzo nie lubiła.

- Skończy się na tym, mój Wojteczku, że mi ją posadzisz na kanapie!

Wojciech był także wielkim przyjacielem psów i mimo sprzeciwów żony miał ich zawsze kilka sztuk. Ulubieńcem jego był pies rasy collie, który nazywał się Doggie. Doggie jeździł ze swoim panem autem do Zakopanego, chodził z nim na pejzaż, a w Krakowie wieczorami do klubu, co uważał za honor i zaszczyt, jako że był wielkim snobem. W klubie pies leżał godzinami w hallu na zimnej kamiennej posadzce i nudził się, ale nie daj Boże, co się działo, gdy Tatko mówił, ot tak sobie, w przestrzeń: -

Doggie nie pójdzie dziś do klubu.

Pies momentalnie wyskakiwał spod stołu, skomląc żałośnie „uau!

uau!”

Oprócz Doggie'ego było na Kossakówce kilka innych przez Lilkę i Madzię chowanych psów, które w nocy wchodziły im do łóżek.

185

Mama uważała to za wysoce niehigieniczne i wywiesiła nad łóżkiem Madzi duży napis: „NIE WOLNO PSÓW BRĄĆ DO ŁÓŻKA!” Ilekroć Tatko sprowadził do domu jakiegoś nowego szczeniaka i przy kolacji cała rodzina zastanawiała się, jakie mu nadać imię, Manusia niezmiennie proponowała aby się nazywał Troll (co po duńsku znaczyło „gnom”), i nie wiadomo dlaczego cała rodzina wyśmiewała tę przyjemną nazwę i nie chciała się na nią zgodzić.

- Mama to nigdy nic innego nie może wymyślić jak tego Trolla!

- Też nazwa: „Troll”! To całkiem do niego nie pasuje...

- Maniusiu - mówił Tatko - daj ty spokój ze swoim Trollem - pies będzie się nazywał Puk.

Mama milkła zawiedziona i już się więcej w tej sprawie nie odzywała.

Ale kiedyś do obu dziewczynek przyplątał się na ulicy jakiś nierasowy jamnik. I jak to jamniki od razu - przyjaciel, lizus, brat-łata.

- Mama nigdy się nie zgodzi, aby wziąć do domu jeszcze jednego psa - rzekła zatroskana Madzia. - Wyrzuci go dosłownie na zbity pysk!

Lilka zaczęła rozmyślać i jak zwykle przyszła jej do głowy genialna myśl:

- Słuchaj, Madzia, wiesz co, powiemy, że się nazywa Troll, może to ją wzruszy!

Do pokoju weszła Mama i z groźną miną spojrzała na nowego przy-bysza.

- A cóż to za psiak? Proszę mi natychmiast to paskudztwo wyrzucić!

- Przyplątał się do nas, bardzo rasowy jamnik, tylko mu ktoś, gdy był mały, ogonek zakręcił w obarzanek.

- Powiedziałam, że więcej psów trzymać nie będę i zdania nie zmienię. Proszę go natychmiast wyprowadzić za furtkę!

- A czy Mamidełko wie, jak on się wabi?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

- TROLL! - wykrzyknęły obie naraz.

Mimo swojej stanowczej i surowej postawy Manusia miała poczucie 186

humoru. Już jej się oczy śmiały, ale z zasznurowanych usteczek padło: -

Wszystko jedno, proszę go wyprowadzić - brzmiało to jednak jakoś miękko i niepewnie. Troll został w domu.

Gdy dziewczynki były jeszcze malutkie, Tatko trzymał na Kossakówce swego ukochanego konia. Kiedyś stangret nie dopilnował go, tak że biedne zwierzę zaplątało szyję w powróż, do którego było przywiązane, i w nocy udusiło się. Wojciech wpadł w taką rozpacz i wściekłość, że uczynił coś, czego nigdy nie robił, a mianowicie uderzył stangreta w twarz! Stangret, któremu również było na imię Wojciech, rozpląkał się, jako że i do konia, i do swojego pana był bardzo przywiązany. Dziewczynki akurat przyszły na scenę zgoła w owych czasach osobliwą. Tatko przerażony tym, co uczynił, rzucił się stangretowi na szyję i zaczął go przeproszać. Obydwa Wojciechy, zdjęte wspólnym żalem, obejmowały się czule, zanosząc się od płaczu.

Dziewczynki miały w swoim pokoju istne zoo. Fruwały tam egzotyczne ptaszki, jakieś koliberki,

kanarki i japońskie malutkie mewki, ozdabiające obrazy swoim „ptasim mlekiem”. Po pokoju spacerował trznadel znaleziony w ogrodzie ze złamanym skrzydłem. W klatce skrzeczały dwie papużki, tak zwane *inseparables*. Na łóżku spały snem aniołków dwa biało-czarne bullterriery, koło pieca w pudełku mieszkały świnki morskie, ale to jeszcze nie był koniec, ponieważ na oknie stała salaterka z małymi wiślanymi żółwiami, a obok słoiczek z zieloną żabką. Można sobie wyobrazić, jakie powietrze panowało w owej menażerii, gdzie oprócz dwóch dziewczynek sypiały jeszcze: służąca Marysia i *Fräulein!*

Nauczycielki, które przychodziły na lekcje, nieomal mdlały, dusząc się ową zwierzęcą aurą, i chciały gwałtem wietrzyć, ale to przedstawiało ogromne trudności, ponieważ ptaszki trzeba było zaganiać do klatek, co w dzień było sprawą niełatwą. Wieczorem ptaszki wracały do swoich domków, a białe mewki, specjalnie przez obie siostry kochane, kładły się w małym gniazdeczku parami, jedno na drugich. Specjalną przyjemno-

ścią było, gdy już posnęły, wsunąć rękę ostrożnie do klatki, wyciągnąć 187

tę, która leżała na spodzie, całować ją w biały brzusek i równie ostroż-

nie z powrotem włożyć pod białą puszystą kołderkę z żywych piórek.

Zaspana mewka, którą te pieszczoty bardzo nudziły, prawie tak jak młoda żonę miłosne zakusy zakochanego starszawego męża, otwierała czarne oczka, okrągłe niby główki od szpilek, i mówiła: płui, płui...

Gdy obie siostry opowiadały o tym swojej przyjaciółce, o wiele lepiej od nich wychowanej, ta rzekła surowo:

- Całowałyście mewę w brzusek - to bardzo niestosowne...

Co jakiś czas odbywał się pogrzeb jakiegoś „nieodżałowanej pamięci” ptaszka. Dziewczynki wkładały go do pudełka po pięknie pachnącym mydle Vera Violetta, z podściółką z różowej waty, i płacząc zakopywały w ogrodzie. Babcia Kossakowa, lubiąca robić troszkę na złość „tej kochanej Maniusi”, bardzo przeciwnej owej menażerii, natychmiast kupowała dziewczynkom nowego ptaszka, tak że ilość ich była mniej więcej zawsze jednakowa. Tatko od tych egzotycznych ptaków wolał zwyczajne szare wróble, którym co dzień sypał okruszki. Gdy śpieszył się do roboty i nie miał czasu, drobił bułkę i prosił służącą, aby ją sypała wróblom.

Wiele było śmiechu przy stole, kiedy nowa służąca o bardzo służbistych manierach na zapytanie Tatki: - Czy wróble dostały jeść? - odparła: - Już podaję!

Wróbelki tak dobrze znały dziarską postać Wojciecha, w pumpach i wełnianych angielskich pończochach, że gdy tylko ukazywał się na schodach od werandy oblatywały go chmarą. Kiedyś jego brat bliźniak, Tadeusz, podobny do Wojciecha jak dwie krople wody, zdumiał się, gdy go wróble w ogródku opadły.

- Czego one ode mnie chcą?

- Tacy jesteśmy do siebie podobni, że wzięły ciebie za mnie! - roze-

śmiał się Wojciech.

Lilka - jako że zawsze była poetką - wolała słowiki i potrafiła słuchać ich pół nocy siedząc w ogrodzie na ławeczce. Gdy była dorosła, słuchała ich tak samo, tylko objęta ramieniem któregoś ze swoich mężów... O

słowikach pisała najpiękniejsze wiersze, i wzruszające, i humorystyczne jak ten, w którym kot nazywa słowika „śpiewającym mięsem”. Śpiew 188

słowika budził o czwartej nad ranem młodziutką Madzię, która długo leżała z otwartymi oczami, zasłuchana w jego miłosne nawoływania.

Żadne poezje, żadna muzyka nie obiecywała tyle rozkoszy, takich miłosnych dreszczy, tyle szczęścia... Osiemnastoletnie głupiątko nie wiedzia-

ło, że TO było właśnie największym szczęściem, jeszcze niczego nie zaznać, na wszystko czekać, mieć osiemnastoletnie ciało i rozgorączkowaną marzeniami główkę o długich rozplecionych włosach... Czy śpiew słowika w ogródku na Kossakówce dał jej potem to, co tak namiętnie i przekonywająco obiecywał? Na pewno tak, tylko że jego śpiew mówił o miłosnym uniesieniu i urywał się... Miał tyle taktu, że nigdy nie śpiewał, co będzie dalej. Nie śpiewał o tym, jak miłość się kończy... kiedy umiera i dlaczego... Nie wspominał o okropnej chwili, kiedy ukochany, ten do niedawna szaleniec boży, mówi nagle ostrzegawczo: „Uważaj - ludzie!” albo nie słyszy, co się do niego mówi, i pyta głośno: „Co?” - albo jak nagle zaczyna nie mieć czasu lub gdy go wszystko zaczyna nudzić:

„Chodźmy na spacer!” - „O tej porze?!...”; „Popatrz, jaka piękna noc!” -

„Zaraz zaczniesz lać...”

Jednym słowem - nigdy mały, szary trubadur zaszyty w gąszczach bzu i jaśminu nie nucił piosenki *Quand l'amour meurt*.

Zdawałoby się, że słowiki na Kossakówce śpiewały nie dla swoich samiczek, ale dla obu sióstr... dla ich marzeń i dla ich miłości. Odkąd miłość i marzenia o niej wyniosły się stamtąd - słowiki zamilkły. Wielcy śpiewacy muszą mieć odpowiednie audytorium.

Zwierzęta kochają przede wszystkim ci, którzy rozporządzają takim nadmiarem uczuć, że kochając rodzinę, męża lub kochankę, muszą ten nadmiar jeszcze na kogoś przelać. Lilka na przykład była tak do kochania stworzona, tyle miała w sobie tej miłosnej siły, że miłując nade wszystko swoją rodzinę i każdego ze swych mężów, zdolna była również obdarzać nią małe nieporadne zwierzątka i ptaszki. Kiedyś otrzymała w podarunku wiewiórkę. Ten niewinny romans trwał dość długo. Wiewiórka nazywała się Florek. Odpłacała się jej ona taką wzajemnością, 189

że gdy Lilka pojechała na kilka dni do Medyki, Florek z tęsknoty nie chciał przyjmować żadnego pożywienia i byłby zginął z wycieńczenia, gdyby Madzia nie wysłała do siostry depeszy tej treści:

„Wracaj zaraz, Florek nie chce jeść”. Przerazona Lilka natychmiast przyjechała. Kiedyś latem przyszło jej na myśl, że Florek, zamknięty w pokoju, nie jest szczę-

śliwy i że jednak należałoby go trochę puścić do lasu. Była pewna, że do niej wróci, ale Florek znalazłszy się na Bielanach, gdzie wiele takich jak on harcowało po drzewach, zapomniał o swojej ukochanej i przepadł na zawsze. Lilka popadła w taką depresję, że ktoś z domowników czym prędzej, postarał się dla niej o nową wiewiórkę, której już nie puszczała na krok. Była z nią w Zakopanem, a nawet na Francuskiej Riwierze - w Nicei.

Sorek - bo tak się zwało jej nowe ukochanie - udał się z Lilką i Madzią w tę daleką podróż w małym kartonowym pudełeczku z nakłutymi dziurkami, gdzie miał orzechy i podściółkę z waty. W sleepingu puściło się Sorka na wolność. Wydając pomruki „quak, quak, quak”, skakał on po całym przedziale, pił wodę z buteleczki i „zachowywał się zupełnie normalnie. Na granicy włosko-francuskiej w Ventimiglii celnik zainteresował się mruczącym pudełeczkiem, ale kiedy zajrzał do środka i ujrzał

tylko wiewiórkę, machnął ręką i pozwolił Sorkowi na przejazd, Obie siostry, będąc w Nicei po raz pierwszy, zaczęły się rozglądać za odpowiednim dla siebie hotelem. Sfora krzykliwych agentów opadła je, cią-

gnąc do zachwalanych przez siebie hoteli i pensjonatów.

Jakiś facet, orientując się widać, że Lilka i Madzia mówią między so-bą po polsku, zbliżył się do nich i po francusku zaczął je namawiać, aby stanęły w znakomitym i wspaniale prowadzonym pensjonacie polskim noszącym nazwę „Polonia”.

- Tanio, znakomita kuchnia, będą się panie czuły jak w domu... - (nie powiedział tylko, w jakim...) Siostry zdecydowały się tam zajechać.

Willa obrosnięta kwitnącymi pnączami wyglądała przytulnie i zachę-

cająco. Normalny pikolo wniósł ich kufarki do hallu. Na przywitanie wyszła elegancka starsza dama o utlenionych lokach i zagadnęła do nich po polsku. Poprosiła, aby poczekały w saloniku, aż im pokaże odpowiedni 190

dla nich pokój. Była szalenie wylewna i serdeczna, trochę jak na pierwszą znajomość może zanadto czuła. Gdy siostry zostały same, czerwona aksamitna kotara uniosła się nieco i spoza niej wyjrzał młody brunet we fraku, który zaczął wzrokiem znawcy taksować obie siostrzyczki. Ale to jeszcze nic, gorsze było to, że gdy brunet zniknął za kotarą, przez salonik przebiegła piękna młoda dziewczyna w czarnej, mocno dekolowanej kombinacji, w czarnych pończochach i pantofelkach. Spojrzała dziwnie ubawionym wzrokiem na obie Poleczki.

- To na Riwierze pokojówki tak chodzą ubrane? – zaśmiała się głupia Madzia.

Lilka spojrzała na nią wzrokiem pełnym pogardy.

- To ty się nie orientujesz, gdzie my jesteśmy? Natychmiast zawołaj tego pikola i niech nam zaraz

znajdzie taksówkę! Nie zostaniemy tu ani chwili dłużej!

- Ale właściwie dlaczego?

- Nie zadawaj idiotycznych pytań, tylko wstawaj i w nogi!

Madzia, domyśliwszy się w końcu, co to wszystko znaczy, znalazła pikola, wetknęła mu do ręki kilka franków i nim elegancka właścicielka

„Polonii” powróciła, już obie siostry wraz z kuferkami siedziały w taksówce.

- Niech nas pan zawiezie do jakiegoś niedrogiego, ale przyzwoitego pensjonatu - rzekła Lilka drżącym ze zdenerwowania głosem. - Tylko nie do żadnego p o l s k i e g o pensjonatu.

Szofer Francuz roześmiał się ze zrozumieniem, wyrażając zdziwienie, dlaczego *les petites dames* zajechały do tej znanej *maison de passe*.

- Skąd mogliśmy wiedzieć - bąknęła Lilka – powiedziano nam, że to polski *pension de famille*...

Szofer zawiózł je do Hôtel-Marina, położonego na samej Promenade des Anglais naprzeciw grzecznego, spokojnego, niebieskiego morza. Był

to hotel wprawdzie II klasy, ale bardzo elegancki i komfortowy. Sorek, w swoim pudełeczku, ze strachu siedział spokojniutko, tak że portier nie domyślił się, kogo te dwie cudzoziemki ze sobą przywiozły. Każda z sióstr otrzymała oddzielny pokój z osobnym *cabinet de toilette* i wygodnymi łózkami.

191

Gdy miła starsza pokojówka posłała łóżka i wyszła. Lilka natychmiast wypuściła ze schowka wiewiórkę, która skoczyła na białą batystową firanę, kołyszając się na niej jak na gałęzi.

- Trzeba będzie uważać - rzekła Lilka - aby się portier nie domyślił, że mamy tu ze sobą takie dzikie zwierzątko. A z pokojową trzeba trzymać sztamę.

Sorek, który uznawał t y l k o dowcip sytuacyjny, zabrał się energicznie do obgryzania obcasów przy pantofelkach Lilki i w ogóle czuł się jak w domu na Kossakówce. W nocy pogryzł prześcieradło. Zaczna *madame* Marguerite, pokojowa, podniosła ze zgrozy obie ręce do góry na widok szkody, jaką uczynił. Lilka wcisnęła jej do ręki dwadzieścia franków i poprosiła, aby zachowała ścisłą tajemnicę. Ta zacna osoba widziała już tyle „kopniętych” Amerykanek i Angielek, które przywoziły ze sobą nie tylko pieski, ale i koty rasowe, i papugi, że nie zdziwiła się zanadto, tylko natychmiast zabrała się do cerowania prześcieradła, aby się portier niczego nie domyślił. Co rano, kiedy Włoch za oknem śpiewał „La Paloma” albo inną kanconę, budząc tym śpiewem obie siostry, które wyskakiwały z łóżek, by mu przez okno rzucić franka, *madame* Marguerite wносиła do ich łącznych pokojów tacę ze śniadaniem, po czym zajmowała się - co jej się zresztą bardzo opłacało - cerowaniem poszewek z poduszek i jaśków, którymi Sorek też nie gardził. Wiewiórka siadała wtedy na tacy, brała w obie łapki maleńki dzbanuszek ze śmietanką i przechylała go do gar-dziołka. Z kolei chrupała rogalik,

obracając - jak orzeszki - jego rożek w łapkach, po czym przysiadła i robiła na tacy maleńki stawek. Obie siostry rozplływały się w rozczuleniu. A to urywek z listu do Mamy, w któ-

rym jest mowa o Sorku:

Mamo, dzień dobry! Tu jest cudnie - róże pukają do okna, lak jak w grudniu być powinno. Właśnie robię kąpiel słoneczną na dywanie. Pod oknem serenada złożona z szajki Włochów śpiewa stare włoskie kan-cony. „Sorek - cacko z dziurką - siedzi w oknie i słucha z zajęciem, zło-

żywszy łapki na brzuszku. Trzymam go w małej, pozbawionej wanny łazience, która jest w każdym pokoju, stamtąd wylazi, kiedy chce. Zrobił się tak spokojny i tchórzliwy, że o żadnych szpryncach nie ma mo-wy, tylko prześcieradła gryzie, ale to już widocznie musi. Lubi, żeby go szczotkować i głaskać, jest słodki...

192

Po śniadaniu siostry ubierały się w białe płaszcze, na głowy kładły słomkowe kapelusze, jako że w grudniu jest na Riwierze tak ciepło jak u nas w maju, i szły na Promenade des Anglais. Sorka trzymała Lilka w kieszeni płaszcza, ale gdy tylko wyszły poza park hotelowy, sadzała go na płaskiej chińskiej parasoleczce, na której siedział spokojnie, rozglądając się z zainteresowaniem. Był to zresztą jedyny sposób, aby zwrócić na siebie uwagę, co w tym tłumie najelegantszych i najbardziej ekscen-trycznych kobiet świata nie było rzeczą łatwą. Na tym międzynarodo-wym deptaku mijały je stare kobiety-papugi w różowych lub bladonie-bieskich kapelusikach, w białych płaszczech z sobolowymi kołnierzyka-mi, z olbrzymimi brylantami lub perłami w uszach, prowadząc na smy-czy pekińczyki lub scotch-terriery, ale żadna z nich nie miała na parasolce żywej wiewiórki! Obrzucały więc obie siostry nienawistnym spojrzeniem, oglądały się za nimi i drwiąco rechotały pokazując przepiękne sztuczne zęby. Prowadzili je często pod ramię bladzi, smutni i tragiczni żigolacy (typ męczyzny w Polsce w ogóle nie znany), spoglądający na ekscentryczne siostrzyczki spojrzeniem pełnym niewypowiedzianej tę-

sknoty za czymś młodym i świeżym. Lilka, ten cudowny oryginał, niosła swojego Sorka na parasolce z taką swobodą i obojętnością, jakby to było sprawą zupełnie naturalną. Cieszyło ją niewymownie, że zwraca ogólną uwagę.

W południe na *aperitif* szło się do kawiarni położonej nad morzem, która nazywała się „La grande bleue”, czyli „Wielka Błękitna”. Wszystko w tej czarownej kawiarence było niebieskie: czarodziejski plafon szafi-rowego nieba, błękitne morze, niebieskie lakierowane mebelki i niebieskie fartuszki podających w kawiarni „mamzelek”. Błękitne oczy obu Polek nabierały jeszcze wyraźniejszej niebieskawej barwy i jak wypukłe turkusy wyzierały z ich różowych twarzyczek. Sorek, krążąc między sto-likami, wzbudzał ogólne zainteresowanie i sympatię. Cudzoziemskie dzieci starały się go złapać, ale on, zwinny i niedościgniony, wymykał im się z rąk i przybiegał schronić się do stóp swej pani. Jakiś stary Anglik, siedzący obok ich stolika, pochylił się do jednej z sióstr i zapytał: - *Is it a rabbit?* (Czy to królik?)

193

Kiedyś stała się rzecz okropna! Sorek podreptał po schodkach na pla-

żę. Zaczęły go tam ścigać dwa wielkie wyżły. Lilkę замуrowało, oniemia-

ła z przerażenia. Madzia krzyknęła i zasłoniła oczy rękami. Goście ka-wiarniani, żądni sensacji, powstawali z krzeseł, aby przyglądać się temu polowaniu. Było to prawie tak interesujące jak walka kogutów, na którą tak lubili patrzeć. Przerażona wiewiórka wymykała się psom z rozwścieczonych pysków, zawracała, uciekała w obłądnym strachu. Wówczas, jak Wenus z morskiej piany, wyszła z wody jakaś młoda piękność w czarnym lśniącym trykocie, schwyciła biednego Sorka, położyła go sobie na piersi i śmiejąc się radośnie wniosła go po schodach na górę. Otrzymała od wszystkich rzesiste brawa. Lilka, blada jak papier, odebrała go z jej rąk.

Serce biednego Sorka mało nie wyskoczyło spod rudego futerka. Trząst

się na równi z właścicielką.

Sorek jednak mimo miłości, jaką go Lilka otaczała, stał się nagle nie-wierny i zaczął ją zdradzać. Przez balkon łączący się z balkonem pewnej angielskiej rodziny przechodził do sąsiadów i przebywał tam większą część dnia. Polubił bardzo dzieci, które mu wciąż dawały jakieś smako-

łyki, i wracał tylko na noc, aby swoim zwyczajem gryźć prześcieradła lub obcasy nowych nicejskich pantofelków obu sióstr.

Lilka nienawidziła zdrad, miewała ich w życiu dosyć.

- Skoro tak - rzekła kiedyś do Madzi, smutna i naburmuszona -

skoro Sorek woli ode mnie te angielskie dzieci, to go im daruję. Może mu u nich będzie lepiej niż u nas? Bo cóż warta taka miłość bez wzajemności!

Dzieci szalenie się ucieszyły z tego daru, a stara mama Angielka trzę-

śla długo ręką Lilki, powtarzając: - *Ah, how nice of your part, how nice indeed!* (jak to ładnie z pani strony... doprawdy!) Po dwóch dniach jednak wpadła z wiewiórką, którą z pasją puściła na podłogę:

- *We don't want him more! We don't want him more - it is a beast!* -

wrzasnęła. (Nie chcemy go więcej, to jest bestia!) Sorek był chudy, nasrożony, zdziczały. Okazało się, że pogryzł, co się dało, i z tęsknoty za swoją panią nie chciał przyjąć żadnego pożywienia. Lilka, wzruszona i 194

szczęśliwa, położyła go sobie na szyi i długo całowała w pyszczek i w czarne lśniące oczęta. Pokazało się, że była to z jego strony tylko przygo-da, a nie żadna zdrada na serio, a przygodę można przecież zawsze ukochanemu stworzeniu wybaczyć. Od tej pory Sorek był znów wiernym i kochającym przyjacielem, który już po żadnych chałupach nie spacerował, tylko siedział grzecznie w pokoju albo wychodził w kieszeni płaszcz na spacer, aby na chińskiej parasolce znów drażnić swoim widokiem bogate, stare Amerykanki. Tajemnica pobytu wiewiórki w hotelu nie uchowała się

jednak i kiedyś, gdy Lilka wychodziła na spacer, stary, godny portier zaczął ją:

- *Madame* - rzekł surowo - *vous avez un animal dans votre lit!* (Proszę pani, pani trzyma jakieś zwierzę w swoim łóżku!) Lilka zmieszała się okropnie i zaprzeczyła gorąco, wówczas portier pokazał jej pogryzione i przez panią Marguerite zacerowane prześcieradła i poszewki. Dostał suty napiwek, więc się trochę udobruchał, ale zapowiedział, żeby to się więcej nie powtórzyło.

Powrót obu s i ó s t r , do kraju odbył się bez poważniejszych przejść.

Po drodze zatrzymały się na kilka dni w Paryżu, gdzie spotkały się z Janem Pawlikowskim, który też tam przebywał. W Paryżu przygotowywa-no się wówczas do wielkiej międzynarodowej wystawy. Wielu znajomych malarzy i architektów urządziło polski pawilon. Od razu wpadły w polską cyganerię, w kompanię Stryjeńskich, Puszetów, Warchałowskióh itp.

Madzia i Lilka ze swoim mężem i Jarosławem Iwaszkiewiczem poszli złożyć wizytę Oldze Boznańskiej, która hodowała myszy. Słynna malarka wyglądała, jak gdyby była przez siebie samą wymalowanym portretem: blada, popielata, jakby zasnuta jakąś zaświatową pajęczyną, w czarnej sukni zapiętej pod szyję - zrobiła na obu siostrach niezapomniane wra-

żenie.

Po powrocie do Krakowa Lilka, może na skutek zmiany klimatu, za-częła się czuć bardzo źle. Dr Majewicz zaordynował jej zastrzyki arszeni-ku ze strychniną, po których stan jej bardzo się pogorszył. Sprawy uczu-leniowe nie były jeszcze wówczas znane, ale prawdopodobnie musiała to być alergia na tle strychniny. Miała ciągłe duszności i była tak osłabiona, 195

że nie mogła wstawać z łóżka i leżała całymi tygodniami czytając naukowe książki, pisząc wiersze i bawiąc się z ukochaną wiewiórką.

Tatko, który był uosobieniem krzepy i zdrowia, zupełnie nie pojmo-wał, jak można leżeć w łóżku, nie będąc śmiertelnie chorym. Wpadał co chwila do jej pokoju, namawiając ją, aby wreszcie wstała i zaczęła żyć normalnie.

- Lilka, wstawaj, moje drogie dziecko, przecież ci nic nie jest.

Chodź, pójdziemy do kina. Dają taki wspaniały film „Grobowiec indyjski”, wszyscy się na to wybieramy.

Innym znów razem przychodził żartując makabrycznie:

- Jużesmy z Hieronimem - (Hieronim to był szofer i służący Tatki) -

postanowili zamówić dla ciebie trumienkę. On zaraz tu przyjdzie wziąć miarę. Tylko chodzi o to, jaką wolisz - sosnową czy metalową. Sosnowa zdrowsza, ale za to metalowa trwalsza - jaką wolisz, moje drogie dziecko?

Lilka śmiała się blado, żeby ukochanemu Tatce nie robić przykrości (bardzo nie lubił, jeżeli ktoś się

nie śmiał z jego dowcipów). Było jej jednak bardzo przykro, bo oprócz tej anielskiej Mamy nikt nie brał na serio tej dziwnej choroby. Madzia biegała na zabawy i do teatru. Tato wręcz sobie kpił z jej niedomagań, a nowy lekarz dr Halbein, major, orzekł, że najlepiej by jej zrobił jakiś krzepki mężczyzna - jak, na przykład, jego przyjaciel, poeta Gałuszka... I nie wiadomo jak długo byłaby tak leżała, gdyby nie straszna tragedia z biednym Sorkiem. A jak to wyglądało, niech ona sama opowie swoim znanym wierszem pod tytułem „Wiewiórka”:

Aż raz - w godzinie złej, urzeczonej -

Drzwi zgmiotły kłębek rudoczerwony.

Już się wiewiórka po ziemi wlecze,

Zmoczona z krzyża wytrystym mleczem,

A piękny ogon, płomyk borowy,

Uwiądnął, tragicznej pełen wymowy.

Z oczami w moich - drżąca ze zgrozy.

Bez księdza, modlitw i bez narkozy

Daje mi lekcję dumy milczenia.

Gdy przyjdzie płacić długi istnienia,

I bierze - obca wszelkiej pociesze -

Z zimnych rąk śmierci - twardy orzeszek...

196

Takt Lilki i umiar poetycki nie wspomniał, że to nieszczęsna Madzia, wpadając do pokoju siostry, zgmiotła w drzwiach ukochane zwierzątko.

Była to chyba jedna z okropniejszych chwil w jej życiu. Lilka wpadła w szal, zaczęła ciskać talerzami; koło jej łóżka stał piękny kryształ i tym kryształem rąbnęła o podłogę. Madzia, rycząc z przerażenia, wcisnęła się w róg pokoju, gdzie stał piec. Ale Lilka nie w nią rzucała wszystkim, co miała pod ręką, rzucała w zły los, który zabrał jej ukochanego puszystego przyjaciela, a LOS, ten ze skośnymi oczkami indyjskiego Buddy, śmiał się ze swego ohydneho figla, który (o czym już wiedział) miał Lilce przywrócić zdrowie. Po tym strasznym szoku jej dziwna choroba, mająca prawdopodobnie tło nerwowe, minęła bezpowrotnie. Nazajutrz Lilka wstała rano jak każdy człowiek i pocieszając biedną Madzię, która wciąż tryskała łzami jak fontanna, pochowała własnoręcznie ukochanego Sorka. Odtąd nie hodowała już ani wiewiórek, ani żadnych innych zwierząt...

W tydzień później umarł na wsi bardzo dobry, straszliwie poczciwy wuj Oleś. Madzia pojechała na

pogrzeb. Gdy wujka chowano w rodzinnym grobowcu, nikt tak rzewnie i tak bardzo nie płakał jak ona. Ciotki spoglądały na nią z rozrzewnieniem.

- I kto by się spodziewał po niej tyle serca - szeptały. - Popatrzcie, jak ona płacze i jak szczerze, nikt nie przypuszczał, że była do nieboszczyka tak przywiązana, nigdy tego nie okazywała. - A Magdalenka tak biednego Sorka oplakiwała. Co spojrzęła na pudło trumny, to jej się przypominała wiewiórka i krzywda, jaką mimo woli uczyniła ukochanej siostrze.

Odtąd w rodzinie spoglądano na Madzię innym wzrokiem: ona tylko udaje taką cyniczkę i humorystkę, a w gruncie rzeczy jest bardzo uczuciowa. Pamiętajcie, jak płakała na pogrzebie biednego wujka Olesia?...

Rozdział XVIII

WOJNA I CO ZA TYM IDZIE

Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, Magdalena była jeszcze głupiutkim podlotkiem, którego nic nie obchodziło poza domowymi zwierzątkami i... marzeniami o własnym chłopcu. Martwiły się tylko obie z siostrą, że tak wymiotło chłopaków z miasta i że poza kominia-rzami, listonoszami i starymi panami mało widywało się mężczyzn na ulicach Krakowa. W grudniu 1914 roku Ojciec ich, będąc sam przy sztabie gen. Kirchbacha i prowadząc tam tak zwany *Bummelkrieg*, bojąc się o całość ukochanych córek i żony, wysłał je do Ołomuńca, gdzie - uważał

- będzie bezpieczniej. Oto co pisze Manusia w swoim wojennym pamiętniku o „okropnościach” wojny i kilku miesiącach spędzonych *in Olmutz*:

Truchleję na myśl, co będzie, jeśli znowu przyjdzie nam z Krakowa uciekać. Już przez grudzień zeszłoroczny spędzony w Ołomuńcu wiemy, jak to smakuje mieszkać w małomiasteczkowym hotelu, schodzić do restauracji zadymionej, pełnej oficerów, między którymi trzeba się przeciskać do swojego ciężko zdobytego stolika - czekać głodnym na obiad, który podany à la carte nie jest smaczny ani urozmaicony (rosół

- sztuka mięsa mit Gurken albo wieprzowina mit roten Rüben). Jednostajność życia i jednostajność menu - oto nasze wspomnienia z Ołomuńca, przy tym wielki brak usługi porządnej i czystości naszego hotelu. Usługa, widać z powodu wojny zredukowana do paru młodych dziewcząt, szwankowała nieraz tak, że wracając z obiadu około 2-jej zastawaliśmy łóżka nie posłane i nie sprzątnięte pokoje zupełnie. -

Luiza przywołana zabierała się do sprzątnięcia gwałtownie, ale bardzo niedbale, a nieszczęśliwe dames du séant szły na korytarz, sławny zapachami kuchennymi, albo na spacer po błotnistych ulicach Ołomuńca, bardzo szczęśliwe, jeśli deszcz nie lał. Może by to wszystko w Ołomuńcu nie wydawało się tak nieznośne, gdyby nie ta przykra aura.

Gdyśmy w styczniu wróciły do domu czułyśmy się tak szczęśliwe, że trudno opisać. Jeśli Kraków

będzie oblegany, trzeba będzie znowu wyjeżdżać w świat i szukać bezpiecznego miejsca a niezbyt odległego, aby Wojtek mógł do nas dojeżdżać. Gdyby nie obawa, że moglibyśmy być od niego odcięci na długie miesiące, nie ruszyłabym się z Krakowa za nic...

No, czy nie idylla!? Biednej Maniusi z okropieństw wojny dały się we znaki tylko nie sprzątnięte pokoje w ołomunieckim hoteliku, jednakowe menu i brzydka pogoda. Rzeczywiście pożałowania godne biedactwo i można rzec - „ofiara wojny”!

Wojteczek, ukochany mąż i ojciec, pan rotmistrz Kossak, przyjeżdżał

od czasu do czasu z „frontu” do Krakowa przywożąc mąkę, kaszę i cukier, o co w Krakowie zaczęło być trudno. I wówczas grzeczna Madzia, to

„złote serduszko”, dla oszczędności zaczęła tak mało używać cukru do herbaty, że w końcu całkiem się odzwyczaiła i dotychczas cukru do herbaty i kawy nie używa. Tatko przyjeżdżał do Krakowa ze swoim wiernym Rzędzianem, jak go nazywał, małym i trochę garbatym Quasimodo Władkiem, też w austriackim mundurze, który był jego ordynansem.

Władek był spryciarzem nie lada i umiał kraść dla swojego pana, jak nikt. To mu wyszabrował wygodną kanapkę, bo pan rotmistrz źle sypiał

na polowym łóżku, to znów skradł we wsi gąskę lub kaczkę. Był nieoce-niony.

Herr von Kirchbach miał w swoim sztabie znakomite reńskie i wę-

gierskie wina, gdy mu one zanadto poszły do głowy, chętnie wydawał

wyroki śmierci na rzekomych „szpionów”. Gdy tylko ktoś z jego podwładnych przyłapał jakiegoś Bogu ducha winnego chłopaka, który się znalazł w okolicy sztabu, już go pan generał kazał wieszać. Kiedyś nocą ktoś przyprowadził mu biednego zastrachanego wieśniaka, który chciał

sobie wykopać kilka kartofli.

- Powiesić! - rozkazał pan generał. - *Ein Spion!*

I wówczas pan rotmistrz Kossak ujął się za chłopem i tak potrafił

przemówić w jego obronie, że srogi generał dał się przebłagać i chłopca puścił. Gdyby Wojciech był trafił na zły humor Kirchbacha, byłoby to 200

odbiło się fatalnie na nim samym. Ale Wojciech był nieustraszony, jak chodziło o ratowanie cudzego życia. Patrzeć nie mógł na jednego ze swoich dobrych znajomych z Kasyna Końskiego, pewnego krakowskiego arystokratę, który sam zgłaszał się na ochotnika do wieszania „szpie-gów”.

Wiosną 1915 roku Kraków przygotowuje się do drugiej ewakuacji.

Oto jak o tym pisze Maniusia:

Od półtora miesiąca ciągle straszy Kraków ta ewakuacja - 20 mar-ca złożyli wszyscy, którzy mogli skąd grosza zdobyć, odpowiednią kwotę w Kasie Oszczędności, by móc w Magistracie, w razie głodu w zamkniętej twierdzy, kupować sobie pożywienie - złośliwi mówią, że to nie na mąkę są te pieniądze, ale na kontrybucję, gdyby Moskale, za-jawszy Kraków, chcieli koronami się obłowić, a Leo w swej przezorno-

ści woli mieć to w pogotowiu. Biedni ludziska, tak wystraszeni pierwszą ewakuacją Krakowa w listopadzie, ostatnie grosze wydobywali, zapo-

życzali się, gdzie mogli, aby tylko pozostać, zapasy żądane porobili -

do wszystkich zarządzeń się stosowali, aby ich tylko w świat nie wy-gnano. Teraz tutaj takie zarządzenie ewakuacyjne święci triumf - KTO

CHCE ZOSTAĆ W TWIERDZY NA WYPADEK JEJ ZAMKNIĘCIA, MU-SI SIĘ DAĆ SZCZEPIĆ!

Manusia w dalszym ciągu swoich zapisków l it u je się nad nieszcze-

sną ludnością cywilną, „którą gnębią takimi nieznośnymi zarządzenia-mi”:

Więc biedacy - pisze - całymi gromadami oblegają miejsca do tej czynności przeznaczone - szczepią się tacy, którzy za nic tego nie chcieli

- tacy. którzy się nie wiem ile razy szczepili, aby tylko ich stąd nie ru-szano!

Zapomniałam - pisze w dalszym ciągu - że jeszcze jedno było rozporządzenie, brzmiące tak:

Złożenie pieniędzy na produkta magistrackie nie zwalnia od odpowiedniego zaprowiantowania się w domu, każdy ma podać ilość mąki, kaszy, tłuszczu, grochu, którą posiada w domu na wypadek czarnej godziny. Spis zapasów okazał tak piękne zaprowiantowanie wystra-szonych krakowian, że odpowiednie władze były zdumione... ogłoszono, że chętnie Magistrat odkupi zapasy od tych, co chcą lub muszą opuścić Kraków. Ilu się takich, „co chcą”, znalazło, nie wiem. ale takich

„co muszą”, to pewno dość - bo jest wyraźna tendencja do pozbywania się ludności.

Wielu biedaków już wyjechało - notuje w dalszym ciągu Manusia. -

Swobodniej i nie na gwałt się jedzie, a można więcej dobytku wziąć ze sobą i luźniej w wagonach, po drodze dziecka albo kufierka tak łatwo 201

się nie zgubi jak kiedy indziej, więc pojechali, i co dzień jadą. Może być.

że takich, którzy Magistratowi chcieli odsprzedać swoje zapasy, znalazło się dużo więcej, jak myśłano, bo znów wyszło zarządzenie: zapasy, wyjeżdżając, wolno brać ze sobą, a nawet trzeba brać ze sobą, bo głód być może lam, gdzie się jedzie. Ale jak te worki z mąką i kaszą z ludźmi wozowały i czy dochodziły do miejsca swego przeznaczenia, to było-by ciekawe wiedzieć.

Po powrocie z Ołomuńca Madzia chciała jak wszystkie krakowskie panienki przyczynić się do Pomocy Wojennej; skubała szarpie i starała się szyć dla żołnierzy ciepłe owijacze, co nie było takie łatwe - trzeba je bowiem było krajać ze skosu, bo inaczej się ciągnęły - więc przerzuciły się wraz ze starszą siostrą na robienie papierosów dla żołnierzy i wykonywały tych papierosów po kilka setek na dzień. Krakowskie damy prowadziły na dworcu bufet dla odjeżdżających na front pułków. Obie siostrzyczki też tam funkcjonowały i podbiegały z kufkami piwa i „wür-stłami” do okien, z których wychylały się twarze Węgrów, Czechów, Polaków i Austriaków. Żołnierze, jeszcze cali i zdrowi, pełni młodzieńczej wiary. że. powrócą tacy sami, uśmiechali się do rumianych dziewczątek i ręką posyłali im całusy.

- *Sleczno, sleczno!* - zawołał jakiś żołnierz w stronę Madzi, która właśnie niosła dwa kufki piwa. Podbiegła do niego zarumieniona, rzucając Lilce po drodze triumfujące spojrzenie:

- Widzisz, poznał się na mnie - rzekła. - Nazywa mnie ś l i c z n ą !

- Idiotka jesteś! - wykończyła ją natychmiast Lilka. - To ty nie wiesz, że ś l e c z n a znaczy po czesku p a n n a ? !

Romantyzm tej eleganckiej Wojny, o której okropnościach wiedziało się tylko z gazet, potęgował jeszcze widok zjawiających się od czasu do czasu na ulicach Krakowa ułanów legionowych w wysokich czakach, kopiowanych z czaków księcia Józefa. Gdy któryś z wojaków był małego wzrostu, jak np. Wacław Sieroszewski, to wyglądał w nich dość humory-stycznie. Do ogródka na Kossakówce przychodził pewien młody major legionowy właśnie w takim pięknym czaku i popielatoniebieskim mundurze z amarantowym plastronem i srebrnymi sznurami. Czule spoglą-

dał na młodszą z sióstr, która zwyczajem swoich prababek dała mu, gdy odjeżdżał na front, medalik z Matką Boską. Scena, gdy wieszał sobie ów 202

medalik na szyi, była iście grottgerowska, tym bardziej że ówczesna mo-da nakazywała nosić szerokie kloszowe suknie, pełne falbanek, w któ-

rych wyglądało się zupełnie staroświecko.

Z potwornościami, które każda wojna przynosi ze sobą, zetknęła się Magdalena dopiero w szpitalu, do którego postanowiła chodzić jako pielęgniarka-ochotniczka. W białym kitlu i w białym czepeczku wygląda-

ła uroczo i zdawało się jej, że w szpitalu zrobi jakąś wielką konkietę.

Kiedy jednak przy niej zaczął jakiś żołnierz konać, panienska rozbeczała się histerycznie i postanowiła odwiedzać tylko lekko rannych. Stawiała żołnierzom kabały, czytała im wyjątki z książek, oświadczała się z goto-wością pisania za nich listów do rodziny, a oni, żółci, wymęczeni, spoce-ni, prosili, aby im raczej dała święty spokój i pozwoliła zasnąć. Gdy zaś jeden zamiast kabały poprosił ją o... „kaczkę”, zniechęciła się i przestała odwiedzać szpitale. Lilka była mądrzejsza, nie pchała się tam, gdzie raczej potrzeba było opieki fachowej, robiła tylko dla żołnierzy papierosy, pisała wiersze, malowała śliczne akwarelki, które potem sprzedawała po 500 koron i jak zwykle...

kochała się.

Któraś z przyjaciółek przyprowadziła na Kossakówkę swojego kuzyna, bardzo przystojnego blondyna, który jako porucznik armii austriackiej został kontuzjowany przez wybuch kartacza. Był to Władysław Bzowski. Lilka miała dziewiętnaście lat i chciała koniecznie wyjść za mąż. Bzunio, jak go nazywali koledzy, był niesłuchanie prawym i po-rządny człowiekiem, ale jako inteligencja i polot nie dorastał Lilce do czubka pantofelków. Lilka-poetka usnuła sobie na jego tle całą romantyczno-wojenną historię, którą pokochała. Oto dzielny frontowy oficer, o lasce, wygrzewa się w ogrodzie na słońcu, a ona pielęgnuje go, otacza kobiecą czułością, znosi smaczne kęski... czyta mu swoje poezje. Niko-cjany pachną, „ptakowie kwilą w listowiu”, kwitnie bez... A on sam tak się poetycznie nazywa - Bzowski. Gdybyż jeszcze rozumiał więcej jej psyche... ale to nic, ona go wyrobi, wykształci, podciągnie do swoich wyżyn. Bzunio, wychowany w austriackim Theresianum, nie miał okazji czytać dzieł polskich wieszczów. Pierwszy raz miał w rękach „Pana 203

Tadeusza”, od którego nie mógł się oderwać.

- To całkiem niezłe rzeczy pisywał ten pan Mickiewicz - powiada przy kolacji.

Rodzina spogląda na siebie. Madzia zaczyna kaszlać z powstrzymywanego śmiechu. Tatko uśmiecha się pod wąsem. Lilka pąsowieje.

Gdy jest już całkiem zdrowy, godzinami jeździ na damskim rowerze naokoło klombu. Nic w tym nie ma złego, ale złośliwa rodzina Kossaków wyśmiewa się z tego. Mama, spoglądając na te rowerowe wyczyny przez okno, wzdycha i mówi do Madzi:

- Boję się, że Lilka nie będzie z nim szczęśliwa...

Urlop się kończy, Bzowski musi wracać na front, na co nie ma najmniejszej ochoty. Lilusia ma łzy w oczach, ale podświadomie na pewno jest zadowolona, że jej narzeczony jest znów „bohaterem”. Pisze ze swojego życia powieść ta - później wspaniała- poetka, ale powieść dość lichą i grafomańską, jest jeszcze taka młoda... Po jakimś czasie wraca narzeczony, gorączkuje, bo ma coś w płucach. Idzie do wojskowego szpitala i tam, chociaż szybko powraca do zdrowia, robi bardzo chorego i całe tygodnie leży w łóżku, nie chcąc iść z powrotem na front - co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą. Dla nas zrozumiałą - ale nie dla złośliwej rodziny Kossaków. Tatko bardzo krzywi na to nosem. Madzia po prostu nazywa go markierantem i pogardliwie się odnosi do takiego bohatera, który wojnę chce spędzić pod pierzyną w łóżku. Mamidło, które zawsze żyje w obawie, aby jej córki nie zostały starymi pannami, nie mówi nic, jej lekceważenie dla przyszłego zięcia objawia się tym, że często myli się, wymawiając jego nazwisko (z którego on jest taki dumny): Bzowicz zamiast Bzowski. Biedne chłopisko kocha jednak tę dziwną Lilkę gorąco i dąży do małżeństwa. W lecie 1916 roku biorą ślub w Krakowie w kościele Sióstr Norbertanek.

Lilka, czując widocznie, że ślub z Bzowskim nie jest tym prawdziwym i ostatecznym małżeństwem, uparła się, aby nie iść do ślubu w białej sukni z welonem, tylko w szafirowej i w kapeluszu z szafirowej tafty, ozdobionym wieńcem z bławatków. Gdy w błękitny letni poranek szli do ołtarza, to od błękitu jego munduru i szafirów jej sukni aż się w 204

kościelnie zaniebieściło. Oczywiście mieli oboje niebieskie. Pożycie jednak z tym pocziwym, ograniczonym oficerem nie było błękitne, ale szare i ciemne: nawet złoty kluczyk szambelański, który nosił przy mundurze, a z którego był tak bardzo dumny, nie był w stanie rozświetlić tej szarzyzny.

Wszystkie akwarelki, które Lilka po zamążpójściu malowała, ukazywały jakieś mieszczańskie wnętrza i przykutego do nich kobietę-motyła.

Na weselu młodsza siostra Bzowskiego, Terenia, która starała się, aby zostać przyjętą do kanoniczek w Warszawie - do czego miała prawo, posiadając szlacheckie papiery z siedemnastego wieku - płacze. Madzia jest zdumiona i oburzona, uważa, że Lilka powinna płakać, a nie rodzina jej męża.

- Boję się - chlipie przyszła kanoniczka - że Władek nie będzie z Lilką szczęśliwy!

I ma rację. Władek po kilku miesiącach współżycia z tą leśną nimfą, kobietą-sylfidą, kobietą-motyłem, a przede wszystkim poetką od stóp do głów, widzi pomyłkę, jaką popełnił, ale wierzy w swojej naiwności, że Lilka się zmieni. O tym, aby on się zmienił, nie myśli wcale. Wszystkie oryginalne powiedzenia i pomysły Lilki uważa za „filozofie”.

Dosyć mam tych twoich filozofii - powtarza przy każdej okazji.

Władzio nie wrócił więcej na front i został przeniesiony do Mödling pod Wiedniem. Przez różne chody i protekcje swoich dawnych wiedeń-

skich flam, które miały stosunki u Dworu, otrzymuje klucz szambelań-

ski, co było jego największym życiowym marzeniem. Lilka nie może się nadziwić, dlaczego mu tak okropnie na tym zależało, ale w ogóle taka Lilka wielu rzeczy nie rozumie. Nie rozumiała zupełnie, dlaczego miała owym damom składać poślubne wizyty, i czuła się okropnie, gdy te wszystkie *baronin* i *gräfin* wypinały na nią swoje *lorgnon* i krytycznie ją taksowały. Jedno, co ją w oczach austriackich arystokratek ratowało, to fakt, że była córką sławnego malarza Kossaka, któremu w swoim czasie SAM cesarz Franciszek Józef podał rękę, co było szeroko komentowane 205

w tych sferach. Bzunio jako cesarski szambelan nosił z tyłu przy mundurze złoty kluczyk, który mu czasem Lilka po kryjomu odpinała i chowała, gdy była na niego wściekła. Biedny Władzio biegał wówczas po całym domu jak opętany, szukając tego cennego przedmiotu. Kluczyk miał

swoje znaczenie, jeśli chodziło o snobistyczne wiedeńskie sklepy tak zwanych „Hoflieferantów”, których właściciele przyjmowali zamówienia i obsługiwali tylko „swoich państwa”. Kiedyś Lilka i Madzia weszły wraz z Bzowskim do najpierwszego szewca, aby sobie zamówić buciki na miarę. Hoflieferant w ogóle nie chciał z nimi gadać. Wówczas Lilka rozkazała mężowi, aby się obrócił, gdy to posłusznie uczynił i szewc nadworny ujrzał szambelański kluczyk przy ullańskim mundurze, zgiął

się w pokłonach, zrobił się uprzejmy, słodziutki i zaczął natychmiast odrysowywać na rozłożonym na podłodze papierze stopy obu sióstr.

Och, jak się potem śmiały obie figlarki, gdy wyszły ze sklepu i znalazły się na ulicy. Władzio wcale się nie śmiał: poczucie humoru było mu najzupełniej nie znane. O snobizmie Wiednia można by

zresztą pisać całe tomy! W Berlinie ceniono prawie na równi z tytułami arystokratycznymi tytuły naukowe, jak *Herr Professor*, które brzmiały dla nich nieomal tak pięknie jak *Herr Graf*. Dla ówczesnego Wiednia nie brzmiało to wcale, lepiej było mieć kupiony tytuł barona, niż być znanym i cenionym profesorem. Tak samo było również, jak chodziło o artystów. Kraków, przesiąknięty W i d n i e m, podobnie jak Lwów, tonął w snobizmie po uszy.

Cóż więc dziwnego, że Bzowski, który żadnego majątku nie posiadał, a tylko pochodził z dobrej starej szlachty, wychowany w tej atmosferze, nasiąkł nią jak śliwka moczona długo w occie.

Mödling było czarującą miejscowością lesistą i. górzystą. Nad miasteczkiem królował stary zamek książąt Lichtensteinów, wokoło którego kwitły dzikie róże i czeremchy. Spacerowanie po tych lasach i wonnych dolinkach byłyby rzeczą zachwycającą, gdyby było z kim po nich spacerować.

Władzio ze swoim trzeźwym umysłem i realnym spojrzeniem na świat całkiem się do tego nie nadawał. Lilka zdradzała go więc z... młodszą siostrą, którą wciąż do Mödling sprowadzała, a nieszczęsny mąż był o 206

Madzię zazdrosny jak o kochankę nieomal. Wiedział dobrze, że obie siostry, siedząc na trawie pod murami starego zamku, będą konspirowa-

ły przeciwko niemu i tworzyły silną i zwartą ligę przeciwko tym wszystkim mieszczańsko-szlacheckim zasadom, którym tak hołdował.

- Żebyś ty raz, moja Lilko, zrobiła mężowi sama obiad - stękał. -

Tak jak inne żony...

- Po co, kiedy mamy przecież służącą?

- Ale inne same wszystkiego doglądają, pieką ciasta, smażą konfitury.

Lilka była bardzo nieszczęśliwa. Skarżyła się przed Madzią, jaki ją zawód spotkał w małżeństwie. Madzia taktownie milczała. Zawód? Przecież wszyscy w domu spodziewali się, że tak będzie, że oni stanowią najbardziej niedobraną parę pod słońcem i że w domu ich panować będą wieczne kłótnie. Kiedyś doszło do tego, że mąż doprowadzony do ostateczności uderzył Lilkę w twarz! TAKĄ LILKĘ! Równało się to święto-kradztwu. Ale ona nie była świętym obrazkiem, który bezkarnie można znieważać, była żywą, młodą kobietą, która w tej samej chwili z dziką siłą oddała mu ów policzek. Ułan zzieleniał i... pobiegł po rewolwer!

Magdalena nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego z owym rewolwerem w garści gonił żonę naokoło stołu? Nie namyślając się długo, a pamiętając, że gryzące się psy najlepiej oblać wodą, pobiegła po konewkę do kuchni i na oboje chlusnęła zimnym tuszem. Uspokoili się natychmiast. Bzowski uciekł do swojego pokoju, gdzie się zamknął na klucz, Lilka zaś poszła szlochać do pokoju Madzi. Nazajutrz napisała do Mamy list o tym okropnym wydarzeniu i że wobec tego chce jak najszybciej wziąć rozwód, co zresztą nastąpiło dopiero po trzech latach. Bzowski nazajutrz przeproszał żonę, płakał i obiecywał, że to się już nigdy nie powtórzy.

Stał się pokorny jak baranek, ale Lilka nigdy mu tego nie przebaczyła i reszta jej uczucia przysła.

Unieważnienie małżeństwa nie było łatwe do przeprowadzenia, a cywilny rozwód, jak chodziło o ponowny związek w Kościele katolickim, nic nie znaczył. Unieważnienie można było uzyskać tylko poprzez bardzo nieprzyzwoite zeznania, jak *non consummation* i tym podobne intymne 207

sprawy, albo gdy się miało kupę pieniędzy do opłacenia adwokatów i świadków. „Kruczki” istniały, ale kosztowały słono. Lilka chwilami pło-nęła taką nienawiścią do nieszczęsnego męża, że potrafiła na ścianie, na kawałku papieru, pozostawionym na widocznym miejscu, pisać: „Żółta wyciśnięta cytryna!”, „Kościsty żółty służący!” itp. Już nie mówiąc, co wypisywała o nim w swoich pamiętnikach, które również zostawiała na widocznym miejscu. Trudno zrozumieć, że on mimo wszystko wciąż ją kochał i gorąco pożądał. Do Mamidła pisywał tragiczne listy, że Lilka go nie kocha, że nie chce z nim żyć i że to wszystko jest wina Madzi, tego jej złego ducha. Wówczas Mamidło przyjeżdżało do Wiednia i zabierało

„złego ducha” z powrotem do Krakowa.

W Krakowie tymczasem było już spokojnie i bezpiecznie. Manusia pisała w swoim dzienniczku w ten sposób:

Dziwna ta wojna obecna - z jednej strony tak przerażająca swoim ogromem, taka krwiożercza, niszcząca zabytki kultury całych pokoleń

- zmieniająca wygląd miejscowości wycinaniem drzew, kopaniem rowów strzeleckich, burzeniem i paleniem dworów i wsi - z drugiej strony tak uszlachetniająca, wydobywająca na jaw głębie dusz - walory, które drzemały w ukryciu, bohaterstwa, inteligencji, szlachetności, których by się nikt nie domyślał. Mrowisko rozdeptane złą nogą do-prowadzi się bez zwłoki do dawnego stanu - ale czyż do dawnego? To, co było, przeszło i skończyło się.

Coś nowego powstanie i jakieś nowe życie się rozpocznie. Mówią, że wojna potrwa długo - chyba żeby rewolucja w Rossyi nie zrobiła koń-

ca. To coś innego, które idzie, czuje się w powietrzu.

Jedne kobiety zastanawiały się nad tym wszystkim, co wojna niesie, co odbiera i co nowego dać może - a inne myślały o olbrzymim przewrocie, jaki nastąpił w... kobiecej modzie. Ewa Kossakowa, żona Jerzego, pojechała kiedyś do W i d n i a i wróciła stamtąd zupełnie zmieniona. Ta sama czy nie ta sama? Miała na sobie bardzo szeroką spódnicę z granatowej wełny, szalenie krótką, bo było widać spod niej cały bucik, i wcięty półdługi żakiet, który uwydatniał jej zgrabną figurkę. Na głowie duży czerwony płaski kapelusz, nałożony trochę na bok.

Mamidło przeraziło się.

- Jakżeż ty, moja Ewo, wyjdiesz na ulicę w tak krótkiej sukni?! Przecież ludzie będą cię wytykać palcami!

- Cały Wiedeń chodzi teraz w takich szerokich i krótkich sukniach -

odparła na to synowa.

Krakowskie kumoszki przyleciały do Maniusi wzburzone.

- Jak pani może pozwolić na to, aby pani synowa chodziła po ulicy w tak krótkiej spódnicy!? Cały bucik widać!!! Przecież to wstyd dla tak zacnego domu!

Odważna Ewa nic sobie z tego nie robiła i dalej chodziła w swoim modnym wiedeńskim kostiumie. Bardzo szybko wszystkie jej przyjaciół-

ki kazały sobie zrobić takie same. Niektóre naumyślnie po takie modele pojechały do Wiednia. Była to zresztą prześliczna moda, która utrzymywała się dłuższy czas. Bardzo szerokie, półdługie spódnice rozparte na taftowych halkach sterczały jak krynoliny; niektóre były całe uszyte z falbanek. Do tego nosiło się dekolty w szpic z dużym kołnierzem, wykła-danym lub skrzyżowanym na piersiach jak „fisutki” z czasów Marii Antoniny. Bardzo szerokie bufiaste rękawy albo długie i wąskie. Była to moda przypominająca rok 1830 i przyszła na skutek wystawienia w Wiedniu operetki Franciszka Szuberta „Domek trzech dziewcząt”. Aby styl owej epoki był utrzymany, kobiety upinały włosy wysoko w kok na czubku głowy, a przy twarzy nosiły tak zwane *accroche-coeur*, czyli za-kręczone pejsiki. Madzia uroczo wyglądała w letniej, szerokiej sukni, całej złożonej z falbanek, która ukazywała pantofelek. Włosy miała upięte w wysoki kok i udawała zupełnie dorosłą osobę. Kuzynkowie szaleli z miło-

ści dla niej. Siadywała w tej prababkowskiej sukience z gitarą na werandzie i z przejęciem, choć bez głosu, śpiewała „Piosenkę o Belinie”, „O, mój rozmarynie, rozwijaj się...” i inne legionowe piosenki, zasłyszane od jadących pułków, jak na przykład:

*Wszystkie piękne krakowianki - raz, dwa, trzy
Wyberzemy na kochanki - raz, dwa, trzy
A te stare i garbate, stare i garbate*

Posadzimy na armatę - raz, dwa, trzy!

Nadszedł 6 listopada 1916 roku i Manusia zanotowała w swoim dzienniczku te oto ważne rzeczy:

Dziś pisma poranne wyszły z wielkimi literami wypisanym na-główkiem:

ODBUDOWANIE PAŃSTWA POLSKIEGO!

209

W niemieckich pismach stoi:

WSKRZESZENIE PAŃSTWA POLSKIEGO!

Od paru dni z napięciem nerwów czekaliśmy na tę proklamację - w jakiej formie i treści się pojawi

- próbowano pisać o tym w gazetach na parę dni przed ogłoszeniem, ale cenzura skreśliła wszelkie próby. Oficjalnie nie wolno było o tym wiedzieć, ale na ucho wszystko sobie mó-

wiono, i o tym, że to tylko tyczy się Królestwa i że Galicja J Poznańskie wyłączone, i że Besseler do końca wojny zostanie w Warszawie jako regent, a władze dotychczasowe tylko powoli będą ustępować miejsca prawowitym dziedzicom... Co myśleć - czy się cieszyć?

Jak widzimy, polityka pochłaniała ją tak kompletnie, że w jej pamiętnikach nie ma nic o córkach, nieszczęsnym zięciu, w ogóle nic o życiu osobistym i rodzinnym. Całe to ówczesne „wskrzeszenie” Polski było oczywiście „bujdą na resorach”. Prusakom i Austriakom chodziło przede wszystkim o dostarczenie polskiego rekruta, który by wiedział

już, o co walczy. Gdy w roku 1915 Wiluś przyjechał do Krakowa i był z honorami przyjmowany na Wawelu, rzekł do Wojciecha Kossaka te oto pamiętne słowa:

- Die Karte Europas, Kossak, wird geändert. Nur müssen Ihre Landsleute vernünftig sein! - (co znaczyło, aby dostarczone jak najwię-

cej polskiego Kanonenfutter).

Oto co w jakiś czas później znów notuje pilna uczennica wielkiej poli-tyki:

Gen. Rozwadowski pojechał do Warszawy jeszcze w piątek. Wojtek wczoraj wieczór, naglony telegramami od Czapskiego. Wielka dziejo-wa chwila uroczyście obchodzić będzie swoje narodziny w Warszawie.

My jesteśmy „Galicyja” - nie wiadomo jeszcze, w jakich ramach wolno nam manifestować łączność z „Odbudową Polski” - Polacy to chwilowo gub. warszawska i lubelska.

Manusia pisze dalej:

Podobno Królestwo Warszawsko-Lubelskie ma mieć tron dziedziczny w osobie arcyksięcia Olbrachta, syna Stefana z Żywca. Habsburg jako dziedziczny król polski, ani rusz to nie pasuje!

Manusia w ogóle strasznie nie lubi Austriaków, co zaznacza na każ-

dym kroku:

We wtorek, tj. 3-go zerwała się burza z wiatrem tak silnym, że chorągiew czarno-żółta, mimo silnego przymocowania, runęła jak długa -

i dziś na ufetowanie naszej Warszawy wionęła biało-czerwona i biało-niebieska, która od dwu miesięcy wisząc zrobiła się całkiem biała.

Strasznie mnie to cieszy, że te dwie nie dały się wichrom i burzom i 210

biorę to za omen, że to nam przyszłość zostawi - swoje własne, bez obcej przymieszki, choćby

najuprzejmiejszej.

Manusia była istotą niezłomną. Któregoś dnia Wojtek oświadczył jej, że do domu przyjdzie z wizytą nie byle jaki gość, którego portret on wła-

śnie maluje, a który pragnie być przedstawiony małżonce mistrza. Go-

ściem tym był sam arcyksiążę Karol Stefan z Żywca. Manusia stawia opór: takich gości nie lubi, w Stawiskach u jej rodziców żaden Austriak ani Moskal nie miał prawa wstępu, wreszcie - nie ma się w co ubrać.

Wojciech bardzo się rozżalił, że żona psuje mu interesy, że chce do niego zrazić takiego porządnego człowieka jak arcyksiążę. Przygryzał wąsa i był okropnie strapiony. Wówczas Manusia zgodziła się przyjąć dostojnego gościa. Włożyła na siebie czarną, aksamitną suknię, przypięła do biustu brylantowy półksiężyc, powiesiła na szyi różne łańcuchy i łań-

cuszki, przygotowała herbatę, likiery i kanapki, ale gdy Wojciech wprowadził gościa do salonu - pani domu zniknęła! Zdenerwowany mąż chodzi po całym domu, szuka jej, woła - ani śladu! Arcyksiążę, którego jeszcze w życiu nie spotkał taki despekt, posiedział chwilę, porozmawiał z zażenowanym panem domu, po czym pożegnał się z nim bardzo chłodno, wsiadł do samochodu i odjechał. Wówczas Manusia wyszła z klozetki, gdzie siedziała przez cały czas arcyksiążęcej wizyty. Wojciech zrazu okropnie się gniewał, ale że miał niemałe poczucie humoru, zaczął się po chwili śmiać, ubawiony stanowczą postawą swojej małżonki.

W karnawale, który nastąpił po utworzeniu „Królestwa Polskiego”, Mama postanowiła pojechać do „wolnej” Warszawy z młodszą córką, której należało się trochę zabawy po „ciężkich” czasach krakowskich.

Madzia oświadczyła kategorycznie, że bez ukochanej siostry nie pojedzie za nic, tym bardziej że biednej Lilce po okropnych nudach Mödlinga też należy się trochę rozrywki. Tatko oczywiście poparł projekt młodszej córki, ale chodziło o zezwolenie męża. Bzunio z początku silnie oponował, ale gdy cała rodzina zaczęła na niego napierać, zgodził się, z tym że będzie też do Warszawy dojeżdżał. Jazda koleją z Krakowa do Warszawy nie była łatwą sprawą: tory zniszczone działaniami wojennymi, wagony zapchane do ostatniego miejsca, pociąg włókł się całą noc i cały dzień, Mama zносиła to jednak z wielką pogodą i dobrym humorem, jechała przecież do swojej ukochanej Warszawy, która teraz była jakoby stolicą 211

„Królestwa Polskiego”, mimo panujących w niej Niemców. Wszystkie trzy stanęły w modnym wówczas pensjonacie pani Wojciechowskiej na ulicy Kredytowej, gdzie córki zajęły jeden pokój, a Mama drugi. Ponieważ pensjonat z powodu braku węgla był nie opalany, więc na noc do łóżka służąca przynosiła butelki z gorącą wodą, które się kładło w nogach. Siostry kochały się okropnie, ale kłóciły się też o byle co i, wstyd powiedzieć, brały się wprost za łby i rzucały na siebie ciężkimi przedmiotami. Kiedyś, przyszedłszy rano do pokoju córeczek, z których jedna była już przecież mężatką, Mama zastała dość dziwną scenę: obie siostry siedziały oparte na poduszkach, z ostygniętymi butelkami w ręce, spoglądając na siebie groźnie i czekając, która której rozwali butelką głowę. Całą noc tak przesiedziały z tą niezwykłą bronią w pogotowiu, nie zmrúżywszy oka. Gdy je przerażona

Matka rozbroiła, szybko pogodziły się i nawet uściły. Takie już obie miały dzikie temperamety, buńczuczne i za-wadiackie, często spotykane u chłopców, a niesłychanie rzadkie u kobiet.

Że Madzia, istota zupełnie zwyczajna i normalna, taka była skłonna do bitki, to jeszcze nie było nic dziwnego, ale że Lilka - już wówczas pisują-

ca piękne, wzruszające wiersze i malująca śliczne akwarelki - potrafiła tupać nogą, przeklinać, rzucać w siostrę ciężkimi przedmiotami, to było co najmniej zaskakujące. I do tego ta twarzyczka włoskiej Madonny, rozświetlona olbrzymimi błękitnymi oczami, które w owych momentach rzucały groźne błyski i stawały się aż ciemne ze złości! „Czarownica z Krakowa” - jak ją nazwał w jednym ze swoich wierszy Julian Tuwim.

Warszawa pozostała taka sama jak wówczas, kiedy była pod rosyjskim zaborem, tylko że zdarto z niej wszystkie rosyjskie napisy. Niemcy starali się być wówczas grzeczni, układni, elegancy. Mieszkańcy Warszawy ignorowali ich kompletnie i prawie nie było polskiego domu, któ-

ry by ich przyjmował, a gdy się taki znalazł, to był przez inne bojkotowany. Niemieckim oficerom szalenie podobały się warszawskie kobiety, które na nich wcale nie zwracały uwagi. Bessler wyraził się o nich w ten sposób: „*Wunderbar sind die warschauer Fräuen, und wie sie da herumlaufen auf diesen kleinen winzigen Füßchen!...*” 212

Któraś z ciotek Lilki i Madzi szła kiedyś z córką do kościoła Św. Krzy-

ża na Krakowskim Przedmieściu, obie wystrojone aż miło. Miały kostiumy z długimi zakietami z chesuczy, na głowie wielkie słomiane kapelusze, ozdobione kwiatami i wstążkami. Wszystko, co miały na sobie, było nowe i prosto z igły. Niestety chciało, że jakiś niemiecki oficer, zapewne podchmielony, właśnie w tym momencie wylał na ulicę całą zawartość swojego nocnego naczynia i obie elegantki zostały tym wszystkim paskudnie oblane, a ich nowe stroje zniszczone. W takim stanie, w jakim się znajdowały, momentalnie udały się do najbliższej niemieckiej komendy, gdzie oburzone zeznały, co się im przytrafiło.

Oficer, którego adres zapamiętały sobie, nie tylko że otrzymał odpowiednią reprimendę, ale musiał zapłacić koszty zniszczonych toalet i kapeluszy, co obliczone przez praktyczną ciotkę, wyniosło grubszą sumę.

Chociaż wojna trwała dalej i żołnierze ginęli w okopach od ran i od-mrożeń, „bomondzik” warszawski bawił się i hulał. Madzi sprawiono w firmie Herse prześliczną krynolinę z różowej tafty. Lilce taką samą, tylko błękitną. Prawie co wieczór przed pensjonat pani Wojciechowskiej jeździła kareta z remizy i obie córki z Mamą jeździły na różne prywatne baliki i rauty dobroczynne („na pomoc wojenną”). Częste przyjęcia wieczorne odbywały się u kanoniczek, które lubiły przyjmować gości. Czy kanoniczki to były samiczki od kanoników? Nie całkiem, ponieważ ich kongregacja była zupełnie świecka, z tym że miały swoją ksienię i swoją kaplicę. Aby zostać kanoniczką, należało wykazać się odpowiednią ilo-

ścią pokoleń szlacheckich i złożyć jakiś niewielki posag. Wolno im było każdej chwili wyjść za mąż, co im się zresztą nieczęsto zdarzało. Kanoniczki były to przeważnie leciwe matrony, które

uczęszczały na wszystkie dobroczynne i prywatne bale, gdzie paniom urabiały odpowiednią opinię.

- Madzia, jak ty siedzisz - strofowała młodszą córkę Mama. - Założy-

łaś nogę na nogę, a ksieni Szymanowska właśnie spogląda na ciebie!

Bardzo oryginalnym i zabawnym typem wśród nich była kanoniczką Walewska, sławna w całej Warszawie ze swojego temperamentu i dowcipu. Była to osobka drobna, okrągłutka, ruda, mniej więcej po czterdziestce.

213

Kiedyś ktoś przez pomyłkę telefonuje do niej:

- Czy to Towarzystwo „Wulkan”?

- Wulkan, ale niestety bez towarzystwa! - odpaliła bez namysłu.

Kanoniczki mieszkały na placu Teatralnym w kompleksie staro-

świeckich domków i każda z nich posiadała swój pięknie umeblowany apartament i swoją służbę. U tej właśnie kanoniczki Walewskiej, na raucie, poznały obie siostry Józefa Piłsudskiego. Hrabiny, wiedząc, że to jest *quelqu'un*, czyli „ktoś”, skakały koło niego i przymilały się. On nie uśmiechnął się chyba ani razu, mało jadł, mało pił, spoglądał tylko bystro na to całe towarzystwo, chcąc i tutaj zdobyć sobie popularność.

Kanoniczka Walewska, porównując go do Napoleona, śmiała się, że będzie drugą „panią Walewską”.

Karnawał warszawski nie przyniósł rodzinie Kossaków żadnych po-zytywnych rezultatów. Uroda świeżej, młodziutkiej Madzi ginęła wśród warszawskich piękności i jej powodzenie ograniczało się do szeregu młodych kuzynów ze sfery ziemiańskiej, którzy ją adorowali i prosili, aby została ich „matką chrzestną”. Ta moda *marraines* przyszła z Francji wraz z wojenną piosenką *La Madelon*, śpiewaną przez wszystkie polskie panny. Tytuł *marraines* nakładał na nie pewne, zresztą miłe obowiązki, jak wysyłanie paczek żywnościowych na front, wieszanie na szyi poświę-

conych medalików, korespondowanie etc. Ze swoim „dzieckiem chrzestnym” wolno się było pocałować, gdy jechał na wojnę. Smutna i blada Lilka, do której przyjechał stęskniony mąż, nie brała udziału w tych wojennych towarzyskich atrakcjach. Klęcząc przy łóżku (co było jej zwyczajem) pisała piękne wiersze, zamieszczone później w jej pierwszym tomi-ku, wydanym po wojnie, pod tytułem „Niebieskie migdały”. Gdy miała już maszynę do pisania, też stawiała ją na łóżku i w pozycji klęczącej, jak gdyby pogrążona w modlitwie do własnego talentu, wystukiwała swoje poezje. Inaczej nie umiała pisać. Miała jeszcze wówczas długie piękne włosy do kolan, które skrywały ją całą popielatoblond płaszczem. Do pisania zawsze rozpuszczała włosy, aby ją szpilki nie kłuły, zdejmowała gorset i podwiązki, by nic nie tamowało przyływu twórczości.

Po skończonym karnawale, który pochłoniął mnóstwo pieniędzy, Mama wróciła z córkami do Krakowa. Państwo Bzowscy zostali przenie-sieni do Weisskirchen na Morawach, gdzie Lilka z zapalem zabrała się do sztalugowego malarstwa, zaniechawszy pisanie wierszy. W tym Weisskirchen przychodziły do niej różne *Offiziersfrauen*, które zupełnie nie patrzyły na ściany, obwieszane obrazkami Juliusza i Wojciecha, tylko zwyczajem mieszczek, na podłogę, która nigdy nie była jak lustro. -

Aber, Hebe Fräu von Bzowski - jakżeż pani może tak nie dbać o posadzkę! Ja pani dam doskonałą pastę, a pani dziewczyna musi długo po za-pastowaniu jeździć po niej na suknach. - Do Weisskirchen, gdzie znajdowała się szkoła kadetów, przyjechał z wizytą sam *Erzherzog Karl*, młody i bardzo przystojny bubek. Państwo rotmistrzostwo Bzowscy podejmowali go u siebie wystawnym bankietem. Bardzo to zabawne wspomnieć, że ta poetka, jedną tylko nogą, oparta o ziemię, a drugą błędząca po obłokach, musiała na takim przyjęciu odegrać rolę pani domu. Wywiązała się jednak z tego znakomicie i wszyscy byli bardzo zadowoleni. Ze śmiechem opowiadała później, jak oficerowie podlizywa-li się arcyksięciu, jakie wznosili na jego cześć toasty i jak Bzunio czuł się szczęśliwy i wywyższony. Doprowadzona do rozpaczy tym wszystkim, na gwałt zaczęła alarmować, aby Madzia do niej przyjechała.

Proszę koniecznie przystać mi Madzię! - pisała - *bez Madziusi nie wytrzymam tu dłużej. Niech natychmiast przyjeżdża, inaczej umrę z nudów!*

Była wiosna. Madzia miała z Wiednia piękny, seledynowy, długi swe-ter z jedwabnego trykotu, brązowy słomiany kapelusz z brązowymi wstążkami, kilka bluzek, zapakowała to wszystko do walizeczki, poprosi-

ła rodziców o odpowiednie fundusze na drogę i pojechała na Morawy.

Wojna usamodzielniała panienki i nie było już mowy o tym, aby za siedemnastoletnią panną biegała zaaferowana *Fraülein*. Lilka wzruszona i szczęśliwa oczekiwała siostry na dworcu. Rozcięte „siostry syjamskie” padły sobie w objęcia i długo się całowały.(

- Jak ty ślicznie wyglądasz, Madziusiu!

- A ty dopiero, istne чудо!

- Moja najukochańsza!

- Moje szczęście jedyne!

Były tak rozradowane i promienne jak para kochanków, która się dłuższy czas nie widziała. Zazdrosny mąż przyjął też Madzię jak kochanka żony. Był oschły i oziębły.

- Nie wiem, gdzie ty będziesz spać... Przecież nie z Lilką... i nie wiem na czym, bo są tylko dwa

łóżka.

- Będę spała w jadalnym na kanapce.

- Będzie ci bardzo niewygodnie. Ja cię będę budził o siódmej.

Obie siostry śmiały się z tych zastrzeżeń zazdrosnego męża, który już przeczuwał, co go czeka. Znów będą cały dzień razem, obgadując go, co się zmieści. Będą mówiły przy nim po francusku, aby nie rozumiał, co mówią. Będą szeptały po kątach jak dwie pensjonarki i chichotały z byle czego. A on przecież brał siebie i życie na serio, nie tak jak te dwie zwariowane Kossaczki.

- Mam nadzieję, że długo tu nie pobędziesz, moja Madziu.

- Tak długo, jak będziemy obie chciały - odparła za siostrę Lilka i spojrzała na nieszczęsnego męża tak, że się już więcej nie odezwał.

Lilka z nudów brała lekcje języka węgierskiego od pułkowego księ-

dza, Węgra, którego przeszłość była niesłychanie romantyczna. Ów szalenie przystojny młodzieniec, z arystokratycznej rodziny hrabiów Takaczów, zaręczony był z młodą dziewczyną. Rodzice jego i jej nie chcieli się zgodzić „na to małżeństwo i wówczas młodzieniec został księdzem, a panna wstąpiła do klasztoru. Węgier nie miał jednak zupełnie powołania do życia zakonnego i był bardzo nieszczęśliwy. Był to przystojny brunet o czarnych uwodzicielskich oczach i pięknych zmysłowych ustach, zgrabny i smukły. Nosił długie, ciemne spodnie i doprawdy, gdyby nie to, że co dzień rano można go było widzieć w kaplicy pułkowej, jak odprawiał mszę, nikt nie byłby uwierzył, że jest to osoba duchowna. Spojrzeli na siebie z Madzią i od pierwszego spojrzenia zadurzyli się w sobie.

Ksiądz zaczął coraz częściej wpadać do państwa Bzowskich, z bukietem konwalii *für Fräulein Madja*. Weisskirchen położone było wśród wzgórz i lasów przypominających ilustracje tygodnika „Die Jugend” 216

do

rzewnych

wierszyków

o

Maiglöckchen,

o

Veilchen

i

Heinzelmannchen. Wprost nadziwić się nie można było, że w grocie pod rozłożystymi starymi dębami nie siedzi przy muchomorze dobrotliwy krasnoludek z długą siwą brodą. Za to stał prastary, z zamiechrzłych czasów pochodzący posążek św. Nepomucena, do którego Madzia chodziła się modlić, aby straszliwą pokusę od niej odsunął. Bo od tego pięknego duchownego, bez powołania, bił taki żar i tak udzielające się pożą-

danie, że się od grzesznych myśli opędzić nie można było. Kiedyś w nocy przyśnił jej się jako diabeł z gorejącym czerwonym jęzorem. Madzia przebudziła się z okropnym krzykiem. Nigdy nie zapomni spaceru we trójkę z księdzem Takaczem po pięknym szumiącym lesie. Wszyscy troje zrywali konwalie, ksiądz przy każdej okazji to musnął gorącą dłonią jej włosy, to chwycił ją za rękę. Był jak nie gasnący ani na chwilę płomień.

Straszne to było i zarazem cudowne. W pewnej chwili, gdy schodząc ze stromego urwiska znaleźli się na polance, a Lilka była jeszcze na górze, ksiądz porwał Madzię w objęcia i mocno przytulił ją do siebie, pocałował

w usta i szepnął:

- *Madja, ich liebe dich!*

Panienka całą noc po tym nie spała i postanowiła nazajutrz odjechać do Krakowa. Jak wszystkie ówczesne panny, dbała ponad wszystko o skarb swojej niewinności. Lilka była zrozpaczona. Nie zdawała sobie sprawy, dlaczego młodsza siostra tak nagie postanowiła wyjechać. Wówczas Madzia zwierzyła się jej ze swego grzesznego uczucia. Lilka pokiwa-

ła główką.

- No, skoro tak, to rzeczywiście lepiej, abyś wyjechała, szkoda... tak mi z tobą było dobrze. Straszna jest samotność we dwoje - westchnęła myśląc o tym, że znów pozostanie sama z niekochanym mężem.

Całą drogę powrotną Madzia chlipała w chusteczkę. Historia z księ-

dzem była pierwszą w jej życiu wielką namiętnością. Biedny ksiądz Takacz po wyjeździe ukochanej panienki stracił zupełnie głowę i zaczął

szaleć. Został wydalony z pułku. Co się z nim dalej stało - nie wiadomo.

Prawdopodobnie wysłano go na front. Madzia poczuła się niebezpiecznym wampem, który nawet księży sprowadza na manowce...

217

Nadszedł pamiętny listopad 1918 roku.

Manusia po raz ostatni notuje wojenne wydarzenia w swoim dzienniczku: *3 listopad 1918*.

Wielkie dziękczynne nabożeństwo na Wawelu z kazaniem biskupa Teodorowicza. „Te Deum” śpiewane ogromnym głosem wolnej oswo-bodzonej Polski. Procesja z Wawelu na plac Franciszkański, gdzie z balkonu patriotyczne mowy wygłaszają. Potem pochód na Rynek przed pomnik Mickiewicza. Nastrój poważny, uroczysty. Tak to teraz w naszych oczach rozwartych podziwem rozkłada się Austria - odpa-dają od niej kraje jak dojrzały owoc - tworzą się państwa, które nigdy nie marzyły o tym może, a sama myśl wydawała się czymś wariac-kim...

W Krakowie działy się rzeczywiście rzeczy nowe i zdumiewające.

Uliczne paupry rozbrajały nie broniących się nawet oficerów austriackich. Przy tej okazji wiele sklepów zostało rozbitych i zrabowanych. Pa-miętamy, jak na ulicy Zwierzynieckiej uliczne chłopaki biegły za puł-

kownikiem Nastupilem, aby mu zedrzeć dystynkcje, i jak on przed nimi wielkimi susami uciekał. Doprawdy był to niezwykły dzień! W zamoż-

nych krakowskich domach pito tego dnia szampana i śpiewano *It is a long way to Tipperary*; był to na ogół jedyny sposób reagowania na te tak doniosłe wydarzenia, które rozpoczęły okres wolnej Polski.

Na Kossakówce najwięcej cieszyła się Manusia, której tak proroczo czarno-żółtą flagę wichry zerwały.

Rozdział XIX

MEDYCEUSZE

Rodzina Pawlikowskich z Medyki otoczona była od lat opinią jednego z najkulturalniejszych gniazd szlacheckich. Do tej opinii przyczyniła się, przeniesiona później do Lwowa, słynna Biblioteka Medycka, jak również i obaj bracia Pawlikowscy, jeden z nich - Tadeusz - był słynnym dyrekto-rem teatru krakowskiego, a drugi - Jan Gwalbert - polonistą z zamiłowania, który całe swoje życie poświęcił studiom nad „Królem-Duchem” Słowackiego. Matka Tadeusza i Jana Gwalberta, Dzieduszycka z domu, mimo swego olbrzymiego majątku zawsze chodziła tak biednie ubrana, że gdy kiedyś we Lwowie zaczęła szukać dorożki „na gumach” jeden z dorożkarzy rzekł wzruszając pogardliwie ramionami: „Ta gdzie tam pani do gum!” - O ile starsze pokolenia Pawlikowskich łączyły się mariażami z najpierwszymi rodami polskimi, o tyle następne, porzuciwszy tego rodzaju przesady, żeniły się według swojej fantazji i upodobania. Dyrektor Tadeusz Pawlikowski ożenił się z panną Kotarbińską, siostrą Józefa, zaś Jan Gwalbert, poznawszy na lekcjach tańca pannę Abramowicz, oświadczył się o jej rękę, ponieważ miała bardzo długie i piękne włosy.

Czy stara Pawlikowska, Dzieduszycka z domu, była z tego zadowolona?

Nie wiadomo. Była to dama tak pewna siebie i potęgi swojego pochodzenia, że będąc w Paryżu mówiła do służby w hotelach „ty”, co we Francji od czasów Rewolucji używało się tylko w stosunku do najbliż-

szych osób. Miała szczęście do przygód z dorożkarzami; mówiąc kiedyś w ten sposób do dorożkarza paryskiego, usłyszała od niego dowcipne zapytanie: - *Dis donc, c'est de l'amour alors?* - (Aha, więc zaczyna się mi-

łość między nami?)

Rodzina poetki Maryli Wolskiej, z domu Młodnickiej, żyła w ścisłej przyjaźni z rodziną Pawlikowskich i jedni u drugich stale przesiadywali.

219

Wolscy mieszkali na górnym Łyczakowie, gdzie mieli swoją willę w ogrodzie niedaleko domu Grottgera. Ów mansardowy stary domek wyglądał jak wielka pieczarka wśród dzikiej i bujnej zieleni, która go otaczała. Gdy się weszło do środka, odnosiło się wrażenie, że się jest w staropolskim szlacheckim dworku, daleko od miasta i ludzi. Wokół piękne, stare meble, na ścianach poczerńiałe obrazy, dagerotypy, portrety rodzinne, ani jednej rzeczy, która by przypominała, że się żyje we współ-

czesnych, a nie dawnych czasach. A nad tym wszystkim unoszący się duch Artura Grottgera, zaręczonego, jak wiadomo, z panną Monne, któ-

ra po jego śmierci wyszła za mąż za Wolskiego, dziadka obu córek Maryli.

Maryla i jej dwie córki - Beata i Lela - wyglądały zupełnie, jak gdyby pozowały Grottgerowi do jego kobiecych postaci. Miały klasyczne noski, wielkie smutne oczy, czyste owale twarzy. Maryla, która do końca życia zachowała młode, piękne rysy, czesała się zawsze z przedziałem pośrodku głowy i zazwyczaj, jak grottgerowskie kobiety, ubierała się czarno, zarzucając na ramiona ciemne szale. Oprócz tych dwóch córek, z których jedna okazywała zdolności do pióra, a druga do malarstwa, posiadała jeszcze trzech synów, jednego z nich - średniego - przeznaczono w rodzinie na idiotę. Madzia, będąc jeden jedyny raz - jako młoda panienska -

z wizytą u poetki, ujrzała w ostatnim pokoju siedzącego kilkunastoletniego chłopca, który naprawiał jakąś maszynkę czy zegarek; zagadnęła do niego. Chłopiec odpowiedział zupełnie normalnie. Gdy wró-

ciła do reszty towarzystwa, Maryla powiedziała o nim z ciężkim westchnieniem:

- Biedny on, biedny...

- Dlaczego? - naiwnie zapytała Madzia.

Poetka wskazała na czoło: - Nawet nie posyłamy go do szkół, bo i tak nic z niego nie będzie... Podaj mi Sabinę! - rzekła do jednej z córek, aby zmienić temat. Ku zdumieniu Madzi Dziordia, czyli Beata, przyniosła matce haftowaną poduszkę, która leżała na kozetce.

- A Florentynę pod nogi! - rozkazała oryginalna mama.

W tym dziwnym białym dworku każda poduszka, każdy stary mebel miał swoje miano, tak jak koty lub psy.

- Nie siadaj na Ambrozym - rzekła Lela do siostry - bo się złamie!

W tej przedziwnej atmosferze pełnej literackiej pozy, gdzie nikt nie miał prawa wyrażać się zwyczajnie, tylko musiał powiedzieć coś oryginalnego lub dowcipnego, wykłuł się niezwykle pomysł zaręczenia ośmioletniej Beaty Wolskiej z jedenastoletnim Janem Gwalbertem Pawlikowskim - zupełnie jak na dawnych królewskich dworach. Upór poetki, żeby skojarzyć rodzinę Wolskich z Pawlikowskimi, był na tyle silny, że gdy to małżeństwo nie doszło do skutku, potrafiła starszego Pawlikowskiego, Michała, wyswatać, po jego rozejściu się z żoną, z młodszą swoją córką, siedemnastoletnią wówczas Lelą (malarką). Piękna była scena, gdy Maryla Wolska, siedząc z Marią Pawlikowską na kozetce w willi „Zaświecie” na Łyczakowie, obserwowała Michała z Lelą, jak zwyczajem ówczesnych narzeczonych grali na cztery ręce na fortepianie, z głowami przytulony-mi do siebie.

- Dzięki Ci, Panie, że się nie jest już młodą – westchnęła Maryla - i że nie musi się robić takich rzeczy!

Mały Jaś z młodziutką Dziodzią wiedząc, że są dla siebie zawczasu przeznaczeni, kochali się bardzo i stale ze sobą przebywali. On przynosił

„narzeczonej” zabawki, kupował jej lalki. Ona chwytala dla niego motyle.

Dziki, zarośnięty ogród dostarczał im moc rozrywek i zabaw. Jednym słowem żywy Rousseau! W miarę jak dorastali, pocałunki ich stawały się gorętsze, objęcia trochę drżące, pełne tajemniczych obietnic. Jaś gonił

po parku rozwianą warkoczami Dziodzię, potem ją chwytal, wśród pi-sków i śmiechów przytulał do siebie i... nagle przestawał się śmiać.

Słodka poetka, o twarzyczce barokowej świętej, spoglądała na to z rzew-nym rozczulonym uśmiechem, mówiąc do starszego Pawlikowskiego, Michała:

- Popatrz, jak się te dzieci kochają...

Lata szły. Maryla z Michałem, z którym ją łączył ongiś intelektualno-erotyczny flirt, siedzieli na ganku i razem tłumaczyli czarowne wiersze poety perskiego z XI w., Omara-Khajjama, które później wydali nakładem 221

Biblioteki Medycznej. Obie Kossakówny umiały te wiersze na pamięć i nieraz cytowały przy uwodzicielskich okazjach:

Ostrożnie stąpaj po trawie o wiośnie,

Może ta trawa z ust prześlicznych rośnie...

albo:

O dwa dni w życiu nie dbałem zgoła:

O zawodne jutro - o umarłe wczoraj.

Ale podczas kiedy ta poetycka para oddawała się tłumaczeniom słów perskiego poety, kilkunastoletniego Jasia diabli brali! Bywał coraz czę-

ściej smutny, ponury, zamyślony, gryzł paznokcie... Młodziotka narzeczona, nie bardzo rozumiejąc, co się z nim dzieje, porównywała go może w myślach do tego Janka z bajki Andersena, który połknął kiedyś ma-leńki odłamek rozbitego lustra i zaczął być taki zimny, ostry, obcy i daleki. W bajce była to Królowa Śniegu, która go tak wabiła i odciągała od ukochanej, w życiu tą królową była... Natura, która się już dopominała o swoje prawa. Ale o tym złotowłosa, okrągłutka Dziodzia nie mogła jeszcze nic wiedzieć i tylko martwiła się i płakała po nocach. Tak bardzo go kochała, i zdaje się, nigdy go nie przestała kochać. Późniejsz jej wiersze tchną zawsze jakąś bardzo smutną, zawiedzioną nutką...

Jaś dorósł. Czy skończył szkoły? Na pewno tak. Nigdy się zresztą o tym nie wspominało. Czyż tak zdolny i wszystkowiedzący chłopak potrzebował się w ogóle kształcić? W każdym razie nie posiadał żadnego wyraźnego fachu i później, gdy był już mężem Lilki, dla żartów kazał

sobie na biletach wizytowych wydrukować: „Jan Pawlikowski - amator”.

Był to dowcip, który miał za podłoże głęboką prawdę, ponieważ Jaś był

na każdym polu bardzo zdolnym amatorem. Nie był tylko amatorem w miłości. Za to jako mąż znów ujawniał swoją amatorszczyznę.

Jaś zaczął bywać w różnych lwowskich domach, przez moment był

nawet po słowie ze swoją kuzynką Dzieduszycką. Złotowłosą narzeczoną w willi Maryli Wolskiej zanieczyścił kompletnie. Uroczego Jasia poznały obie siostry Kossakówny przez Hanię Pawlikowską, córkę dyrektora, Tadeusza. Ta Hania to był też niezwykle stwór. Jak wszyscy Pawlikowscy 222

zdolna i wybitnie inteligentna, posiadała ogromny talent aktorski, który ujawniła na amatorskich przedstawieniach wystawianych w Teatrze Słowackiego za dyrekcji jej ojca. Od całego tego amatorskiego zespołu odróżniała się wspaniałą dykcją, swobodą ruchów, umiejętnym postawieniem roli. Urodzona aktorka! W komedii Musseta „Nie igra się z miłością” i w „Zaczarowanym kole” Rydla zbierała rześiste oklaski. Ale cóż, czy mogła wstąpić na scenę panienka, która miała babkę Dzieduszycką i kuzynów Dzieduszyckich?! Mogła – ale wówczas już wstęp do nich miałaby utrudniony. Zresztą wtedy wstąpienie „dobrze urodzonej” panienki do teatru - to była jakaś ostateczność, rodzaj samobójstwa, tak jak w wierszyku Boya: „Adasiu, tak nie można, ale potem cóż?... Chyba umrzeć już - albo... zostać... artystką”.

Jasia przedstawiła im właśnie owa Hania u Przanowskiego w Zakopanem. Był to młodzieniec o fascynującej urodzie. Natura wypieściła go, począwszy od bujnych kasztanowatych włosów - skończywszy na kształtnych nogach, takich, jakie w Polsce zazwyczaj mewają tylko góra-le. Chodził też chętnie w góralskich portkach, które uwydatniały ich klasyczną budowę. Madzia była wówczas panną, Lilka - panią Bzowską.

Siostra i kuzynka Pawlikowskiego były pewne, że Jaś interesuje się tą młodszą - Madzią - do wzięcia, ale on, przeleciawszy po niej spojrzeniem, długo zatrzymał wzrok swoich szafirowych oczu na starszej z siostr. Musieli sobie wówczas powiedzieć coś takiego, co Lilkę wprawiło w stan zupełnego rozmarzenia. Gdy obie wróciły do hotelu „Stamara”, powtórzyła się scena sprzed lat:

- Tego jednego mi zostaw! - zaskomlała Madzia.

Lilka tupnęła nóżką o wysokim podbiciu: - Nigdy! Rozumiesz! On będzie mój!

- Przecież jesteś mężatką...

- No to co? Rozwiode się z Władziem.

Powiedziawszy to, posmutniała.

- Zresztą - rzekła po chwili refleksji - dlaczego by miał właśnie wybrać którąś z nas? Tyle jest od nas piękniejszych. Taki jak on może sobie przebierać...

223

Jaś był odtąd stałym towarzyszem ich spacerów i wycieczek. Szło się zwykle w większej kompanii. Pawlikowski bardzo taktownie raz szedł z młodszą siostrą, raz ze starszą. Nie wiadomo było właściwie, której asystuje. Lilka zaczęła rozkwitać jak pączek róży. Była coraz ładniejsza, a oczy miała coraz większe. Czasem, gdy nikt nie widział, ściskali się za ręce. Niema rozmowa palców, która czasem może więcej powiedzieć niż usta. Jaś, obeznany z górami od małego, nieraz odbiegał od całego towarzystwa, piął się na skały i nagle jego idealnie zgrabna sylwetka wyrasta-

ła na jakimś skalnym zboczu. Z rozwianymi włosami, z bielą zębów, która przecinała jego opaleniznę jak olejną farbą zrobiona biała kreska, wyglądał jak duch Tatr. Bóstwo, do którego Lilka, wpatrzona w niego z dołu, modliła się żarliwie. Potem zeskakiwał ze zwinnością kozicy i już był przy nich, strzepując z czoła włosy, które mu leciały na oczy. Obie rodziny - Pawlikowskich i Kossaków - były najzupełniej pewne, że Jaś asystuje Madzi. Lilka była przecież mężatką, a mężatkom nie wypadało oficjalnie „robić kure”. Mogłoby się to stać dopiero wówczas, gdyby ślubnego złożono do ziemi, a mężatka została wdową. Rodzice Madzi byli zachwyceni, bo to i nie tylko że taki przystojny, miły i inteligentny, ale jeszcze i ta Medyka. Należałby się Madzi taki mąż po niemiłej historii z tym Tołem Orzechem, co to nie wiadomo było, kto z kim zerwał i dlaczego.

Wojna 1920 roku trwała. Rotmistrz Bzowski szkolił kadry i od czasu do czasu przyjeżdżał do żony do Krakowa. Chodziło o to, aby Pawlikowski, który też przyjeżdżał do Krakowa za ukochaną, mógł

bezkarnie by-wać na Kossakówce jako oficjalny konkurent Madzi. Co robi Lilka? Wta-jemnicza młodszą siostrę w ich wielką miłość i błaga ją, by udawała, że Jaś stara się o jej rękę, i by tak przed rodzicami zeznawała. Madzia wzbrania się i płacze. „. - Przecież ja się też kocham w nim! - chlipie.

- Ale on kocha mnie, rozumiesz! Musisz nam pomóc. Zawsze twierdziłaś, że wszystko dla mnie zrobisz.

I Madzia, to „złote serduszko”, poświęca się i zgadza się wziąć na siebie rolę kozła ofiarnego. Kosztuje ją to bardzo wiele, ale czegoż się nie robi dla takiej Lilki! Sytuacja jest nader komediowa: Jaś przynosi 224

młodszej kwiaty i cukierki, a ze starszą całuje się w ogrodzie. Madzi czasem aż serce pęka z żalu, ale bohatersko wytrzymuje swoją rolę. Mama wciąż się jej pyta:

- No i co, czy ci się już oświadczył?

- Jeszcze nie... ale lada chwila to zrobi...

Mamidło zaczyna się niepokoić, bo nie wie, co to wszystko znaczy.

Jaś stara się najwyraźniej w świecie o rękę Madzi, a wciąż po ogrodzie spaceruje z Lilką, czytają sobie na werandzie wspólnie poezje, a Madzia idzie przez ten czas na górę i robi swoje batiki.

- Pilnujże ty trochę tego twojego Jasia-Gwasia – mówi Tatko. - On coś zanadto koło Lilusi się kręci, wciąż ich razem widuję... to nie ma sensu. Lilka jest przecież mężatką.

Madzia ma duże poczucie humoru, ten humorek to wierny przyjaciel, który jak pies wciąż się koło niej kręci, nawet w poważnych momentach. Śmieje się więc jak rutynowana aktorka i twierdzi, że wszystko jest w jak największym porządku, że ona kocha Jasia, a on ją. Ta sytuacja bawi ją w końcu.

Legalny małżonek przyjeżdża. Jaś przestaje przychodzić.

- Cóż mu się stało? - martwi się Tatko. - Może się rozmyślił? Szkoda, bo taki miły chłopiec...

Małżonek odjeżdża, Pawlikowski wraca. Siedzą z Madzią wieczorami w trójkę i piszą dalszy ciąg „Arki Noego” - wierszyków, jakie zaczął pisać z dziećmi sam stary Jan Gwalbert w przerwach dzieła swego życia: „O

Królu-Duchu”. Stary Pawlikowski to mędrzec z siwą brodą, straszliwy oryginał, który kiedyś, pogrążony w swoich studiach, rozłościł się, gdy malutki Michał krzyczał - i wyrzucił go przez okno z wysokiego parteru.

Starego Pawlikowskiego mało co więcej obchodziło jak studia nad Słowackim i nad przyrodą Tatr, co było jego wielką pasją. Bardzo mało go to interesowało, z kim się synowie żenią i za kogo jego córka pragnie wyjść za mąż. Oboje z żoną byli oszczędni do przesady, jak wielu bardzo bogatych ludzi, i gdy po wojnie w nowo tworzącym się poselstwie polskim w Paryżu Jaś miał okazję zostać *attaché militaire*, ojciec odmówił

mu potrzebnych na to funduszków, twierdząc, że aby być dyplomata, 225

trzeba być bardzo dobrze sytuowanym, a „ich na to nie stać”. Dobra medycykie stanowią pokaźny majątek, ale ich właściciele są biedni i mu-szą bardzo oszczędzać. Każde z dzieci ma swój folwark. Majątek Jasia nazywa się Skwarzawa. Jaś nie zna się na gospodarstwie i wydzierżawia

\go. Samą Medyką zarządza najstarszy, Michał, i on jeden miewa pieniądze.

Ale wróćmy do „Arki Noego” - dzieła zbiorowego składającego się z szeregu krótkich bajek. Cała trójka siedzi pod lampą w jadalnym pokoju, komponuje i zaśmiewa się do łez.

Oto niektóre z owych bajeczek:

Zapytywał zimorodek:

Gdzie też tutaj jest wychodek?

Na to gęś mu tak odgędzie:

W tym lokalu można wszędzie.

Słoń z kataru aż się mieni,

Schował trąbę do kieszeni.

Lecz to bardzo niewygodnie.

Katar cieknie mu przez spodnie.

Reszta wierszyków jest tak niecenzuralna, że trudno je cytować. Komedia pomyłek trwa dalej. Wszyscy troje chodzą razem na spacer i do kina. Madzia odprowadza zakochaną parę na Wawel, jeszcze wówczas nie odrestaurowany, i zostawia ich samych. Objęci w pół, zakochani do bladości, błądzą po pustych królewskich komnatach, siadają we wnę-

kach okien, tulą głowy do siebie jak dwa gołębie. Pawlikowski chce, aby Lilka rozeszła się z mężem i wyszła za niego. Ona milczy ze szczęścia. Na loterii życia wyskoczył jej numer. Wygrała milion! Jaś często jeździ do Zakopanego i wówczas ona pisze do niego piękne literackie listy, które wyraźnie, choć nieświadomie, pisane są pod wpływem młodopolskim.

Tylko początek jest jej własny, oryginalny i śmieszny: *Jasiek mój przenajmilszy - idę właśnie spać i cieszę się na noc, boć to jedyna z Tobą komunikacja. Źle mi bez wieści o Tobie, najdroższy zwierzęciu. Nawet mi trudno pisać z tą ochotą na czytanie długiej lita-nii cudownych niemożliwości. To tak nieznośnie wciąż samej gadać bzdurstwa, przypomina to ów cud z obrazem, co to ani razu. Dziś kła-dę do snu Twój rozkosznie brudny kołnierzyk na szyję - pamiętaj, przyjdź. Dobranoc.*

Rano:

Widziałam Cię ciągle - znaczy to, że myślisz o mnie, że żyjemy jednym życiem na przekór wszystkiemu. Ach, Jasiu, jaką pewnością istnienia 226

poza ciałem daje mi Twoja miłość. - Słuchaj, to ci nagadam głupstw.

Otóż raz zboczyłam z jałowej, kurzącej drogi ku cichemu białemu do-mowi, który stał w szczerym polu. Chciałam tam zawiązać sobie w sieni sznurowadło od bucika, nic więcej. I wstąpiłam w zaczarowane, prześwietne salony pałacu bajecznego, skrytego przed ludźmi prostotą pobieloną i cichą jak sen. Otoczyły mnie ściany zwierciadlane i migot pajaków weneckich, obwieszonych szklanymi winogronami z trójkąt-nemi i okrągłemi liśćmi, po których chodzą siedmiobarwne światła. W

potwornych fałdach zwisają i czółgają się po ziemi fioletowe kotary, a niebiesko-pawie gobeliny prawią o miłości, dąbrowie i łowach. Przez odwaloną zasłonę widać coraz mniejsze, coraz cudowniejsze pokoje, topiące się w zadymionym złocie i narkozie odurzonej. W ostatnim płonie lampa podobna gorejącemu sercu. Jakże mi smutno, jak źle -

gdzie drzwi? Gdzie wyjście na kurz, jałową spiekła drogę, którą zwa-
łam moją?

O, błogostawieństwo gorzkie i miłujące piękności wszelkiej, przepychowi i nadmiarom -
błogostawieństwo duszom wolnym, w gęstej przebogatej ciszy rosnącym z wolna jak
ciemnorubinowy kryształ w roztworze szczęścia. - Odchodzę już - nie moje tu miejsce w moich co-
dziennych zapyłonych sukniach. Na inną tu czekają kochankę - któż wie, żem chowana na
królewską żonę i miłośnicę, że mam duszę pełną pychy i najjaśniejszej nadziei - któż wie, prócz
mnie - spowita jestem w szary płaszcz życia. - Spojrzę tylko raz jeszcze w okno dostojne, otwarte
na białe gniazdo gór, i odejdę jak obca.

Wtem staje na progu On, w fałdach i-wojach fioletowej kotary. Wy-ciąga ręce i rzucam się na nie i
obsuwam mu się do kolan. Uśmiech -

pierwsza w mym życiu prawda, ręce - pierwsze bliskie, ręce - rodziny mej i domu, ręce wierne i
własne, pięknie opalone - jego ręce. Błogostawieństwo im, cokolwiek ze mną .uczynią! Buchnęło
słońce przez okno na góry patrzące - zatańczyły świedla, zabarwiło się powietrze, zakwitły
modre cienie. I rzekła mi piękność najwyższa, że moja jest, jako ja własnością się jej stałam
niepodzielną i drogą... I pozostałam w roztworze szczęścia, gęstym i ciężkim... Jasiu, o miękkich
ustach i moc-nych skrzydłach, weź mnie na ręce, nieś do ostatniego pokoju, w któ-

rym tańczy wieczny płomyk w krwawym szkle. Zabij mękę mego szczęścia, mękę rozkoszy, i spraw,
byś mnie nieżywą stamtąd wy-niósł... Bo za piękne staje się życie i za bardzo Cię kocham...

Zaczarowany pałac, o którym pisze poetka, to trochę Koziniec Pawlikowskich. Przez wielkie okna
widać Tatry o zaśnieżonych szczytach. Jest też ciężka kotara, jakiś stary kilim o fioletowych tonach.
Weneckich świeczników nie ma, są za to drewniane. Pawlikowski, jeśli chodzi o miłosną
korespondencję, nie pozostaje jej dłużny. Jest to też kawał

literata i poety. Oto urywek z jednego z jego listów: *Chcę Ciebie! Słyszysz, życie moje! Chcę, straszliwie chcę! Moja osło-do jedyna, moje Ty wszystko zajmujące, wszystko piękne-i dobre!*

Nie umiem żyć daleko od ciebie... Nie umiem nawet już „pocieszać się nadzieją”, że Cię zobaczę niedługo! Przeklinam każdą chwilę bez Ciebie! Dość mam już tych lat wyczekiwania Cię i tęsknoty straszliwej, dość mam nadziei!

Chciałem Cię dawnej widzieć w innych oczach i innym ciele... I bę-

dąc blisko nich tęskniłem. Kiedy się rozwiało złudzenie, żeś to nie Ty była - tęskniłem. Kiedym uwierzyć musiał wreszcie, że jesteś jeno snem, że Cię nie ma wcale w żadnych oczach i żadnym ciele, tęskniłem dalej.

Tęskniłem niezłomnie i niezmordowanie, byłem cały tęsknotą i bó-

lem. Tą tęsknotą moją i bólem zasłużyłem na Ciebie. I wreszcie stał się cud i słowo stało się ciałem...

Oboje chcą się pobrać i cierpią „straszliwie”, że to przedstawia tak wielkie trudności. Lilka nie pisała by teraz o małżeństwie tego, co pisała w swoim pamiętniku jeszcze kilka miesięcy temu: *Miłość jest życiodajna. Tępa przyjaźń małżeństwa, głupie przyzwyczajenie - jest chorobotwórcze i rozkładowe. Jest w tern anemia, wycieńczenie, zwątpienie w swe siły. Bez tego pierwiastka nie ma małżeń-*

stwa. Miłość na długo - miłość bezpieczna, spokojne beznamiętne pożycie - to rozkład za życia, to cerowanie pończoch, to podawanie potraw-ki z własnej duszy na obiad. To nic...

Jak ten Władzio się powtarza - gwizdże i śpiewa zawsze to samo.

Smutek mnie zgina ku ziemi. Jakże to mam z nim jechać? Ciekawa jestem po prostu na tę torturę nudy, jak ją wytrzymam.

Stworzona jestem na kochającą kobietę, znakomitego współbie-siadnika bogatego duchem, a chętnie biorącego na siebie swą część pracy. - Z moją męską głową, a kobiecą duszą jakimże byłabym dobrym druhem. - Och, wszystko to przepadło... Powinnam zacząć marzyć o drugim nowem życiu.

Dziś Władek przyjeżdża! Jest mi to obojętne.

Przyjechał. Widok jego nie podnieca mnie ani pobudza, dlatego smutek okropny, żaloszny, ściska mi serce. Tylko ożeniony człowiek zrozumieć to może...

I dalej:

Dla kogo mnie przeznacza ta ziemia? O, wyswataj mnie, czarna matko, nie

zwlekaj!

O swoim pałacu na lodzie, który stawia w marzeniach, pisze taki oto wiersz:

Spiralny mój pałacyk na różowym lodzie

stoi mocno w zawiejach, a drży przy pogodzie, i ma skośne balkony i krzywe sypialnie,

w których śpią pocałunki i sny nietykalne -

Słońce stoi pod dzwonem w najjaśniejszym kącie -

a księżyc z okna strychu wystawia dwa końce.

W jadalni przy śniadaniu siedzi śmiech majowy, złote ptaszki latają po klatce schodowej.

Pod oknami na śniegu kwitną śnieżne róże,

a chustki od łez mokre suszą się na sznurze.

Motyle ku nim lecą pośród białych harc,

bo chustki od łez szczęścia słodkie są jak narcyz.

I oto ziemia, do której czyni czarodziejską inwokację i którą tak pięknie nazywa „czarną matką”, lituje się nad poetką, przyjmuje zamówienie i daje jej tego Jasia, który wypełnia wszystkie warunki owego obstalun-ku. Pawlikowski, posiadając tę samą kulturę artystyczno-szlachecką co rodzina Kossaków, od razu zdobywa sobie serca wszystkich. Lilka w swoim zachwyceniu pisze piękne erotyki, które nie mają w sobie melan-cholijnej tęsknoty jak dawniejsze, tylko zachwyty oczekiwania, tak jak wiersz „Zanurzcie

mnie w Niego”:

Zanurzcie mnie w Niego

jakby różę w dzbanek

po oczy,

po czoło,

po snop włosów jasnego –

niech się przeze mnie toczy,

niech mnie opłynie wkoło,

jak woda całująca

Oceanu Wielkiego.

Niech zginie noc, poranek,

blask księżycy czy słońca,

lecz niech on we mnie wnika

jak skrzypcowa muzyka –

gdy mi do serca dotrze,

będę tym, co najśodsze.

Nim. -

Jej talent poetycki pod wpływem obopólnej miłości rozkwita jak pi-wonia czerwona, pełna obiecujących pąków. Z Jasiem razem układają jej pierwszy tomik poezji pt. „Niebieskie migdały”.

229

Rodzice nie są ślepi i zaczynają się wszystkiego domyślać. Mamidło oświadcza kategorycznie, że wobec tego Pawlikowski musi przestać by-wać w ich domu. Lilka nie chce wracać do Weisskirchen do męża. Roz-goryczony Bzunio zgadza się na unieważnienie lub rozwód, którego świątobliwa Manusia za nic w świecie nie chce, twierdząc, że małżeń-

stwo zawarte w Kościele katol i c k i m jest nierozzerwalne. Biedny mąż pisze do teściowej gorzkie słowa:

Rodzice sprzyjali temu, że Lilka przesiadywała (dla towarzystwa Madzi) w domu, o moją egzystencję nikt się nie troszczył, wobec tego wolę powrócić do dawnego mego życia i stanąć sam o sobie. Niech Mama pamięta, że ja pierwszy nie poddałem myśli rozwodu, tylko Lilka w obecności Mamy. Lilka też nie wybierała słów w obelgach na mnie i na moje siostry - mam tego dowody w jej pamiętnikach.

Życie nie według norm przepisanych przez Boga nie może przynosić szczęścia, a w tym wypadku ja też winy nie ponoszę - a na delikatności i względach mi nie zbywało.

Ciekawym, kto miał brnąć w drobiazgach gospodarczych? Więc tej dobrej mojej strony Mama nie uznaje?

Ja Lilki drugi raz nie zamyślam zdobywać i pierwszy krok ugodo-wy z mej strony nie wyjdzie.

Marysia rzeczy już pakuje, wysyłam je stąd do Krakowa, proszę wysłać zarządzenia co do mebli, bo ja tylko b. krótki czas za nie ręczyć mogę.

Proszę Mamy o wystanie mi moich papierów i sumy z książeczki.

List jest suchy i rzeczowy. Biedny Bzunio jednak nie obliczył się ze swoim sercem, które Lilkę kocha mimo wszystko, i oto widzimy go, jak klęczy przed nią i błaga ją o litość. A ona z podwiniętymi nogami siedzi w salonie na Kossakówce, otulona w jedwabny liliowy szal Bzowski płacze:

- Lileczko, nie opuszczaj mnie!

- A właśnie, że cię opuszczę!

Madzia uciekła wstrząsana łkaniem. Kamień byłby się wzruszył, tylko nie ta twarda, niezłomna Lilka.

- Będę już całkiem inny, zobaczysz... zgodzę się na wszystkie ustępstwa, tylko ode mnie nie odchodź!

- Odejdę, zobaczysz. Proszę mnie nie wzruszać, bo to nic nie pomo-

że. - Jak lwica młode, broni ona swojego wielkiego szczęścia.

230

Władzio powstał z klęczek i odszedł już na zawsze.

Wszystko biedaczek oddał, co było Lilki własnością, tylko nie chciał

zwrócić pamiątek, w których tak okropnie na niego pomstowała i wypisywała horrendalne rzeczy. Nie było to bardzo po dżentelmeńsku, ale stanowiło też jedyny rodzaj zemsty za wszystkie upokorzenia, któ-

rych od niej doznał. W jakiś czas ożenił się ze skromną, praktyczną i gospodarną ziemiańską córką i miał z nią udanego syna.

Rodzina Pawlikowskich na wszystko się zgadzała, bo i tak małżeń-

stwo Jasia z Lilką (która wróciła do panińskiego nazwiska Kossak) było świetne wobec małżeństwa ich starszego syna, który kiedyś przyprowadził do domu istną „sierotkę Marysię”, poznaną gdzieś u znajomych, ubogą panienkę, wychowaną przez jakąś obłąkaną ciotkę, oświadczając, że będzie ona wkrótce jego żoną. Matka przyjęła ją bardzo serdecznie, nakarmiła, przyodziała. Pawlikowscy lubili robić wspaniałe gesty, tylko że potem nie dbali zupełnie o obiekt swych gestów. Była to zresztą osóbka z inteligentnej rodziny, wykształcona, ale o urodzie mało efektownej, tylko zgrabnie zbudowana. Pawlikowscy przezwali ją „Maciusiem” i bardzo polubili, co Michałowi nie przeszkadzało wcale nie widywać jej całymi miesiącami i zdradzać ją, ile się dało.

Ślub Lilki z Jasiem odbył się w jednej z tych mrocznych starych kaplic na Wawelu. Czerwone światło lampy i blask świec przy ołtarzu oświetlał ich piękne twarze o rasowych cienkich nosach i szafirowych oczach. Jaś nosił równo ściętą paziowską fryzurę i klęcząc przypominał

pazia, który ma być pasowany na giermka.

Wśród gości ślubnych było dwóch kolegów Lilki z Akademii Sztuk Pięknych, ze szkoły prof. Weissa:

Fedkowicz i Eibisch. Obaj spoglądali czułym okiem na ładniutką Madzię, która siedząc w stallach, cieszyła się.

że to ona przyczyniła się do szczęścia siostry. Od czasu do czasu rzucała spojrzenie w stronę obu malarzy. Obaj podobali się jej bardzo, a szczególnie Fedkowicz ze swoją ukraińską urodą i ciemnymi, szerokimi brwiami. Lilka, która bardzo go lubiła, byłaby chętnie skojarzyła tę parę.

ale na weselu Nusia. siostra Jasia, rodzinny „wamp”, potrafiła go tak zainteresować, i zająć swoją osobą, że przepadł i zaprzepścił się w jej melancholijnych oczach.

231

Ponieważ wszystko w rodzinie Pawlikowskich było jakieś baśniowe, więc ta Nusia wyglądała jak Kasia z bajki „O Kasi i królewiczu”: włoski skromniutko uczesane, długie warkocze, które upinała na tyle głowy, smutne wielkie oczy dziecka z ludu... Trochę góralka - trochę królowna.

A jak brała „gęśliki” (czyli w tym wypadku gitarę) i przy ich brząkaniu śpiewała jakieś wyszukiwane przez siebie ballady i piosenki ludowe, to mężczyźni płonęli z zachwytu, a panienki zieleniały z zazdrości. Bo też miała głosik ta panna Pawlikowska! Śpiew kobiecy zawsze silnie zmysłowo działa na mężczyzn, co jest rzeczą pewną i wypróbowaną. Nie wiadomo dlaczego kobieta ze słowiczym głosem miała zawsze o wiele więcej szans dobrego zamążpójścia niż inne. Czy w swojej naiwności wyobrażali sobie, że taka żona będzie z lutnią siadywała u ich „wzgólowia” i nuciła tylko dla nich te piosenki, które śpiewała dla wszystkich?

Była to taka sama nieprawda jak to, że uroda żony ma być własnością jej męża. Zresztą wszystkie te urocze talenciki panien na wydaniu zanikały zupełnie z chwilą, gdy zaczęły mieć dzieci, co stało się również i z ową Kasią z bajki. Wyszła za mąż za zacnego ziemianina, miała z nim dwoje dzieci, potem się z nim rozeszła i wyszła ponownie za mąż i też miała dwoje dzieci. Góralska królowna z „gęślikami” przeistoczyła się w normalną ziemiańską żonę i matkę. Ale wtedy była niebezpieczną konkurencją dla innych dziewcząt w jej wieku i uroczy Fedkowicz, jak zaczął

śluchać jej śpiewu, spoglądać w jej ogromne smutne, ciemne oczy, to się tak zasłuchał, tak zapatrzył, że już Magdusia przestała dla niego istnieć.

Oryginalność i poza bardzo wówczas popłacały, a ta Madzia była taka do przesady naturalna, tak nic w niej nie było baśniowego, że dla ówczesnych mężczyzn nie mogła być atrakcyjna.

I czegoż ona biedna nie robiła, aby się podobać i innym imponować!

Jaś Pawlikowski nauczył ją (co było dość trudne), aby się człowiekowi sztucznie odbijało. Przelykało się w specjalny sposób ślinę, i czekało się sekundę i mało dystyngowany odgłosik sam się robił, i to seryjnie. Gdy więc na kolacji byli goście, Madzia, podając talerzyki, udawała tępą słu-

żącą, której się głośno odbija. Bardzo to było śmieszne i Tatko, chociaż 232

mówił *fi donc*, śmiał się z tego, i Lilka też, ale młodzieńcy, bywający w ich domu, wcale nie uważali aby było przyjemne mieć żonę, której się odbija.

Będąc od małego bardzo wygimnastykowana, umiała fikać kozły, siedząc na krześle podnosić zębami chustkę do nosa z ziemi a przede wszystkim padać prostopadle, tak jak stała, na łeb, na szyję, bez zginania kolan i tylko w ostatniej chwili wysuwając dłonie jak samolot podwozie.

Gdy chciała uwieść jakiegoś młodzieńca, to padała tak przed nim plac-kiem, co go zazwyczaj przerażało, a nie budziło zachwyty. Widząc jednak, że sztuczkami i figielkami nikogo nie zdobędzie (czasy były po-ważne, życie brało się na serio), zaczęła naśladować Nusię i nauczywszy się od niej na gitarze dwóch akompaniamentów - molowego i durowego,

- wyśpiewywała te same piosenki co ona, tylko słabo i bez głosu. Rodzina Pawlikowskich to byli zresztą sami śpiewacy i muzycanci. Michał miał

piękny baryton i grał dobrze na fortepianie. Jaś grywał na wszystkich instrumentach i miał śliczny tenorowy głos. W Zakopanem całe to towarzystwo wraz z kibicami spacerowało po nocy z gitarami, mandolinami i pod oknami znajomych wyśpiewywało serenady. Śpiewano na głosy:

„Raz pod balkonem u pięknej donny...” albo: „Bum-ta-ra-bum-ta-ra jak ta banda pięknie gra - ta banda, ta banda, ta banda pięknie gra!” Madzia

- szczęśliwa, że się może wyszumieć i wyśpiewać - włączyła się wraz z nimi ze swoją gitarą, śpiewając namiętnie tak modną wówczas *La valse brune*, rozłożoną przez Jasia na głosy. Lilka nie brała udziału w tych nocnych serenadach. Siedziała na Kozińcu i dumiała, czekając powrotu swojego męża trubadura. Jej myśli nie były już takie radosne jak przed ślubem, bo też i życie na Kozińcu nie skłaniało ku radości, było dziwne i niepokojące. Po korytarzach słyszała poetka jakieś kroki, które zbliżały się, podchodziły do drzwi i milkły. Nad drewnianym pułapem coś łomo-tało dziwnie - nietoperz... kot?... Drzwi otwierały się same i z trzaskiem zamykały.

- To wiatr - mówiła stara pani Pawlikowska, podobna do zgarbionej wróżki, ale mówiąc to, uśmiechała się tajemniczo.

Do piwnicy ze świecą zeszła służąca Marysia - ale to był ktoś inny...

233

to był duch. ponieważ Marysia w tym samym czasie właśnie nakrywała do kolacji. Nie było chwili, aby coś człowieka nie przstraszyło, nie za-niepokoilo.

- Ktoś puka do drzwi, mamó!

- Nie słyszałam...

- Na pewno.

- Przywidziało ci się, moja Lilko.

Lilka siedziała w salonie na kanapie, zakutana w szal, i bała się okropnie.

Wiatr hulał na dworze, a Jaś gdzieś na dole ze swoimi kompanami.

Smutno bywało i strasznie. Po dużych, w zakopiańskim stylu utrzymanych izbach snuła się pierwsza ofiara, Maryna, czyli Maciuś, żona Michała. Spoglądała na nowicjuszkę z niepokojem pełnym litości, jak stary więzień na nowego więźnia, który nie zna jeszcze dokładnie obyczajów aresztu i nie wie, co go czeka. Wiedziała, że jeśli Lilka tu zostanie, to zrobią z niej to, co z niej zrobili: jakieś biedne, ledwie przyodziane stare dziecko, bez własnej woli, bez pieniędzy, z wiszącymi włosami, których dawno nie dotykała ręka fryzjera, pozbawione wszelkich kobiecych uciech, możliwości kupowania fatalaszków, chodzenia do kawiarni itp.

Dziecko, które się wcale nie powinno interesować tym, co robią starsi, czyli ich druga połowa, i małżeńskie zdrady powinno przyjmować z całą pokorą i uznaniem. Oglupianie ofiary, która przystała do ich rodziny, przeprowadzane było bardzo systematycznie. Przede wszystkim robiono z niej rodzaj półgłówka, który cokolwiek powie, wywołuje nie kończące się wybuchy radości całej rodziny. Lilkę irytowało to mocno, że gdy coś oryginalnego i mądrego powiedziała, to Jaś spoglądał na matkę, matka na ojca, Nusia na Jasia i wszyscy wybuchali śmiechem.

- Oj, Scurecku, Scurecku, jakiś ty głupi, jaki głupi!

Przyjętym i wypróbowanym systemem oglupiania żon było przemawianie do nich dziecinnym dialektem, zmiękczać sylaby i z lekka se-pleniać:

- Ci Maciuś nie dlodny? Ci Maciusiowi nie dać mlećta? Oj, Maciusiu, Maciusiu, jaty ti dlupi.

Tym idiotycznym, dziecinnym dialektem zarazili się na Kosińcu wszyscy.

234

Dadaizowali: ojciec, matka, Nusia, uroczą Marylę Wolską i jej dwie córki. Tylko jedna Lilka nie dała się do tego nakłonić. Aby wszystko było zharmonizowane, mężowie swoim starym dzieciom przywozili zabawki.

Nie przyszło im do głowy, że kobieta z krwi i ciała może potrzebować bluzki, kapelusza, torebki, parasolki. Tego rodzaju prezenty nie bawiły ich, natomiast bawiło ich skupywać na jarmarkach różne ptaszki z drzewa z ruchomymi ogonkami, malowane w ludowe ornamenty, lalki z drzewa, świstawki, gliniane dwojaczki i garnuszki. Na zakopiańskiej półeczce w pokoju Lilki stały drewniane pawie z szerokimi ogonami, smoki złożone z wielu ruchomych części, polichromowane kurczątko i gliniane sarenki. Państwo Kossakowie uważając, że ich starsza córka ma dość zamożnego męża, nie sprawiali jej nic nowego do ubrania, tym bardziej że wykosztowali się potężnie na przeprowadzenie jej unieważ-

nienia małżeństwa. Była zresztą inflacja, wszystko liczyło się na miliony, towarów było coraz mniej, a bezwartościowych pieniędzy coraz więcej.

Lilka przed wyjściem za mąż za Pawlikowskiego zarabiała wcale nieźle na sprzedaży swoich akwarelek, malowanych pod wpływem Dulaca i Rackhama, które znajomi rozkupowali. Urwało się

to jednak, bo Jaś sprzeciwił się temu kategorycznie mówiąc, że nikt z Pawlikowskich nigdy sztuką „nie kupczył” i że on jej to robić zabrania. - Ja będę od ciebie odkupywał twoje obrazki - rzekł dumnie i wspaniale, na czym się zresztą skończyło. Uważał, że sprawa jest załatwiona i że więcej do niej nie nale-

ży powracać. Lilka, jak prawdziwy artysta, który nie uznaje „sztuki dla sztuki”, ale pragnie mieć za to uczciwą zapłatę, zniechęciła się i przestała malować. Nieraz mówiła z goryczą, że wychodząc pierwszy raz za mąż, bez wielkiej miłości, miała wszystko, co jej było potrzebne, suknie i bieliznę, a teraz, gdy tak byłąby chciała podobać się swojemu Jaśkowi, nie miała nic nowego i ładnego do ubrania. Prezentów ślubnych tym razem nie było żadnych, wszyscy widocznie uważali, że wielka miłość powinna jej starczyć za wszystko. Tymczasem jest inaczej i miłość jako istota rodzaju żeńskiego bardzo potrzebuje rzeczy... Po roku Lilka zaczęła wyglą-

dem zbliżać się do wyglądu biednej Maryny Michałowej. Miała jeden 235

okropny granatowy płaszcz, długi do kostek, który ją przyklapywał i przygniatał, kupiony w jakiejś złej godzinie w Wiedniu, w znanej firmie Zwieback. Włosy zaczęły jej wisieć na karku w strąkach, a stare, nie od-

świeżane kapelusze, z wielkimi głowami, bynajmniej nie dodawały jej uroku. Jaś, wyższy ponad takie głupstwa, nie zwracał uwagi na nieko-rzystny wygląd swojej żony, ale za to zwracał uwagę na dobry wygląd innych kobiet. Lilka cierpiała, czuła się brzydka, zdeptana, zapuszczona.

Starła się, jak mogła, utrzymać miłość ukochanego męża i poświęcała się chodząc z nim po górach, co ją szalenie męczyło, i sypiając po tatrzańskich schroniskach, wracała wymęczona, często zaziębiona i nieszczęśliwa. Jaś tego wszystkiego nie dostrzegał. Nie dostrzegał również dziwnej mieszaniny wielkiej artystycznej kultury z drobnomieszczań-

skimi nawyczkami, które panowały na Kozińcu. Nie mogąc na dłuższą metę wytrzymać tej ponurej, dziwnej atmosfery, Lilka uciekła do Mamy, do Krakowa.

Kochany ciepły domek z wiecznie płonącym ogniskiem maminej mi-

łości rodzinnej, ze zniczem podwieczorkowym, który podsycali goście swoim zjawieniem się i który trwał wówczas aż do kolacji, z wielką maselniczką d l a w s z y s t k i c h , wydawał jej się rajem po czyścću. Ach, to Mamidło, które gościom samo nakładało na talerze kopyte porcje, wprost brutalnie zmuszało do jedzenia jak ów szlachcic, który ongiś stał

na rozstajnych drogach z beczką wina, chwycił przejeżdżających i tak długo zmuszał ich do picia, aż legli zalani w pestkę. Mamidło nakładało i nakładało coraz to nowe porcje i patrzyło, czy gość puchnie równomier-nie.

Lilka po dziwactwach Kozińca łykała tę ciepłą zasobną atmosferę, jak ryba, leżąca długo w mule, łyka czystą rzeczną wodę nagrzaną- słońcem.

Oglądała reprodukcje pod tytułem *Das Haus in der Sonne* duńskiego malarza Larsona, gdzie była też

taka rodzina, bardzo się kochająca, i dużo dzieci, ogródek, kwiaty, weranda. Kossakówka też mogła nosić nazwę „domu w słońcu”, jakież tam wszystko było pogodne, nasiąknięte radością i zdrowym realizmem. Mama w dużym słomianym kapeluszu *à la* Wojski stała za plewiącą grządką dziewczyną i wydawała jej gromkie rozkazy. Czasem zdenerwowała się i zaczynała pracować za nią.

236

Malutką nóżką naciskała łopatę, ryła, wyrywała chwasty, a ponieważ bardzo dbała o swoje rączki, więc to wszystko robiła w starych zniszczonych rękawiczkach. Jej córki przez ten czas bujały się w hamakach, czytały książki, latem zażerały się bobem, a na wiosnę sałatką z rzeżuchy.

„Po cóż jechać do Turcji?” - pisała w tym ogródku poetka - w ogóle po co się gdziekolwiek jechało? Przecież i tak się tu musiało wrócić, bo to było najlepsze miejsce na ziemi. Porzucało się piękne zagraniczne miasta, porzucało się pięknych mężów dla tego „domostwa w słońcu”. Pawlikowska leżała w hamaku, przewracając się w nim z rozkoszą, a Duch domostwa w kapeluszu Wojskiego przychodził i pytał się, co chcą jeść na obiad.

- Może kurczęta ze śmietaną? - podsuwał Duch, ale potem zaraz dodawał - tylko że one takie drogie...

- Wszystko jedno, mamusiu, byle nie było zupy jagodowej! - wołała ze swojego hamaka Lilka. - Tak jak na Kozieńcu.

- Zupy jagodowej?! A w jakimże to porządnym domu podają zupę jagodową! Będzie rakowa albo chłodnik.

W tej epoce poetka, wygłodzona spartańsko-poetyczną kuchnią Ko-zińca, gdzie menu obiadowe składało się przeważnie z darów „lasów i pól”, przestawała być jaroszką i „elsem”, zażerała się wszystkim, co było smaczne i dobrze podane. Jaś, raczej ponury i milczący w swoim rodzinnym gnieździe, w tym słonecznym domu odżywał, stawał się znów uroczym mężem i towarzyszem muzycznych i akrobatycznych wyczynów Madzi. Gdy się rozchodzili z Lilką, przyznał się, że najwięcej mu będzie żal Mamidła.

W roku 1922 Maria Pawlikowska wydała w Krakowie swój pierwszy tomik poezji pt. „Niebieskie migdały”, oczywiście własnym nakładem: pieniądze na to wydawnictwo dał, jak zwykle, Tatko, bo któż byłby wówczas ryzykował pieniądze dla tak niepewnej pozycji jak wiersze początkującej poetki. Wyszły one prawie jednocześnie z „Na ustach grzechu” młodszej siostry, na co również ten kochający Ojciec musiał wyłożyć z własnej kiesy. Do obu pierwszych tomików zrobiła okładki sama poetka-malarka. Ale o ile „Na ustach” przyniosło od razu ogromny dochód (nakład rozszedł się w przeciągu dwóch tygodni), o tyle „Niebieskie 237

migdały” leżały całymi stosami na strychu Kossakówki i księgarnie niechętnie je kupowały za gotówkę. Pawlikowscy uważali ukazanie się zbioru wierszy Marii za objaw zupełnie w ich rodzinie naturalny. Wszyscy prawie, z którymi się bliżej zetknęli, mieli wybitne zdolności i talenty, już nie mówiąc, że i Michał był jakoby znakomitym poetą - no a Jaś, ten, gdyby chciał, zapędziłby Lilkę w kozi róg. Owszem, bardzo lubił i cenił

jej wiersze, ale nie przestawał mówić do niej protekcyjnie:

- Oj, ty Scurecku, ty głupi Scurecku...

Byłoby wielką niesprawiedliwością twierdzić, że Pawlikowscy nie przyczynili się do rozwoju talentu Marii. Przede wszystkim wielka, na-miętna miłość do Jasia była bodźcem do napisania najpiękniejszych erotyków, które znamy z najwcześniejszych dwóch tomików. Michał

bardzo po koleżeńsku zajął się wydaniem u swojego przyjaciela, Alten-berga, we Lwowie, drugiego, po „Niebieskich migdałach”, zbioru jej wierszy pod tytułem „Różowa magia”, do których poetka zrobiła sama oryginalne winietki. Była to książeczka wychuchana, wypieszczona, któ-

ra wyszła w bardzo niedużym nakładzie. Jaś robił z nią ostateczny przegląd wszystkich poezji, wyrzucali słabsze i zatrzymywali tylko te najdo-skonalsze. Byłby dla niej wymarzonem i wymodlnym mężem, gdyby...

nie prosta przyczyna, że szczęście daje mężczyźnie kobieta, ale zadowolenie - kobiety! Jedna to dla udanego samczyka za małe audytorium, nie ma się przed kim popisywać. Lilka powinna była znosić to z taką pokorą jak inne Pawlikowskie, a nie rozglądać się za nowymi mężczyznami. A tymczasem Lilusia poznała takich niezwykłych i interesujących panów, jak Maciej Starzewski, przyszły szwagier jej siostry, Leon Chwistek, a potem Staś Witkiewicz, ten cudny oryginał, którzy otaczali ją adoracją i podkochiwali się w niej. To był dla Jasia okropny zawód. Bo to, że żona Michała, w końcu zwyczajna całkiem istota, zaczęła zdradzać z przystoj-nym góralem swojego męża, to jeszcze było zrozumiałe, ale ta Lilka, ta poetka, ten niezwykły człowiek, sama cienkość i delikatność! To był

ciężki zawód i tego jej Pawlikowscy nigdy nie mogli przebaczyć. Ona tymczasem, flirtując z innymi, nie przestawała go kochać. Na wszystkich jej fantastycznych akwarelkach wyobrażony był zawsze on, raz jako bóstwo 238

trzymające na dłoni malutkiego motyla-kobietę albo w ręce kulę ziemską, na której się całuje jakaś zakochana para. Albo oni oboje spleceni uściskiem, lecący nocą w usiany gwiazdami wszechświat. Zawsze prosiła męża, aby jej do twarzy i rąk pozował. Czasem jednak jej model przeistaczał się w tych kompozycjach w złośliwego gnoma ze spiczastymi uszami, wydatną górną szczęką i szklanymi wylupiastymi oczami. Była to również fizjonomia Jasia, tylko w przerażającej karykaturze. Jaś od czasu do czasu udawał- małpę, robił to wręcz genialnie. Twarz mu się wówczas zmieniała, ręce wydłużały, zaczynał skakać po wszystkich me-blach, z szafy na podłogę, z podłogi na firanę, na której się huśtał, z tępą mordą pawiana. To już nie była sztuczka, to była jakaś przerażająca ideoplastyka i nikt poza nim nie potrafił tego dokonać. Wieczorem, na Kozińcu, Lilka siedzi z Jasiem w ich pokoju, nagle jemu zaczyna „zanosić się na małpę”. Dolna szczeka wysuwa się naprzód, pod górną wkłada język, aby ją uwypuklić. Brwi nasuwa na oczy. Przykurczony skacze z krzesła na stół, porywa ze stołu czekoladkę czy kawałek cukru i gryzie go zezując. Z tępą miną drapie się w zadek albo lewą ręką w prawą stronę szyi. Lilce przechodzą po krzyżu zimne dreszcze.

- Jasiu, przestań, błagam cię!

Ale on nie słyszy. Skacze jednym susem na firanę i huśta się na niej zawieszony na jednej ręce.

Światło świec rzuca z Jasia-małpy niepokoją-

ce cienie po ścianach, wyolbrzymia i czyni z niego jakiegoś King-Konga ze słynnego filmu. Lilka przerażona chowa się w kącie koło pieca, bo nie wiadomo, co małpie przyjdzie do głowy. Raz już było tak, że skoczyła jej na plecy i oboje wywrócili się na tapczan. Madzia pęka ze śmiechu, szalenie ją to bawi i nie rozumie, dlaczego „robienie małpy” tak Lilkę przeraża? Próbuje nawet sama tej sztuczki, ale jej się nie udaje. Lilka, widząc to, wzrusza ramionami.

- Nie próbuj nawet, Madziusiu - mówi ze smutkiem. – Na to, aby tak udawać małpę, trzeba ją mieć w sobie, rozumiesz? A cóż ty? Ty mo-

żesz mieć w sobie co najwyżej poczciwe ciele... Wiesz, boję się, że ta małpa, która w Jasiu siedzi, zrobi mi kiedyś jakąś wielką krzywdę...

239

Lilkę, gdy była małą dziewczynką, nawiedzał dziwny sen, który się powtarzał w podobnej formie. W tym śnie posiadała zdolność pływania w powietrzu. Wstydziła się tego trochę, ponieważ nikt tego nie potrafił, i gdy rodziny nie było w pokoju, stawała na stole, składała ręce na piersiach, jak do skoku, i pływała po pokoju niby po basenie. Raz Mama przyłapała ją, gdy pływała wysoko pod sufitem.

- Co Lilka tam robi pod sufitem?! - zawołała surowym głosem. -

Proszę natychmiast zejść, usiąść jak wszyscy przy stole i przeżegnać się, aby jej takie pomysły więcej do głowy nie przychodziły. Też maniery!

Opowiadała Madzi ów dziwny sen, mówiąc, że o rozkoszy pływania w powietrzu nie może mieć pojęcia ten, który nigdy tego nie zaznał... O

tym śnie napisała w wiele lat później wiersz, który nosił tytuł „Najpiękniejszy sen”, zaczynający się od strofki:

Wczoraj śnił mi się znów dla odmiany

najpiękniejszy mój sen - niezrównany o pływaniu w powietrzu jak w wodzie.

Symbolika owego snu wydaje się dość łatwa do odszyfrowania. Ona umie to, czego nikt z jej otoczenia nie potrafi, to znaczy unieść się ponad ziemię - czyli, jak to się mówi banalnie o poetach, „bując w obłokach”.

Postać Matki, która chce ją z powrotem ściągnąć na ziemię, to te wszystkie przesady, przykazania, tradycje, które ją prześladowają. Pawlikowski ze swoimi imitatorskimi zdolnościami potrafił przed ślubem razem z nią pływać w powietrzu. Po ślubie usiadł na ziemi, przyznał się, że tylko udawał, że już nie potrafi i że go to szalenie nudzi... Po kilku latach obopólnej szarpaniny ożenił się z uczennicą znanej Rity Sachetto, śliczną, młodziutką tancerką, z którą miał córkę. Z nią przynajmniej nie potrzebował udawać, że umie pływać w powietrzu. Drobnomieszczaństwo weszło w jego życie wraz z kredensem z orzecha kaukaskiego, lepem na muchy i pierzyną. Komfort, wygoda i dobra obsługa do

końca życia.

Pawlikowscy bardzo serdecznie przyjęli drugą żonę Jasia, tak jak ongiś Lilkę, uważając, że wszystko, co któryś z nich robi, jest dobre i sprawiedliwe. Jeden stary Jan Gwalbert niezadowolony był z owej zamiany, bo 240

synową-poetkę bardzo lubił i cenił. Zachował się list Jana Gwalberta z owych czasów, kiedy Jaś ze swoją ukochaną miał jechać do Paryża i zwierzał się ojcu ze swoich sercowych kłopotów, bo przecież do Lilki był

też bardzo przywiązany:

Bardzo z Tobą współczuję, moje (kiecko drogie - ale któż takich rzeczy nie przechodził. Zawsze po kłopotach przychodzą dni lepsze. Kiedy wracasz do Paryża, i kiedy wraca Madzia? - (była wtedy na Francuskiej Riwierze) - Proszę, by Madzia przywiozła mi ze 200 takich papierosów, jakie pali p. Wojciech.

Całuję Was bardzo serdecznie - Ojciec.

Po czym dopisek:

Proszę Cię, abys jeszcze raz dobrze wszystko rozważył, zanim zerwiesz.

Byłoby może lepiej, abys do Krakowa pojechał, a stamtąd do Francji.

Były takie miesiące, kiedy Jaś, jak dawni zamożni Chińczycy, posiadał dwie żony - młodszą i starszą. Tę młodszą przywiózł z Paryża na Francuską Riwierę do Nicei, gdzie właśnie przebywały obie nasze siostry. Przyjaciółkę ulokował w jakimś pensjonacie, a sam wolał zatrzymać się tam, gdzie mieszkała jego żona z siostrą. Lilka ucieszyła się bardzo jego widokiem. Rzucili się sobie na szyję.

- Ach, Kwaku! - zawołała (tak go często nazywała). - Jak to dobrze, żeś przyjechał, strasznie się cieszę!

- Ale Wally też ze mną przyjechała - mruknął „Kwak”.

- Nie szkodzi, byle nam zanadto nie przeszkadzała...

W Nicei szalał wówczas karnawał, najślynniejszy kicz pod słońcem.

Ohydne kartonowe kukły kiwały się na wozach usłanych kwiatami. Deptało się po mimozach, goździkach i fiołkach. Miejscowe paupry obrzuca-

ły przechodniów drobnymi kawałkami wapna, które w torebkach kupowało się w kioskach. Przeciw tym bolesnym uderzeniom nakładało się maski druciane, przypominające te, których używano do fechtunku.

Wracało się do domu, mając we włosach pełno confetti i brodząc wśród płaczących się zwojów

kolorowych serpentyn. Amerykanie szaleli z radości i gremialnie zjeżdżali na tę zabawę dla głupich starych dzieci. Jaś, który wydobył z dzierżawy swojego majątku ziemskiego grubszą 241

forse, zapraszał obie siostry na wystawne kolacyjki, obiadki, zapraszał

też do teatru, był miły i rozkoszny. Przyjaciółeczkę odwiedzał w południowych godzinach i nic nie zanosilo się na to, aby sprawa miała przybrać obrót tak poważny. Lilka, pełna dobroci i wyrozumiałości, chodziła z nim razem po sklepach wybierając sukienki i pantofelki dla Wally.

Kociaki od wieków miały jednak na cudzych mężów sposoby dane im wprost od natury. Takim odwiecznym sposobem jest... dziecko. Jaś, nie mówiąc jeszcze żonie, na co się zanosil, pojechał z przyjaciółeczką do Paryża, gdzie niedługo miały się udać i obie siostry wraz z... wiewiórką.

Na tle owych konfliktów małżeńskich, kiedy żona czuje, że już nie odnajdzie w swoim mężu dawnego kochanka - oboje, nie mogąc się jak zrosnięci bracia od siebie oderwać, decydują się na operację. - Pawlikowska napisała sztukę wierszem pt. „Bracia syjamscy”, która nigdy nie została wystawiona, a tylko we fragmentach drukowana była w „Cyruli-ku”. W tej sztuce wyraźnie przedstawia poetka siebie i swojego męża, pragnie rozcięcia węzła, który ich mocno łączy, a zarazem i lęk przed tym. Akcja rozgrywa się w Tatrach, gdzie ta małżeńska para błądzi i gdzie spotykają prawdziwych „zrosłaków” - „braci syjamskich”, którzy są symbolem ich sytuacji. Dziwna ta sztuka kończy się operacją obydwóch par. Małżeńska para znajduje w tatrzańskim schronisku nowe obiekty miłości - „zrosłaki” zaś decydują się na zabieg operacyjny. Oto fragment z tej jedynej przez nią napisanej sztuki wierszem: AGNIESZKA

Ach, jakiś ty blady! (Pauza - oboje patrzą w góry) Po coś ty mnie ratował? jeśli się miłuje

tego, który się męczy i który się truje,

tego, co tonie w morzu lub w przepaść się toczy, nie trzeba go ratować. Trzeba za nim wskoczyć.

AGENOR

Wiesz co? Zróbmy wycieczkę

i nie wrócmy więcej.

242

AGNIESZKA

Pewnie, do czego wracać?

AGENOR

Na cóż żyć po świecie...

Pójdziemy w dzień deszczowy, szary, rozplakany tą samą skalną ścieżką, przez te same ściany –

*na urwisku wznoszącym twardą głowę sępią
żywoty nasze mgliste jak mgła się rozstrzepią.*

*Rozedrą się po sosnach i w przepaść opadną
stęsknione, aby upaść jak najniżej na dno...*

Albo wiesz, co ci powiem? Zrobimy inaczej...

Edward przyniósł z apteki trochę sublimatu, Wypijemy go razem...

AGNIESZKA

Coo?

AGENOR

Na zdrowie świata.

Wpierw musi się rozpuścić.

(miesza w wodzie sublimat)

AGNIESZKA

Czy ja zaraz zasnę?

AGENOR

Tak, wszystko, co się stało, jest proste i jasne, sprzykrzyliśmy się sobie, kochając się dalej.

Stąd te wszystkie urazy i wzajemne żale.

Rzecz tak prosta, a straszne rodzi komplikacje...

AGNIESZKA

Tak mnie nienawidzisz,

że wolisz śmierć ode mnie?

AGENOR

Znowu? widzisz, widzisz,

choćby po to, by więcej tych rzeczy nie słyszeć.

Dość tych skarg, które szarpią - wolę ciszę...

AGNIESZKA

Ciszę...

AGENOR

Zresztą nie czuję serca, jakżeż żyć bez niego, bez serca, co jest życia alfa i omega?

Śpieszmy się, bo kto wejdzie i sen od nas spłoszy.

Podnieśmy więc ten kielich ostatniej rozkoszy!

(wchodzi góralka, patrzy przez okienko schroniska) Rozdział XX

MAŁŻEŃSTWO MAGDALENY

Starzewscy byli znaną patrycjuszowską rodziną krakowską, tak bardzo krakowską, iż nie można sobie wyobrazić, aby się mogli byli gdziekolwiek indziej urodzić. Już jak się weszło do ich obszernego apartamentu na ulicy Sławkowskiej, uderzał w nos zatęchły wiew starego Krakowa, w którym się nic nie zmieniało od lat. Surowy luksus mebli z czasów Księstwa Warszawskiego, antyczna rzeźbiona gdańska szafa, stary mieszczański kredens, zawierający kryształ i porcelanę, których się używało tylko dla gości, objaśniały z powagą, że w tym starym mieszkaniu, w tej rodzinie życie bierze się na serio i że gdyby któraś z istot żeń-

skich, zamieszkujących te apartamenty, popełniła jakieś *faux pas*, wszystkie te zacne meble odwróciłyby się do niej tyłem, a drzwi same by się otwarły, aby wypuścić ją i na zawsze się za nią zatrzasnąć. - Nie nale-

ży robić z kochanki żony, a z żony - kochanki - mawiał zacny i czcigodny rejent Starzewski swoim synom, podnosząc palec do góry. Starszy z sy-nów, Maciej, uśmiechał się pobłażliwie słuchając tego rodzaju przestróg ojcowskich; przebywając długo we Francji przesiąkł latyńską kulturą i paryską lekkością i dorósłszy stał się jednym z największych flirciarzy krakowskich. Ze swoim błyskotliwym, a przy tym głębokim umysłem, dowcipem i wielkim odczytaniem przypominał raczej swojego stryja Rudolfa, naczelnego redaktora „Czasu”, niż własnego ojca. Rejent Tadeusz Starzewski, prowadzący interesy majątkowe całej krakowskiej arystokracji, miał dla niej, jak wielu zamożnych mieszczan, nieodpartą słabość i chętnie zaznaczał swoje pochodzenie szlacheckie, dodając do nazwiska przydomek Ostoja. Tę słabość odziedziczył po nim młodszy syn, Jan. Maciej zaś był raczej snobem na ładne kobiety i utalentowanych mężczyzn.

Cały zresztą styl życia tej zacnej rodziny był tak. typowo mieszczański, że 245

wielki herb na portrecie dziadka Starzewskiego i jego wydatny abdomen pod szlacheckim kontuszem oraz bujna siwa czupryna i sarmacki wąs wyglądały nieszczerze, sztucznie i nie miały żadnego do siebie od-powiednika. W tym czcigodnym krakowskim domu nigdy zimą nie otwierało się okien (bo któreś z dzieci mogłoby się zaziębić), prowadziło się gospodarstwo bardzo oszczędnie, aby na

starość było z czego żyć i za co umrzeć i, dbając o umysłowy rozwój latorośli, zaniedbywało się najzupełniej ich stronę fizyczną, co w owych patrycjuszowskich domach krakowskich było rzeczą bardzo charakterystyczną. Synów przygotowywało się z góry na naukowców, a dziewczęta na skromne i ciche żony i matki, uległe swojemu mężowi i panu, tak jak cichutka i gospodarstwu oraz dzieciom tylko oddana żona rejenta Starzewskiego. W tych rodzinach panował również, rzecz można, jakby „kult choroby”, który w wielu krakowskich domach istnieje do dzisiejszego dnia. Każde dziecko już jak gdyby z góry przeznaczone było na to, iż m u s i przejść wszystkie dziecięce choroby, jak odra, szkarlatyna, wietrzna ospa, świnka, etc, i gdy któreś z dzieci j e s z c z e nie przeszło szkarlatyny, rodzice byli mocno zaniepokojeni i niemal oddychali z ulgą, gdy w r e s z c i e na tę chorobę zapadło. W rodzinie Starzewskich dzieci - oddychając zgniłym powietrzem nie wietrzonego mieszkania, nie uprawiając żadnych sportów, które w rodzinach ziemiańskich były już na porządku dziennym - zapadały na choroby płucne jedne po drugich. Młodszy Starzewski, Jan, prątkując, wiele miesięcy przesiedział w sanatorium w Davos, a jego śliczna siostra, pani Gorczyńska, umarła na gruźlicę mając dwadzieścia kilka lat. Starszy Starzewski, Maciej, z dnia robiąc noc, a z nocy dzień, spędzał czas na czytaniu książek do rana, zapijając się czarną kawą i paląc mnóstwo papierosów - co nie gorszyło i nie dziwiło nikogo.

Choroba - ciężkie zaziębienie z wysoką gorączką - zaręczyła Madzię z Jasiem. Lekkomyślna panienska nie przyszła kiedyś na schadzki z adoratorem, która zwykle miewała miejsce na moście Dębnickim. Adorator czekał godzinę, w końcu, przewiany wiatrem od Wisły i przemoczony wiosennym kapuśniaczkiem, wrócił do domu z wysoką gorączką. Napisał

246

do niej list z wyrzutami, że to ona jest przyczyną jego choroby, zaklina-jąc ją, aby przyszła do niego, bo chciałby ukochaną przed śmiercią jeszcze raz ujrzeć. Przestraszona Magdalena, przekroczywszy zasady dobrego wychowania, które zabraniały panience z „towarzystwa” odwiedzać młodego człowieka w jego mieszkaniu, nawet gdyby był umierający, weszła w próg domu Starzewskich, aby z niego już nie wyjść. Zebrana u

„wezglowia” chorego rodzina przyjęła ją już jako narzeczoną i w kilka dni później ojciec Starzewski, bardzo godny i uroczysty, w długim tużur-ku i spodniach w paseczki, przyszedł do Marny Kossakowej oświadczyć się o rękę panny Madzi. Państwo Kossakowie byli w wielkiej rozterce.

Młodemu Starzewskiemu nie można było nic zarzucić: był mądry, uczo-ny, na drugim roku prawa, mówił ślicznie po francusku... jego ojciec uchodził za ciężko zamożnego pana. Wiedzieli jednak, że atmosfera artystyczna źle się łączy z atmosferą mieszczańską i nie przypuszczali, aby ich córka mogła się w niej dobrze czuć.

- Jeszcze się zastanów, moje dziecko - mówiła zatroskana Mama.

Tatko zaś był stanowczo przeciwny temu małżeństwu. Okrągły, niewy-sportowany, choć przystojny, młody Starzewski, o raczej kobiecej urodzie, był przeciwieństwem tego, co Wojciech wymarzył dla swojej młodszej córki. Ale Jaś pisał do narzeczonej wiersze i wydał tomik poezji legionowych - więc jakżeż ona mogła się oprzeć p o e c i e !

- Za którego Starzewskiego wychodzisz za mąż? - pytały się jej przyjaciółki.

- Za tego p o e t ę - odpowiadała podnosząc główkę wysoko do gó-

ry.

W wierszach Jana były wszystkie rekwizyty młodopolskiej poezji, takie jak „gromy”, „błyskawice”, „mroki”, „nurty”, „tęsknica”, „głębiny”,

„anioły” i „królewskie córki” oraz „przemodne pragnienie” i „pęknięte struny”. I tak jak kobiety, które w danej epoce noszą jednakowy krój sukien i jeden fason kapeluszy, tak samo słabi poeci trzymają się ściśle danej mody, używając tych samych słów i określeń. I nagle, podobnie jak jakaś sławna aktorka, która w kobiecej modzie robi przewrót, zjawia 247

się wielki poeta i stwarza własne nowe zwroty, nie używane porównania

- wtedy w kącie idą wyświechtane słowa-rekwizyty i zaczyna się nowa epoka w poezji. Pawlikowska, która wraz z młodzieńcem Tuwimem stanowi-

ła właśnie tę parę wielkich poetów nowatorów, wydrwiwała wzniosłe wypociny młodego Starzewskiego, co głupia Madzia uważała z jej strony za objaw zazdrości o wielki talent poetycki narzeczonego. Poza tym kariera dyplomatyczna, której miał się poświęcić Jaś, bardzo się Magdalenie uśmiechała. Zwiedzanie obcych krajów było zawsze jej największym marzeniem. A oprócz tego... zaręczynowy pierścienek. Wstyd po prostu przyznać, ale bardzo dużo panien w owej epoce zaręczało się dla pier-

ścienka. Była to nie tylko sama próżność noszenia na palcu brylantu z rubinem lub szafirem, ale jeszcze symbol czyjejś d o z g o n n e j miło-

ści, którą taki pierścień wyobrażał. Tu jednak spotkał panienkę ciężki zawód, ponieważ sam pan rejent poszedł kupić ów pierścienek i, jako że był przesadnie oszczędny, wybrał najtańszy, jaki posiadała słynna firma Glixeli. Była to po prostu zwykła złota obrączka z szafirem-kaboszonem, który w dodatku okazał się rekonstruowany. Cała złośliwa rodzina Kossaków wyśmiewała zaręczynowy pierścienek Madzi. Przyję-

tym zwyczajem owych niezdrowych czasów było również, aby naręczony wykoshowywał się na kosze kwiatów dla przyszłej żony i przysyłał jej przez posłańca wielkie pudła czekoladek. Jaś, którego ojciec od małeń-

kości uczył skrajnej oszczędności, tylko raz przysłał naręczonej kosz białych róż, potem zaś twierdząc, że to jest oryginalniejsze, przynosił jej naręcza bławatków, maków i margerytek, co znów wywoływało ironiczne uwagi ze strony jej rodziny. Za to, biedny, co dzień ofiarowywał jej w darze wiersz pisany „krwią serdeczną”, jak na przykład ten pod tytułem

„Mogę Cię nazwać Królową”, który nie był wcale gorszy od wszystkich tych, jakie nieznani poeci drukowali w „Tygodniku Ilustrowanym” i

„Świecie”.

Mogę Cię nazwać Królewną

moich kapryśnych snów,

bo jesteś jak sen niepewną –

mam Cię i tracę znów.

248

Lecz szczęściem nazwę Cię swoim

(najdroższyś Ty w świecie dar),

choć jesteś mi niepokojem

zmienna jak mgieł opar.

Ale nie nazwę Cię złudą

ni ogniem, co spala się, drży,

bo w piersi Twej duszy cudo,

jak drogi kamień się skrzy -

Ach, z tą duszą! Biedny Starzewski, wychowany „na duszy”, pragnął

gwałtem wykrzesać ją z krzepkiej, wysportowanej Madzi, która potrafiła wypływać w morze tak daleko, że brzeg ginął w oddali, która na rowerze zjeżdżała z góry, nie trzymając się rączek, i całe przedpołudnia spędzała na placu tenisowym. Pomylił się biedaczek i musiał potem za to ciężko pokutować.

- Chciałbym - rzekł raz wzniosły młodzieniec - abyś przestała nareszcie być tą M a d z i ą , a zaczęła być Magdaleną.

- Ale właściwie dlaczego?

- Bo jesteś niepoważna...

Byłby ją może i przerobił, bo panienka była jeszcze i wówczas miękka i podatna jak rozgrzany воск, ale ta rodzinka! Oprócz pani Kossakowej wszyscy w tej rodzinie byli niepoważni: ten rozbrykany, żywiołowy Ojciec, który lubił klepać swoje dorosłe córki po pośladkach, jakby to były klacze, i brał je na kolana jak małe dziewczynki. A jak je obcałowywał, jakie im mówił komplementy! Nikt w rodzinie Starzewskich nie byłby sobie na coś podobnego pozwolił. Zupełnie niepoważny Ojciec! A

ta Lilka - owszem, dobra poetka, ale przecież też nie na serio. Przy stole, zamiast jeść jak wszyscy, klęczy na krześle i pisze wiersz, potem nagle odkłada ołówek i z bardzo poważną miną mówi coś takiego, że wszyscy pękają ze śmiechu. Ta starsza siostra to wróg numer jeden. Wytrzeszcza na niego swe olbrzymie niebieskie oczyska, pełne krytyki i ironii. Jej narzeczony, Jaś Pawlikowski, też kawał wariata. Ci ludzie są z niepraw-dziwego zdarzenia i doprawdy trzeba być szaleńczo zakochanym, tak jak on nim jest, aby to wszystko wytrzymać. No i lekkomyślni do obłądu!

249

Kossak przecież zarabia ciężkie pieniądze, ale ciągle siedzi w długach i na Kossakówkę coraz to przychodzi komornik pieczętować meble. Jaś otrząskany jest z pisarzami i artystami, bo i Boy u nich bywa, a Zygmunt Nowakowski to wielki przyjaciel jego i kolega brata, Macieja. Zna Malczewskiego i Wyczółkowskiego, ale nikt z tych artystów nie zachowuje się tak i nie żyje równie lekkomyślnie jak rodzina Kossaków. A i ten szął

prezentów! Zrozumiałe jest, gdy ktoś ma imieniny, ale tutaj bez powodu wszyscy sobie co dzień robią jakieś drobne podarki. Mama Kossakowa znajduje pod serwetką rękawiczki, takie o jakich marzyła; Madzia od Lilki otrzymuje bez powodu wodę kolońską lub perfumy i zaraz sama leci do miasta, aby Lilce też coś kupić. Wojciech przynosi Maniusi co dzień pudełko gorzkich czekoladek od Redolfiego, a Manusia wyszukuje mu takie papierosy, jakie tylko on lubi. Wyrzucają pieniądze na głupstwa, a potem nie mają na płacenie podatków i weksli... On musi Madzię od tych wielkopańskich gestów odzwyczaić, bo inaczej oboje pójdą z torbami.

Stosunek tych obu sióstr do siebie jest jakiś histeryczny i z niepraw-dziwego zdarzenia. Kochają się obłądnie i nie mogą bez siebie wytrzymać ani dnia, a przy byle okazji biorą się za łby, rzucają na siebie cięż-

kimi przedmiotami i przeklinają się nawzajem:

- Zobaczysz, że będziesz mieć pecha przez tydzień!

- A ty przez cały miesiąc!

Ale wystarczyło, aby która się zakatarzyła i żeby się położyła do łóżka, a już tamta sterczała przy niej cały dzień, przynosiła jej kwiaty, nową koszulę nocną albo cukierki.

- Masz, masz, moja najdroższa, tylko nie choruj, błagam, bo mi serce pęknie!

Sławny był telegram Lilki do lecznicy, w której Madzia przechodziła jakąś drobną operację. Po wycięciu wyrostka Madzia twierdziła, że się dusiła podczas narkozy i jak się obudziła, miała skrwawiony język. Lilka zapamiętała sobie ten fakt i w wiele lat później depeszowała do lekarzy Madzi:

Uważajcie bo moja siostra połyka język PAWLIKOWSKA 250

Kiedyś, gdy Madzia była z Ojcem w Poznaniu, a Lilka siedziała w Gdyni, Magdalena miała ponury sen. Śniło jej się, że widziała swoją siostrę leżącą na brzegu morza, a obok niej stał ksiądz z

Ostatnimi Sakramentami. Przerazona wysłała natychmiast do niej telegram tej treści: *Zły sen bardzo niespokojna. Odpowiedz natychmiast co się stało* MADZIA

Tego samego dnia przyszła od starszej siostry bardzo logiczna odpowiedź, która pełnego zawsze humoru Tatkę wprowadziła w szal radości.

Brzmiała tak:

Byłoby u gazetach LILKA

Starzewski bardzo nie lubił owej niezwyklej siostry, przeczuwając w niej nie lada dla siebie konkurencję. Zazdrosny był nie tylko o miłość swojej narzeczonej do niej, ale również o liczne talenty Pawlikowskiej, której i talent malarski rozwijał się obiecująco. Madzia zaś miała tylko zdolności do tak zwanej sztuki stosowanej i pod kierunkiem prof. Warchałowskiego i Buszka robiła prześliczne i niezwykle batiki. Założyła nawet w ostatnich latach swojego panińskiego żywota batikarską pracownię, w której pracowały dwie najlepsze uczennice z Muzeum Przemysłowego i stąd wychodziły bezkonkurencyjne szale i makaty, jakie Magdalena wysyłała na sprzedaż do Warszawy.

Do Lilki przychodził, udzielając jej lekcji rysunków (które, nawiasem mówiąc, mogła ona sama dawać), dziwny i dość niesamowity malarz, pan Hopliński. Uważał on, że każdy człowiek może osiąść sztukę malowania i że nie ma człowieka do malarstwa niezdolnego. Założył w Krakowie szkołę, gdzie uczył młodzież robić portrety naturalnej wielkości według kratki, którą się później powiększało. Uzyskiwało się w ten sposób podobieństwo, ale ze sztuką nie miało to nic wspólnego. Poza tym był propagatorem malarstwa kompozycyjnego i każde z jego uczniów lub uczennic, nie potrafiąc jeszcze rysować i operować kolorami, musia-

ło namalować kompozycję na temat różnych znanych baśni. Wychodziły z tego zupełnie dziecinne prymitywy, które przecież nieraz bardzo były interesujące i zabawne. Wiele panienek z krakowskiego towarzystwa 251

uczęszczało z zapałem do owej nowatorskiej szkoły, komponując nieudolnie fantastyczne obrazki akwarelą, temperą lub olejno. Między nimi znajdowała się również i Magdalena, która zawsze miała czas na wszystko. Z tych dorosłych „cudownych dzieci” ona jedna, „dziedzicznie obciąż-

zona”, była zdolna, chociaż jej kompozycje, które malowała temperą, a później powlekała werniksem, nie wróżyły wielkiego talentu. Hopliński, będąc wyraźnie zazdrosny o prawdziwy i samorodny talent starszej z Kossakówien, postanowił zrobić z młodszej znakomitą malarzkę, jakąś drugą Stryjeńską. Wmawiał w nią niezwykle zdolności i szatańsko pod-szeptował do uszka, że niedługo stanie się niebezpieczną konkurentką swojej siostry, a nawet... sławnego Ojca. Należy zaznaczyć, że te obie panny, mimo iż tak się kochały, były o sobie bardzo zazdrosne i wciąż ze sobą rywalizowały. Lilka dążyła do tego, aby w rodzinie była tylko jedna utalentowana córka, Madzia zaś za nic w świecie nie chciała się na to zgodzić, w czym jej pomagała „matka geniuszów”, pani Manusia. Jaś Starzewski zachwycony wszystkim, co jego Madziatko robiło, był również zdania, że młodsza siostra posiada takie same zdolności jak starsza.

Przed wakacyjnymi feriami mistrz Hopliński postanowił zrobić publiczny pokaz prac swoich

uczniów. Na tej wystawce największą pozycję zajmowały duże kartony Madzi, z których jeden wyraźnie swoim tytułem wykazywał nie tyle zdolności malarskie przyszłej autorki „Na ustach grzechu”, ile jej wrodzony dowcip. Karton przedstawiał wielką głowę matki ziemi, po której czole jedzie człowiek na osiołku. Tytuł kompozycji brzmiał: „Matka Ziemia i Ojciec Osioł”. Hopliński zacierał ręce z radości, oglądając te „arcydzieła”, i cieszył się w duszy, że ta pewna siebie i zarozumiała pani Lilka pęknie z zazdrości, gdy ujrzy tak bogato reprezentowany talent młodszej siostry. Nie liczył się jednak z mściwością tej starszej, która, dowiedziawszy się o „wernisażu” w szkole Hoplińskiego, wpadła tam wcześniej rano w momencie, kiedy mistrz rozczulonym okiem oglądał prace swoich uczniów, już rozwieszane na murze, i bez słowa poczęła kartony Magdaleny zrywać ze ściany i zwijać w rulon. -

Pani Lilo, co pani wyprawia! Czy pani oszalała?!

252

- Nie zgadzam się, aby moja siostra kompromitowała nazwisko Kossaków, rozumie pan?

- Ale jakim prawem?! Przecież to moja uczennica i moja wystawa!

- Ale moja siostra. Może pan sobie urządzać swoją wystawę, ale bez jej bohomazów! Po co się podpisywała naszym nazwiskiem!

- Przecież to było *clou* całej tej wystawy!

- No to zostanie *clou*, czyli gwoździe w ścianie, po jej w i e l k i e j t w ó r c z o ś c i .

Biedny mistrz był tak załamany, że już nie oponował. - Z taką wariatką lepiej nie zaczynać - pomyślał zapewne. Olbrzymie oczy Lilki ciskały ogień, malutkie różowe usteczka miała zaciśnięte groźnie. Z wielkim rulonem pod pachą powróciła jak zwycięzca do domu. Pokaz dzieł

uczniów mistrza Hoplińskiego wcale się nie odbył.

Splakaną Madzię zła siostra całowała i głaskała.

- Madziusiu, nie płacz, będziesz mi jeszcze kiedyś wdzięczna. Przecież to byłaby dla ciebie tylko kompromitacja, wierz mi. Dam ci za to moją bluzkę, która ci się tak podobała!

- Takie śliczne obrazki - chlipała Madzia.

- To ma być śliczne?! - zawarczała zła siostra, rozkładając na dywanie królewiczów malowanych batikowym systemem, smoki w kwiatki i motyle, stylizowane drzewa z ptakami o rybach ogonach. - To są najstraszliwsze kicze, jakie kiedykolwiek w życiu widziałam! Rób ty dalej swoje batiki, bo to umiesz i robisz dobrze, ale przestań mnie naśladować nieudolnie, bo z tego i tak nic nie wyjdzie. No, Madziusiu najdroższa, przestań płakać, bo mi się serce kraje. Jak nie chcesz bluzki, to sobie weź

tę różową pikę, z której miałam mieć suknię... Przecież zrozum, maleń-

stwo, że nie wszyscy w naszej rodzinie muszą mieć talent malarski!

Starzewski był oburzony.

- Jak ona śmiała coś podobnego zrobić! - buntował swoją narzeczoną. - A wszystko przez zazdrość. Powinnaś była pójść i z powrotem pozawieszać na wystawie swoje kompozycje. Mnie się one o wiele więcej podobały niż jej obrazki.

253

- A może to naprawdę były kicze... - westchnęła Madzia, która posiadała zawsze dużą dozę samokrytycyzmu. W końcu Lilka się przecież na sztuce zna i nie byłaby tego zrobiła, gdyby to były rzeczy udane.

Starzewski, który, jak już wspominaliśmy, brał życie nader poważnie, nie mógł darować Madzi jednego jej wystąpienia, które miało miejsce na dworcu krakowskim, kiedy on, jako „legun frontowy” ze sztabu Sikorskiego, przyjechał na urlop do Krakowa. Madzia zapisała się wówczas do Poczty Polowej. Była to instytucja, gdzie się mało co robiło, ale natomiast miało się prawo do otrzymania amerykańskiej sportowej koszuli, kepi i opaski na ramię z napisem „Poczta Polowa”. Wspaniale wyglądała ta mała figlarka w kostiumie z angielskiego materiału *khaki*, w zajęczego koloru koszuli z brązowym krawatem i furażerze nałożonej na bakier.

Aby się bardziej upodobnić do wojaków z armii amerykańskiej, nosiła skórzaną laseczkę z rączką zagiętą jak kij do golfa. Wszyscy na ulicy uśmiechali się do dziarskiej żołnierki, pewnej, że zachwyci narzeczonego swoim wyglądem. Gdy zasapany i zziębnięty pociąg wtoczył się na peron, Madzia podbiegła do okna, z którego wychylała się nie ogolona twarz narzeczonego. Mundur miał źle skrojony, pobryzgany błotem, owijacze zniszczone i brudne. Będąc przydzielony do sztabu, nie musiał wyglądać aż tak bardzo „frontowo”, była to z jego strony też poza, tylko w odwrotnym kierunku niż u jego eleganckiej narzeczonej. Zmarszczył się na widok sznytowej panienki, która trzymając w ręku nieodłączną laseczkę, rzuciła mu się na szyję.

- Co ma znaczyć ten gogusiowaty mundurek i ta laseczka? - zapytał

odsuwając ją od siebie.

- Jak to co? Pracuję w Poczcie Polowej. Wszystkie tak chodzimy ubrane...

- Nawet z tak strasznej rzeczy, jak wojna, robisz hecę. Nie jesteś w stanie nic brać poważnie.

- A ja myślałam, że będziesz zachwycony...

- W każdym bądź razie ze mną tak na ulicę nie wyjdiesz...

Szli pochmurni, nic do siebie nie mówiąc. Madzia westchnęła. Jaś wyglądał bardzo frontowo, ale to nie było wcale a wcale atrakcyjne.

254

Jakżeż bardzo daleki był on od jej ideału, którym byli piękni chłopcy angielscy na kartkach pocztowych Gibsona. Wciąż wmawiała w siebie, że go kocha, ale właściwie była to tylko wdzięczność za to, że on ją tak ado-ruje, no a poza tym tak zwana wówczas - nie wiadomo dlaczego - wola boża, która jej spać nie dawała. Po ślubie obiecywała sobie zakochać się w nim naprawdę. Przyszedłszy na Kossakówkę, „frontowy” oficer zwrócił

się z wyrzutami do pani Kossakowej, że pozwala Madzi tak chodzić ubraną.

Mama, która była zawsze kitem domowym do sklejania wszelkich rys i pęknięć, przyznała Starzewskiemu rację.

- Jâ też uważam, że to nie ma sensu - odparła.

Ale Tatko wziął stronę córki:

- A cóż wam to szkodzi? Grunt, że Madzia wygląda w tym mundur-ku jak cacko, jutro, dziecko drogie, poproszę cię, abys mi w tym ubraniu pozowała do figurki młodej damy, prowadzącej rannego legionistę, na obrazku Stasia Tondosa. Będzie kapitalna grupa na tle krakowskiego Ratusza.

Starzewski nadał się, zachmurzył i nie puścił więcej pary. - Madzię trzeba będzie po ślubie odizolować od tej całej cyganerii, dla której nie ma nic świętego, nawet wojna - pomyślał zapewne. Wojciech nie lubił

Starzewskiego; ten młody prawnik i przyszły dyplomata, który nie jeź-

dził konno i nie miał żadnej, prezencji, który poza tym był bratankiem Rudolfa, redaktora „Czasu”, zawsze wrogo do Kossaka nastawionego, bardzo mu na zięcia nie odpowiadał. O innym marzył mężu dla swej ukochanej Magdusi. Toteż oboje ze starszą córką obrzydiali jej go, jak mogli, chociaż doprawdy nic właściwie ujemnego nie można mu było zarzucić. Był tylko stworzeniem z całkiem innej klatki i ta inność właśnie tak raziła Wojciecha.

- Co ty w nim widzisz takiego, moja Magdusiu? - pytał ją nieraz. -

Według mnie to jest typowy krakowski mieszcuch i ty z nim nie będziesz szczęśliwa.

- Jak tatko może coś podobnego mówić!

- Cóż ja będę przed tobą udawać - nie podoba mi się już.

- Daj jej spokój, mój Wojteczku - rzekła na to Mama - a nuż nikogo 255

lepszego nie znajdzie? Teraz po wojnie tak mało zdrowych, całych męż-

czyn pozostało. Zresztą porządny chłopak i naprawdę do Magdusi przywiązany... Poza tym nie zapominaj, mój drogi, że Starzewski nigdy ani słowem nie wspominał o tym, czy Madzia coś od

rodziców dostanie, czy nie.

- Jeszcze by tego brakowało - mruknął Tatko przygryzając wąsa.

- A jednak - mówiło rozsądne Mamidło - chłopcy z ziemiańskich domów na pewno wymagaliby od nas jakiegoś posagu dla córki.

- Teraz, po wojnie?!

- Właśnie teraz, kiedy tyle dużych majątków zostało zrujnowanych i zrabowanych.

Do tego małżeństwa nie byłoby jednak doszło, gdyby Tatko nie był

dostał engagement do Ameryki, które mu wyrobił jego przyjaciel, pan Jechalski. Pojechał na kilka miesięcy i właśnie gdy był w trakcie robienia kokosowych interesów, dostał list od Maniusi, że ślub Madziznaczony już jest na koniec tego miesiąca. Porzucił więc swoje wspaniałe zarobki amerykańskie, wyrobione już tam stosunki, nowych przyjaciół i przyjechał w przeddzień ślubu, obarczony prezentami dla całej rodziny. Magdusia rzuciła mu się na szyję, zeznając, że sama postanowiła raz skoń-

czyć z tym głupim narzeczeństwem, które trwa już blisko dwa lata, ponieważ dłużej w panińskim stanie nie wytrzyma. Biedny Ojciec nie miał

już wobec tego nic do gadania. Panience sprawiono piękną wyprawę z najcieńszego płótna i w firmie Praus przymierzała co kilka dni wspaniałą ślubną szatę, całą z koronek, które Mama na ten cel chowała od lat. Gdy szła w niej do ślubu w kościele Św. Anny, kumochy tworzące po drodze szpaler cmokały nad nią z zachwytem i wychwalały niczym młodą nieboszczkę, leżącą w trumnie wśród białych kwiatów:

- Ach, jaka piękna ta panna młoda! A jaka bledziutka, jak opłatek!

- Pan młody też sobie niczego - piękna para! - W ich głośnych pochwałach było właściwe kobietom zagłuszanie własnej zazdrości, co się bardzo często w ten sposób objawia.

256

Za młodą parą kroczył godnie jak za pogrzebem majątnej ciotki pan rejent, z brodą wciągniętą w za wysoki i odstający kołnierzyk, i Wojciech w kontuszu czarnym z amarantowymi wyłogami. Wszystkie młodsze damy w kościele spoglądały tylko na Wojciecha.

- Kossak, Kossak... - sykała ta część publiczności. - Ach, co za piękny mężczyzna!

A on, ten wspaniały król życia, rzucał w ich stronę spojrzenia aksamitne swoich piwnych oczu, którym się żadna nie mogła oprzeć.

Do ślubu „trzymał” państwa młodych kanonik Podwiń, wuj pana młodego. Magdusia uroniła kilka łezek obowiązkowych za swoim ulatniającym się stanem panińskim, po czym wszyscy pojechali

karetami na wesele mające się odbyć na Kossakówce, w której Mama starodawnym obyczajem przywitała młodych chlebem i solą. Po ślubie państwo młodzi mieli pojechać do Gdyni, gdzie niedawno generał Haller zawarł

zaślubiny Polski z morzem, rzucając w fale pierścień.

Wielką atrakcją dawnych wesel były prezenty ślubne, który to piękny zwyczaj obecnie zupełnie zanika. Pochodziło to jeszcze z tych czasów, kiedy państwo młodzi szli do ołtarza nie z wzajemnej miłości, ale z woli rodziców i gdzie chodziło o to, aby im tę gorzką pigułkę jakoś osłodzić.

Na dużym stole w salonie leżały porozkładane prezenty. Rodzina Starzewskich wystąpiła z istic królewskimi darami. Od teściowej Magdalena otrzymała brylant na szyję na platynowym łańcuszku, czterokarato-wy, który zresztą w kilka lat później beztrosko „opyliła” w Monte Carlo, poza tym pierścionki, bransoletki, dywany, kryształy. Mamidło wystąpi-

ło z całą srebrną zastawą do herbaty i antycznym porcelanowym serwi-sem. Tatko - wciąż nie w humorze - chował dla Magdusi mały prezencik, który jej ofiarował w wielkiej tajemnicy. Był to... damski środek anty-koncepcyjny. W swojej męskiej naiwności uważał, że każda dorosła kobieta powinna się z czymś takim umieć obchodzić.

- Nie mów o tym nikomu, moje drogie dziecko, ale jeśli nie będziesz mieć dzieci, to zawsze możesz się ze Starzewskim rozwieść. A tak... to już przepadło.

257

Rezultatem tego daru kochającego ojcowskiego serca była tłusta dziewczynka, Teresa, która w rok później przyszła na świat.

Mamidło, paradne w swojej staroświeckiej wierze, iż dziewica idąca do ślubu nie powinna nic o pożyciu małżeńskim wiedzieć konkretnego, wzięła Madzię na bok i pąsowa ze wstydu zaczęła swoje uświadomienie tymi słowami:

- Nie wiem, czy Madzia zdaje sobie sprawę, co to są obowiązki mał-

żeńskie? Otóż, moje dziecko, to są bardzo przykre i bolesne sprawy... ale widzisz, Pan Bóg już tak urządził, że mężczyzna musi...

Madzia też zaczerwieniła się. Już jak to kochane Mamidło zaczęło o tych sprawach mówić, to można było rzeczywiście spłonąć ze wstydu, zupełnie jak gdyby się czytało „Rodzinę Połanieckich”. Może za chwilę jeszcze coś wspomni o „służbie bożej”. Uściskała więc Mamę i zapewniwszy ją, że narzeczony już ją o wszystkim uświadomił, uciekła z pokoju.

Rodzice i krewni odprowadzili państwa młodych na dworzec. Madzia miała na sobie beżową modną pelerynę (za kilka milionów!) i do tego słomiany brązowy kapelusik z kaczeńcami. Była w doskonałym humorze i nie okazywała żadnego wzruszenia, dopiero gdy ujrzała łzy w oczach Tatki, zrobiło jej się okropnie smutno. Tatko płakał! To był wypadek zupełnie niezwykły i dotychczas nie spotykany. Madzia nigdy już póź-

niej, do końca jego życia, nie miała okazji ujrzeć łez spływających po tej najdroższej twarzy. Czemu płakał? Czy dlatego, że tej właśnie nocy jego najukochańsza córeczka miała przestać być dzieckiem - a stać się kobietą? Czy dlatego, że wyjeżdżała z rodzicielskiego domu? A może dlatego, że swój największy skarb oddał w niewłaściwe ręce? Długo myślała nad tym Magdalena, gdy już pociąg ruszył. Starzewski poszedł do toalety przebrać się w pidżamę, którą sobie przywiózł ze Szwajcarii. Madzia, mając wciąż w oczach pełne łez spojrzenie najdroższego Ojca, bez entuzjazmu wyjęła z neseserka prześliczną jedwabną pidżamę, prezent Taty z Ameryki. Była to wówczas rzadkość i żadna kobieta w Polsce jeszcze jej nie posiadała. Była z przelewającego się w rękach atlasu w duże koła złote i szafirowe. Młoda mężatka rozpuściła piękne kasztanowe włosy, 258

uperfumowała się francuskimi perfumami, włożyła na nogi ranne pantofelki i postawiła na stoliku pół litra dobrej mocnej nalewki (dla kurażu).

Ta pierwsza noc poślubna pozostawiła Madzi bardzo miłe wrażenie. Jaś, kształcony w sztuce miłosnej za granicą, okazał się amantem miłym i delikatnym. Nazajutrz zatelegrafowała do domu z Gdańska, że „małżeń-

stwo to wspaniała instytucja”.

Jaś miał jednak swoje nawyczki i swoje zachcianki; kochał na przykład sport pieszy - o ile to sportem można było nazwać - i postanowił, iż całe wybrzeże od Gdańska aż... po Hel młodzi małżonkowie przejdą piechotą, z tym że z Gdyni do Pucka przeprawią się kutrem; Dla takiej kawalerskiej rodziny jak Kossakowie długie piesze spacerunki (poza turystykę górską) były czymś ostatniorzędnym i wręcz „deklasującym”. Madzia spojrzała więc z niechętnym zdumieniem na młodego małżonka, ale ponieważ postanowiła być raczej uległą samiczką, więc tylko wspomnia-

ła, że przecież prościej byłoby jechać koleją. Na co Jaś - z „Przewodnikiem po Wybrzeżu” w ręce - zaczął jej łagodnie tłumaczyć, że kolej na półwysep nie chodzi, a poza tym zależy mu na wycieczce turystycznym.

Był to zresztą jedyne sport, jaki uprawiał, i potrafił włóczyć się całymi dniami bez zmęczenia.

Jako fachowy turysta wiedział, gdzie, co i jak - że w Oliwie usłyszą słynne organy, w Jelitkowie pójdą odwiedzić malarza rybaka i ujrzą jego prawdziwe prymitywy, a gdzieś po drodze będą szli aleją topolową, sadzoną jeszcze przez króla Jana Sobieskiego. Madzia oczywiście byłaby wolała leżeć na plaży w Sopocie i pływać w morzu, ale sama przed sobą zgrywała posłuszną żonę, która nie sprzeciwia się niewinnym zachciankom męża, więc już nie pisnęła słowa i zaczęła przygotowywać zapasy. Z

Gdańska do Gdyni szli cały czas plażą. W pewnym momencie Madzia zaproponowała, aby się przebrali w kostiumy kąpielowe i poszli do morza się wykąpać. I tu nastąpił pierwszy moment zrozumienia, jak bardzo się od siebie różnią - okazało się, że Jaś kompletnie nie umie pływać.

- Jak to, nie umiesz? To niemożliwe!

- Nie miałem kiedy się nauczyć... długo chorowałem...

- No to ja cię nauczę. Mężczyzna musi umieć pływać.

Młoda żona, która trzyma w wodzie męża pod brzusek i stara się go 259

nauczyć pływać, nie może nie czuć do niego szczypty litości i wzdardy - o wiele to gorsze niż mąż, który by starał się nauczyć żonę nawlekać igłę - i Jaś nie powinien był się na to godzić, ale on uważał, że ta sytuacja jest tak wzruszająco komiczna, że innych elementów w niej być nie może, a wówczas jeszcze nie wiedział, że Madzia będzie kiedyś najzłośliwszą kobietą w Polsce.

Do Gdyni dobrnęli późnym wieczorem i tam Jaś zaczął szukać odpowiedniego locum. Ówczesna Gdynia w niczym nie przypominała dzisiaj-szej. Była to zwykła wioska rybacka z jednym poniemieckim pensjonatem noszącym nazwę „Świtezianka”, prowadzonym przez dwie warszawianki. Państwo Starzewscy zamieszkali jednak u Kaszubki, nie umię-

cej ani słowa po polsku, rozgościli się tam i Jaś poszedł na dworzec sprowadzić ich rzeczy nadane na bagaż. Madzia dostała od Ojca, przywieziony z Ameryki, wspaniały kufer-szafę, cały wewnątrz obity kretonem w kwiatki, którego transport kosztował mniej więcej tyle, co przejazd jednej osoby. Śmiesznie wyglądał ten wspaniały mebel, z mosię-

nymi okuciami, w skromnym wiejskim pokoiku o dwóch łóżkach zasłanych poduszkami i piernatami aż pod sufit.

- Właściwie dlaczego nie pojechaliśmy do Sopotu? - zapytała Madzia zniecka. - Tam tak ślicznie i kulturalnie...

- Bo nas na to nie stać, tam jest bardzo drogo - z powagą odparł

mąż.

Po tych słowach Madzia mogła się domyślić, pod jakim znakiem oszczędności będzie się odbywać ich wspólne życie. Ojciec Starzewski, ciężko majątny pan, wychował dzieci w wiecznej trosce o byt i z mottem

„nas na to nie stać”. Na wszystkie jej późniejsze wzmianki o tym, że przecież teść jest człowiekiem bardzo bogatym, Jaś odpowiadał: - Mój ojciec nie na to tak ciężko pracuje, abyśmy mieli jego pieniądze puszczać, postarajmy się być samowystarczalni i żyć z mojej gaży...

Zamieszkawszy z mężem w Warszawie, Madzia, z dobrobytu, do któ-

rego była przyzwyczajona od dziecka, znalazła się nagle w jednym ubo-

żuchnym pokoiku, skazana na dokuczliwe, drobno-mieszczańskie oszczędności, brak własnej służącej i codziennej gorącej kąpieli.

A Tatko Wojciech też zaciął się i postanowił, że skoro ojciec Starzewski, taki bogacz, nie chce synowi nic dawać - to on też nie będzie swojej córce wypłacał miesięcznej renty. Oczywiście pierwszy załamał się Wojtek i zdecydował wypłacać Magdusi 500 franków francuskich co miesiąc. Ojciec Starzewski pozostał niezłomny i tylko kupił młodej parze w Ząbkach pod Warszawą grunt na budowę willi, co, rozłożone na raty, nie było znów takim zbytkiem. Ale jeszcze wtedy, w tym skromnym pokoiku w Gdyni, Madzia uważała to za doskonałą zabawę - zabawę w ubogich -

nie przypuszczała nigdy, że gdy zamieszkają w Warszawie, ta zabawa stanie się rzeczą na serio. Biedny Wojciech miał wyraźnego pecha: obie córki wydał za synów bogatych ludzi, bo przecież drugi mąż Lilki, Pawlikowski, był współwłaścicielem Medyki, a na obie musiał wciąż ciężko pracować, tak długo, póki same nie zaczęły zarabiać.

Po bardzo czulej nocy Jaś wczesnym rankiem obudził swoją żonę i oznajmił jej, że turystyczna eskapada wcale nie jest ukończona i że trzeba natychmiast udać się na molo, aby zdążyć wsiąść do kutra, który miał

zaraz odpłynąć do Pucka. Puck był typowym nadmorskim miasteczkiem, takim jak wszystkie w tych stronach. Niemieckie napisy były już czę-

ściowo usunięte i zastąpione polskimi, o wątpliwym zresztą brzmieniu polskim, jak „Hotel do Hallera” (*Zum Haller*), „Hotel do Róży”, a na drogowskazie - do „Rycerskiego Majątku Pępowa” (*Rittergut*).

Jaś, o ile przestawał zaglądać do swojego „Przewodnika”, był - trzeba przyznać - bardzo miłym i wesołym kompanem, który w towarzystwie swojej dowcipnej żony nabierał coraz więcej poczucia humoru. Zjadłszy kilka dużych niemieckich *Kuchen mit Schlagsahne*, Madzia nabrała sił i werwy do dalszej pieszej wędrówki. Każdy, kto kiedykolwiek jechał po-ciągami lub autem przez Półwysep Helski, wie, jaki to kawał drogi, i ciarki by go przeszły na myśl, że można by taką ilość kilometrów zrobić piechotą. Ale dla urodzonego piechura, jakim był Starzewski, to był

„drobiazg i zupełnie lekki spacer”. Nie przyszło mu nawet do głowy, że

„Madziątko” może być zmęczone i że należałoby je trochę oszczędzać.

261

Jego męski egoizm, który się w tej eskapadzie wyraźnie objawił, imponował trochę rozpieszczonej Magdusi i napawał ją wiarą w przyszłość.

Prób uczenia męża pływać zaniechała uważając słusznie, że to jest zanedo upokarzające dla obydwóch stron. O zachodzie słońca doszli na sam Hel. Jaś - bez żadnego zmęczenia, Madzia wlokąc się resztką sił.

Spieszyli się bardzo, aby dojść tam przed nocą. Główna uliczka Helu z tymi zabawnymi domkami o charakterze holenderskim zachwyciła Madzię. Ujrzawszy słynną wówczas gospodę „Löwengrube” zapragnęła spocząć, zjeść coś solidnego i napić się piwa.

- To później - odparł stanowczym głosem mąż. - Najpierw pójdziemy zobaczyć największą na wybrzeżu latarnię morską. - Rozłożył mapkę, aby się zorientować, w którą stronę należy iść, po czym ręką wskazał

kierunek nieszczęsnej turystce mimo woli. Madzia zacięła usteczka i powlokła się za mężem. Ale gdy doszli pod latarnię i Jaś oświadczył, że muszą teraz wspiąć się po schodach na sam jej szczyt, młoda żona zbun-towała się.

- Idź sam, ja nie pójdę! - oświadczyła stanowczo.

- Dlaczego, moje Madziatko?

- Bo po prostu jestem śmiertelnie zmęczona.

- Przecież jesteś moją dzielną żoną...

- Nie jestem żadną dzielną żoną i nienawidzę takiego ubożego sportu jak łożenie bez przerwy przez dwa dni. Nogi nie są do chodzenia, tylko do oglądania.

Była to ich pierwsza drobna kłótnia, ziarnko tej kolczastej rośliny, która miała między nimi wyrosnąć i kłuć swoimi kolcami to jedno, to drugie. Jaś, odęty i obrażony, poszedł na szczyt wieży sam, a Madzia, ze łzami zawodu w oczach, położyła się na trawie. - Ładne kochanie - po-myślała rozzalona. - Wie, że jestem głodna, zmęczona, że ciągnę resztką sił i jeszcze chce mnie taszczyć kilkanaście piętér do góry! Tatko nigdy by tego nie zażądał! Ale Tatko to był dżentelmen, król dżentelmenów, tak samo w stosunku do obcych pań, jak i do swoich córek. - I znów ujrzała przed oczyma łzy spływające po policzkach Ojca. - Przeczuwał, biedny, co mnie czeka... - pomyślała z rosnącą goryczą.

Błahy na pozór incydent z latarnią morską pozostał jednak jako 262

pierwszy wskaźnik, że życie jej od tej pory nie popłynie gondolą ukwieconą po rozśpiewanej lagunie, tylko będzie ciężkie, zgrzebne, pełne stu-kotu kół po wyboistej drodze.

Po owej podróży poślubnej młodzi państwo Starzewscy pojechali do Warszawy, gdzie Jaś, już jako doktor praw, otrzymał posadę w Minister-stwie Spraw Zagranicznych i gdzie kolegował się z Hłakowiczówną, która miała tytuł radcy, z czego była o wiele bardziej dumna niż ze swoich wierszy. Snobistyczne i dyplomatyczne znajomości nie szły zupełnie w parze z małym i skromnym pokoikiem, który młode małżeństwo wynajmowało na stałe w pensjonacie pani Brykczyńskiej na rogu ulic Zgo-da i Brackiej. Pokoik ten przedzielony kotarą tworzył miniaturową sypialnię,

złożoną

z

dwóch

bliźniaczych

łóżek

oraz

dwóch

„nachtkastlików”, i malutki salonik, w którym stały wyściełane pensjonatowe foteliki, kanapka i stół. Madzia, przyzwyczajona do dużych przestrzeni w rodzinnym krakowskim domku, czuła się mniej więcej jak wiewiórka leśna wpakowana razem z drugą wiewiórką do małej klateczki.

Na oknie klateczki leżało żarcie dla tych ludzkich wiewiórek, a więc szynka w papierku, bułki, jabłka, czekolada. Ponieważ toaletki w pokoju nie było, więc na tym samym oknie stało lustro, przybory do golenia Jasia, leżały grzebienie. Wspólna łazienka znajdowała się na korytarzu.

Starzewski, który miał niezmiernie małe wymagania, jak chodziło o komfort życiowy, czuł się w tej klateczce wspaniale. Był bardzo czułym i kochającym mężem, całował żonę po nogach (czego ona bardzo nie lubi-

ła), nazywał ją Łapkiem i już od progu, wracając ze swojego zajęcia, otwierał szeroko ramiona, w które żona miała wpadać. Madzia, aby do-dać temu mizernemu mieszkaniu jakąś cechę osobistą, kupiła sobie lalkę-Cyganek, którą przerobiło się na lampę. Spod falbanek owej lalki wypływało czerwone światło, które „robiło nastrój”. Lilka aż oniemiała, gdy pierwszy raz przyszła do siostry z wizytą.

- Madziusiu, Madziusiu, jak ty mieszkasz, biedaku! - wyszeptała w końcu ze zgrozą.

- A co, może brzydko? Jak na pensjonatowy pokoik to i tak bardzo przyjemnie...

263

- I ta kanapowa lalka przerobiona na lampkę... Cóż za horrendalny brak gustu!

Jaś nadał się i spojrzał na nią z odrazą: - Lilka zapomina - rzekł z godnością, która go cechowała - że budujemy własną willę w Ząbkach, która za rok pewnie będzie gotowa...

Ta willa w Ząbkach, która rzeczywiście budowała się pomału, przejmowała Madzię dziwną melancholią...

Czasem we wczesnej młodości przeczyta się coś, jakieś zdanie, które pozostaje w pamięci na całe życie i przypomina się przy odpowiedniej okazji. Obie siostry przeczytały kiedyś powieść, tłumaczoną z angielskiego, pod tytułem „Weronika”. Bohaterka owej powieści zaręczona była z jakimś panem Manningiem. Już miała wyjść za niego za męża, kiedy nagle powiedziała sobie: - Co?? Tysiące dni i tysiące nocy z Manningiem - nie! - To zdanie przypominało się Madzi, kiedy jeździła z mężem do Ząbek i oglądała budującą się willę. Więc oto w tym domku ma spę-

dzić „tysiące dni i tysiące nocy z Manningiem - nie!” - Dlaczego jej to przychodziło na myśl - nie wiadomo, bo przecież zdawała sobie sprawę, że jej małżeństwo ze Starzewskim to sprawa bardzo na

serio, co to „na maj i na zawsze”, i że nic takiego stać się nie może, aby ten związek miał

się rozpaść. Jaś był dobrym, kochającym mężem, nie gorszym egoistą jak każdy przeciętny mężczyzna i nie było najmniejszego powodu, aby to nie miało już być na całe życie. A on, nie przeczuwając nawet, jakie niezdrowe myśli miewa czasem jego najdroższe Madziątko, mówił spokojnie wskazując na rusztowania willi w Ząbkach:

- Z tej strony będzie pokój dziecienny, bo od południa, Więc słoneczny - na dole mój gabinet i twój buduar, pokój jadalny, a na górze pokój gościnny i nasza sypialnia... - A jej, gdy słyszała te słowa, zrobiło się zimno. Więc całe jej życie jest już z góry ustalone i przewidziane - to straszne. Żadnych przeżyć, żadnych niespodzianek, jeden mężczyzna do końca życia i kilkoro dzieci? Ale przecież wszystkie jej przyjaciółki i kole-

żanki, wyszedłszy za mąż, miały również życie z góry ustalone i wcale ich to nie przerażało. Oboje zupełnie nie zdawali sobie sprawy, że Madzia to nie taka sobie zupełnie zwyczajna urocza kobietka, ale jeszcze coś więcej.

264

O swoich zdolnościach pisarskich nie miała jeszcze zielonego pojęcia.

Była zupełnie normalną panią domu, która bardzo lubiła przyjmować gości i której mąż spraszał różne ważne osobistości, jak: generała Sikorskiego z żoną, z którym żył w wielkiej przyjaźni, generała Szeptyckiego, państwa Zaleskich z MSZ i innych.

Te „herbatki” odbywały się w pensjonatowym salonie, który popsuł

Madzi wiele krwi. Ledwo grono gości zaczynało przy herbatce opowiadać sobie najnowsze ploteczki polityczne, kiedy drzwi się otwierały i do salonu wchodziła jakaś dama w futrze albo pan w palcie i meloniku.

Goście podrywali się, aby się z nowo przybyłymi przywitać, ale widząc, że pani domu, bardzo czerwona, nie rusza się z miejsca i udaje, że ich nie widzi, czynili to samo. Byli to pensjonatowi goście, którzy przecho-dzili przez ów przechodni salon do swoich pokojów. Jaś uważał, że to nic nie szkodzi i był ponad takie drobiazgi, ale biedną Madzię niezmiernie to zawstydzało i denerwowało.

Po dwóch miesiącach pobytu w Warszawie Madzi zrobiło się podczas obiadu bardzo niedobrze, potem przyszły bardziej niepokojące objawy, więc oboje z mężem wybrali się do znajomego ginekologa, prof.

Zaborowskiego. Ten po zbadaniu pacjentki powiedział tylko jedno sło-wo, ale jakżeż brzemiennie w skutki: c i ą ż a .

Jaś, przypomniawszy sobie momenty z najlichszych powieści

(często mu się one przypominały), pocałował żonę w rękę, po czym ostrożnie wyprowadził ją z gabinetu lekarza, podtrzymując ją jak najdroższy skarb, który ma się powiększyć. W domu ukląkł

przed nią, całując jej nogi (jak w powieściach Przybyszewskiego albo Daniłowskiego).

W jakiś czas później Madzia zaczęła gorączkować i kaszleć. Dr Gluziński, specjalista od płuc, orzekł, że ciąża powinna być przerwana. Przyjechała na to wszystko Mama i zabrała córkę do Krakowa. Zaczynał uratować dziecku życie, twierdząc, że jego zdaniem stan płuc Magdaleny nie jest wcale groźny i kilkumiesięczny pobyt w Zakopanem powinien jej pomóc. Lilka Pawlikowska błagała Madzię na kolanach, aby się dziecka pozbyła.

265

- Madziusiu, co tam głupi bachor wobec twojego zdrowia! Jeśli ty dostaniesz gruźlicy, to ja tego nie przeżyję!

Mama i mąż byli jednak zdania, że CHROBOKOM NIC NIE BANDZIE (jak mawiał stary ogrodnik na Kossakówce). Madzia - Madzia jednak chciała mieć dziecko. Z ciekawości. Jeszcze nie wiedząc wtedy, że będzie pisarką, chciała przeżyć na sobie tę wspaniałą, choć groźną kobiecą sprawę.

- Będę mieć syna, zobaczysz, Lilusiu, a dla mężczyzny warto się poświęcić.

- A jeśli to będzie córeczka?

- Puknij w drzewo trzy razy. Musi być syn!

- No dobrze, a jeśli będzie podobny do Karasia?

- Będzie podobny do Taty naszego. Chcę się „zapatrzeć” na Tatkę.

Gdy młoda mężatka znalazła się z dala od męża i dusznej klateczki na piątym piętrze, zaczęła przychodzić do siebie i po kilku tygodniach wszelkie temperatury minęły najzupełniej. Mały „turkuć podjadek”, siedzący w jej łonie, robił jej na wygląd wspaniale i nigdy przed tym ani po tym nie była tak ładna. Cerę miała matową z różowym odcieniem, usta naturalnie czerwone, a oczy rozrosły jej się i stały się nieomal tak duże jak u jej pięknej siostry. Mama, która wciąż przyjeżdżała do niej, starała się, aby Madzia jadła „za dwoje”, co też Madzia chętnie czyniła, i pilnowała jej, żeby się nie „zapatrzyła” na coś nieodpowiedniego. W

owym czasie zginęła Madzi jej zagraniczna parasolka z rączką rzeźbioną w buziak srogiego buldoga. Mama wcale się przyznała, że zabrała ją ze sobą do Krakowa. Przyszła matka powiesiła sobie nad łóżkiem reprodukcję Apolla belwederskiego, do którego jej synek miał być wypisz-wymaluj podobny, miał mieć nawet tak jak jego pierwowzór kręcone włosy. Madzia wieczorami chodziła do znajomych na brydża i wracała późnymi wieczorami bez asysty, ale nigdy się nie bała. Towarzysz w brzuszku dodawał jej dziwnej odwagi i pewności siebie, nie czuła się nigdy sama. Miała wówczas duże powodzenie u mężczyzn i jeden młody doktor praw z Warszawy, z którym chętnie tańczyła, oświadczył jej nawet, 266

że gdyby kiedykolwiek rozwiodła się z mężem, on zgłosi się natychmiast na kandydata do jej ręki, co

rzeczywiście uczynił, gdy rozwód jej z Jasiem, kilka lat później, był właśnie w toku.

Wtedy jednak wyśmiała go. Zgrywała przed sobą wierną, do męża przywiązaną żonę, której takie myśli nigdy w głowie nie powstają. Zajęta była zresztą zupełnie czymś innym. Kształtowała myślami i marzeniami swojego synka, do którego czule przemawiała, głaszcząc go poprzez fałdy luźnej granatowej sukni, a który nagle, zwykle przy brydżu, skakał tak, iż miała wrażenie, że to wszyscy muszą zauważyć. Od czasu do czasu zjeż-

dzała do domu do Krakowa, chociażby po to, aby z ukochanym Ojcem zjeść pierwsze śniadanie, co było przyjemnością najprzedniejszego gatunku. Mistrz Kossak jadał śniadanie wcześniej niż cała rodzina i już od godziny pół do ósmej rano służąca stawiała na stole w jadalni świeże

„kajzerki” i rogaliki, robiła grzanki i rozbijała jajka na jajecznicę. Nadej-

ście „pana” poprzedzane było radosnym ujadaniem psa, który go do jadalni prowadził przy gromkim wołaniu Taty:

- Brońciu, kawa!

Zjawiał się wykąpany, ogolony, pachnący zagraniczną wodą koloń-

ską, w sportowym angielskim ubraniu i pumpach.

- Magdusia, jak się masz, drogie dziecko!

Przyjemnie było patrzeć, co był w stanie pochłonać. A więc najpierw dużą filiżankę kawy i grzanki, potem jajecznicę z kielbasą lub parówki, potem drugą filiżankę kawy i bułki z wędliną lub serem. A na koniec szklankę mocnej jak smoła herbaty i domowe ciasto lub babkę. Gdy z poprzedniego dnia był jakiś zimny kotlet czy pieczeń cieleca, potrafił i to sfrygać. Po tym wszystkim zapalał francuskiego mocnego „caporala”, którym się z rozkoszą zaciągał. Jedząc jednocześnie czytał gazetę i rozmawiał. Przy śniadaniu był zwykle w świetnym humorze i wszystkie interesiki najlepiej było o tej porze z nim załatwiać.

- Znowu mi odesłano z powrotem moją Mniszkównę...

- A co ja ci mówiłem, Magdusiu, przecież ci tego nikt nie wyda...

- Ale to musi się ukazać w książkowym wydaniu!

- No, ale skoro nie chcą, nie bądź dziecinna.

267

- Mogłabym wydać w Spółce Wydawniczej, ale własnym kosztem.

- No dobrze, ale skąd weźmiesz na to odpowiednią flotę? Chyba że Starzewscy ci dadzą.

- Oni!?! Tacy skąpiarze! A może by tata mi na to pożyczył?

- Po co mówisz p o ż y c z y ł , Magdusiu, przecież i tak nigdy mi te-go nie oddasz.

- Oddam, przysięgam! Ta książka się w mig rozejdzie i zarobię na niej kupę pieniędzy, zobaczysz!

Czego ten niezwykle Tato nie byłby uczynił dla swoich „panien”. Jeśli mógł znaleźć pieniądze na nieważnienie małżeństwa starszej, to cóż dopiero gdy chodziło o sumę o wiele mniejszą, bo o jeden nakład powie-

ściowy.

A zaczęła się ta kariera literacka Madzi od „wspomnień” z Wenecji, gdzie obie siostry były z Mamą kilka miesięcy przed wybuchem pierwszej wojny:

Tęskno mi za wami, piccoli canale, i wy, ciasne uliczki ocienione domami i przeszłością, po których kątach szarzeje dusza dawnych dziejów walących się do nóg ponuro-przemożnego doży, a ściśnięte namiętym uściskiem kochanka. Śniesz mi się, Wenecjo... już leżę u twoich stóp, stąpając lekko po twych wąskich uliczkach-antykach. Oto cudowny, możliwy typ marynarza nadchodzi krokiem okrętowym. Kochany majtku, poszłabym za tobą i za wami wszystkimi, wcisnąwszy nieśmiałą rękę pod twoje miedziane ramię silacza, jak włoska ragazza patrząc pewnie i jasno w siłę twego spojrzenia i krzyżąc w morze i w powietrze grane włoską canzonetta, konieczną i nieodwołalną jak odgłos odsuwanej kochającą ręką gondoliera wody Canale Grande albo jak oszołomionej natarciem szybkiego okrętu fali walącej się nie-przytomnie o zimne schodki przystani. Szczęście było wszędzie, słońce spuszczało się w puszystą zielen, przeglądało się w kulach winogron, pełzało jaszczurkami nabijanymi drogimi kamieniami odprysków słonecznych. Szczęście było tak blisko, już podchodziło pod usta purpu-rowe, już zaglądało w oczy, już rozkładało się niby wschodni kobierzec

- a tu nagle Tatko i strasznie niegodny pomysł wracania do kraju. - A w Krakowie... cóż... nudny Toh, pełzająca powszedniość. Wczoraj na-stąpiło ostateczne zerwanie. Jak sama żałość runął mi do nóg, prze-mieniając się w jeden szloch. A wszystko fałsz, złuda i obłuda... bo... jak mówi poeta (czyli w tym wypadku ja sama): „nie wierz mężczyźnie, bo ledwie liźnie, a już go nie ma - nie wierz mężczyźnie...”

- Cha, cha, cha! - zaśmiała się głośno starsza siostra, gdy jej Madzia przeczytała namaszczone gło-
słem ów urywek z pamiętnika. - Przecież to istna Helena Mniszek i wyjątek z „Trędowatej” lub „Gehenny”! -

268

Wiesz co, Madziusiu, pisz tak dalej, a staniesz się wkrótce tak sławna jak Mniszkówna.

Madzia wpierw oburzyła się okropnie, a potem zaczęła pisać powieść *d la manière de...* - jak to się wówczas nazywało. Francuscy pisarze od dawna uprawiali już tak zwany *pastiche*, a Tatko przywiózł kiedyś z Pa-ryża cały tomik, w którym najlepsi francuscy pisarze parodiowali w

przezabawny sposób: Bourgeta, Pierre Lotiego, Anatola France'a i innych. W Polsce rozpoczął ów *genre* Tadeusz Boy-Żeleński, parodiując genialnie „Rodzinę Połanieckich” Sienkiewicza.

Co dzień po kolacji Madzia przynosiła nowy rozdział swojej powieści

„Na ustach grzechu” i cała rodzina, zaśmiewając się, dodawała jeszcze jakiś dowcip, jakieś zabawne powiedzonko. Gdy powieść została ukoń-

czona, Madzia postanowiła znaleźć na nią wydawcę. Nie było to wcale łatwe, ponieważ wszyscy bali się... nie wiadomo zresztą czego. Czy oryginalnego wyskoku, czy też urażenia popularnej powieściopisarki albo wydrukowania purnonsensu, którego mogła większa część czytelników nie zrozumieć? Parodia Mniszkówny przeleżała więc rok w wydawnic-twie Władysława Kościelskiego w Poznaniu, potem rok u Mariana Krzy-

żanowskiego w Krakowie, w końcu Madzia z uporem koziołka postanowiła ją wydać własnym kosztem.

Wymagana suma została dzięki Ojcu złożona w Krakowskiej Spółce Wydawniczej, która obiecała natychmiast przystąpić do pracy. Starsza siostra postanowiła namalować okładkę. Chodziło o to, kto napisze przedmowę. Jaś Starzewski poprosił Boya, który pierwszy zajął się bredniami Heleny Mniszek, ale on odmówił, nie wiadomo z jakich przyczyn.

W dostojnym salonie Starzewskich przy ulicy Sławkowskiej zebrało się dobrane grono, złożone z Lilki Pawlikowskiej i jej męża oraz Macieja Starzewskiego, który przyjechał z Warszawy, i Madzi z Jasiem. Wszyscy wspólnie zastanawiali się, jaki Madzia ma przyjąć pseudonim, bo przecież do tego literackiego figla nie mogła użyć nazwiska panińskiego, eksploatowanego już przez jej kuzynkę Zofię Kossak-Szczucką, ani też nazwiska swojego męża, przyszłego dyplomaty.

269

- Może *Star* - rzekła głupio Madzia - niby że skrót od nazwiska Starzewska.

- Jaki ty tam *Star* - wzruszyła ramionami Lilka. - Gwiazdą jej się być zachciewa...

- No to może... Gawel Jaśko - niby od Pawła Staśki, któremu też zadedykuję tę książeczkę - rzekła po namyśle Madzia.

- Och, jak już ona co wymyśli!...

- Wiecie co - odezwał się nagle milczący dotąd Pawlikowski, znany ze swojego doskonałego dowcipu i bystrości umysłu - a gdyby tak S a -

m o z w a n i e c !

- Cóż to znowu za pomysł?! - zdziwiła się Magdalena.

- Och, jakaż ta Madziusia tępa! - wykrzyknęła starsza siostra. - Naturalnie! Car Samozwaniec i

Maryna Mniszech... genialne!

Reszta towarzystwa przyklasnęła temu pomysłowi i od tej chwili Magdalena Kossak-Starzewska przekształciła się w Magdalenę Samozwaniec.

W kilka miesięcy później, gdy Madzia leżała w lecznicy ze świeżo upieczoną córeczką u boku, a zacna teściowa - która na drugi dzień po urodzeniu wnuczki rzekła do swojego syna ze łzami w oczach: „Biedny Jasiu, biedny synu, jakieś ty się musiał namęczyć...” - czuwała nad dzieckiem, przyniesiono z wydawnictwa pierwszy próbny egzemplarz „Na ustach grzechu”. Z tych dwojga narodzin to drugie było jej jeszcze bliż-

sze, przede wszystkim wcale niebolesne, i stało się największym przeżyciem w jej dotychczasowym życiu, które później miało obfitować w niezwykle wydarzenia.

SPIS TREŚCI

WSTĘP

5

I. POZNANIE Z LILKĄ

9

II. DZIADZIO

17

III. DOM KOBIET

25

IV. WYCHOWANIE DZIEWCZYNEK .

33

V. DLA PANIENEK ODPOWIEDNIE

53

VI. „JAK KREW Z NOSA”

57

VII. STRIP-TEASE

65

VIII. ŚWINOUJŚCIE

77

IX. ZAKOPANE

85

X. LITERATURA I PANNY

113

XI. TEATR

127

XII. GOŚCIE NA KOSSAKÓWCE ...

135

XIII. KRAKOWSCY KUPCY

155

XIV. SPOD ZNAKU BARANA

165

XV. JEJ PIERWSZY BAL

171

XVI. POJEDYNKI

175

XVII. WIEWIÓRKA

185

XVIII. WOJNA I CO ZA TYM IDZIE ...

199

XIX. MEDYCEUSZE

219

